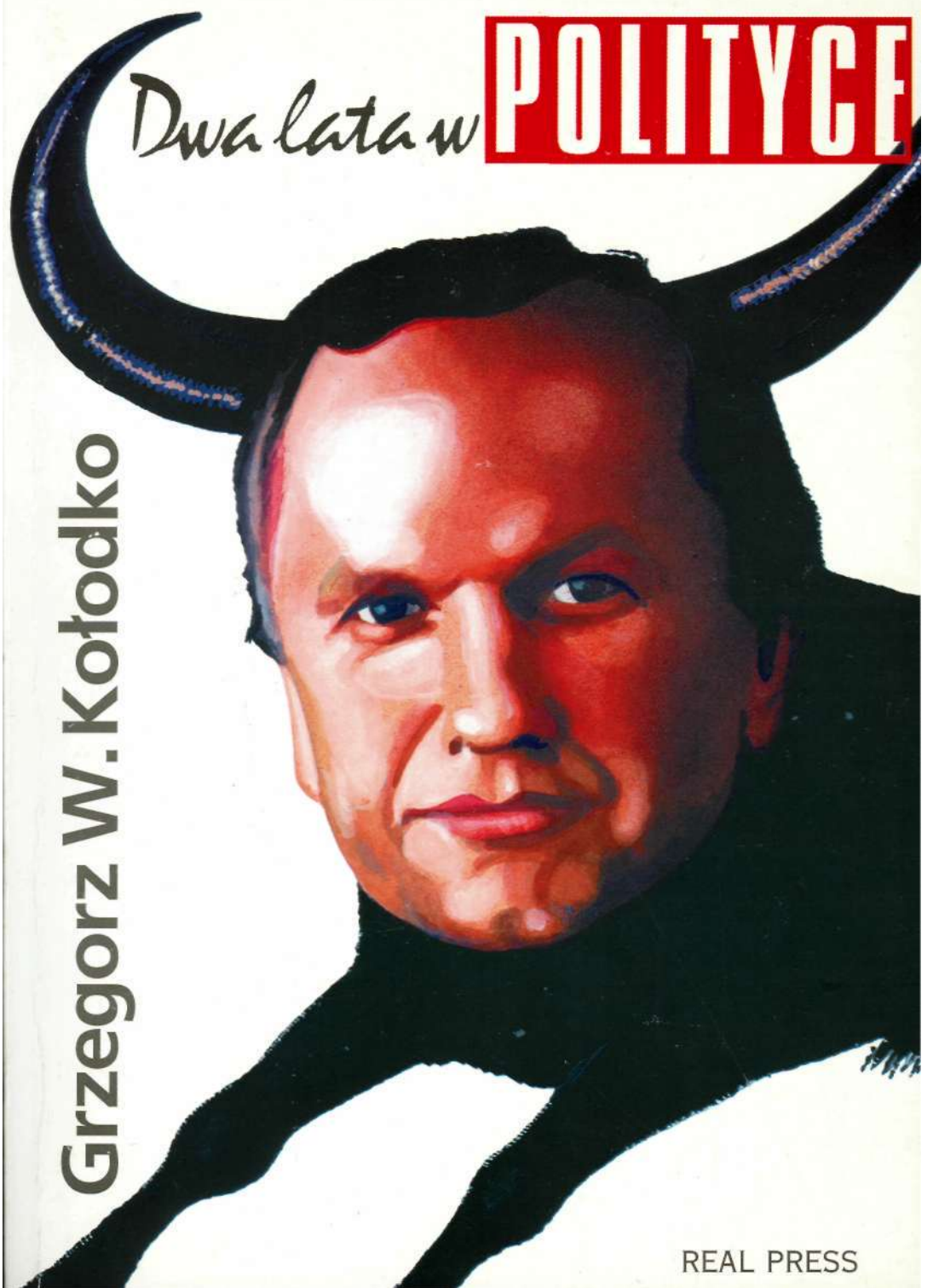


Dwa lata w

POLITYCE

Grzegorz W. Kołodko



REAL PRESS

Grzegorz W. Kołodko

Dwa lata
w **POLITYCE**

Ilustracje Witold Mysirowicz

REAL PRESS
1996

Wydawca: REAL PRESS - Holding *REALBUD*,
Kraków-Warszawa
Wydanie oryginalne

Redaktor: Teresa Grabczyńska
Rysunki: Witold Mysłowicz

© Grzegorz W. Kołodko
© Ilustracje: Witold Mysłowicz
© Zdjęcia: Mirosław Baryga, Damazy
Kwiatkowski, Piotr Liszkiewicz,
Zbigniew Łusiak, Juliusz Multarzyński,
Piotr Nowak, Jakub Ostałowski,
Grzegorz Press, Ireneusz Sobieszczyk,
Jan Stolarczyk, Official White House
Photo, PAP, Photo CE, oraz
archiwum autora

Skład: ROZALIN, Warszawa
Druk: P.P. EVAN Warszawa

ISBN 83-86688-21-1

Od autora

Kiedy ukazał się Rok w Polityce ktoś powiedział, że moje cotygodniowe wypowiedzi w „Polityce” układają się w interesującą całość. Było to dla mnie dość dziwne, gdyż tematy, o których piszę, dylematy, które próbuję rozwiązywać, troski którymi z Czytelnikami się: dzielę przynosi samo życie. Dopiero pisząc drugą pięćdziesiątkę felietonów do „Polityki” nie byłem w stanie uciec przed myślą, że jest to także kolejny fragment kolejnej książki - co nakazywało ułożyć te wypowiedzi w pewien logiczny ciąg. Jednakże zasadniczo rytm wyznaczają życie, polityka oraz wydarzenia, które czasami wyskakują niespodziewanie, jak przysłowiowy Filip z konopi.

Tak więc, pierwsza część tej książki - druga pięćdziesiątka tekstów dla „Polityki” - podyktowana została bardziej przez rytm życia gospodarczego, politycznego i dyskusji publicznej wokół poszczególnych spraw. Liczył się też zamysł prezentacji różnych wątków programowych wiążących się z realizacją Strategii dla Polski, ze sposobem przezwycięzania piętrzących się trudności, z wypracowywaniem i dochodzeniem do rozwinięcia tej linii programowej w formie już przyjętego przez rząd Pakietu 2000.

Druga część to próba sprostania wyzwaniom do trudnych rozmów, których odbyło się bardzo wiele. Specjalnie nazywam je rozmowami, a nie wywiadami, gdyż nie powinno być tajemnicą, że wiele rozmów odbywa się także z mojej inspiracji, a nie tylko na życzenie tej czy innej redakcji. Wybór ukazuje spektrum spraw, którymi zajmuje się wicepremier ds. gospodarczych i minister finansów. Jak łatwo zauważyć spraw tych jest wiele, często od problematyki finansowej czy ekonomicznej odległych. Ale większość rozmów w tej części książki dotyczy jednak spraw trudnych, skomplikowanych i częstokroć bulwersujących opinię publiczną. Czasami przez brak zrozumienia, a czasami dlatego, że narusza się czyjeś interesy po to, żeby podporządkować rozwój społeczny i gospodarczy interesom ogólnym. Aby sprawy proporcji makroekonomicznych były właściwie potraktowane, aby utrzymać linię szybkiego wzrostu ekonomicznego i dalszy postęp w stabilizacji, co z pewnością - choć może jeszcze nie przez wszystkich dostrzegane - jest lub będzie korzystne w dłuższym okresie.

Sądę, że również ten fragment książki układa się w pewną całość, a to czego brakuje, dopełni być może trzeci rok w polityce, który już się zaczął, choć nie wiem,

Od autora

kiedy się skończy. Lata w polityce - o czym dzisiaj już wiem - biegnę zupełnie inaczej, niż normalne lata życia. Czas polityczny i czas rzeczywisty to zupełnie różne pojęcia, to nie tylko dwa lata w polityce, to już dwa lata w polityce. Czasami sam się sobie dziwię, co ja w niej jeszcze robię. W tej polityce przez małe „p”.

Część książki „ilustruje” moje pracę i życie... Wnioski, które czytelnik mógłby wyprowadzić z przejrzenia tej części, są oczywiście celowo zwichnięte. Zdecydowanie większa część tego, co robię, nie jest afotogeniczna, zdecydowanie więcej czasu poświęcam trudnym dysputom politycznym i ekonomicznym, a także licznym partnerom zagranicznym, niż artystom czy sportowcom. Jednak kontakty i pragnienie uczestniczenia w świecie kultury, a także inicjatywa utworzenia Bankowej Fundacji Kultury biorę się z dogłębnego przekonania, iż dwa są filary rozwoju narodu: gospodarka i kultura. Dlatego na tyle, na ile jest to możliwe przy obecnym stanie finansów publicznych, staram się wspierać inwestowanie w kapitał ludzki, rozumiane nie jako proste zwiększenie wydatków z budżetu państwa, lecz jako rozwijanie inicjatyw w pozyskiwaniu źródeł pozabudżetowych poprzez stosowanie określonych motywacji podatkowych.

Cotygodniowego pisanie do „Polityki” odradzało mi swego czasu kilku najbliższych współpracowników. Byłem i jestem innego zdania i do tej pory napisałem sto razy. Zdecydowałem się, choć jest to wysiłek wymagający kolosalnej dyscypliny. Traktuję go bowiem nie jako pisaninę, lecz jako formę dialogu pomiędzy osobą, na barki której złożono duże odpowiedzialność za stan i rozwój polskiej gospodarki oraz finansów publicznych, a tymi, którzy biorą „Politykę” do ręki. Wiem, że jest to dialog, że teksty są czytane, co mnie oczywiście cieszy, bo w innym przypadku zrezygnowałbym z tego.

Sam traktuję bardzo poważnie Czytelnika. Nie oferuję gotowych odpowiedzi lecz propozycje odpowiedzi, które - jeśli argumentacja jest podzielana - mogą być przyjmowane lub nie. Ale wierzę, że tego rodzaju aktywność, jak pisanie do „Polityki” nie szkodzi, a wręcz sprzyja sprawie, której staram się służyć: stabilizacji, wzrostowi, obniżaniu społecznych kosztów reform i poprawie międzynarodowej pozycji polskiej gospodarki.

Nad Atlantykiem, 1 maja 1996 r.



Dwa lata w **POLITYCE**

Biegę w dwóch lewych butach...

Z autorem książki rozmawia Daniel Passent

Panie Premierze, kiedy rozmawialiśmy przed rokiem, pod hasłem *Rok w POLITYCE*, był pan zdania, że pan do polityki się nie nadaje. Czy podtrzymuje pan ten pogląd?

Tak, miniony rok był najtrudniejszy w moim życiu.

Ale są wyniki, nikt nie kwestionuje, że gospodarka rozwija się bujnie, może więc warto się męczyć?

Rezultaty są, ale droga do nich niepotrzebnie taka stroma.

Opozycja jest od tego, żeby utrudniać panu życie.

Mam na myśli problemy w ramach obozu władzy, wiele z nich niepotrzebnie tworzy się w rządzie, na rządowe życzenie.

Minister finansów musi patrzeć spode łba na ministrów, którzy wydają pieniądze.

Chodzi mi o to, że funkcjonowanie centrum wymaga reformy, a to z kolei wymaga czasu. Sposób uprawiania polityki, kultura polityczna - to wszystko wymaga zmiany, która nie nastąpi od zaraz. Natomiast od razu czuje się, że obecne rezultaty można było osiągnąć mniejszym nakładem sił i czasu, nadto że w innych warunkach, przy innej geografii interesów politycznych mogłyby być jeszcze lepsze.

Biegnę w dwóch lewych butach...

Ma pan na myśli parlament czy prezydenta?

Jedno i drugie. Od kilku miesięcy jest zdecydowanie łatwiej kierować gospodarką, bo mamy prezydenta, który rozumie co to jest gospodarka, a kiedy nie rozumie - to słucha i chce to pojąć. Można nawet liczyć, że wyjdzie z inicjatywą ustawodawczą, a nie tylko z wetem. Skraca to czas od narodzin koncepcji do realizacji, która przecież wymaga ogromnego wysiłku.

Dlatego był to najtrudniejszy rok w pańskim życiu?

Z tych, które przeżyłem, ale zamierzam żyć jeszcze długo.

Czy nigdy nie ogarnia pana zniechęcenie i nastrój rezygnacji?

Czasami trudno zachować entuzjazm, kiedy inni wnoszą niepożrebne przeszkody. Dlatego nie trzymam żadnych papierów na biurku i mogę odejść w każdej chwili. Piętrzą się trudności, które trudno uznać za obiektywne. Nie klęski naturalne ani najazd wrogich hord, ale konieczność przewycięzania oporów wewnątrz układu rządu.

Jest ich więcej niż trudności stwarzanych poza tym układem?

Zdecydowanie.

Chce pan powiedzieć, że opozycja jest krzykliwa, ale jałowa?

To pan powiedział. Największym problemem opozycji jest nie to, że jest głośna, ale to, że nie ma alternatywnego programu, obejmującego całość gospodarki.

Mówi się, że pan realizuje program opozycji, jedyny możliwy w naszych warunkach.

Strategia dla Polski, Pakiet 2000 i opracowywane przez nas programy węzłowe były przez opozycję zaciekle krytykowane. Chociaż po stronie opozycji również rodzą się idee warte wykorzystania. Mądrość polega na tym, aby otaczać się mądrymi ludźmi i korzystać z ich rozumu. Staram się takimi właśnie otaczać.

W parlamencie też są mądrzy ludzie.

Oczywiście, ale zdecydowanie nadużywane są pytania poselskie, interpelacje i rezolucje. Przy czym nie chodzi o to, aby naciskać na rząd, by lepiej pracował, tylko żeby zdobyć punkty polityczne. Panuje złość, że rządzący układ polityczny - wobec którego sam bywam krytyczny - potrafi rozwiązywać pewne sprawy. Liczą się wyniki: produkcja rośnie, inflacja spada, kapitał zagraniczny napływa. Fakty są twarde i nie sposób z nimi dyskutować. Działają jednak mechanizmy zdolne rozmontować i zakłócić reformy i politykę gospodarczą.



Biegnę w dwóch lewych butach...

Jakie to są mechanizmy: naciski populistyczne, obawa przed niepopularnymi decyzjami?

Różne. Populizm jest silny zarówno w obozie *rządzącym*, jak i poza koalicją. A populizm rodzi populizm; skoro jedni chcą np. uszczęśliwić służbę zdrowia, to drudzy chcą ich w tej dobroci przegonić. Trzeba to wyjaśniać, opierać się tym naciskom. Ile czasu zajęła np. zmiana zasad waloryzacji rent i emerytur! Prawie pół roku, choć miałem rację - nawet reformatorska część opozycji mnie nie poparła, tylko przyjęła zasadę - czekaj i patrz.

Populizm to jedno, a walka polityczna to drugie.

Politycy nie lubią nie mieć racji.

Nie tylko politycy, poza tym pan też chyba nie jest wolny od tej słabości.

Ja się nie mądrzę, ja się sto razy zastanawiam zanim np. ogłoszę *Pakiet 2000*, jeśli chcę zyskać dlań poparcie polityczne.

Jeszcze w przededniu przyjęcia *Pakietu* przez rząd czytałem w jednej z gazet, iż powędruje on do kosza.

Domyślałem się, w której... Tak w ogóle pisać nie należy. Można być przeciw, można rozważać szanse, ale do kosza? To m.in. dlatego ten drugi rok w polityce oceniam jako najgorszy. Dziennikarze, którzy uprawiają politykę, nie są dziennikarzami tylko politykami.

Narzeka pan na media?

W żadnym wypadku, szukam w nich sojusznika reform. Chodzi mi o to, by nie stwarzały wrażenia, że oni tam na górze wszyscy się żrą. Jeżeli np. ministrowie rolnictwa i przekształceń własnościowych toczą spór o prywatyzację sektora tytoniowego i w dodatku są z różnych partii politycznych, to nie ma w tym nic gorszego. Rząd stanowi forum, na którym rozważane są różne interesy, dyskusja jest jak najbardziej celowa. Ponad 11-godzinna dyskusja nad *Pakiem 2000* na posiedzeniu rządu jest oznaką zdrowia, a nie choroby.

Populizm, brak umiejętności rozwiązywania konfliktów, jakie jeszcze są hamulce?

Różne rozumienie interesów. Pojmowanie władzy nie tylko jako rządzenia, ale i dzielenia, rozdawania pieniędzy. Nacisk potrzeb, często uzasadnionych, nie spotyka się z wystarczającym oporem tych ministrów, którzy sądzą nie po to wygrali wybory, żeby rozdawać.

Całą tę niewdzięczną rolę zostawiają ministrowi finansów?

Ostatnio byłem na zjeździe byłych członków ZSP, co chwila ktoś miał do mnie podobne pytania: kiedy przestaniesz gnębić służbę zdrowia? W ministerstwie mówią, że to ty. Kiedy przestaniesz obcinać wydatki na naukę? W Komitecie Badań Naukowych mówią, że to przez ciebie. Ministrowie muszą powiedzieć wojsku, policji, służbie zdrowia, że trzeba dostosowywać swoje struktury do możliwości, a nie odwrotnie. To jest zagrożenie dla transformacji, niejednokrotnie podsycane przez opozycję i media. Jeśli temu wtórują ludzie z układu rządzącego, to co mają powiedzieć inni?

Mimo to przetrwał pan na swoim stanowisku dłużej, niż trzej pańscy poprzednicy razem.

Ten czas liczy się inaczej. Moja kadencja upływa w tej trudnej koalicji, która jest jak dwa lewe buty, w których muszę biegać. Dla tej koalicji nie ma jednak funkcjonalnej alternatywy.

Może PSL ma bardziej jednorodny elektorat, który ma swój interes i stąd jest trudniejszym partnerem.

Wyższa inflacja nie jest korzystna dla mieszkańców wsi. To około 1/3 społeczeństwa, która odczuwa dolegliwość inflacji na równi z pozostałymi. Tylko producenci żywności są zainteresowani w szybszej zwwyżce cen ich produktów, ale na dłuższą metę obraca się to również przeciwko mieszkańcom wsi. O to toczą boje z ministrem rolnictwa, bo każda zwwyżka cen żywności to poważny bodziec inflacyjny. Na żywność wydajemy przeciętnie 38-39% budżetu domowego. Mówienie o tanich kredytach ma rzekomo obniżyć koszty produkcji. Ale tanie kredyty czym kosztem? - pytam.

Nie można jednak utrzymywać, że całe PSL jest jednorodne. Odwiedziłem już połowę wszystkich województw i mogę powiedzieć, że PSL to rozmaite środowiska. To nie tylko partia wiejska, ale również partia inteligencji wiejskiej i małomiasteczkowej. Na wsi, podobnie jak w całym kraju, panuje duże zróżnicowanie, nie jest tak, że wieś jest tylko biedna i trzeba ją wyłącznie wspierać.

Mimo trudności nie jest pan jednak sam. Popiera pana premier, popiera prezydent.

Premier musi popierać swojego ministra finansów, albo go zmienić. A prezydent Kwaśniewski jest człowiekiem odpowiedzialnym. To poważny partner do rozmowy, sojusznik reform, przy zachowaniu dużej wrażliwości społecznej.

Biegnę w dwóch lewych butach...

Czy czekają nas wielkie reformy służby zdrowia i ubezpieczeń społecznych?

Pakiet 2000 to przewiduje. Wymaga to jednak - jak całość transformacji - od naszej klasy politycznej woli, wyobraźni, wyjścia poza doraźne kalkulacje wyborcze, myślenia o przyszłości kategoriami XXI wieku.

Dziękuję panu za rozmowę.

Odpowiedzi i pytania

Pochlebiam sobie, że nie byłoby tej książki, gdyby nie tygodnik „Polityka”. Kiedy w czerwcu 1994 roku rozpoczynaliśmy w „Polityce” druk cotygodniowych komentarzy wicepremiera i ministra finansów prof. Grzegorza W. Kołodki, mieliśmy świadomość - i redakcja, i nowy minister finansów - że podejmujemy się ryzykownego eksperymentu. Gazeta, zawsze ilekroć oddaje swoje łamy czynnemu politykowi, ryzykuje, iż będzie wplątana w bieżące rozgrywki, że wystawia swój autorytet na pewien hazard, mając niewielki wpływ na treść publikacji. Z kolei, jak łatwo się domyśleć, dla urzędującego wicepremiera kłopotliwe jest samo zobowiązanie do regularnych, cotygodniowych publikacji, nie mówiąc już o tak oczywistym fakcie, że „polityka najbardziej plami atrament”. Co napisane, pozostaje, nawet gdy polityk zmienia - co dość naturalne - poglądy, oceny, koncepcje, argumenty.

Nie mnie oceniać, na ile ów wspólny eksperyment się powiódł, ale mam dowody na to, iż bilans tej dwuletniej już współpracy Profesora z „Polityką” jest - powiedzmy - nie gorszy niż wyniki gospodarcze tego dwulecia.

Felietony-komentarze wicepremiera Kołodki zyskały sobie pokaźne grono wiernych odbiorców, co potwierdzają nasze badania czytelnictwa. Wyniki te są wyraźnie

Odpowiedzi i pytania

powyżej przeciętnej dla tekstów o problematyce gospodarczej. Przez ten czas artykuły w „Polityce” stały się także naturalnym punktem odniesienia dla publicystów i analityków oceniających politykę gospodarczą.

Wreszcie - co widać najlepiej właśnie w tej książce - jest to zupełnie wyjątkowy zapis najnowszej historii Polski, dokonany piórem jednego z ważniejszych aktorów życia publicznego. Każdy kto zechce przeczytać tę książkę, nawet jeśli co tydzień czytał w „Polityce” kolejny felieton Profesora, powinien odkryć, że układają się one w wyraźną całość, znakomicie oddając klimat naszych burzliwych czasów. Jest to także zapis osobistych potyczek Autora, uparcie forsującego pewną wizję gospodarki, polityki gospodarczej i polityki w ogóle.

Przez dwa lata i sto artykułów utrzymaliśmy ten sam tytuł cyklu: Odpowiedzi i pytania; tytuł zaczerpnięty z bliskiego Profesorowi powiedzonka, że „każda odpowiedź ekonomisty jest pytaniem dla polityka”. W przypadku Grzegorza W. Kołodki, ekonomisty (z wykształcenia) i polityka (z konieczności) ten tytuł publikacji wydaje się bardzo na miejscu.

Jerzy Baczyński
redaktor naczelny „Polityki”

Krok po kroku, rok po roku^{*}

Z niechęcią odnoszę się do sloganu „powrót do Europy”, nie wraca się bowiem do miejsca stałego pobytu. Rozumiem intencje autorów takiego zwrotu, ale **aktywne uczestnictwo w procesie jednoczenia i integracji kontynentu** to nie powrót, skoro jest się tutaj jako naród przez ponad tysiąc lat.

Gdy kilka lat temu oponowałem przeciwko temu sloganowi, próbowano przekonać mnie, że jest on bardzo potrzebny, ponieważ jest to antidotum czy też swoista przeciwwaga dla silnej w niektórych kręgach politycznych postawy ksenofobicznej i umiłowania polskiego zaścianka. Nawet jeśli tak było niegdyś, to z pewnością dzisiaj jest już inaczej. **W Polsce jest zdecydowanie mniej tzw. euroceptyków** niż w wielu innych państwach wchodzących w skład Unii Europejskiej. Jest to jedna ze znamienitych cech naszego społeczeństwa, która cieszy, ale też powinna zastanawiać.

Cieszy, ponieważ przekonanie większości z nas, że **powinniśmy integrować się z Unią**, dowodzi jednoznaczności preferencji nie tylko kulturowych - co do tego bowiem właśnie jako najbardziej centralni Europejczycy nie powinniśmy mieć wątpliwości - ale także ustrojowych. I to tak w odniesieniu do sfery systemu politycznego, jak i gospodarczego.

Powinno zastanawiać - gdyż obawiać się można, jaki jest stan rzeczywistej świadomości i znajomości ogromu zadań, których wykonanie stoi przed całym polskim społeczeństwem i jego klasą polityczną, zanim będziemy mogli przystąpić do Unii Europejskiej. Z pewnością na ten temat mówi się dużo, ale czy robi się dostatecznie wiele?

Kwestia integracji europejskiej, jak i aspiracji rychłego przystąpienia do NATO, była jednym z głównych wątków spotkania Komisji USA-Europa-Polska w Berlinie. Komisję tę tworzy grupa osób z kręgów polskich i amerykańskich elit, działających na rzecz wspierania procesu transformacji, zwłaszcza integracji europejskiej i łączenia się ze strukturami atlantyckimi. Na czele komisji stoi profesor Zbigniew Brzeziński, którego pozycja opiniotwórcza na amerykańskiej scenie politycznej jest znacząca i jego działania z pewnością służą polskiej sprawie, m.in. poprzez pozyskiwanie wpływowych amerykańskich polityków, intelektualistów, biznesmenów i finansistów.

^{*} Tytuły wszystkich felietonów pochodzą od autora. Na łamach „Polityki” niektóre zostały zmienione przez redakcję.

Odpowiedzi i pytania

Niektórzy z nich uczestniczyli w berlińskim spotkaniu, na którym przedstawiłem osiągnięcia i wyzwania stojące przed nami, głównie w kontekście transformacji gospodarczej.

Wszyscy są świadomi **ogromu polskich dokonań w ciągu sześciu lat, które minęły od okrągłego stołu, ale nie jestem pewien, czy mają taką samą, pełną świadomość ogromu zadań oczekujących nas przed przyjęciem do zachodnich instytucji bezpieczeństwa, a zwłaszcza integracji gospodarczej.** Co prawda jest szansa, że już za rok staniemy się członkiem OECD, ale to najłatwiejsza część całego przedsięwzięcia.

W Berlinie prof. B. Geremek - występując jako przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych - wyraził pragnienie złowienia złotej rybki, która mogłaby spełnić jego życzenie, by choć przez jeden rok nie było w Polsce skądinąd tak potrzebnych wyborów. Też bym tak chciał i w tym celu jestem nawet gotów zafundować profesorowi Geremkowi wędkę - ponieważ jest wiele złożonych spraw, które trudniej rozwiązuje się w ferworze walki wyborczej. Nie ma, co prawda, bezpośredniego związku pomiędzy naszymi atlantyckimi i europejskimi aspiracjami a akcentami kampanii wyborczej, **nikt bowiem z poważnych kandydatów nie będzie wzywał do kręcenia kołem historii pod prąd.** Jest natomiast poważne ryzyko, że wiele kwestii, których rozwiązanie jest niezbędne na drodze do Unii Europejskiej, nie zostanie podjętych we właściwy sposób ze względu na nieustannie toczące się kampanie polityczne.

Do takich najtrudniejszych zagadnień z pewnością zaliczyć trzeba **reformę ubezpieczeń społecznych**, z obecnym bowiem ich systemem nasza gospodarka nigdy nie stanie się dostatecznie spójna ze strukturami europejskimi. Dlatego też dyskutując o kierunkach tych reform (i to w całym układzie politycznym, a nie tylko w kręgach obecnie rządzącej koalicji, co do czego jesteśmy z prof. B. Geremkiem zgodni) nie można gubić z pola widzenia skutków przyjęcia konkretnych rozwiązań dla funkcjonowania całej gospodarki i perspektywy jej integracji z Unią Europejską.

Drugą fundamentalną kwestią, która wymaga rozwiązania w ciągu następnych kilku lat, dotyczy **rolnictwa**. Obrazowo powiada się, że w Polsce jest tylu rolników, co w całej Unii Europejskiej. Jest w tym nieco przesady, ale zarazem jest oczywiste, że przez następne pokolenie - bo jest to proces pokoleniowy - na polskiej wsi zająć muszą zmiany podobne jak w Hiszpanii, Irlandii czy Portugalii. W ich niedawnej przeszłości dostrzec można naszą przyszłość; przynajmniej w odniesieniu do kwestii rolnej.

Same jednak przekształcenia w naszej polityce rolnej nie wystarczą. **Niezbędna jest zmiana wspólnej polityki rolnej prowadzonej w Unii Europejskiej**, ponieważ w jej ramy nie da się zmieścić rynków państw Europy Środkowej i Wschodniej - w tym rynku największego i najbardziej znaczącego, jakim jest nasz rynek. Jest to tym razem wielkie wyzwanie nie tylko dla Polski, ale dla wszystkich społeczeństw zachodnioeuropejskich i ich elit politycznych. Podobnym wyzwaniem jest reorientacja polityki regionalnej, gdyż w jej obecnym wydaniu przystąpienie nowych państw do procesu integracji byłoby zbyt kosztowne dla podatników Unii Europejskiej. Przy stosowaniu obecnych mechanizmów na przykład Irlandia w swoim dochodzie narodowym aż 7 proc. środków uzyskuje z transferów w ramach polityki regionalnej. W przyszłości musi to zatem wyglądać odmiennie. Integracja europejska powinna być - i będzie - korzystna nie tylko dla państw dołączających do tego procesu, ale także dla wszystkich piętnastu krajów, które już wchodzi w skład Unii Europejskiej.

Dzisiaj spotykam się z ministrami finansów i gospodarki tych państw. Przedmiotem dyskusji są właśnie wyzwania - a chcę, aby ich świadomość istniała po obu stronach - którym trzeba stawić czoło w procesie integracji. Okazją ku temu jest opracowanie (zgodnie z ustaleniami z Korfu i z Essen) tzw. **Białej Księgi**. Zawiera ona na kilkuset stronach omówienie problemów dotyczących **dostosowania rozwiązań prawnych i instytucjonalnych**. To samo z siebie jest już zadaniem ogromnym, niezależnie od niezbędnych dostosowań strukturalnych, bez czego mowy o naszym członkostwie w Unii Europejskiej być nie może.

Trzeba już teraz mieć pełną świadomość, jak wiele pozostaje jeszcze do zrobienia. Nie ma czasu na jałowe dyskusje, na pozór dotyczące kompetencji w sferze polityki zagranicznej. Czas jest natomiast najwyższy dla wprowadzenia odpowiednich rozwiązań instytucjonalnych służących sprawnemu sterowaniu naszymi działaniami na wszystkich obszarach procesu integracji. **Krok po kroku, rok po roku trzeba koordynować wiele przedsięwzięć i temu właśnie ma służyć Ministerstwo (lub Komitet) Integracji Gospodarczej**, którego utworzenie planujemy przy okazji reformy centrum gospodarczego rządu.

Wiele z tych wyzwań dyskutowanych jest na początku tego tygodnia w Brukseli na konferencji w sprawie przyszłych stosunków między Polską a Unią Europejską. Uczestniczy w nich kilku naszych ministrów, prezentując zamiary dalszych przedsięwzięć dostosowawczych w zakresie polityki rolnej (wicepremier R. Jagieliński), przekształceń własnościowych (minister

Odpowiedzi i pytania

W. Kaczmarek), infrastrukturalnej (minister B. Liberadzki), handlowej (minister J. Buchacz) czy też przemysłowej (min. D. Hibner). Biała Księga podkreśla także wątki związane z przebudową sektora finansowego, co ma szczególne znaczenie dla rozwoju gospodarki rynkowej.

Takie spotkania i dyskusje są niezbędne. Ale obecnie konieczne jest już coś więcej, i o tym rozmawiam z komisarzem Unii Europejskiej, który ostatnio gościł w Polsce - Hansem Van Den Broekiem. Otóż coraz pilniejsze jest podjęcie trudnych, ale klarownych i jednoznacznych decyzji, zwłaszcza dotyczących ubezpieczeń społecznych, kierunków polityki rolnej oraz przeciwdziałania inflacji. Nie ulega wątpliwości, że **kluczowe znaczenie z tego punktu widzenia będzie miał przyszłoroczny budżet**. Powinien on uprzedzić niezbędne rozstrzygnięcia i wskazywać na naszą zdolność do rozwiązywania problemów, bez których rozwikłania o integracji z Unią Europejską będzie można tylko mówić.

Nadchodzący okres jest także decydujący politycznie, ponieważ daje on nam szansę wyboru **prezydenta, który może - ale przecież nie każdy może, a tym bardziej nie musi - wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej z końcem swojej kadencji, a więc w roku 2000**. To jest możliwe, choć bardzo trudne. Ale zarazem bardzo potrzebne, nie tylko nam, lecz także innym Europejczykom.

Bruksela, 22 maja 1995 r.

Hydra

Z inflacją trzeba walczyć nawet wtedy, kiedy jej nie ma. Jest to konieczne, ponieważ sprzeczności interesów ekonomicznych tak się splatają, że ewentualne błędne decyzje co do ich rozwiązywania mogą bardzo szybko wywołać procesy inflacyjne. Dlatego też we wszystkich krajach o bardzo niskim obecnie poziomie inflacji tak pieczołowicie kontroluje się poziom deficytu budżetowego i podaży pieniądza. Wystarczy „chwila nieuwagi” i gospodarka może wkroczyć w spiralę inflacyjną, z której wyrwanie jest niekiedy niezwykle trudne. Tak też jest i u nas. Źródła obecnych procesów inflacyjnych nie biorą się ani tylko, ani przede wszystkim z decyzji podejmowanych w ostatnim okresie. Polska inflacja - podobnie jak w wielu innych transformowanych gospodarkach - ma głębokie strukturalne uwa-



Odpowiedzi i pytania

runkowania. Jej inercyjny charakter i wciąż zbyt wysoki poziom ma także swoje przyczyny i implikacje polityczne. Inflacja bowiem jest dla wielu grup interesu nie tylko dotkliwym w swych skutkach procesem, ale także **instrumentem walki o podział dochodu narodowego**.

Inflacja zawiera także konteksty polityczne, jej wysoki poziom jest bowiem nieustannie używany jako **instrument walki politycznej**. Innymi słowy, bynajmniej nie jest prawdą, że wszystkim zależy na jak najniższym poziomie inflacji - i to z wielu powodów. Otóż są grupy, które w sposób oczywisty na inflacji korzystają, aczkolwiek do czasu, gdyż w długim okresie tracić mogą wszyscy. Dzieje się tak wówczas, gdy wskutek wzrostu ogólnego poziomu cen - poprzez redystrybucje majątku oraz dochodów - przechwytyują one większą część realnego dochodu niż w alternatywnych warunkach niższej inflacji oraz odmiennych relacji cen i kosztów.

Opór - niekiedy z pełną determinacją - przeciwko strukturalnym posunięciom antyinflacyjnym bierze się stąd, że **wiele środowisk i eksponentów ich interesów (od działaczy związkowych do ministrów włącznie) nie jest w stanie wspierać polityki makroekonomicznej, ukierunkowanej na stabilizację całego układu gospodarczego**. Uważają oni, że ich misja polega raczej na pozyskiwaniu jak największej ilości środków finansowych - najlepiej bezpośrednio z budżetu państwa lub też pośrednio poprzez tzw. tanie kredyty, za które później przychodzi drogo płacić nam wszystkim, bo do tego prowadzi inflacja. Troska o równowagę systemu finansów publicznych jest najczęściej odbierana jako rzekoma pazerność ministra finansów, który co prawda sam niewiele ma, ale innym to już „nic” nie chce dać. On zaś - „dając” na koszt podatnika już blisko trylion starych złotych - musi być zatrwożony, kiedy podsuwa mu się jako antidotum na inflację propozycje zwiększenia dopłat do tanich kredytów dla rolnictwa i wysokich cel protekcyjnych czy też dopatruje się szansy na restrukturyzację górnictwa poprzez wysłanie kolejnych siedemnastu tysięcy górników na wcześniejsze emerytury. A to właśnie takie kierunki działań są jedną z przyczyn inflacji, za którą później obarcza się odpowiedzialnością ministra finansów. Tym razem występuje on nie jako pies ogrodnika, ale jako kozioł ofiarny. Specjalnie piszę tutaj o ministrze finansów jako instytucji, dotyczy to bowiem - **choć** w różnej mierze - tak moich poprzedników, jak i następców.

Cieszę się wszakże, że ci pierwsi - i mam nadzieję, iż także ci drudzy - nie byli i nie będą uwikłani w **politykę monetarną banku centralnego, która pobudza dodatkowo inflację poprzez tworzenie środowiska monetarnego sprzyjającego jej rozwojowi**. W ubiegłym roku stopa inflacji spadła

aż o ponad osiem punktów procentowych (z 37,6 do 29,5 proc, licząc grudzień do grudnia). W tym samym czasie stopy procentowe uległy redukcji tylko raz - i to na minimalną skalę - co znakomicie, aczkolwiek zupełnie niepotrzebnie (jeśli z inflacją chce się walczyć, a nie dolewać oliwy do ognia) podbiło poziom oczekiwań inflacyjnych. Z kolei w tym samym roku sterowany przez NBP strumień podaży pieniądza przekroczył zakładany poziom aż o dziesięć punktów procentowych (37,6 proc. miast 27,7).

Aż dziewięć miesięcy trwały starania, aby NBP zmienił swoją w istocie sprzyjającą inflacji politykę monetarną. I dopiero teraz - uelastyczniając mechanizm kształtowania kursu walutowego i obniżając nieco poziom podstawowych stóp procentowych - ulegając nieubłaganej presji rynkowej, przyznał rację słuszności naszych diagnoz i postulatów. Przejście bowiem na częściowo płynny kurs walutowy daje obecnie - aczkolwiek po okresie zupełnie niepotrzebnego podniesienia poziomu inflacji - takie same rezultaty, jakie dałoby wcześniejsze obniżenie skali kroczącej dewaluacji z równoczesną redukcją stóp procentowych. Wówczas inflacja spadałaby szybciej, co miałoby także pozytywny rezonans polityczny.

Nie jest natomiast podstawowym źródłem procesów inflacyjnych polityka budżetowa. Analizując procesy inflacyjne w dłuższej perspektywie bezspornie faktem jest, że **nadmierne, nie znajdujące już finansowania dotacje** do niesprawnego systemu ubezpieczeń i zabezpieczenia społecznego stanowią poważne strukturalne źródło inflacji. Jeszcze w 1995 roku - ale później już nie - uda się domknąć budżet bez inflacyjnego finansowania. Niestety, dzieje się to przy utrzymywaniu określonych obciążeń podatkowych. Jedno z drugim się wiąże i czas najwyższy także dyskusje nad oboma zagadnieniami prowadzić łącznie, miast lansować pomysły o wcześniejszych emeryturach i niższych podatkach, zgłaszane równocześnie w zestawie sprzecznych postulatów. Nie można mieć ciastka i go zjeść - nawet jeśli popiera to sam prezydent.

Deficyt budżetu państwa - po bardzo wysokim deficycie odpowiednio 3,8 i 6 proc. w stosunku do produktu krajowego brutto (PKB) w latach 1991-92 - **został obniżony do 2,8 i 2,7 proc. w latach 1993-94. Nadal jest on pod kontrolą** i w bieżącym roku ukształtuje się na poziomie około 3 proc. PKB. Pod tym względem już trzeci rok **Polska spełnia jedno z ważniejszych kryteriów Traktatu z Maastricht**. Tak więc rozmiar deficytu budżetowego i sposób jego finansowania przestał być w ostatnich dwu latach istotniejszym źródłem inflacji. Tym bardziej nie powinien on zwiększyć się w przy-

Odpowiedzi i pytania

szości, ale odwaga przeciwstawiania się takiej tendencji polegać musi na zdolności do ukręcania łba hydrze. A ma ona tych łbów wiele.

Jeden pokazuje się na ulicach i chce wymusić powrót dotacji i subwencji do nieefektywnej produkcji. Stać się to może na koszt podatnika (a zarazem żąda się obniżenia podatków...) lub właśnie poprzez nasilenie inflacji. Drugi woła o tanie kredyty, umorzenia i ulgi podatkowe. Trzeci - słusznie chroniąc interesy rodzimych producentów - nie zna umiaru i przerzuca poprzez zbyt szybko rosnące ceny koszty swoich dostosowań strukturalnych na odbiorców ich produkcji, którzy dołączając do tej gry, nakręcają spiralę cen, płac i kosztów. Czwarty pompuje na rynek nadmiar pieniądza, tworząc korzystne dla drożyzny środowisko monetarne. Piąty dostosowuje strumienie w postaci dochodów i wydatków poprzez nadmierny zakres indeksacji, w tym waloryzacji świadczeń społecznych finansowanych z budżetu. Indeksacja to nie tylko skutek, ale także samoistna przyczyna zbyt silnej inflacji. Szósty nieustannie podgrzewa atmosferę i nakręca oczekiwania inflacyjne, ciesząc się, że inflacja - choć spada - jest większa, niż mogłaby być.

W tym tygodniu przedstawiam rządowi - choć on sam w walce z tą hydrą sobie nie poradzi - kolejny pakiet antyinflacyjny. Jego wdrożenie nie jest łatwe, ale jest możliwe. I nie należy uspokajać się tym, że inflacja w drugiej połowie roku będzie mniejsza niż w pierwszej. Trzeba niepokoić się tym, że obawy polityków - i to bynajmniej nie tylko z kręgów rządzącej koalicji - przed podejmowaniem trudnych działań mogą być najlepszą pożywką dla odradzania się licznych łbów hydry.

Warszawa, 29 maja 1995 r.

Jeszcze jedno okrążenie

Świat obiegła wiadomość o przyznaniu Polsce tzw. **ocen ratingowych**. Komentarze przekazywane przy tej okazji przez międzynarodowe agencje i banki inwestycyjne są dla naszej gospodarki i jej perspektyw przychylnie. Co ciekawe - ale nie zaskakujące - są one nawet bardziej życzliwe w prasie światowej niż na naszym rodzimym gruncie.

Kilka miesięcy temu zwróciłem się do niezależnych i respektowanych na świecie instytucji pozarządowych, które ustalają poziom wiarygodności kredytowej państw, aby oceniły Polskę.

Dlaczego dopiero teraz, w pierwszej połowie 1995 roku? Otóż jest to logiczna konsekwencja procesu przebudowy i stabilizacji naszej gospodarki oraz unormowania zewnętrznych stosunków finansowych. Pozytywna ocena zmian ustrojowych oraz osiągnięć w zakresie wzrostu gospodarczego stwarzała konieczną przesłankę dla uzyskania satysfakcjonujących nas ocen. Natomiast uregulowanie spraw związanych z obsługą zadłużenia zewnętrznego było warunkiem niezbędnym dla podjęcia próby zdobycia takich ocen. Tak więc dopiero teraz - po podpisaniu we wrześniu ubiegłego roku porozumienia z grupą banków komercyjnych skupionych w Klubie Londyńskim - **Polska może wkroczyć na światowe rynki kapitałowe jako wiarygodny kredytobiorca.**

Nie bez znaczenia jest także fakt realizacji porozumienia z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i spełnienia przez naszą gospodarkę uzgodnionych z nim kryteriów wykonawczych potwierdzających skuteczność prowadzonej polityki finansowej. Ostatnio udało się wprowadzić wymiennalność polskiego złotego w odniesieniu do transakcji bieżących. Wreszcie - co podkreślają w swoich raportach agencje ratingowe - **znaczący postęp we wdrażaniu średniookresowego programu rozwojowego *Strategia dla Polski* stwarza obiecujące perspektywy na przyszłość.**

Tzw. rating - czyli ocena wiarygodności kredytowej państwa jako pożyczkobiorcy - odzwierciedla zdolność i gotowość danego kraju do spłaty w określonym terminie pożyczki zaciągniętej w formie publicznie wyemitowanego instrumentu dłużnego, zwłaszcza obligacji. Ocena ta zatem wskazuje przede wszystkim na zdolność do obsługi zadłużenia w przyszłości i dlatego jest ona traktowana jako **antycypacja oceny przyszłego stanu gospodarki i państwa.** W takim też kontekście rating tego rodzaju zawiera dwa zasadnicze elementy: ocenę ryzyka politycznego oraz ekonomicznego.

Odnosnie do **ryzyka ekonomicznego**, agencje ratingowe zwracają w szczególności uwagę na ogólne ryzyko gospodarcze, stopień elastyczności bilansu płatniczego, strukturę gospodarki i dynamikę jej wzrostu, zarządzanie gospodarką i jej perspektywy. W niektórych komentarzach dokonywanych na naszym rodzimym gruncie usiłowano akcentować, że pozytywne oceny sposobu zarządzania gospodarką odnoszą się tylko do zarządzania przedsiębiorstwami na szczeblu mikroekonomicznym, ale tak naprawdę to chodzi tutaj właśnie o sterowanie całą gospodarką na szczeblu makroekonomicznym.

Co zaś tyczy się **ryzyka politycznego**, to szczególną uwagę zwraca się na stopień ogólnej stabilności politycznej, stan stosunków społecznych oraz

Odpowiedzi i pytania

międzynarodowych. Muszę przyznać, że był moment, kiedy zastanawiałem się, czy rok wyborów prezydenckich - prowokujących pewne dodatkowe napięcia społeczne - jest właściwy do ubiegania się o oceny naszej wiarygodności kredytowej. Doszedłem jednak do wniosku, że pozytywne tendencje gospodarcze - zwłaszcza w zakresie wzrostu gospodarczego, a także stabilizacji makroekonomicznej - są dostatecznie silne, aby oprzeć się zagrożeniom płynącym z obecnej fazy cyklu politycznego. Oczywiście, cykl ów sam z siebie nie sprzyja stabilizacji ekonomicznej, ale polityka gospodarcza powinna sobie z tym poradzić. Cieszy to, że do podobnych wniosków, w oparciu o krytyczną analizę twardych faktów gospodarczych, doszli także niezależni eksperci oceniający naszą gospodarkę.

Wątki te były obecne w licznych rozmowach, które misje trzech organizacji ratingowych odbywały w Warszawie z przedstawicielami instytucji państwowych, ministerstw, politykami tak koalicji rządzącej, jak i opozycji oraz ekspertami z instytutów naukowych. Przygotowana została masa informacji statystycznych ilustrujących kondycję polskiej gospodarki, odbyło się szereg konsultacji i spotkań wyjaśniających nie tylko obecny stan rzeczy, ale przede wszystkim zamiary na przyszłość. Oceny wiarygodności kredytowej postrzegać trzeba głównie w kontekście tego, co może dziać się w przyszłości. A ta jest nie tylko funkcją procesów zachodzących ostatnio, ale także zamiarów, w tym również **stopnia ich wiarygodności na przyszłość**.

Polska uzyskała oceny od uznanych w świecie agencji. Posługują się one odpowiednimi skalami, które na szczycie plasują tylko dziewięć państw - Szwajcarię, Japonię, Niemcy, USA, Holandię, Francję, Wielką Brytanię, Austrię i Luksemburg. Na miejscu dziesiątym lokuje się Singapur, w okolicach dwudziestego Korea Południowa i Australia, trzydziestego Chiny i Islandia, czterdziestego Indonezja i Grecja. Polska zaś - wraz z takimi krajami, jak Tunezja i Południowa Afryka - plasuje się w pobliżu pięćdziesiątej pozycji. Od jednej z amerykańskich agencji - Moody's - otrzymaliśmy taką samą ocenę, jak Grecja i Słowacja, wyższą niż Węgry i Turcja, ale niższą niż Czechy czy Chiny. W przypadku innych agencji wygląda to nieco odmiennie, ale ogólny obraz rysuje się podobnie.

Szczególne znaczenie dla Polski ma ocena udzielona przez amerykańską firmę Moody's. Warto było na to pracować! Jest to bowiem pierwszy przypadek na świecie - co podkreślają wszystkie agencje i banki inwestycyjne spozierające w naszym kierunku - kiedy kraj, który wynegocjował restrukturyzację swego zadłużenia zagranicznego, uzyskał tzw. **stopień**

Sam rząd czy samorząd?

inwestycyjny. Oznacza to stwierdzenie wobec potencjalnych inwestorów w polskie obligacje denominowane w walucie obcej i plasowane na światowym rynku kapitałowym, że **nie istnieje ryzyko niespłacania kredytu.** Z kolei inna amerykańska agencja, Standard & Poor's, oceniła nas dwa oczka niżej - podobnie jak Południową Afrykę, lepiej niż Argentynę, ale gorzej niż Indie. Przyznano nam jednak przy okazji ocenę dodatkową - tzw. **tendencję pozytywną,** co oznacza, że agencja ta spodziewa się wzrostu wiarygodności kredytowej Polski w przyszłości. Tym razem zwraca się na świecie uwagę na to, że czymś bezprecedensowym jest zapowiedź, iż podwyższenie obecnej oceny może nastąpić już w 1996 roku. Trzecia z agencji, brytyjska IBCA, umieściła nas pośrodku między ocenami Moody's i S&P.

Wszystko to czynimy po to, aby wejść jako teraz już normalny obywatel tego świata na międzynarodowe rynki kapitałowe. Jeszcze w tym miesiącu emitować będziemy euroobligacje na kwotę 200 milionów dolarów. Oznacza to, że tyle właśnie Polska pożyczycy na zagranicznych rynkach, co ułatwi finansowanie licznych, piętrzących się wydatków budżetowych. Przy czym pożyczamy nie tyle dlatego, że akurat teraz musimy to robić, ale głównie dlatego, aby zaistnieć na międzynarodowym rynku kapitałowym. Tak jak ktoś, kto - aczkolwiek mógłby zapłacić gotówką - dostaje wreszcie kartę kredytową, gdyż jest wypłacalny i z tego właśnie powodu wiarygodny. W taki to właśnie sposób **po dwudziestu latach została Polsce przywrócona międzynarodowa wiarygodność finansowa.** Wykonaliśmy kolejne okrążenie w długim maratonie rynkowych przekształceń polskiej gospodarki. Ale bieć trzeba nadal, bo do mety wciąż jeszcze daleko.

Warszawa, 5 czerwca 1995 r.

Sam rząd czy samorząd?

Otrzymuję coraz więcej zaproszeń „z terenu”, zwłaszcza od przewodniczących sejmików samorządu terytorialnego oraz od wojewodów, ale także od regionalnych czy też lokalnych grup aktywnych ludzi, którzy postanowili - i słusznie - w jak największej mierze wziąć swój los w swoje ręce. Coraz częściej też do tych zaproszeń dołączane są obszerne regionalne programy gospodarcze, czasami nazywane *Strategia dla...* Można już chyba mówić o oddolnym ruchu kształtowania regionalnej polityki gospodarczej.

Odpowiedzi i pytania

Są to bardzo cenne inicjatywy, które wskazują nie tylko na gotowość, ale przede wszystkim na zdolność do podejmowania prób rozwiązywania własnych problemów przede wszystkim własnymi siłami, choć wciąż spoziera się, i nie tylko spoziera - w stronę centralnego budżetu, wierząc, że minister finansów Rzeczypospolitej może więcej, niż może.

Chętnie korzystam - jak tylko jest to możliwe - z zaproszeń i uczestniczę w dyskusjach o koncepcjach rozwoju poszczególnych regionów bądź o rozwiązywaniu ich szczególnych problemów. Takie swoiste lekcje - a raczej seminaria - nowej geografii gospodarczej i politycznej Polski pobierałem już w kilkunastu województwach.

Podczas każdej z tych wizyt spotykam się z młodzieżą akademicką, a niekiedy także licealną, która tłumnie przychodzi na wykłady o polityce gospodarczej organizowane na miejscowych uczelniach. To olbrzymie zainteresowanie problemami transformacji jest budujące, gdyż dowodzi, że młode pokolenie - choć bardzo krytyczne wobec tego, co wokół zachodzi - lokuje swoje nadzieje na przyszłość w powodzeniu naszej strategii gospodarczej, a nie w kolejnych igrzyskach politycznych.

Katowice to była nie tylko okazja do zapoznania się na miejscu z problemami Huty Katowice i jej osiemnastoma (!) związkami zawodowymi, ale najważniejsze przy okazji tej wizyty było - i to już pół roku temu - zapoznanie się z ideą ciekawego programu regionalnej restrukturyzacji i rozwoju, powszechnie dzisiaj znanego jako *Kontrakt dla Śląska*. Od tamtego czasu grupa rządowych ekspertów i doradców gospodarczych uczestniczy w dopracowywaniu tego ważnego programu. Jego istota sprowadza się przede wszystkim do poziomej integracji działań prowadzonych przez wszystkich partnerów, w tym związki zawodowe i środowisko biznesu. Natomiast wsparcie ze strony rządu mieć będzie charakter głównie programowy, przy ewentualnym uzupełnieniu finansowym, rozumianym jako tzw. montaż finansowy. Oznacza to, że źródła finansowania - zarówno publiczne, jak i prywatne - programów lokalnej i regionalnej restrukturyzacji i rozwoju muszą być też przede wszystkim lokalne i regionalne.

W **Krakowie** rozważaliśmy szanse i warunki wykorzystania kultury jako dźwigni rozwojowej tego wspaniałego miasta. **Opole** dało przykład coraz skuteczniejszego dostosowywania struktury gospodarczej regionu do wymogów krajowej i zagranicznej konkurencji. W **Gdańsku** doszliśmy do wniosku, że perspektywy tego regionu w znacznej mierze określi bałtycka ekologia.

Po drodze byłem jeszcze w **Zielonej Górze**, zajmując się skomplikowanymi problemami funkcjonowania służby zdrowia. W **Ostrołęce** przyglą-

dałem się zmianom strukturalnym na wsi. W **Toruniu** z działaczami „Solidarności” dyskutowaliśmy o polityce społecznej i szansach oraz warunkach partnerskich stosunków pracy. W **Lublinie** uwaga koncentrowała się na perspektywach rozwoju środowiska nauki i kultury. W **Wałbrzychu** - podobnie jak w **Lodzi** - rozpatrywane były problemy strukturalnego bezrobocia i przeciwdziałania szarej strefie. W tym drugim mieście sprawy te częściowo się ze sobą wiążą, ale na skutek działań podejmowanych zarówno na szczeblu lokalnym, jak i centralnym coraz więcej osób znajduje tam pracę. Wizyta w **Siedlcach** była okazją do przedyskutowania właśnie jednego z takich rodzących się tam, w regionie, programów restrukturyzacji, przygotowywanego głównie pod kątem wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich. W **Poznaniu** ponownie spotkałem się z pracownikami i związkowcami służby zdrowia, a przede wszystkim - podobnie jak we **Wrocławiu** - ze środowiskiem przedsiębiorców, bankowców i biznesmenów.

Wiele wątków przeplatało się w trakcie niedawnej wizyty w **Białymstoku**, gdzie przede wszystkim przedmiotem sporów była polityka finansowa. Wciąż mamy wiele skomplikowanych problemów, zwłaszcza w odniesieniu do budżetów województw oraz na styku budżetu państwa z budżetami gmin. Pojawia się tutaj wiele kontrowersji, ponieważ środków nie starcza nie tylko na skali makroekonomicznej, ale także nie znajdziemy gminy, która przyznałaby się do ich nadmiaru. Pieniądzy brakuje wszystkim - od wójta do prezydenta. Ale za to dobrych pomysłów przybywa. Okazuje się, że coraz więcej z nas - nie tylko „w Warszawce” - ma swoją *Strategię, dla...*

Dzięki tym licznym spotkaniom łatwiej można zrozumieć, jak poważne wciąż bariery hamują restrukturyzację i rozwój regionalny. Wymienić tutaj trzeba chociażby słabości regionalnych systemów edukacyjnych, nieuregulowanie stosunków własnościowych w odniesieniu do wielu gruntów i obiektów, niewłaściwe rozwiązywanie zagadnień komunalizacji mienia czy też brak wyspecjalizowanych regionalnych i lokalnych instytucji finansowych, dostarczających kapitał dla średniej i drobnej przedsiębiorczości.

Przełamywanie tych, jak też i wielu innych przeszkód utrudnia wciąż jeszcze nadmiernie scentralizowany model państwa, zwłaszcza w zakresie finansów publicznych. Brak również dostatecznie klarownej koncepcji roli państwa i centralnej administracji w procesach restrukturyzacji regionalnej. Nie starcza także odpowiedniej instrumentacji tej roli. To z kolei oznacza potrzebę szybkiego zdefiniowania i podjęcia przez rząd **nowej polityki regionalnej**. Pomóc w tym może wzbogacenie *Strategii dla Polski* o nowy, dodatkowy program, dotyczący właśnie polityki regionalnej. Będzie ona

Odpowiedzi i pytania

także wspierana technicznie i finansowo przez Unię Europejską, o czym rozmawiałem ostatnio z jej nowym, stałym przedstawicielem w Polsce - Rolfem Timansem.

Powiedzmy sobie jednak wyraźnie - i jest to także doświadczenie płynące z tych trudnych, aczkolwiek bardzo pouczających podróży - że nie wszystkie oczekiwania i propozycje płynące ze strony regionów pod adresem rządu są uzasadnione i możliwe do zaakceptowania. Można było niekiedy odnieść wrażenie, że wysiłek intelektualny i organizacyjny nie jest ukierunkowany na to, jak najlepiej wykorzystać zasoby danego regionu, ale na to, jak wymóc na rządzie jakieś szczególne przywileje i dodatkowe środki budżetowe. Czasami więc ta obecna **Polska regionalna** kojarzyła się z nie tak dawną i ciągle jeszcze, tu i ówdzie smętnie wyglądającą swojej szansy, **Polską brązowo-resortową**.

Na szczeblu centralnym potrzebne są tylko takie działania, które wspierałyby instytucje szczebla regionalnego, a nie zastępowały ich. Zasadniczym punktem odniesienia dla udzielania takiego wsparcia powinien stać się **wzrost konkurencyjności poszczególnych regionów Polski**. Bez tego nikt nie będzie miał szans na rzeczywistą integrację gospodarczą z Unią Europejską. Wsparcie, w tym również finansowe, może być udzielane tylko na konkretne przedsięwzięcia i po spełnieniu określonych warunków oraz jako uzupełnienie środków własnych. Taką właśnie politykę konsekwentnie prowadził będzie nasz rząd.

Warunkiem realizacji takiej koncepcji polityki regionalnej jest odpowiednia reforma administracji publicznej. Dokonać się ona musi w powiązaniu z reformą finansów publicznych. Te wzajemne powiązania polegać muszą na daleko - zdecydowanie bardziej niż dotychczas - posuniętej decentralizacji zadań, ale i środków, pochodzących z finansów publicznych. Tylko wówczas bowiem będzie można także w sposób odpowiedzialny **rozвивać tak potrzebną autentyczną samorządność** i scedować w dół cudzą odpowiedzialność za realizację tych zadań. Zwłaszcza w zakresie rozwoju lokalnej infrastruktury, gospodarki komunalnej, ochrony zdrowia, oświaty i kultury.

Lepiej będzie, jeśli w przyszłości na podstawie coraz lepszych programów regionalnych coraz więcej decyzji podejmował będzie lokalny samorząd niż sam rząd.

Warszawa, 9 czerwca 1995 r.

Szantaż czy dylematy wyboru?

Paradoksalnie - zważywszy na silne tendencje wzrostowe naszej gospodarki - ułożenie budżetu państwa na 1996 rok jest jeszcze trudniejsze niż przed rokiem. Mimo poprawy rentowności produkcji i zwiększenia dyscypliny ściągania podatków napięcia budżetowe rosną. Dzieje się tak głównie ze względu na **lawinowo narastające sztywne wydatki budżetu**. Toczy się swoista kula śnieżna, która wchłania coraz więcej grosza publicznego, pozbawiając przy okazji państwo (właśnie państwo, a nie rząd) środków na finansowanie wielu celów rozwojowych i społecznych. „Sztywność” tych wydatków bierze się stąd, że są one funkcją działania określonych praw.

W odniesieniu do kosztów obsługi długu publicznego **nieublaganie działają prawa ekonomiczne** - jak swoiste prawa natury - i tutaj doprawdy niewiele można zrobić. Wielkość długu jest dana przez procesy, które zaszły w przeszłości, kiedy to państwo zadłużało się finansując w ten sposób swój deficyt, natomiast o wysokości stóp procentowych decydują w zasadzie relacje rynkowe. Pewną ulgę może tutaj przynieść co najwyżej polityka pieniężna banku centralnego, o ile będzie ona uwzględniała także i ten punkt widzenia. Aczkolwiek wielkość długu publicznego spada i jego relacja do produktu krajowego brutto obniża się z 85,3 proc. w 1993 roku do 53,3 proc. na koniec przyszłego roku, to realne koszty jego obsługi utrzymają się mniej więcej na tegorocznym poziomie i wyniosą aż 18,8 miliarda nowych (lub 188 bilionów starych) złotych. Pochłonie to około 17 proc. wydatków państwa.

Z kolei w odniesieniu do dopłat do systemu ubezpieczeń społecznych (dotacje dla Funduszu Ubezpieczeń Społecznych i Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego) oraz świadczeń pieniężnych z zaopatrzenia emerytalno-rentowego (MON, MSW, Ministerstwo Sprawiedliwości) **działa prawo regulowane ustawami**, a także procesy demograficzne. Doprowadziło to do stanu, w którym co czwarty z nas jest emerytem lub rencistą. W sumie dopłaty te w przyszłym roku musiałyby - przy utrzymaniu obecnie obowiązujących mechanizmów - zwiększyć się realnie aż o ponad 24 proc. Nominalnie oznacza to skok o 78 bilionów do niebotycznej kwoty blisko 238 bilionów złotych, tj. ponad 10 miliardów dolarów! Innymi słowy, tyle polski podatnik musiałby dopłacić do systemu emerytalno-rentowego, co oznaczałoby wydatkowanie z kasy państwowej tylko na ten cel aż 21 proc. ogółu środków. **Tych wydatków nie można nadal traktować jako sztywnych, ponieważ nie znajdują one już finansowania.** Ucieczka spod tej

Odpowiedzi i pytania

lawiny wymaga zmian obowiązujących ustaw, określających zasady walo-ryzacji świadczeń.

Dlaczego? Otóż przygotowujący budżet opiera się na pewnych założeniach. Po pierwsze, przyjmując utrzymanie wysokiego tempa wzrostu PKB (o 5,5 proc. realnie) i dalsze wchłanianie tzw. szarej strefy, podjęta została próba zmaksymalizowania dochodów. Mają one być realnie większe niż w tym roku i wynieść nieco ponad biliard (tysiąc bilionów) starych albo 100,6 miliardów nowych złotych. Po drugie, dochodzi do tego deficyt budżetu w wysokości 2,8 proc. PKB, ponieważ tyle tylko (albo aż tyle) można będzie sfinansować, jeśli doprawdy chcemy zejść do 17 proc. inflacji w końcu 1996 roku. Tak więc **suma tych dochodów oraz deficytu określa limit wydatków**. Nie powinien on przekroczyć kwoty około 110 miliardów nowych złotych.

Z drugiej strony wydatki, które wydają się konieczne - tak w świetle potrzeb, jak i wspomnianych sztywnych płatności - kształtują się na poziomie ponad 115 miliardów złotych. Okazuje się zatem, że **to, co jest konieczne, jest niemożliwe**. Takich koszmarnych sytuacji w polityce występuje wiele. W tym przypadku widzimy, że przy tradycyjnym podejściu do konstrukcji budżetu brakuje co najmniej 5 miliardów nowych (albo 50 bilionów starych) złotych. Ale kto wie, co to jest 50 bilionów? Nie robi przecież na nikim dostatecznie silnego wrażenia stwierdzenie, że tyle mniej więcej wydajemy w tym roku na obronę narodową (oczywiście za mało...) czy też przypomnienie, iż odpowiada to połowie nakładów na oświatę. Nikt bowiem nie wątpi, że na te cele pieniądze muszą się znaleźć. I to nawet wtedy, kiedy ich nie ma.

Narastające **obecnie** trudności wynikają z kumulowania się sztywnych płatności do niebezpiecznego poziomu około 38 proc. ogółu wydatków. Są one funkcją nie rozwiązanych - nie tylko przez ten rząd i parlament, ale i przez wszystkie poprzednie układy polityczne - problemów systemu ubezpieczeń społecznych. Jest to także rezultat występowania **w przeszłości** deficytu budżetowego, ponieważ jego obecny poziom - rekordowo niski w ubiegłym roku i wciąż utrzymywany pod kontrolą - jest mniejszy niż koszty obsługi długu publicznego. Innymi słowy, bieżące dochody państwa są wyższe od jego wydatków, a konieczność pożyczania obecnie jest następstwem zadłużania się poprzednio.

Chcąc zatem unaocznić, co to jest owe 50 bilionów, *Założenia do projektu budżetu państwa na rok 1996* formułują trudne dylematy wyboru, w których obliczu stoimy w tej fazie prac nad przyszłorocznym budżetem. Ludziom - w tym także, o dziwo, niektórym politykom - trzeba przemówić do



Odpowiedzi i pytania

wyobraźni. Stąd też rozważania o owych brakujących 50 bilionach zostały sprowadzone metodą *ad absurdum* do hipotetycznych rozwiązań, które robią wrażenie. Otóż zwiększenie wpływów do budżetu o tę właśnie brakującą kwotę wymagałoby, przykładowo, podwyższenia progów podatkowych do 25, 40 i 54 z obecnych 21, 33 i 45 proc. Albo też - zawsze przy założeniu występowania innych, nie zmienionych warunków - podniesienia składki na ZUS o blisko 7,5 proc. Inne warianty - niby możliwe, ale przecież irracjonalne - to wejście na spiralę: wyższy deficyt - wyższa inflacja czy też obniżenie realnych nakładów bieżących na sferę budżetową aż o 25 proc. Jest oczywiste zatem, że żadna z tych opcji nie może być przyjęta, aczkolwiek nie jest wykluczone, że mogą być podejmowane jakieś próby ich kojarzenia. Ale to też byłaby błędna polityka, gdyż nie prowadziłaby do usuwania podstawowych przyczyn takiej sytuacji.

Jeśli zatem w jednym z komentarzy prasowych czytam o takim postawieniu sprawy jako o szantażu, to w rzeczy samej marnie rysują się szanse na rozstrzygnięcie stojących przed nami dylematów. A stoją one przed **budżetem państwa polskiego**, choć przy okazji jest to także budżet rządu koalicji SLD-PSL. Radość tych, co żyją z krytyki polityki obecnej koalicji, jest wyrazem braku instynktu politycznego, a podbijanie temperatury napięć przez wykorzystywanie odziedziczonych głównie trudności finansowych oraz manipulowanie powyższymi przykładami dowodzi, jak mało jest rzeczowych argumentów, które dałoby się wykorzystać przy usprawnieniu dalszych prac nad przyszlórocznym budżetem. Można przecież spróbować złożyć go w sensowny sposób, ale pod warunkiem, że **system ubezpieczeń społecznych - poprzez odpowiednie zmiany zasady indeksacji rent i emerytur - dostosowany zostanie do możliwości finansowych państwa**. Odsuwanie tego typu decyzji jeszcze bardziej skomplikowałoby sytuację w przyszłości, pogarszając także wskutek nasilonych procesów inflacyjnych materialne położenie emerytów i rencistów. Jednocześnie podjęte mogłyby być działania osłonowe wobec grupy uzyskującej najniższe świadczenia.

Przedstawione rządowi założenia zawierają propozycje zmierzające do uniknięcia takiego, wciąż realnego, niebezpieczeństwa. **Gwarantują one umiarkowany przyrost siły nabywczej przeciętnych rent i emerytur przy odczuwalnym spadku inflacji i podtrzymaniu wysokiej dynamiki rozwojowej**. Ale osiągnięcie takich celów wymaga rozstrzygnięcia i tak niełatwych już dylematów polityki. Nie tylko gospodarczej.

Warszawa, 19 czerwca 1995 r.

Drugie rozdanie

Wciąż z trudem przychodzi zrozumienie, dlaczego tak skomplikowane jest ułożenie dobrego budżetu, skoro sytuacja makroekonomiczna jest dobra. Mała też pociecha z tego, że w każdym kraju, nawet w tych najbogatszych i najbardziej rozwiniętych, wokół budżetów toczą się batalie, w wyniku których niejeden rząd już upadł. Zawsze bowiem znajdą się takie grupy (i ich polityczni eksponenci), które z proporcji podziału dochodu narodowego przechodzącego przez budżet są i będą niezadowolone...

Budżet jest dokumentem nie tylko finansowym, ale przede wszystkim politycznym. Będąc instrumentem redystrybucji dochodu narodowego, przejmuje, pobierając podatki, cła i inne płatności, część dochodów od jednych podmiotów, aby - poprzez cały system wydatków - przekazywać je innym adresatom. Faktycznie zdecydowana większość podmiotów we współczesnych gospodarkach występuje zarazem w roli podatników, jak i beneficjentów budżetu. Problem w tym, że jedni i drudzy są z reguły niezadowoleni. Ci pierwsi, ponieważ uważają, że są nadmiernie obciążeni. Ci drudzy, gdyż twierdzą, że dostają zbyt mało. A to już jest czysta polityka i w wielu polityków cynicznie eksploatuje te sprzeczności.

Problemem politycznym jest skala redystrybucji dochodu narodowego przez budżet, która w Polsce jest niekiedy oceniana jako zbyt wysoka. W bieżącym roku powinna ona wzrosnąć wskutek nieco szybszego tempa przyrostu - tak dochodów, jak i wydatków budżetu - niż samego produktu krajowego brutto. Uważam to za walor tegorocznego budżetu, ponieważ umożliwia to **lepsze zaspokojenie potrzeb w wielu dziedzinach usług społecznych, zwłaszcza związanych z inwestowaniem w kapitał ludzki.** Po raz pierwszy po wielu latach spadku nakładów na oświatę i naukę, ochronę zdrowia i opiekę społeczną, szkolnictwo wyższe i naukę środki publiczne na te cele nieco rosną. Wymaga to też wzrostu dochodów budżetu, co udaje się osiągnąć bez zwiększania obciążeń podatkowych, a w wyniku wzrostu efektywności gospodarczej i postępu w absorpcji tzw. szarej strefy.

Z kolei w **przyszłym roku skala redystrybucji może się nieco obniżyć,** ponieważ tym razem oczekiwać należy wolniejszego tempa wzrostu dochodów i wydatków niż dochodu narodowego. W rezultacie część PKB przechodząca przez budżet - tak po stronie dochodów, jak i wydatków - wyniesie około 30 proc. Już ten sam fakt jest różnie oceniany. Jedni będą

Odpowiedzi i pytania

argumentować, że budżet jest „za duży”, inni będą dowodzić, iż jest dokładnie odwrotnie. I w pewnym sensie wszyscy będą mieli po trochu rację, ponieważ stosując różne kryteria do oceny tego samego zjawiska dochodzą do odmiennych ocen. Mniejsza skala budżetowej redystrybucji jest w tej fazie transformacji systemowej pożądana, gdyż sprzyja to tak podtrzymywaniu wysokiej dynamiki rozwojowej, jak i stabilizacji makroekonomicznej.

Corzej byłoby, gdyby redystrybucja ta służyła transferowi środków z dobrze funkcjonujących firm do przedsiębiorstw nieefektywnych, z regionów dobrze gospodarujących do regionów, gdzie nie powstały jeszcze dostatecznie dobre programy restrukturyzacji i liczy się głównie na finansowe wsparcie, pochodzące z dochodów wypracowanych gdzie indziej. Taka redystrybucja ma wciąż jeszcze miejsce, aczkolwiek na coraz mniejszą skalę. Dalsze jej ograniczanie ma być kontynuowane także w latach następnych. Na takim tle możliwa jest zarazem umiarkowana poprawa finansowania sfery usług społecznych. Ich poziom uzależniony jest głównie od ilości środków publicznych, jakie państwo jest w stanie przeznaczyć na te cele. Jednakże - w rezultacie zdecydowanie zbyt wolnego tempa reform, zwłaszcza w odniesieniu do służby zdrowia i nauki - są one wciąż nadmiernie uzależnione od ograniczonych możliwości finansowania z budżetu państwa.

Dobry budżet w polskich warunkach anno domini 1996 powinien być wynikiem rozsądnego kompromisu politycznego wokół realizacji konkurujących ze sobą celów rozwojowych i konsumpcyjnych, społecznych i gospodarczych. Powinien on zarazem być zbudowany przy stopniowo zmniejszających się obciążeniach podatkowych. Musi on także zapewniać wysoką dynamikę rozwojową w przyszłości i odczuwalny postęp w odniesieniu do stabilizacji makroekonomicznej. Wreszcie sprzyjać powinien dalszemu integrowaniu się z gospodarką światową. Wydaje się, że ubiegłotygodniowe decyzje rządu, który zaakceptował po długiej debacie propozycje kierunków działań, stanowiących przesłanki do znalezienia właściwego kompromisu, dobrze rokują co do dalszych prac. Pojawiły się szanse, aby złożyć w miarę dobry budżet na następny rok, choć i tak większość z nas będzie z niego nie najbardziej zadowolona.

Rząd przyjął po uzupełnieniach, poprawkach i zmianach przedłożone przez ministra finansów *Założenia do ustawy budżetowej na rok 1996*. Podjęte decyzje określają dopuszczalny deficyt budżetu w wysokości około 2,8 proc. PKB, przy realnym wzroście PKB o 5,5 proc. Przy takich proporcjach

i polityce dochodowej umożliwiającej zwiększenie płac realnych pracowników sektora usług społecznych (tzw. „budżetówka”) o 4,3, sektora przedsiębiorstw o 3 oraz świadczeń emerytalno-rentowych o 2,5 proc, możliwe powinno być zmniejszenie poziomu inflacji w końcu przyszłego roku do 17 proc.

Rząd zatwierdził także kilka projektów ustaw, które - po ewentualnym uchwaleniu przez parlament - regulować będą obciążenia podatkowe. Nie zyskał wsparcia pomysł przywrócenia poprzednich stawek podatku od dochodów osobistych, wymagałoby to bowiem odpowiedniej redukcji po stronie wydatków, a tu - jak wiadomo - i tak środków nie starcza. Trwać będą dyskusje nad zasadnością poszerzenia skali podatkowej, co miałyby prowadzić do zmniejszenia podatku dla najniżej uposażonych, ale **za** kosztem grup uzyskujących wyższe i średnie dochody. Nie uważam tego rozwiązania za fortunate, gdyż sytuację materialną uboższych warstw społeczeństwa poprawiać trzeba przez odpowiednie kształtowanie poziomu najniższych dochodów, co zresztą czynimy. Przyjęto także nowe rozwiązania co do opodatkowania rodzimych grup kapitałowych (holdingi), **co** powinno poprawić ich pozycję konkurencyjną i zwiększyć zdolności inwestycyjne. Efektywna stawka podatku dochodowego od osób prawnych spadnie **w** przyszłym roku do około 30 proc. Wprowadzenie podatku od dochodów kapitałowych zostało przesunięte na rok 1997, co sprzyjać będzie dalszemu rozwojowi rynku kapitałowego i ułatwi przebieg procesów prywatyzacyjnych. Obniżymy także - a ma to istotne znaczenie antyinflacyjne - podatek importowy z 5 do 3 proc. Złagodzona zostanie także skala wzrostu podatku VAT na materiały i usługi budowlane, który w przyszłym roku nie zwiększy się aż do 22 proc, co przewiduje ustawa uchwalona jeszcze na początku 1993 roku, ale tylko do 12 proc. Podobnie będzie także w przypadku niektórych nośników energii, a zwłaszcza elektryczności i gazu. W sumie więc - uwzględniając ulgi związane z budownictwem mieszkaniowym oraz inwestowaniem w kapitał ludzki - **obciążenia podatkowe tak przedsiębiorstw, jak i ludności będą w 1996 roku mniejsze.**

Najważniejsze wszakże jest to, że **znaleziono rozsądne rozwiązanie dylematu toczącej się śnieżnej kuli w formie lawinowo narastających dopłat do nieefektywnego systemu ubezpieczeń społecznych.** Zwiększą się one tylko do takiego poziomu, który znajdzie twarde, nieinflacyjne sfinansowanie w budżecie, ale zarazem zagwarantuje dalszy realny wzrost przeciętnego poziomu tych świadczeń. Wymaga to ustawowej zmiany zasad ich indeksacji. W ten sposób - bez zwiększonych obciążeń fiskalnych

Odpowiedzi i pytania

- możliwe będzie lepsze finansowanie celów rozwojowych i społecznych. Za priorytetowe wśród nich zostały uznane: rozwój obszarów wiejskich, budownictwo mieszkaniowe, bezpieczeństwo publiczne, nauka i szkolnictwo wyższe oraz reforma służby zdrowia. Tak wygląda krajobraz po drugim rozdaniu w batalii o przyszłoroczny budżet. A rozdań tych przed nami jeszcze wiele.

Warszawa, 26 czerwca 1995 r.

Egzamin praktyczny

Ekonomista musi stawiać nieustannie trudne, złożone pytania i w obliczu takich skomplikowanych pytań sam nieustannie stoi. Na tym chyba polegał sokratesowski dylemat zawarty w słynnym powiedzeniu *wiem, że nic nie wiem*. Nie wiem, czy tak wybitny ekonomista jak **profesor Maksymilian Pohorille** przy okazji jubileuszu swego osiemdziesięciolecia byłby już skłonny stwierdzić, iż *wie, że nic nie wie*, ale my wiemy, że Jego wiedza jest ogromna, i dlatego też dobrze się stało, że dane nam było coś z tej wiedzy uszczknąć.

W moim przypadku cała kariera ekonomisty - od studenta pierwszego roku warszawskiej Szkoły Głównej Planowania i Statystyki do profesora w Szkole Głównej Handlowej - łączy się z nieustannym kontaktem intelektualnym z Profesorem. W roku akademickim 1968/69 słuchałem Jego wykładu z ekonomii politycznej kapitalizmu. Dobrze się stało, że -jak się o tym później dowiedziałem - wykład ten powierzono profesorowi Pohorille po zajęciach marcowych „za karę” - jak w operze chińskiej, w której rolę czarnych charakterów grać mają „gorsi” aktorzy - pozostawiając wykład z ekonomii politycznej socjalizmu innym, „lepszemu” (może na tej samej zasadzie wciąż jeszcze jestem wicepremierem, ministrem finansów). Dzięki temu już na początku studiów zapoznać się mogliśmy z profesjonalnym i dobrze prowadzonym kursem współczesnej makroekonomii z licznymi odniesieniami do dorobku zachodniej myśli ekonomicznej, ale przede wszystkim z jej twórczą interpretacją, dokonywaną przez samego wykładowcę. Dwadzieścia pięć lat później sam zostałem profesorem zwyczajnym w tejże uczelni, co z pewnością byłoby niemożliwe, gdyby nie nauki skrętnie, ale i krnąbrnie pobierane od profesora. Teraz już chyba obaj w sumie wiemy, że nic nie wiemy...

W nauce - a ekonomia nie jest tutaj żadnym wyjątkiem - najważniejsze są, oczywiście, wyniki badań, ale niekiedy nie mniej istotna jest ich metoda. Pod tym względem do dziś korzystam z lekcji pobranych w czasie współpracy z profesorem Pohorille. Zawsze podkreślał, że nie tylko konieczna jest *ex ante* precyzyjna odpowiedź na pytanie, **co** chcemy zbadać, ale także świadomość, **jak** chcemy to uczynić i **po co** to robimy. Takie właśnie podejście nieustannie starałem się stosować - i nadal to czynię. Swoje podejście do ekonomii wywodzę z przekonania, że **warto wiedzieć, jak się rzeczy mają po to, aby potrafić zaproponować działania, wskutek których sprawy będą miały się lepiej**. Dlatego też politykę gospodarczą, którą zajmuję się przez wiele lat naukowo - a od pewnego czasu także praktycznie - traktuję jako próbę zastosowania teoretycznej wiedzy ekonomicznej wyniesionej ze studiów deskryptywnych (jak się rzeczy mają) do działań praktycznych (niech sprawy mają się jeszcze lepiej).

Seria artykułów, które od roku publikuję na łamach „Polityki”, nosi tytuł *Odpowiedzi i pytania*. Usiłuję przedstawić argumentację przemawiającą na rzecz podejmowania trudnych decyzji, wyjaśniać wiele rodzących się nieustannie wątpliwości oraz komentować na bieżąco liczne dylematy, jakie napotyka polityk gospodarczy. A więc *Odpowiedzi i pytania* - w takiej właśnie, a nie odwrotnej kolejności. Od dawna bowiem podzielam wpojony mi pogląd, że **odpowiedź ekonomisty jest pytaniem dla polityka**. Ekonomiści wyjaśniać muszą istotę mechanizmów różnorodnych procesów i zjawisk gospodarczych oraz stykających się z nimi procesów społecznych. Politycy natomiast powinni potrafić tak wpływać na działanie tych mechanizmów, aby osiągać w jak największym stopniu zamierzone cele.

Faktem jest, że nie przypuszczałem wcześniej, iż **stopień trudności w korzystaniu z teoretycznej wiedzy ekonomicznej w działaniach praktycznych jest tak olbrzymi**. Trudności, z jakimi pomimo wielu osiągnięć i sukcesów ostatniego okresu wciąż boryka się polska gospodarka, mają podłoże przede wszystkim polityczne. **Polski problem numer 1 jest polityczny, a nie ekonomiczny**. Nie polega on na tym, że jesteśmy jako ekonomiści intelektualnie - pomimo licznych rozbieżności i trwających sporów naukowych - nie przygotowani do stawiania sobie pytań i udzielania politykom odpowiedzi. Problem tkwi w tym, że polityka nie jest w stanie twórczo zaabsorbować tych odpowiedzi ze względu na liczne i złożone sprzeczności interesów ekonomicznych i politycznych, w jakie uwikłany jest proces transformacji gospodarki i społeczeństwa oraz przebudowy instytucji politycznych w związku z rozwojem demokracji. Jakże

Odpowiedzi i pytania

często ostatnio słyszę, że to właśnie ja nic nie rozumiem, widzę ponoć tylko słupki, a jakoby nie dostrzegam warunków politycznych. Tak naprawdę to przede wszystkim widzę ludzi. A także ich i nasze pieniądze bardziej niż głosy.

Dyskutując z profesorem Pohorille już przez ponad ćwierć wieku, wyniosłem także wiele innych nauk, nie tylko tę, że dobrze jest, kiedy ekonomia jest zorientowana praktycznie. Powinna ona być także **zorientowana na człowieka i jego potrzeby, na konieczność zaspokajania potrzeb społecznych**. W takim też kontekście ekonomia od początku była dla mnie nauką także humanistyczną, a nie tylko sformalizowaną i zmatematyzowaną metodą analizy i prognozowania zjawisk oraz procesów gospodarczych. W pewnej fazie swoich studiów i badań szczególnie zainteresowałem się problematyką pieniądza i finansów, ponieważ te właśnie kategorie odgrywają kluczową rolę w ekonomii. Skrzyżowanie takiego podejścia metodologicznego odgrywa do dzisiaj znaczącą rolę w sposobie, w jakim postrzegam problemy gospodarcze, a także w jaki podchodzę do prób ich rozwiązywania.

Gdy dzisiaj sięgam pamięcią wstecz, to uzmysławiam sobie ponownie, jak wiele z wcześniejszych studiów, dyskusji i sporów znajduje swoje odzwierciedlenie w podejściu do postrzegania aktualnych problemów gospodarczych. Choć w międzyczasie zmienił się system gospodarczy, to rezultaty licznych rozważań zawartych w dorobku profesora Pohorille nadal są w pełni aktualne, a niektóre z nich - w sposób być może paradoksalny dla samego Autora - stały się nawet bardziej aktualne dla polskiej gospodarki obecnie niż lat temu dwadzieścia-trzydzieści, kiedy to pojawiły się Jego znaczące publikacje z tego zakresu. Mam tutaj na myśli w szczególności prace na temat regulacji cen rolnych oraz dochodów i cen w rolnictwie. Wciąż jeszcze - nawet w 1995 roku - warto znać napisaną przed bez mała 30 laty teorię regulowania cen rolnych i korzystać z zawartych w tych pracach propozycji. Gdyby zakres czerpania z tej wiedzy był szerszy, wówczas mniej byłoby tak namiętnych, aczkolwiek nie zawsze merytorycznych sporów wokół stosowania opłat wyrównawczych czy też sięgania w imporcie do bezcłowych kontyngentów produktów rolnych.

Zawsze towarzyszył mi w tych pracach i rozważaniach twórczy krytycyzm profesora Pohorille i jego cenne rady. W takim też kontekście **podejście porównawcze** szczególnie przydatne okazało się zarówno podczas studiów, jak i już bezpośrednio w czynnej polityce gospodarczej w zakresie stabilizacji makroekonomicznej. Na tym polu prawie wszystkie wcześniejsze

wątki badawcze musiały się zbiec, tak bowiem złożona jest materia tego problemu finansowego, ekonomicznego, społecznego i politycznego. I tylko ktoś, kto myśli i działa uwzględniając wszystkie te cztery płaszczyzny, może mieć szanse powodzenia. I tutaj też dostrzec można różnice występujące pomiędzy nauką i polityką, pomiędzy teorią i praktyką, pomiędzy odpowiedziami i pytaniami.

W rezultacie stawiania wielu trudnych pytań i udzielania na nie odpowiedzi powstał **średniookresowy program rozwoju gospodarczego Polski i transformacji jej systemu ekonomicznego pod kątem kształtowania społecznej gospodarki rynkowej - Strategia dla Polski**. Program ten jest wyprowadzony z wieloletnich studiów - nie tylko ekonomicznych i prowadzonych nie tylko w Polsce - oraz z obserwacji przebiegu procesów dostosowań strukturalnych w różnych systemach gospodarczych.

Jeśli zatem pracując w pierw nad przygotowaniem *Strategii dla Polski*, a potem w trakcie jej realizacji choć po części udało mi się skorzystać z tych odpowiedzi, których profesor Maksymilian Pohorille udzielał przez wiele lat na moje liczne pytania, to mam nadzieję, że raz jeszcze uzyskam zaliczenie. Tym razem z najtrudniejszego egzaminu.

Warszawa, 23 czerwca 1995 r.

Kultura i pieniądze

Kultura jest wartością samoistną, jest wartością samą w sobie. Nie wydaje się, że trzeba o tym przypominać, ale w epoce, w której zdecydowanie więcej słyszy się o pieniądzach niż o kulturze właśnie - z pewnością warto od czasu do czasu to podkreślić. **Fakt ustrojowej transformacji politycznej i gospodarczej plasuje w nowej perspektywie wyzwania, przed którymi staje kultura i służące jej środowiska oraz instytucje**. Nie zawsze są one dostatecznie silne, by skutecznie uchronić się przed zagrożeniami niesionymi przez nowe otoczenie, w tym niekiedy daleko idące zmiany w sposobie finansowania kultury. Z tego też powodu do polityki w zakresie kultury - tak masowej, jak i elitarnej - trzeba podchodzić ze szczególną troską, ponieważ szczególne mogą dla niej powstać problemy w związku ze zmianami zachodzącymi także w funkcjonowaniu systemu finansów publicznych.

Odpowiedzi i pytania

Kultura jest wszakże również dźwignią rozwoju. I nie chodzi tutaj tylko o kulturę materialną czy techniczną, ale także o stan ducha, którego kreowaniu ona sprzyja. W dłuższej perspektywie czasowej z reguły jest tak, że bardziej wykształcone i światłe społeczeństwo jest bardziej wydajne. W *Strategii dla Polski* do rangi specjalnego programu węzłowego podniesione zostały kwestie inwestowania w kapitał ludzki i w takim też kontekście trzeba postrzegać społeczne nakłady ponoszone na rozwój kultury. Tym razem - niezależnie od tej samoistnej wartości zaspokajającej potrzeby wyższego rzędu - **wydatki na kulturę traktować należy jako długofalowe inwestowanie w przyszłość. Służy to rozwojowi społeczeństwa i gospodarki, a nie tylko obciąża je podatkami i wydatkami.**

Przekształcenia ustrojowe zachodzące w Polsce i w innych krajach naszego regionu świata stawiają szereg trudnych problemów w zakresie finansowania kultury. **Nie można mieć sprywatyzowanej gospodarki i z państwowej tylko kiesy finansowanej kultury.** Ale nie można też pójść na jej pełną komercjalizację i oczekiwanie na rodzimych Carnegie i Stanfordów. Zanim oni dojrzeją do możliwości sponsorowania instytucji i inicjatyw kulturalnych na wielką skalę, instytucje te mogłyby obumrzeć, a inicjatywy zwiędnąć. Ale już dostrzec można, że tacy sponsorzy powoli się pojawiają.

W ramach polityki wspierania inwestowania w kapitał ludzki od tego roku **zwiększona została do 15 proc. skala odpisu od podstawy wymiaru podatku dochodowego wydatków ponoszonych na wspieranie między innymi przedsięwzięć w sferze kultury - tak dla przedsiębiorstw, jak i dla indywidualnych podatników.** Wciąż jeszcze niedostatecznie szeroki jest zakres korzystania z tych możliwości. Być może, dzieje się tak i z tej przyczyny, że nie wszyscy zainteresowani o tym wiedzą. Korzystając z tego udogodnienia fiskalnego przygotowujemy z grupą banków utworzenie Bankowej Fundacji Kultury, która powinna przede wszystkim wspierać najlepsze sceny teatralne i muzyczne. Również w tym roku po raz pierwszy stworzona została możliwość odpisywania przez nas wszystkich kwoty 7,2 miliona złotych - póki co umiarkowanej, ale jednak jest to krok we właściwym kierunku - od podstawy wymiaru podatku dochodowego od osób fizycznych z tytułu nakładów na wzbogacanie własnych kwalifikacji i podnoszenie poziomu wiedzy. To także służy rozwojowi szeroko rozumianej kultury.

Podjęmowane są ponadto działania służące jej finansowemu wspieraniu z innych źródeł. Staramy się przekonać inwestorów zagranicznych, że warto

łżyć nie tylko na firmy, które sami zakładają lub też od nas zakupują, ale przy okazji także sponsorować ciekawe przedsięwzięcia w zakresie sztuki, kultury, rozrywki. Sprzęgane jest to z reguły z działalnością promocyjną i reklamową. I w takim ujęciu **interesy z kulturą mogą iść w parze**. Tak długo, jak sami nie musimy jeść produktów *Pedegree Poioer*, ale możemy - słysząc o nich - przy okazji obejrzeć *Wesele*, związki biznesu ze sztuką są twórcze i nie wolno się na nie obrażać, tylko trzeba je wspierać i twórczo dyskutować. Zwłaszcza w telewizji.

Miałem zaszczyt spotkać się niedawno z wybitnymi twórcami polskiej kultury i dyskutować w najbardziej kompetentnym gronie o jej stanie i perspektywach. Jedną z uczestniczek tego spotkania - profesor Maria Janion - w wykładzie wygłoszonym z okazji uzyskania doktoratu honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego zauważyła, że ideał kultury kwakerskiej może dziś śmieszyć, ale czy da się budować cywilizację kapitalizmu tak jak u nas, bez uzgodnienia ekonomii i kultury? Otóż nie da się, dlatego też w naszej polityce do takiego „uzgodnienia” właśnie zdążamy. I jeśli pani profesor przypomniała mi słowa, które dwa lata temu jako profesor makroekonomii i finansów publicznych wypowiedziałem na antenie radia: **o przyszłości społeczeństw bardziej decydują ceny książek niż akcje**, to teraz - jako wicepremier koordynujący politykę gospodarczą Rzeczypospolitej i jej minister finansów - nadal jestem o tym przekonany.

Z pewnością dbać będziemy o to, by te pierwsze drożały wolniej niż te drugie. Temu służyć ma między innymi bezcelowy kontyngent importowy na papier. Temu także sprzyjać będzie podjęta właśnie decyzja o **utrzymaniu zerowej stawki podatku od towarów i usług (VAT) na książki i wydawnictwa przez jeszcze rok cały oraz o późniejszym jej zminimalizowaniu**. W ten sposób - choć pozbawiając na krótką metę budżet państwa określonych wpływów - wyjść chcemy naprzeciw nie tylko postulatowi Polskiej Izby Książki, ale przede wszystkim wspierać rozwój czytelnictwa. To jest bowiem podstawa wszelkiej kultury. Jeśli przy tej okazji jedna z gazet donosi, że jest to element kampanii politycznej (!), to obawiam się tym razem o jakość naszej kultury politycznej, o to, że ideał jest coraz bliżej bruku. Niestety, jej poziom nie zależy od nakładów z budżetu, wówczas bowiem skłonny byłbym dotacje na ten cel nawet podwoić...

Niekiedy wręcz warto wsparcie dla kultury podkreślać, aby innym wskazać drogę. Dlatego między innymi honoraria za swoje dwie ostatnie książki przekazałem nie na łatanie dziury, którą - choć pod kontrolą - wciąż mam jako minister finansów w budżecie, ale na wsparcie znakomitych

Odpowiedzi i pytania

instytucji naszej kultury. Dochody za książkę *Strategia dla Polski* płyną dla chłpięcego chóru Stuligrosza, natomiast z promocyjnej sprzedaży ostatnio wydanego *Roku w polityce* - na Łazienki Królewskie.

Wszystko to jednak - a przede wszystkim łożenie z naszych własnych kieszeni na dobra kultury - opierać musi się nieustannie na zbiorowym wysiłku finansowym i znajdować swoje odzwierciedlenie w budżecie - tak państwa, jak i gmin. **Coraz więcej bowiem przedsięwzięć kulturalnych finansowanych jest ze środków publicznych na szczeblu lokalnym i regionalnym.** Kulturę narodową wspierać musi na zasadzie rozsądnego mecenatu państwo, ale bynajmniej sterować jej rozwojem nie ono powinno, tylko oddolna inicjatywa, samorząd lokalny i środowiskowy. A także - w rosnącej mierze w tej fazie transformacji - rynek. Teatry i opery, filharmonie i orkiestry, operetki i kina, muzea i biura wystaw artystycznych, centra sztuki i biblioteki, domy kultury i świetlice, kluby i domy pracy twórczej - to wszystko instytucje, które w większości przypadków są finansowane w pełni z budżetu państwa lub gminy bądź też korzystają z dotacji. Działalność tych instytucji wszakże w coraz większym stopniu opierać musi się na montażu finansowym sięgającym także do pozabudżetowych źródeł, w tym w niektórych przypadkach do całkowicie komercyjnej odpłatności. W określonych sytuacjach zdolność do robienia interesów na kulturze nie powinna być powodem do wstydu, ale wręcz do dumy. Tak winno być, przykładowo, z konkursami chopinowskimi, z których dochody mogłyby być wykorzystywane na specjalne stypendia dla najzdolniejszej młodzieży aspirującej do uczestnictwa w tym światowym fenomenie w roku 2000.

Nakłady z budżetu państwa ponoszone na kulturę w latach 1994-95 rosłą w ujęciu realnym. Na rok bieżący założyliśmy ich wzrost o 9,3 proc. Ich dalsze zwiększenie planowane jest także na następne lata. W 1996 roku możliwe - o ile uzyska to akceptację innych grup społecznych - mogłoby być odczuwalne podwyższenie płac pracowników kultury. Wkrótce znowu działać będzie Teatr Narodowy w Warszawie i Teatr Polski we Wrocławiu. Trwają prace przy Bibliotece Narodowej i Śląskiej. Rozbudowywana jest stołeczna Zachęta i Muzeum Narodowe w Poznaniu, które doprawdy ma bardzo interesującą kolekcję malarstwa (może Targi Poznańskie wspomogą dodatkowo wysiłek budżetu państwa?). Trwają prace przy budowie teatru i filharmonii w Lublinie oraz opery w Bydgoszczy. Ale to wszystko jest bardzo drogie, skoro sama harfa kosztuje aż 750 milionów złotych.

Kosztuje też kultura ludowa, która nie tylko trwa, ale w wielu miejscach wręcz kwitnie. Pracując podczas minionego weekendu z gospodarczym konwentem wojewodów (coś ostatnio bez konwentu ani rusz...) w sobotni wieczór mieliśmy okazję podziwiać ludowy zespół pieśni i tańca *Halka* z Lublińca w Częstochowskim. Zespołów takich jest w Polsce kilka tysięcy! Działać one mogą przede wszystkim dlatego, że są entuzjaści, którzy tego pragną. Ale także dlatego, że sponsorzy i władze lokalne znajdują środki, aby ten entuzjazm nie wygasł. I w tym sensie kultura i pieniądze - aczkolwiek nie tak jak nieszczęścia - chodzą ze sobą w parze.

Wilga. W lipca 1995 r.

Cena spokoju

Wszystko ma swoją cenę. Dosłownie i w przenośni, aczkolwiek w tym pierwszym ujęciu nie zawsze i nie wszyscy sobie to uzmysłwiają. Cenę - i to dość wysoką - **trzeba także nieustannie płacić za pokój i spokój, bo to też nas wszystkich dużo kosztuje.** W tym przypadku wszakże mechanizm finansowania jest taki, że w pierw wszyscy płacimy podatki do budżetu państwa, a potem z tego źródła państwo pokrywa wydatki związane z naszym bezpieczeństwem - tak w odniesieniu do jego wymiaru międzynarodowego, jak i wobec bezpieczeństwa publicznego.

Przy tej okazji kształtowana jest także nowa świadomość wyrażająca się w tym, że **podatnik coraz częściej zdaje sobie sprawę z faktu, iż to on właśnie - a nie wyalienowane państwo - utrzymuje swoją armię i policję.** A utrzymując ją, może i powinien także od niej wymagać sprawnej obsługi. Oznacza to właśnie szeroko pojęty spokój - i na granicach kraju, i na ulicach osiedla. Warto zatem przyjrzeć się nieco bliżej także i temu aspektowi naszych finansów publicznych. W tym bowiem przypadku - jak i, niestety, w każdym innym - usłyszeć można, że społeczeństwo niedostatecznie wiele łoży na zapewnienie swojego bezpieczeństwa, do tego bowiem sprowadzają się utyskiwania, że budżet państwa nie zaspokaja w pełni oczekiwań co do pokrycia potrzeb resortów odpowiedzialnych za szeroko rozumiane bezpieczeństwo, za nasz pokój i spokój.

Faktem jest, że w pierwszych latach transformacji systemowej, a zwłaszcza w okresie 1989-1993, szczególnie mocno obniżone zostały nakłady na

Odpowiedzi i pytania

obronę narodową i bezpieczeństwo publiczne. Głębokie cięcia wydatków spowodowały narastanie trudności związanych z finansowaniem wydatków w tych obszarach do tego stopnia, że począwszy od 1994 roku zostały podjęte próby odwrócenia tej tendencji. Nie oznacza to, że w armii czy policji nadal nie należy poszukiwać możliwości bardziej oszczędnego gospodarowania groszem publicznym. Bynajmniej. **Oszczędzać można i należy - zwłaszcza cudze pieniądze - zawsze.** Ale obecnie społeczeństwo poprzez swoje finanse publiczne zapewnić musi odpowiedni poziom wydatków na swoje własne bezpieczeństwo. W tym celu zostały podjęte pewne starania już w ubiegłym roku. Są one jednak niedostateczne i dlatego też w toku prac nad budżetem państwa na 1996 rok kwestie bezpieczeństwa publicznego są traktowane ze szczególną uwagą.

Na bezpieczeństwo można patrzeć szeroko. W sferze ekonomicznej od dłuższego już czasu eksponowany jest wątek działań, jakie podejmowane są na rzecz **poprawy bezpieczeństwa obrotu gospodarczego i absorpcji tzw. szarej strefy.** Metodą „kija i marchewki” coraz większa ilość podmiotów wciągana jest do normalnego obiegu i funkcjonuje w ramach zinstytucjonalizowanego - a więc zarejestrowanego i opodatkowanego - obrotu gospodarczego. Z drugiej strony występuje wciąż jeszcze wiele zjawisk patologicznych, zagrażających bezpieczeństwu tego obrotu czy też wręcz stanowiących patologie z obszaru przestępczości gospodarczej. Eliminowanie tego rodzaju zjawisk wymaga nie tylko odpowiednich dostosowań w zakresie obowiązujących ustaw (ostatnio między innymi w odniesieniu do administracji skarbowej i prawa celnego), ale także rosnących nakładów finansowych. Zwracają się one jednak szczególnie szybko w wyniku poprawy dyscypliny finansowej i redukcji szarej strefy.

Gdy mowa jednak o bezpieczeństwie, z reguły myśli się o obronie narodowej i bezpieczeństwie publicznym. Obecna sytuacja geopolityczna jest na tyle korzystna, że nie wymusza nakładów publicznych na zbyt wielką skalę. Są one jednakże istotnym obciążeniem kieszeni podatnika. W sumie w 1995 roku z kieszy państwowej na ten cel przeznaczamy kwotę około 6,5 miliarda nowych złotych (tj. 65 bilionów starych złotych); wzrośnie ona jeszcze dodatkowo w wyniku zakładanego dla sfery budżetowej wyrównania wynagrodzeń w czwartym kwartale. **Na przyszły rok rząd przewiduje realne zwiększenie nakładów na resort obrony narodowej (łącznie z nakładami na resortowe świadczenia społeczne) o 5,2 proc, tj. do kwoty blisko 8,2 miliarda złotych.** Jest to przyrost większy niż w przypadku niektórych innych działań, ale pamiętać trzeba o specyfice obrony narodo-

wej. Otóż może i musi być ona w zasadzie w całości finansowana z budżetu państwa, natomiast inne działy usług społecznych - jak kultura, ochrona zdrowia czy nawet oświata - mogą przynajmniej w jakiejś części sięgać do źródeł pozabudżetowych. Podatnicy ze swej strony oczekiwać muszą, że do tych możliwości finansowych, do tej właśnie ceny, którą poprzez swój budżet gotowi są zapłacić, dostosować trzeba całokształt działań w sferze obrony narodowej, gdyż tylko (albo aż) na tyle nas stać.

Bardziej złożona wydaje się być sytuacja w odniesieniu do bezpieczeństwa publicznego. Jego stan z pewnością nie jest wyłącznie funkcją poziomu publicznych nakładów asygnowanych na ten cel, ale trudno też spodziewać się odczuwalnej poprawy na tym polu bez ich zwiększenia. Dlatego też **rząd postanowił priorytetowo potraktować w budżecie na przyszły rok nakłady na resort spraw wewnętrznych pod kątem poprawy stanu naszego bezpieczeństwa.** Dotyczy to nie tylko policji, która zostanie dodatkowo zasilona kilkoma tysiącami nowych etatów oraz środkami na zakup sprzętu, ale także straży granicznej i straży pożarnej. Mam okazję funkcjonowaniu tych straży przyjrzeć się osobiście w tym tygodniu podczas wizyty w Elbląskiem.

Trzeba podkreślić tutaj, że podatnicy - łożąc z kasy publicznej większe środki na funkcjonowanie wspomnianych służb - oczekują lepszego poziomu zaspokajania swoich potrzeb w zakresie poczucia bezpieczeństwa. W tym też wyrażać ma się zasada „coś za coś”, którą staram się wdrażać w naszej polityce finansowej. Większe nakłady z budżetu - a więc kosztem podatnika - jemu właśnie służyć muszą w pierwszej kolejności, choć przy okazji poprawić się może także sytuacja materialna pracowników służb dbających o nasze bezpieczeństwo. **Priorytet budżetowy dla bezpieczeństwa publicznego oznacza przede wszystkim lepsze wyposażenie naszych służb, a zwłaszcza policji.** W tym też celu w 1996 roku suma nakładów na resort spraw wewnętrznych zwiększyć się ma z tegorocznych nakładów w wysokości ponad 4,6 miliarda złotych do ponad 5,2 miliarda złotych, tj. realnie o 6,8 proc. To dużo z punktu widzenia możliwości, ale z pewnością zbyt mało, jeśli chodzi o oczekiwania i potrzeby.

Tak więc **wydajemy jako podatnicy mniej więcej co ósmy złoty na to, aby móc spokojnie pracować i odpoczywać, aby po prostu żyć w pokoju i spokoju.** Dużo to czy mało? Otóż jest to kwota zbliżona do nakładów budżetu państwa na oświatę. Z tej perspektywy jest ona z pewnością bardzo duża i zdecydowanie wolałbym, aby szybciej rosły nakłady na edukację narodową. Ale są takie okresy, kiedy trzeba wyrównać powstałe w innym

Odpowiedzi i pytania

czasie zapóźnienia. Trzeba zatem zapłacić tę cenę spokoju, licząc na to, że będziemy mieli go więcej, ale zarazem licząc także i to, że cztery dni w miesiącu na to właśnie płacimy podatki. Coś za coś.

Warszawa, 17 lipca 1995 r.

Wznoszący się orzeł Europy

Osiągnięcia polskiej gospodarki zdecydowanie więcej uznania budzą za granicą niż u nas w kraju. Bierze się to przede wszystkim z tego, że uwaga zagranicznych obserwatorów skupia się najczęściej na ocenie procesów makroekonomicznych, w tym przede wszystkim eksportu i wzrostu gospodarczego. Na tle szczególnie szybkiego tempa rozwoju notowanego w latach 1994-95, a także oczekiwanego nadal, coraz częściej nasza gospodarka nazywana jest tygrysem Europy Wschodniej. To określenie, znane z opisu szczególnie dynamicznych gospodarek Wschodniej Azji, dobrze przystaje do takich krajów, jak Korea Południowa, Singapur, Tajwan czy Hongkong, a ostatnio także Malezja, Tajlandia, Indonezja i w pewnym sensie nawet Wietnam, który również notuje szybki wzrost.

Dla Polski natomiast zaproponowałem inne, coraz szerzej powtarzane określenie - „wznoszący się orzeł Europy”. To lepsze określenie, bo orzeł symbolizuje nasze państwo, a co ważniejsze - hasło to podkreśla także nasze centralne położenie w Europie i wielkość gospodarki. Polska bowiem jest jednym z większych rynków w tej części świata i fakt ten - na tle wyraźnie dostrzeganych osiągnięć naszej transformacji - jest coraz powszechniej uświadamiany w kręgach międzynarodowej finansjery i zagranicznych inwestorów.

Po wprowadzeniu na światowe rynki finansowe pierwszej emisji tak dobrze przyjętych polskich euroobligacji otrzymałem od naszego doradcy w tej sprawie - amerykańskiego banku inwestycyjnego J.P. Morgan - mapę naszego kontynentu z tabliczką mówiącą właśnie o wznoszącym się orle Europy. Z kolei w tych dniach to określenie, promujące polską gospodarkę, lansowane jest na odbywającej się w Waszyngtonie konferencji dotyczącej przyszłości wyłaniających się nowych, znaczących rynków. Na marginesie, wznoszący się orzeł Europy doczekał się także promocyjnego plakatu, który robi tu wrażenie podobne, jak nasze ekonomiczne rezultaty ostatnich kilku lat.

Koncepcja **dużych wyłaniających się rynków** (*big emerging markets* - BEM) jest ważnym elementem ukierunkowanej na zewnątrz strategii rozwoju amerykańskiej gospodarki i jej związków z innymi krajami. Rząd prezydenta Clintona wskazał dziesięć takich właśnie dużych, szybko rozwijających się rynków na świecie, zwracając na nie uwagę nie tylko swoim agendum, ale zwłaszcza prywatnym inwestorom. Ich ekspansji służyć ma wsparcie ze strony amerykańskiej Agencji Prywatnych Inwestycji Zagranicznych (OPIC) i Ministerstwa Handlu. Dlatego też spotykam się tutaj m. in. kolejny już raz z Ruth Harkin - goszczącą niedawno w Polsce przewodniczącą tej agencji - oraz z ministrem handlu Ronaldem Brownem. W kontaktach z Sekretarzem Skarbu USA - Robertem Rubinem - z kolei interesują nas wzajemne stosunki finansowe, a także perspektywy restrukturyzacji sektora bankowego.

Te dziesięć krajów to Meksyk, Argentyna, Turcja, Południowa Afryka, Hongkong, Indonezja, Chiny, Indie, Korea i Polska właśnie. Amerykanie zakładają, że już w roku 2000 ta grupa państw będzie adresem eksportu o wartości równej temu, co sprzedają do Japonii czy Unii Europejskiej. W roku 2010 zaś eksport ten zrównoważy już sumę eksportu do tych obu potęg światowej gospodarki. I na tym polega amerykański interes i myśl strategiczna. My z kolei **musimy się starać, aby zająć jak najlepszą pozycję na tym wyłaniającym się, wielkim rynku.** To bowiem oznaczać będzie możliwość podejmowania korzystnej produkcji i coraz lepiej płatne zatrudnienie w konkurencyjnej w skali globalnej gospodarce. Ale o to trzeba się nieustannie starać. Nic tu nie przychodzi samo z siebie ani nie jest dane raz na zawsze.

Trzeba o swoje korzystne miejsce nieustannie zabiegać, tworząc także dobre warunki do inwestycji bezpośrednich, których jest w Polsce coraz więcej. Tylko w pierwszym półroczu 1995 roku napłynęło ich aż 1,1 miliarda dolarów, co jest wielkością rekordowo dużą. W *Strategii dla Polski* zakładałem wchłonięcie tych inwestycji rzędu półtora do dwu miliardów dolarów rocznie i cel ten jest już realizowany. W sumie **dotychczas zainwestowano u nas około 5,1 miliarda**, z czego jedna trzecia to inwestycje amerykańskie.

Co ciekawe, spośród gospodarek postrzeganych przez Amerykanów - i wielu innych inwestorów - jako duże, wyłaniające się rynki, znajduje się kilka państw, gdzie ostatnio - obok znaczących sukcesów - **pojawiły się także poważne problemy, a niekiedy wręcz znamiona rozległego kryzysu.** Tak jest w przypadku Meksyku, który uwikłany jest w następstwa

Odpowiedzi i pytania

grudniowego kryzysu finansowego, jednego z najbardziej kosztownych, a na pewno najbardziej spektakularnego w ostatnich latach. Narastają liczne problemy w Argentynie, gdzie spowolnieniu ulega dynamika gospodarcza, a bezrobocie sięga 19 proc. Kłopotów nie brakuje w Turcji, gdzie trwają konflikty wokół polityki stabilizacyjnej. Euroobligacje Południowej Afryki po początkowym dobrym przyjęciu ostatnio notowane są już gorzej. Warto zatem nieustannie śledzić cudze doświadczenia - tak sukcesy, jak i problemy - zwłaszcza że te pierwsze biorą się z umiejętnego rozwiązywania tych drugich.

Nam też problemów nie brakuje i głównie one zaprzężają - nawet w środku lata - uwagę w polityce gospodarczej, w tym zwłaszcza finansowej. W szczególności niepokoić muszą wciąż nabrzmiałe problemy strukturalne, niedostateczne tempo niektórych reform w obrębie usług i ubezpieczeń społecznych i wciąż bardzo duży potencjał inflacyjny. Pomimo wyraźnego wyhamowania inflacji w ostatnim czasie zagrożenie zbyt wysokim jej poziomem bynajmniej nie minęło. **Wciąż ostre są napięcia budżetowe, a nade wszystko sprzyja inflacji nadmierny napływ rezerw walutowych, nad czym nie może zapanować polityka monetarna banku centralnego.** Rozładowanie tego niebezpiecznego potencjału jest przedsięwzięciem niezwykle trudnym, ale zarazem koniecznym i możliwym. Wymaga to stosownych działań w sferze budżetu, którego deficyt powinien nadal - tak jak dzieje się to dotychczas - być utrzymany pod kontrolą oraz odpowiednich dostosowań w zakresie polityki monetarnej, zmierzających do skuteczniejszej kontroli podaży pieniądza.

Koordinacja polityki budżetowej i monetarnej była przedmiotem konsultacji z misją Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przebywającą w Warszawie w ubiegłym tygodniu. Dotychczasowy przebieg realizacji porozumienia z MFW jest pozytywny, choć pojawiają się wspomniane obawy co do skuteczności polityki stabilizacyjnej. O tym mam także okazję dyskutować ponownie z dyrektorem wykonawczym MFW - Michele Camdessus - oraz z nowym gubernatorem Banku Światowego - James'em D. Wolfensohmem, którego przy okazji naszego pierwszego spotkania zaprosiłem do odwiedzenia Polski.

O ile MFW odgrywa istotną rolę i pomaga nam w naszych działaniach mających na celu stabilizację makroekonomiczną, to Bank Światowy wspomaga nasze wysiłki służące restrukturyzacji i wzrostowi. Niedawno dokonaliśmy wspólnie trzeciego już przeglądu strategii i realizacji programu pożyczkowego dla Polski. Jest on adresowany głównie do sektora ener-

getycznego i transportu, ale także do rolnictwa i leśnictwa, na budownictwo mieszkaniowe i reformę administracji publicznej, do sektora finansowego i socjalnego. Polska zaciągnęła dotychczas w BŚ około 3,7 miliarda dolarów kredytów, z czego dotąd wykorzystaliśmy - i to w większości przypadków dobrze - 1,8 miliarda.

Nie jest łatwo znaleźć się w gronie największych i uznawanych w świecie wyłaniających się gospodarek rynkowych. Aby utrzymać wśród nich dobrą pozycję, trzeba - jak ten wznoszący się orzeł - nie zniżać lotu.

Waszyngton, 24 lipca 1995 r.

Tu zaczyna się Polska

W dniach, kiedy najgorętszym zakątkiem kraju stało się Pomorze Zachodnie, miałem okazję zawitać tam na półtora dnia. Niestety, nie po to, aby skorzystać z plaży w Świnoujściu czy Międzyzdrojach, gdzie tłumnie odpoczywają wczasowicze, kąpiąc się w coraz czystszyim morzu, ale po to, by lepiej przyjrzeć się naszej gospodarce morskiej i sposobom rozwiązywania jej problemów. Jednym z gospodarzy mojej wizyty na tych północno-zachodnich rubieżach był legendarny przywódca robotników z czasów Października 1956 roku, Lechosław Goździk - wówczas robotnik warszawskiej FSO, a dzisiaj niezwykle aktywny i twórczy przewodniczący Rady Miejskiej w Świnoujściu. Przyjechał tutaj 38 lat temu po to, aby zostać rybakiem. Gdy wysiadał nad ranem z pociągu, powiedział do siebie, że tu jest koniec Polski. Ale gdy się odwrócił i spojrział w odwrotną stronę, to stwierdził, że właśnie **tu zaczyna się Polska**. I chyba ma rację.

Obecnie, w warunkach niezwykle rozbudowanych kontaktów ze światem, szeroki dostęp do morza jest postrzegany i oceniany inaczej niż dawniej, kiedy to tutaj znajdowało się nasze okno na świat. Dzisiaj jest ono bardzo szerokie i **wszędzie coraz żywsze są kontakty gospodarcze i kulturalne z zagranicą, ale szczególne znaczenie mają one w obszarach nadmorskich**. Co dziesiąty z nas żyje w województwach przylegających do morza. To sąsiedztwo jest źródłem dochodów nie tylko dla wielu osób tam właśnie pracujących, ale także dla wielu ludzi i firm działających z dala od wybrzeża.

Współczesna gospodarka morska w *Strategii dla Polski* postrzegana musi być dwójako. Po pierwsze, jest **to ważny element dostosowywania całej gospodarki do wymagań międzynarodowej konkurencji** w warunkach otwierania się na coraz szerszą współpracę z zagranicą. O tej konkurencji - jako o zagrożeniu, ale i o szansie dla morskich gałęzi gospodarki - sporo mówiliśmy podczas spotkania ze Szczecińskim Lobby Morskim. Skupia ono grupę profesjonalistów i entuzjastów swojej sprawy, która musi być odpowiednio wmontowana w realizację programu makroekonomicznego. Po ostrym załamaniu na początku lat dziewięćdziesiątych - a na gospodarkę morską szczególnie dotkliwie wpłynęło „przestrzelenie” polityki stabilizacyjnej w latach 1990-91 - ostatnio coraz lepiej przebiega proces dostosowań strukturalnych i nasila się ożywienie gospodarcze.

Po drugie, **na wybrzeżu gospodarka morska stanowi naturalną oś polityki regionalnej**. Bazować musi przede wszystkim na próbach wykorzystania naturalnych walorów regionu jako *podstawy* rozwoju gospodarczego, a także zdrowej ekspansji na zewnątrz - tak wobec innych regionów kraju, jak i zagranicy. Wydaje się, że tak właśnie jest w coraz większej liczbie przypadków - i to nie tylko na Pomorzu Zachodnim. Mogłem to bowiem również zauważyć podczas niedawnej wizyty w Elbląskiem i kilku pobytów w Gdańskiem. Do tego nurtu dołączają także województwa śląskie i koszalińskie, choć występują tam inne niż w ośrodkach portowych i stoczniowych problemy. Szczecińskie i Elbląskie w swojej polityce regionalnej obok nadmorskiego charakteru województwa coraz lepiej dyskontują swoje graniczne położenie.

Trzeba wskazać na kilka głównych wątków polityki morskiej. Pierwszy z nich to **porty morskie**. W najbliższym czasie rząd przyjmie projekt ustawy o portach morskich i prześle go do Sejmu. Nowe rozwiązania mają sprzyjać poprawie efektywności przeładunków poprzez wydzielenie czterech portów i nadanie im statusu portów o podstawowym znaczeniu dla gospodarki. Są to porty w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Świnoujściu. Przy okazji dokonane zostanie oddzielenie funkcji zarządczych od eksploatacyjnych. Ponadto w ciągu roku przygotowany do uruchomienia powinien być kredyt Banku Światowego w wysokości 150 milionów dolarów na poprawę warunków dojścia do portów.

Drugi wątek dotyczy **stoczni morskich**. Znajdują się one w różnej kondycji, ich portfele długów i zamówień wyglądają także odmiennie. Przed rokiem w towarzystwie prezydenta Lecha Wałęsy odwiedziłem Stocznnię Gdańską, która powoli i z trudem, ale jednak - przy wsparciu gwarancjami

rządowymi udzielanych jej kredytów bankowych - wychodzi na prostą. Stocznia Szczecińska z kolei, bardzo dobrze, profesjonalnie zarządzana, może być godnym naśladowania przykładem dla innych przedsiębiorstw. Patrząc, jak sobie ta stocznia poczyna na trudnym rynku światowym, potwierdza się przekonanie, że dobre firmy same sobie poradzą, jeśli tylko w najtrudniejszych chwilach nie pozostawia się ich samym sobie. Dostrzec to można również w szczecińskiej i świnoujskiej stoczni remontowej. Wsparcie udzielone poprzez stosowne użycie instrumentów interwencjonizmu państwowego - choćby w postaci restrukturyzacji portfela zadłużenia po to właśnie, aby portfel zamówień mógł być pełny - okazało się skuteczne.

Oporniej biegnie proces dostosowawczy w **żegludze morskiej**. Dopiero teraz, w wyniku ożywienia światowej koniunktury, ale przede wszystkim wskutek dynamicznego wzrostu naszych obrotów towarowych z zagranicą, polscy armatorzy mają szansę na znaczącą poprawę sytuacji ekonomicznej. Pod warunkiem wszakże, że to właśnie nasze, a nie zagraniczne firmy żeglugowe zjedzą lukier z tego ciastka w postaci rosnącego zapotrzebowania na fracht morski. Jest to o tyle ważne, że coraz większy niepokój wywołuje tzw. *reflagging*, czyli przechodzenie pod inną banderę. Przyhamowanie tej tendencji wymaga odpowiednich zmian systemowych, umożliwiających polskim armatorom zaopatrywanie się w kraju, ale bez ponoszenia dodatkowych obciążeń celnych i podatkowych. W innym bowiem przypadku bardziej opłaca się pływać pod obcą banderą. Widziałem ich wiele, nawet panamską czy maltańską na promach obsługujących trasy lokalne. Jednakże prom pod nazwą *Polonia* pływający pod banderą Wysp Bahama to już chyba za dużo.

Rybolówstwo morskie także z trudem przechodzi przez pierwsze lata tworzenia gospodarki rynkowej. Pomimo poprawy stanu czystości wód Bałtyku i - w ślad za tym - wzrostu ilości ryb najczęściej łowionych na tym akwenie, tj. dorszy, śledzi, szprotów i fląder, restrukturyzacja firm łowiących na Bałtyku idzie wolno, aczkolwiek i tutaj są pozytywne przykłady, jak firma *Szkaner*. Więcej problemów mamy z rybolówstwem dalekomorskim. Po długich i skomplikowanych negocjacjach na szczeblu rządowym doszło ostatnio do zawarcia porozumienia z Rosją w sprawie połowów mintajów i morszczuków na Morzu Ochockim. Nie nasze morze, ale nasza ryba, chociaż tym razem ich połów, dokonywany jest w ramach kwot i odpłatności za prawo do połowów dokonywanych na terytorialnych wodach rosyjskich. W świetle niedostatku wolnych akwenów dalekomorskich losy naszej flotylli i przedsiębiorstw ją obsługujących nie są pewne.

Odpowiedzi i pytania

Tutaj górę musi wziąć rachunek ekonomiczny i nie należy liczyć na dopłaty z budżetu państwa do ich funkcjonowania w dłuższym okresie. Jeśli tańszy będzie import, oznaczać to będzie, że rybołówstwo dalekomorskie nie jest w stanie - choć nie ze swojej winy - sprostać konkurencji. Tym bardziej trzeba wspierać **wielofunkcyjny rozwój obszarów nadmorskich**.

Służą temu liczne **przedsięwzięcia infrastrukturalne** wspomagane przez budżet państwa. Kończona jest Trasa Zamkowa w Szczecinie, a założenia do przyszłorocznego budżetu przewidują środki na budowę nowego mostu. Bardziej niż dotychczas zostanie zasilona tak ważna nie tylko dla mieszkańców miasta przeprawa promowa w Świnoujściu. Trwają przygotowania do budowy autostrady A-3, rozbudowywane są przejścia graniczne z Niemcami, kończony jest terminal promowy w Świnoujściu, wiele łoży się na oczyszczalnie ścieków. To tylko przykłady inwestycji, których realizacja poprawi warunki funkcjonowania gospodarki morskiej na Pomorzu Zachodnim.

Jeszcze słowo o naszej **Marynarce Wojennej**. Jest ona świetnie prowadzona przez kadre oficerską i dosyć dobrze wyposażona, co szczególnie cieszy, na ogół słyszę bowiem raczej narzekania. Szkoląc marynarzy marynarka wojenna nie tylko wykonuje swoją podstawową powinność, strzegąc Wybrzeża, ale także przyczynia się do aktywizacji gospodarczej regionu i wspomaga działania cywilne, co m. in. podkreśla wojewoda szczeciński.

Szczególne znaczenie ma tu do odegrania **turystyka i ochrona środowiska**. Wyraźnie odczuwalna poprawa stanu środowiska naturalnego, niezwykłe uroki polskiego wybrzeża, poszerzający jeszcze swój obszar Woliński Park Narodowy, gdzie mogłem zobaczyć pięknego orła bielika, o którego symbolicznym wznoszeniu się pisałem tydzień temu, piękno pomorskiej wsi i otaczającej ją przyrody - to kolejna szansa rozwojowa, którą postrzegać warto w szerokim kontekście gospodarki morskiej. Kiedy nie opłaca się już łowić ryb, to **trzeba łowić turystów**. Choćby przyciągając ich tłumnie na 25-tą, jubileuszową FAME '95. Ten **studencki festiwal kultury** to już też instytucja, kojarząca się nieodwracalnie ze Świnoujściem i Bałtykiem. I jeśli Magda Umer, śpiewając o świerszczach równie pięknie jak przed ćwierćwieczem, mówi, iż tylko nadmorskie sosny są o 25 lat wyższe, to można się cieszyć, że przez te lata - jak i te, które dopiero nadchodzą - coraz więcej z nas będzie mogło je oglądać.

Wolin, 29 lipca 1995 r.

Licho nie śpi

Gdyby lipiec trwał przez cały rok, to dla jednych oznaczałoby to najdłuższe w życiu wakacje, a dla nas wszystkich odczuwalną deflację. Stało się bowiem w ubiegłym miesiącu coś, co nie miało miejsca przez ostatnie z górą sto miesięcy albo przez ponad osiem lat. Otóż **w lipcu spadł o około 0,5 proc. ogólny poziom cen**. Innymi słowy, za to co kupujemy, płaciliśmy - przeciętnie biorąc - mniej niż miesiąc wcześniej. Ale, niestety, był to miesiąc z tego punktu widzenia wyjątkowy, ponieważ wciąż jeszcze uwikłani jesteśmy w intensywne, chociaż słabnące procesy inflacyjne.

Zasadnicze znaczenie w naszej krucjacie antyinflacyjnej ma wszakże nie krótkotrwały, aczkolwiek korzystny epizod, ale wyzwolenie dostatecznie silnej długookresowej tendencji do stabilizacji ogólnego poziomu cen. To, co miało miejsce w lipcu, nie jest jeszcze przejawem takiej skłonności, ale stwarza większe szanse na jej pojawienie się w przyszłości. Podobnie szczególnie wysoki wzrost cen w styczniu tego roku w żadnym przypadku nie odzwierciedlał tendencji do przyspieszenia procesów inflacyjnych, dlatego też **dużo kosztującym nas wszystkich błędem polityki monetarnej banku centralnego (NBP) było podniesienie stóp procentowych w lutym**. Ten fatalny ruch przyczynił się do zbyt dużego podniesienia temperatury oczekiwań inflacyjnych - z jednej strony - oraz zachęcił do napływu krótkoterminowego kapitału zagranicznego, a poprzez to do przyrostu podaży pieniądza - z drugiej strony. Dało to dodatkowy impuls inflacyjny, za co wszyscy zapłaciliśmy więcej. Dosłownie.

Skutków tego błędu już się odrobić nie da, rzecz bowiem się stała. Warto natomiast wyciągnąć z tej lekcji wnioski. Pierwszy jest taki, że **nie należało w lutym popadać w panikę, a teraz nie należy ulegać euforii**. Trzeba natomiast z dużą determinacją kontynuować działania antyinflacyjne, aby usunąć systemowe i strukturalne przyczyny wzrostu cen. Trzeba też udzielić sobie rzetelnej odpowiedzi na pytanie, jaka jest w rzeczywistości inflacja? Z faktu, że jej nie było w lipcu, nie wynika wniosek, iż jej w ogóle nie ma. Jest ona nadal dotkliwa dla producentów i zwłaszcza dla konsumentów. Są różne miary natężenia inflacji i stąd też biorą się odmienne interpretacje. Najbardziej zatrważa nadużywanie tych interpretacji w celach innych niż ekonomiczne. W polityce często jeszcze ma miejsce **żałosne podejście typu „im gorzej, tym lepiej”**, a służy temu wmawianie, że inflacja jest większa,

Odpowiedzi i pytania

niż ma to faktycznie miejsce. Zawłości metodologiczne statystyki stwarzają tutaj duże możliwości.

Przykładowo, inflacja liczona w cyklu miesięcznym spadła w lutym w stosunku do stycznia prawie dwukrotnie (z 4,1 proc, co było spowodowane głównie wdrażaniem reformy czynszów mieszkaniowych, do 2,1 proc). Równocześnie poziom cen w lutym br. był wyższy niż rok wcześniej o 33,6 proc, natomiast w styczniu przewyższał on poziom ze stycznia poprzedniego roku o 32,3 proc. Inflacja zatem wzrosła czy spadła? **Tak** liczony wskaźnik (tzw. punktowy) spadnie we wrześniu - jak można szacować - poniżej 25 proc. (z około 27 proc. w bieżącym miesiącu), ale zarazem **przejęciowo wzrośnie** jego poziom liczony miesiąc do miesiąca w stosunku do wskaźnika sierpniowego. Okazuje się, że i to można wykorzystywać w sporach politycznych, co jest szczególnie żenujące w przypadku osób odpowiedzialnych za ograniczanie inflacji.

Jaka zatem jest obecnie jej skala? Otóż z pewnością nie można uogólniać wskaźników miesięcznych, te bowiem wciąż jeszcze podlegają silnym wahaniom pod wpływem czynników jednorazowych i sezonowych. Ale nie można też na pytanie „jak jest”, odpowiadać przez pryzmat tego, „jak było podczas minionych 12 miesięcy”. Bo to już przeszłość. Lepiej brać pod uwagę średnią z okresu sięgającego nieco wstecz oraz nieco wprzód i przeliczyć ją na wskaźnik całoroczny. I to jest odpowiedź na pytanie, jaka jest w skali roku inflacja, jeśli przyjąć, że wynosiłaby ona przez kolejne dwanaście miesięcy tyle, ile wynosi w bieżącym kwartale. **Przy takim ujęciu stopa inflacji już spadła poniżej 20 proc.**

Dużo ważniejszy problem dotyczy naszej zdolności oraz determinacji do walki z inflacją. Nie jest to łatwe, ponieważ stosunkowo wysoka inflacja wiąże się z procesami zachodzącymi na innych obszarach gospodarki. W szczególności obecna, bardzo dobra koniunktura wyrażająca się w wysokim tempie wzrostu gospodarczego - a to przekłada się na **coraz bardziej odczuwalny wzrost konsumpcji oraz inwestycji (przesądających z kolei o zdolnościach rozwojowych w przyszłości) - przyczynia się do silnej presji inflacyjnej.** Jej osłabienie wymagałoby wyhamowania tempa wzrostu gospodarczego, a - w ślad za tym - ograniczenia skali spadku bezrobocia bądź wręcz ponownego wzrostu jego poziomu.

Stoimy przeto wobec potrzeby wyważenia w polityce gospodarczej działań mających na celu redukcję inflacji i bezrobocia oraz stymulowanie wzrostu gospodarczego. **Polityka realizowana w ramach *Strategii dla***

Polski stara się rozwiązywać ten dylemat w sposób umożliwiający sukcesywne obniżanie obu stóp - inflacji i bezrobocia. Choć jest to bardzo trudne, jest to możliwe. Z drugiej strony, nie należy jednak ulec pokusie prób dawkowania inflacji po to, aby takim narkotykiem podtrzymywać tendencje do wzrostu. Musi on być oparty na zdrowych podstawach i wspierany właściwą polityką fiskalną i monetarną. W tym właśnie celu trzeba inflację wytrwale i systematycznie obniżać, przeprowadzając tak niezbędne zmiany systemowe i przewyżając ciągle dążenia różnych grup do narzucania swoich partykularnych interesów.

Trzeba usuwać wszystkie źródła inflacji, aby jej stopa nadal się obniżała i na trwałe spadła do jednocyfrowego, jak najniższego poziomu. Jest to trudne również dlatego, że ponosimy dodatkowo jeszcze inny koszt sukcesu, wyrażający się w rosnącym zainteresowaniu Polską ze strony kapitału zagranicznego, przy czym podobne zjawiska występują w innych gospodarkach notujących szybki wzrost, na przykład niedawno w Meksyku czy też ostatnio na Filipinach i w Czechach. Zależy nam na dopływie przede wszystkim inwestycji bezpośrednich, ale trafia do nas także sporo kapitału spekulacyjnego w postaci krótkoterminowych inwestycji portfelowych. Jest to jedna z podstawowych przyczyn - obok kwitnącego handlu przygranicznego - **nadmiernego tempa wzrostu podaży pieniądza. To jest obecnie główna przyczyna inflacji, nad którą nie jest w stanie zapanować bank centralny.** Tylko on dysponuje stosownymi instrumentami polityki monetarnej, którymi trzeba się umiejętnie posłużyć. Wymaga to skoordynowanych ze sobą dostosowań w zakresie tak ceny pieniądza krajowego w przyszłości (a więc stóp procentowych), jak i ceny pieniądza zagranicznego (a więc kursu walutowego). Brak takiej koordynacji sprzyja nie kontrolowanemu przez władze monetarne napływowi rezerw, a kreowany w ten sposób popyt ciągnie dodatkowo ceny w górę. Stąd tak wysoka inflacja, pomimo że mogłaby być niższa.

Używając instrumentów, które stoją do dyspozycji rządu i ministra finansów - zwłaszcza **dyscypliny budżetowej i zrównoważonej polityki dochodowej, a także poprzez dodatkową, przelamującą opór silnego lobby rolniczego interwencję na rynku żywności** - udało się ukreślić kilka łbów inflacyjnej hydry. Mają one jednakże niesamowitą zdolność odrastania. A pożywką dla tego jest choćby pomawianie mnie o bez małą antychłopską politykę czy też nieustannie wywierane naciski na wydatkowanie coraz większych środków z budżetu. Jeśli nie bezpośrednio

Odpowiedzi i pytania

na rachunek podatnika, to kosztem inflacji. Ale wówczas nie byłby to już koszt sukcesu. Do jego pełnego osiągnięcia droga jeszcze trudna i daleka. Krocząc nią, trzeba zdobyć się także na ukręcenie i tego łańcucha, który kryje się za wadliwą polityką monetarną, i nie łudzić się, że jeden miesiąc bez inflacji może ją uśpić.

Warszawa, 7 sierpnia 1995 r.

Czerwoni do koryta

Pod takim eleganckim i spokojnym, służącym poszukiwaniu dobrych i kompromisowych rozwiązań tytułem ukazał się niedawno w jednej z codziennych gazet artykuł, traktujący o nowej ustawie o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Inspiracją była publikacja renomowanego londyńskiego tygodnika „The Economist”, zatytułowana *Into the through*, a więc *Do koryta* właśnie.

Jeśli poważny skądinąd i ceniony tygodnik usiłuje sugerować, że ustawa uchwalona przez polski parlament wyraża *pragnienie powrotu do gospodarki nakazowej lub, co najmniej, siwę czasów komunistycznych*, to trzeba dostrzec wyraźnie polityczny aspekt tego rodzaju sugestii. Nie chodzi w nim bynajmniej wyłącznie o dążenie do dyskredytacji polityki gospodarczej, prowadzonej przez obecnie rządzącą ekipę. Jest to bowiem coraz trudniejsze do uzyskania w kręgach zagranicznych fachowców znających się na analizie wskaźników ekonomicznych. Są one dla polskiej gospodarki korzystne, a w ujęciu porównań międzynarodowych niekiedy wypadają wręcz imponująco, czego ostatnio dowodzi m. in. zaliczenie Polski do grupy dziesięciu wielkich, rozwijających się rynków świata. Tego typu oceny zatem mają przede wszystkim **wytworzyć odpowiednią atmosferę wokół procesów prywatyzacji** po to, aby ukierunkować je zgodnie ze swoimi oczekiwaniami.

A oczekiwania te są banalnie proste i bynajmniej nie sprowadzają się przede wszystkim do troski o dobrobyt polskich konsumentów i efektywność producentów (co w świecie interesów i polityki jest naturalne i zrozumiałe). Chodzi tutaj o to, że kto szybko daje, ten dwa razy daje, a dokładniej - w tym przypadku - o to, iż **kto szybko sprzedaje, ten tanio sprzedaje**. Ta oczywista zależność mikroekonomiczna - znana już przekup-

ce na targowisku pozbywającej się jajek pod koniec dnia - odnosi się także do tak skomplikowanych transakcji kupna-sprzedaży jak prywatyzacja mienia państwowego w transformowanych gospodarkach pokomunistycznych. **Celem natomiast naszej polityki prywatyzacyjnej nie jest ani sprzedaż na sztuki, ani też na czas, lecz na korzyść polskiej gospodarki.** Warto przeto zauważyć i ten aspekt nieustannego ponagrania rządu do rzekomego przyspieszania prywatyzacji. Ale w istocie jest to wzywianie do taniego wyzbywania się tego, co i tak zostanie - chociaż we właściwym czasie i tempie, a więc i po właściwej cenie - sprywatyzowane.

Co ciekawe, **za rządów koalicji SLD-PSL prywatyzuje się więcej niż w latach poprzednich.** Wpływy do budżetu z prywatyzacji - a to przecież musi być podstawowe kryterium zakresu procesów prywatyzacyjnych, jeśli mają być one podporządkowane kryteriom ekonomicznym, a nie ideologicznym - były w 1994 roku rekordowo wysokie. Nominalnie przekraczały ponad dwukrotnie poziom osiągnięty rok wcześniej. W tym roku są one w relacji do produktu krajowego brutto blisko trzykrotnie wyższe niż średnio w latach 1990-93 i przekraczają po raz pierwszy równowartość 1 proc. PKB.

Obecnie już **ponad dwie trzecie PKB wytwarzane jest w sektorze prywatnym** i rzeczą naturalną - wobec rosnącego stopnia nasycenia sektora prywatnego - jest **zmniejszenie ilości** prywatyzowanych przedsiębiorstw, choć **przy wartościowo większych, korzystniejszych dla budżetu wpływach** z tego tytułu. Fakt, że w roku 2000, na przykład, sprywatyzujemy mniej niż w roku 1995, dowodzić będzie jedynie tego, iż proces przekształceń własnościowych jest bardziej, a nie mniej zaawansowany. Jeśli nawet - licząc na sztuki - sprywatyzowano w ostatnich dwu latach nieco mniej niż we wcześniejszej fazie transformacji, to w pierwszym rządzie dlatego, że **sprzedaży denacjonalizowanego majątku dokonano po wyższej cenie.** Oznacza to, że ktoś właśnie drożej za to zapłacił. I jak tu się złościć.

Możliwości dalszej tak szybkiej i opłacalnej prywatyzacji będą coraz mniejsze, ponieważ coraz mniej pozostaje do sprywatyzowania i oferta podażowa staje się - z pewnymi wyjątkami - także mniej atrakcyjna dla nabywców. W tym też kontekście przygotowany został projekt ustawy o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Zasadniczo ma on służyć dwóm celom. W pierwszym chodzi o uproszczenie procedury prywatyzacyjnej po to, aby relatywne pogorszenie się atrakcyjności ofert nie spowolniło tempa prywatyzacji. W drugim zaś nowe rozwiązania, polegające na szerokim zakresie komercjalizacji, mają sprzyjać poprawie

Odpowiedzi i pytania

efektywności mikroekonomicznej tych podmiotów, które przez jakiś czas jeszcze pozostają domeną sektora publicznego. Innymi słowy, **komercjalizacja jest alternatywą dla nieefektywnej formuły przedsiębiorstwa państwowego, a nie dla prywatyzacji, tej bowiem ma ona służyć.** Co daje zatem - bo komu, to już wiadomo - nowa ustawa? Warto podkreślić tutaj siedem aspektów.

Po pierwsze, umożliwia ona zamianę przestarzałej formuły prawnej przedsiębiorstwa państwowego na spółkę kapitałową, a tym samym daje szansę na **lepszy zarząd oraz łatwiejszą i szybszą prywatyzację**, zwłaszcza przy wykorzystaniu formuły funduszowej.

Po drugie, przenosi inicjatywę prywatyzacyjną z rąk urzędników związkowych i załóg w ręce właściciela - Skarbu Państwa, **co zmniejsza niebezpieczeństwo nieprawidłowości podczas prywatyzacji**, ale ogranicza także władzę tych urzędników.

Po trzecie, umożliwia przyspieszenie procesów restrukturyzacji, prywatyzacji i **tworzenie krajowych grup kapitałowych poprzez konwersję długów przedsiębiorstw na ich udziały.**

Po czwarte, czyni **bardziej przejrzystą strukturę władzy w przedsiębiorstwie** przez przypisanie reprezentacji interesów socjalnych pracowników - związkom zawodowym, a ich interesów ekonomicznych - przedstawicielom załogi w radach nadzorczych i w zarządzie (w spółkach zatrudniających ponad 500 osób) oraz interesów właścicieli - zarządowi i radzie nadzorczej.

Po piąte, daje **preferencje prywatyzacyjne dla polskich inwestorów** w wyniku stworzenia możliwości prywatyzacji na raty.

Po szóste, stwarza **dotatkowe preferencje dla spółek leasingu pracowniczego** przez możliwość przeniesienia własności już po zapłaceniu jednej trzeciej, a nie jak dotychczas połowy należności.

I wreszcie po siódme, **podwyższa o połowę akcjonariat pracowniczy**, przydzielając pracownikom przedsiębiorstw prawo do otrzymania bezpłatnie do 15 proc. akcji, co z pewnością jest korzystniejsze dla załogi niż wcześniejsze rozwiązania.

Prawdą jest także i to, że **nowa ustawa wprowadza ograniczenia.** Zgody Sejmu wymagać będzie prywatyzacja niektórych sektorów gospodarki, w tym banków oraz instytucji ubezpieczeniowych. Przy wykazaniu politycznej woli do prywatyzacji - a deklaruje to tak koalicja, jak i opozycja - nie powinno to stać się jej hamulcem. Ponadto obecnie komercjalizacja poprzedzająca prywatyzację wymaga zgody rządu. Takie zmiany do projek-

tu rekomendowanego przez rząd wprowadził Sejm, ale trudno je uznać za optymalne rozwiązania. Pierwsze z nich może oznaczać brak zaufania Sejmu do rządu, drugie natomiast wyrażać ma jakoby brak zaufania rządu do polityki ministra przekształceń własnościowych. Ale te **uchybieńia to nie powód, aby ustawę wetować**, o co zabiegały tak różne grupy społeczne, jak i niektóre kręgi związkowców - z jednej strony - czy też przedsiębiorców - z drugiej. Motywacje tych decyzji prezydenta Lecha Wałęsy można odczytać na zasadzie *a rebours* z argumentów przemawiających na rzecz wdrażanych rozwiązań. Ale ich przesłanek trzeba poszukiwać także gdzie indziej.

Co ciekawe, znajduje je inne londyńskie pismo, tym razem codzienny „Financial Times”. Dostrzega on, że *niebezpieczeństwem dla Polski jest to, iż prywatyzacja mogłaby znowu ulec przyhamowaniu, gdyby* - a wskazuje na to weto Prezydenta Wałęsy wobec nowego prawa przygotowanego w celu **przyspieszenia prywatyzacji** - *stało się ono polityczną piłką nożną podczas nadchodzącej kampanii wyborczej*. Niestety, tak właśnie się stało, skoro po wtórnie uchwalona przez parlament ustawa skierowana została do Trybunału Konstytucyjnego. Niech więc on rozstrzygnie przedstawione wątpliwości. Rząd natomiast, mam nadzieję, nadal będzie prowadzić aktywną politykę przekształceń własnościowych, sprzyjając przy okazji napływowi bezpośrednich inwestycji zagranicznych, rekordowo zresztą wysokich w pierwszej połowie tego roku. Jeśli zaś komuś w wyniku tej polityki trudniej będzie dostać się do tego naszego wspólnego i wciąż jeszcze przecież nie do końca pustego koryta - jego zmartwienie.

Warszawa, 14 sierpnia 1995 r.

Potomkowie muła, czyli manifest antypopulistyczny

Widmo krąży nad Polską. Widmo populizmu. Przybiera ono liczne postacie, ale na zewnątrz - korzystając za pośrednictwem mediów z łatwego, niczym nieskrępowanego dostępu do naszych oczu i uszu, a coraz częściej także do umysłów - zawsze przedstawia się nam jako przyjaciel. Zalewają nas różnorakie programy, które najczęściej są po prostu nie przygotowanymi profesjonalnie zestawami postulatów i życzeń albo też żądań i oczekiwań.

Populizm to koncepcja polityczna polegająca w dużym stopniu na dążeniu do życia na cudzy rachunek, aczkolwiek pod pozorem sprawiedliwego podziału prawie wszystkiego, w tym - i to jest największy problem - także tego, co nie istnieje. Koncepcje populistyczne zawsze kryją w sobie wątki podziału większych wartości, niż rzeczywiście wytworzone, finansowania z deficytu, życia na kredyt, czy też - mówiąc jeszcze dosadniej - cudzym kosztem. Przy czym idee populistyczne zwykle są tak opakowywane, żeby ich złudna pojętność wzbudzała poparcie społeczne, o co nietrudno, zwłaszcza w trudnych czasach. Jednak **próby ich wdrażania musiałyby prowadzić z czasem do rozwiązań niedemokratycznych w sferze politycznej**, co z kolei służyłoby wymuszaniu nieracjonalnych i szkodliwych rozwiązań ekonomicznych, przede wszystkim w sferze podziału dochodu narodowego. Przedsmak tego w postaci różnych pogroźek, dotyczących nawet podstaw systemu demokratycznego, jakim jest nasz parlament, już mogliśmy poczuć - i to nie tylko na ulicy.

Koncepcje populistyczne płyną tak ze strony różnych organizacji związkowych, jak i z niektórych organizacji i partii politycznych oraz ich działaczy, przejawiających duże aspiracje do brylowania w życiu publicznym za pośrednictwem mediów. Dzisiaj już w tym celu ani nie trzeba od razu podpalać Rzymu, ani też włączyć na komin. **Wystarczy kontestować to, co jest i żądać** (od rządu najlepiej, bo od parlamentu to już nieco wstydliej) **oraz obiecywać**. To tanio kosztuje. Co ciekawe, zupełnie bezkarnie robią to także niektórzy z tych, co już sprawowali przez czas jakiś władzę i dostarczyli nam głównie gorzkich rozczarowań.

Widma populizmu w żadnym przypadku nie należy lekceważyć. Co prawda, od siania mętnych idei i nieopowiedzianych wizji programowych do zorganizowanego ruchu droga jest długa i skomplikowana, ale niektórzy posuwają się na niej do przodu. Tym bardziej warto mieć świadomość występujących zagrożeń. **Prawdziwa bieda jednak rozpoczęłaby się dopiero wówczas, gdyby populisci doszli do władzy i dana byłaby im szansa podjęcia działań zmierzających do „wzbogacenia” nas wszystkich.**

Ale i doraźnie populizm wywiera negatywny wpływ - przez nacisk w mediach - na politykę gospodarczą, a zwłaszcza społeczną.

Niestety, często obserwuję w kręgach decydenckich skłonność do uległości wobec nieracjonalnych postulatów i roszczeń rozmaitych grup nacisku dlatego, by wykazać, że samemu jest się równie dobrym jak ci, którzy żądają. Co więcej, niekiedy można dostrzec działania wyprzedzające w myśl zasady, że dobrze jest być jeszcze lepszym wujkiem niż dobry wujek. Być

może, ten właśnie aspekt zagrożenia populistycznego jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż to, co mogą zdziałać bezpośrednio sami populiści. Wówczas bowiem **osłabieniu ulega pragmatyzm i skuteczność prowadzonej polityki.**

Największa trudność tkwi w tym, że z reguły nie można - a już na pewno nie chce się - dostrzec związku między przyczyną a skutkiem. Najjaskrawszym przykładem tego syndromu jest **inflacja, którą populistyczne dewiacje zawsze rodzą**, a do odpowiedzialności za nią nikt się nie poczuwa. Co najwyżej próbuje brać na siebie za to odpowiedzialność minister finansów.

Zagrożenie populizmem płynie tak z lewa, jak i z prawa. Dopiero połączenie obu tych opcji byłoby powodem do trwogi, ale to raczej nie jest możliwe. Wątki i uczucia, które łączą, muszą być silniejsze niż te, które dzielą. Dlatego **trudno wyobrazić sobie dzisiaj fuzję populistów o orientacji lewicowej i prawicowej**, mimo iż podobnie mówią, a czasami nawet tak samo myślą. Współcześnie to drugie, czyli prawicowe ryzyko jest zdecydowanie większe. Sądzę, że wynika to stąd, że pragmatyczny nurt lewicy współuczestniczy w sprawowaniu władzy i - ponosząc odpowiedzialność za swoją politykę - w dużej mierze wyleczył się z odchylenia populistycznego.

Fuzje, które w łonie populistów aktualnie obserwujemy, to zaiste niezwykle ciekawe ćwiczenia. Do niedawna prezes NBP był najmocniej i najczęściej strofowany w Sejmie przez KPN. Niekiedy do tego stopnia, że musiałem publicznie stawać w obronie słusznych racji, którymi kierowała się w swojej, wtedy jeszcze niezależnej polityce ta instytucja. A dzisiaj **powstaje alians w myśl zasady, że cel - choćby populistyczny, co w przypadku wciągnięcia banku centralnego doprawdy zaczyna stawać się groźne - uświęca środki.** Figura polityczna wykonywana wspólnie między innymi przez szefa NBP i szefa KPN to związek jeszcze dziwniejszy niż ten, z którego rodzą się muły. Ale warto pamiętać, że tylko pięć procent z nich jest potem w stanie wydać coś na świat. Doprawdy szkoda czasu na oczekiwanie na wątpliwe potomstwo, które takie związki mogą zrodzić.

W transformowanych gospodarkach trzeba patrzeć na widmo populizmu - a faktycznie już na jego ucieleśnienie w postaci różnych bardzo pięknie nazywających się ugrupowań - zarówno od strony zasobów, czyli majątku, jak i strumieni, czyli dochodów. W rozwiniętych gospodarkach kapitalistycznych populiści żądać mogą tylko tego, aby ich płace były tak wysokie jak menedżerów bądź też, by prezydent pozwolił im kąpać się w swojej

Odpowiedzi i pytania

wannie. **U nas można jeszcze zażądać powszechnego uwłaszczenia**, skoro nie wypada domagać się powszechnego społecznienia, które temu samemu kiedyś już intencjonalnie miało służyć. Obecnie szczególnie ważne są przekształcenia własnościowe, których przebieg z pewnością winien być podporządkowany interesowi ogólnospołecznemu. Nie na zasadach populistycznych jednakże, lecz na bazie zdroworozsądkowego pragmatyzmu, który będzie zapewniał stały wzrost stopy życiowej uzyskiwany w wyniku poprawy efektywności ekonomicznej, a nie poprzez obietnice bez pokrycia. Na tym buduje się trwale podwaliny bogactwa narodów, a nie na bajkach o stu czy trzystu milionach dla każdego.

W inny sposób **populizm przebija się w silnych naciskach na kasę publiczną** ze strony lobby rolniczego, które nie potrafi wciąż skorzystać z szansy, jaką stwarza nowa (zaproponowana w *Strategii dla Polski*) koncepcja wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich. Główne uderzenie idzie na wyrwanie z budżetu państwa jak największej ilości środków i przesuwanie ich w nadmiernej skali od konsumentów żywności do jej producentów. Przez pewien okres jest to możliwe i nawet wskazane, ale pod warunkiem, że służy zmniejszeniu nacisku na finanse publiczne w przyszłości.

Podobnie jest z budownictwem mieszkaniowym. Pomimo ponoszenia kosztem finansów publicznych olbrzymich nakładów na jego rozwój, nadal trwa sytuacja kryzysowa i na tym tle wciąż **odżywają pomysły o tanich kredytach, które - rzecz oczywista - są drogie, ponieważ dofinansować miałby je znowu budżet, czyli podatek**. Ale przecież on płaci za wysokie podatki, trzeba więc je obniżyć, zwłaszcza dla mniej zarabiających. Ponadto szybko należy wdrożyć - poprzez dalsze poszerzenie systemu ulg - tzw. prorodzinny system podatkowy, choć i tak wiele dziesiątków bilionów złotych wydajemy z budżetu na wspieranie rodziny. Trzeba zatem zmniejszyć dochody do budżetu po to, aby zwiększyć skokowo jego wydatki na rozliczne słuszne cele, które rząd (czyli budżet, czyli podatek) ma sfinansować.

Słowem pomieszanie z poplątaniem - pełen komunizm, ale kapitalizm, czyli populizm.

Warszawa, 21 sierpnia 1995 r.

Wsi spokojna, wsi wesola

Tak mógłby ktoś powiedzieć oglądając sielsko-żniwne widoki, słuchając zapowiedzi o dobrym urodzaju oraz wiadomości o opłatach wyrównawczych, cenach minimalnych lub BGŻ. A to przecież zaledwie wierzchołek góry lodowej, gdyż stoimy dziś przed jednym z wielkich problemów transformacji polskiego rolnictwa i restrukturyzacji gospodarki rolnej. Dlatego przed piętnastoma miesiącami, przygotowując *Strategię dla Polski*, wyodrębniono w niej specjalny program pod nazwą wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich. Po to, aby pokazać, że właśnie tędy wiedzie droga ku przyszłości polskiej wsi, a nie tylko poprzez bezpośrednie zasilanie finansowe rodzimego rolnictwa, jak to miało miejsce przez wiele lat.

Dziś o wielofunkcyjnym rozwoju obszarów wiejskich mówią już wszyscy, ale trzeba otwarcie zapytać: czy wszyscy mają to samo na myśli? Otóż nie byłbym wcale tego pewien. Dla wszystkich więc niech stanie się jasne, że zdecydowanie wspieramy i będziemy nadal wspierać - łącznie ze wspomaganiami budżetowymi - te programy, które służą restrukturyzacji rolnictwa oraz rozwojowi alternatywnych zajęć dla ludzi wsi, natomiast nie będziemy na koszt podatnika utrzymywać archaicznych struktur występujących w rolnictwie i na jego obrzeżach.

Liczyby są beznamienne - na wsi mieszka wciąż 37 proc. Polaków, z czego ok. 27 proc. (czyli mniej więcej co czwarty z nas) pracuje w rolnictwie, wytwarzając zaledwie 7-8 proc. produktu krajowego brutto. Skrajny liberał powiedziałby zapewne, że należy szybko zlikwidować ten 20-procentowy nawis. I z czasem, może za 25 lat lub za 50 lat tak się stanie, podobnie jak w Irlandii, która ćwierć wieku temu miała również ok. 27 proc. ludności zatrudnionej w rolnictwie, a obecnie ma zaledwie 7-9 proc. My również mamy szansę, aby rok po roku ten problem rozwiązywać, ale nie łudźmy się, że stanie się to jakby samo przez się czy obok nas. Proces przekształcania wsi będzie kosztowny również dla mieszkańców miast. Ci bowiem, którzy żyją poza wsią, muszą przyzwolić, aby określona część ich dochodów była transferowana na wieś w celu sfinansowania niezbędnych przekształceń. Mogą - jeśli zechcą - nie wyrazić na to zgody, ale jaka pojawia się wówczas alternatywa? Otóż taka, że bez stosownego przyzwolenia politycznego i społecznego wieś mogłaby wyrzucić nadwyżkę siły roboczej i - podobnie jak po wojnie - znów setki tysięcy ludzi zaczęłyby przyjeżdżać do miast, które - inaczej niż przed 50 laty - musiałyby zacząć obrastać slumsami.

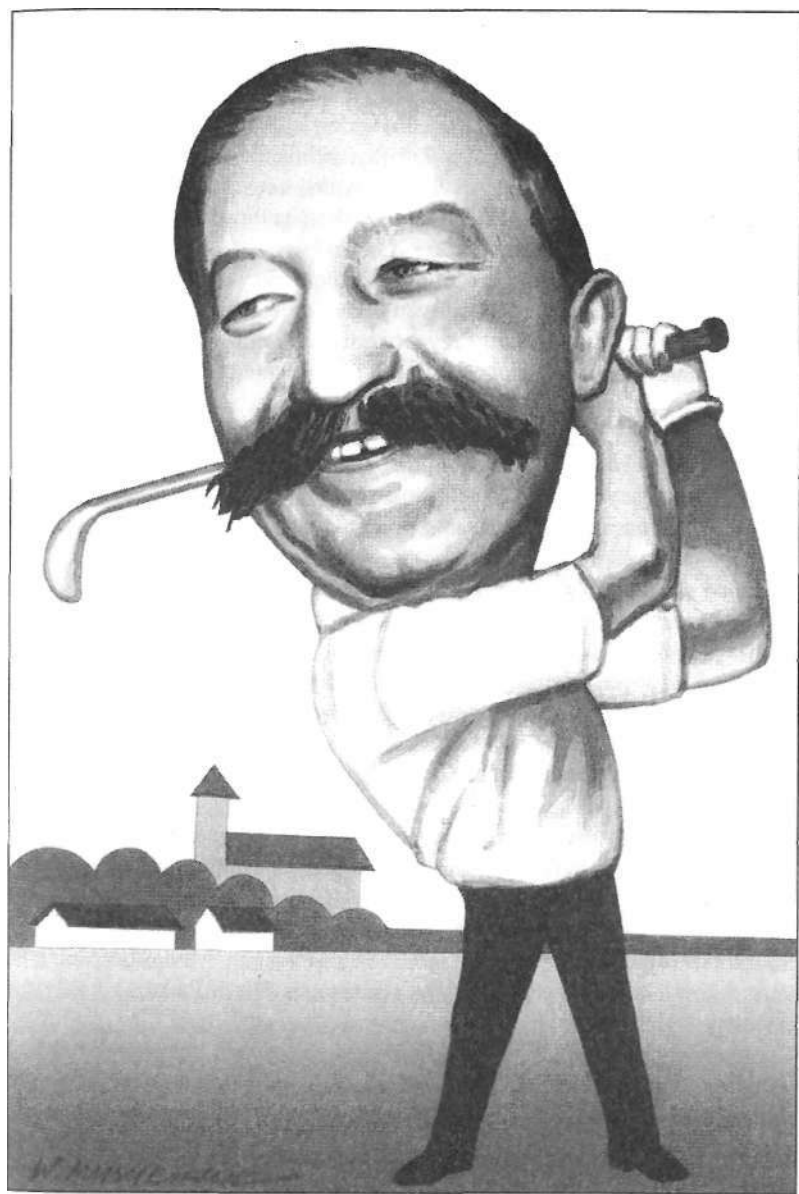
Odpowiedzi i pytania

Dziś polskie miasta nie są w stanie zaabsorbować migracji wiejskiej, gdyż nie ma w nich ani nadmiaru pracy, ani wolnych mieszkań.

Przestrzegając przed zagrożeniem, nie rysujemy tak czarnego scenariusza, gdyż jest nań skuteczne antidotum - koncepcja wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich. Rzecz w tym, **aby ludzie - zwłaszcza młodzi - którzy mieszkają na wsi, właśnie tam dostrzegli swoje szanse na przyszłość. Na wsi, ale nie w rolnictwie.** I ten zamysł państwo powinno wesprzeć, i w tym również powinien się wyrazić sens obecnej koalicji politycznej. Jeśli jednak najpierw mówimy wieś, inwestowanie w infrastrukturę wiejską i tam tworzenie nowych miejsc pracy, a dopiero na drugim miejscu rolnictwo, nie znaczy to wcale, że bagatelizujemy znaczenie tej ważnej gałęzi gospodarki narodowej. W przyszłości również rolnictwo będzie osią rozwoju obszarów wiejskich, ale nie przesądzajmy już teraz, czy będzie to rolnictwo typu farmerskiego, obszarniczego czy też jego podstawą staną się wysoce wydajne, zmechanizowane gospodarstwa rodzinne z wielopokoleniową metryką.

Modernizacja rolnictwa w ramach wielofunkcyjnego rozwoju wsi jest, oczywiście, perspektywą przyszłości. Jak na razie stan faktyczny jest taki, jaki jest, a jego skutki - a ściślej koszty - musi ponosić państwo, czyli my wszyscy. Zachwianie proporcji dochodów, czyli tzw. parytetu, czyniło uzasadnioną pewną redystrybucję dochodów od ludności miejskiej do wiejskiej w postaci np. wprowadzenia opłat wyrównawczych na niektóre grupy płodów i produktów rolnych. Trudno było na to nie wyrazić zgody wobec istniejącej obiektywnie sytuacji dochodowej wsi, a określenie prowadzonej przez nasz rząd polityki różnego rodzaju epitetami pod hasłem krzywdzenia ludzi w miastach jest po prostu dowodem niezrozumienia problemu.

Z drugiej jednak strony **nie jest dłużej możliwe konserwowanie mechanizmów tkwiących w rolnictwie i na jego obrzeżach, które między sierpniem 1994 a majem 1995 doprowadziły do znaczącego wzrostu cen żywności**, wzrostu daleko wykraczającego poza skutki uzasadnionych i koniecznych posunięć, do jakich należą opłaty wyrównawcze. Ochrona tych mechanizmów to nic innego jak ucieczka przed rozwiązywaniem postawionego na wstępie wielkiego narodowego problemu, chowanie głowy w piasek, a nazywanie ograniczania czy eliminacji tych mechanizmów polityką antychłopską, antywiejską czy jeszcze jakąś tam anty, to nic innego jak polityczna demagogia. Uleganie jej musiałoby prowadzić do ogromnych szkód ekonomicznych i społecznych, obróciłoby się w ostatecznym rezul-



Odpowiedzi i pytania

tacie przeciw samym mieszkańcom wsi, skazując ich na wieczne „niewiązanie końca z końcem”, mimo jednoczesnego wzrostu obciążeniami podatkowymi w miastach.

Zaproponowane w *Strategii dla Polski* rozwiązania polegają nie na pauperyzacji ludności wiejskiej - jak krzyczą jedni, nie na wyludnianiu wsi - jak imputują inni, lecz wprost przeciwnie - na znalezieniu dla całej ludności dziś żyjącej z rolnictwa, a w każdym razie dla zdecydowanej jej większości, godnego tam miejsca.

Co w tej sprawie zostało już zrobione? Począwszy od 1994 roku podjęte zostały działania służące realizacji tych celów, przeznaczono na nie również dotacje z budżetu państwa. Przygotowano 9 regionalnych programów rozwoju przedsiębiorczości obejmujących grupy województw, poszczególne województwa i gminy. Na rozwój infrastruktury technicznej wsi - zaopatrzenie jej w wodę, kanalizację i oczyszczalnie ścieków, telefonizację, budowę wiejskich dróg i mostów - uruchomiona została specjalna pożyczka z Banku Światowego w wysokości 200 mln dolarów. Na rozwój małej przedsiębiorczości na obszarach wiejskich i tworzenie nowych miejsc pracy poza rolnictwem wykorzystanych zostanie z tej pożyczki 50 mln dolarów. Prowadzone są różne formy doradztwa rolniczego.

W 1996 r. prace nad restrukturyzacją obszarów wiejskich chcemy koncentrować na trzech obszarach. Po pierwsze - będziemy **wspierać rozwój infrastruktury technicznej wsi i tworzenie tam nowych miejsc pracy**. Poza pożyczką BŚ przeznacza się na te cele (np. na meliorację i telefonizację) dodatkowe środki zarówno budżetowe, jak i pozabudżetowe (Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska, Europejski Fundusz Rozwoju Wsi Polskiej, PHARE).

Po drugie - będziemy **przebudowywać sektor bankowy obsługujący wieś i gospodarkę żywnościową**. W tym celu wyemitowano już obligacje restrukturyzacyjne Skarbu Państwa w kwocie bliskiej 20 bln starych złotych. Po trzecie - przyczyniać się będziemy do **rozwój przetwórstwa rolno-spożywczego**, w szczególności poprzez ulgi inwestycyjne, ubezpieczenia kontraktów eksportowych czy poręczenia przez Skarb Państwa kredytów inwestycyjnych.

Sprawdzianem programu wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich jest wzrost udziału dochodów z działalności pozarolniczej w ogólnych dochodach ludności wiejskiej. Wskaźnik ten od ubiegłego roku rośnie, wynosząc już ok. 54 proc, co oznacza, że **ludność żyjąca na wsi już w ponad połowie utrzymuje się nie z tego, co wyrośnie na polu czy**

wykarmi się na pastwisku. Stopniowo zmienia się mentalność władz i społeczności lokalnych, które starają się rozwijać własne inicjatywy, jak i samych rolników, którzy coraz lepiej rozumieją, że nie można bytu swojego i rodziny opierać na nikłym skrawku ziemi oraz że ziemia - ile jej by było - nie jest dziedzictwem lub mitem, lecz kapitałem, który powinien przynosić zysk. Nasza oferta dla mieszkańców wsi nie trafia więc jak przysłowiowa kosa na kamień, a jeśli już gdzieś na jakiś kamień natknęłaby się, to niech to będzie kamień milowy w dziejach polskiej wsi.

Warszawa, 28 sierpnia 1995 r.

Na Zachodzie, czyli w Polsce

Dość powszechnie w kularach krynickiego V Forum Gospodarczego Polska - Wschód nazywano to spotkanie polskim Davos. Choć sam rok temu odwołałem się do takiego porównania, to wciąż jeszcze wiele trzeba uczynić, aby skala i ranga przedsięwzięcia była podobna jak w przypadku obrosłego już dużą tradycją i wielkim prestiżem przedsięwzięcia w szwajcarskim kurorcie. Konkurować wszakże z nimi możemy również niekwestionowanymi (chyba że i o tym zaczną mówić kandydaci na prezydenta) urokami naszych gór i okolic Krynicy oraz Muszyny, które gościły ponad 500 przedsiębiorców, inwestorów, biznesmenów oraz polityków.

Polityków specjalnie wymieniam na ostatnim miejscu, aczkolwiek osobisty udział w tegorocznym forum premiera naszego rządu - Józefa Oleksego - został wyraźnie doceniony, zwłaszcza przez zagranicznych gości. Zgromadzenie krynickie jest bowiem przedsięwzięciem pozarządowym, a organizuje je Instytut Wschodni, zapraszając - i słusznie - polityków o różnych orientacjach, co wzbogaca jeszcze żywe dyskusje. **Wielu uczestników spotkania spoziera jednak wciąż jeszcze w kierunku przedstawicieli rządowej administracji**, wierząc, że od niej zależeć może - choć jest to w coraz mniejszym stopniu prawdą - powodzenie niektórych przedsięwzięć podejmowanych pomiędzy przedsiębiorstwami. Decentralizacja i deregulacja gospodarki, przy szybko rosnącym udziale sektora prywatnego we wzajemnych obrotach handlowych, powoduje, że odmiennie postrzega się rolę polityki gospodarczej w stymulowaniu kontaktów i współpracy gospodarczej.

Odpowiedzi i pytania

Można by przewrotnie powiedzieć, że wystarczy, jeśli administracja i polityka coraz mniej szkodzić będą oddolnie rozwijanej współpracy, ale problem jest daleko bardziej skomplikowany. Oczekiwania bowiem na pomoc ze strony rządowej są wciąż ogromne i zarazem nadmierne. Widać tutaj, że wielu przedsiębiorców z trudem wyzwała się ze swoich nawyków etatystycznych i oczekuje paternalizmu państwa, także wobec przedsięwzięć holowanych przez kapitał prywatny. Zarazem dostrzegam, że zmiana się w porównaniu do poprzednich lat charakter tych oczekiwań i obecnie są one w coraz większej mierze adresowane we właściwym kierunku. Chodzi tutaj w szczególności o **odpowiedzialność państwa za tworzenie rozwiniętej infrastruktury współpracy gospodarczej, zwłaszcza instytucji finansowych i przejść granicznych, oraz ubezpieczeń kontraktów eksportowych i wspólnych przedsięwzięć inwestycyjnych**. Na ich niedorozwój, przede wszystkim w dziedzinie działalności kredytowej i obsługi transferów pieniężnych banków, najwięcej jest słusznym utyskiwać. Poprawa od czasu ostatniego forum jest niewystarczająca, chociaż działają już oddziały niektórych komercyjnych banków polskich w kilku miastach Rosji, Ukrainy i Białorusi. Prywatny sektor bankowy nie wykazuje jednak na tym polu dostatecznej ekspansji, dlatego też trzeba stworzyć mu w polityce rządów zainteresowanych państw odpowiednie bodźce. Nieco lepiej natomiast jest w odniesieniu do wspomaganie wysiłków w zakresie eksportu. Budżet państwa wspomaga go gwarancjami rządowymi, dopłatami do kredytów eksportowych, ich ubezpieczaniem poprzez dokapitalizowanie Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, która jest zorientowana przede wszystkim na ekspansję w kierunku wschodnim.

Natomiast **wyraźnie poprawia się sytuacja w zakresie przejść granicznych**. Jest ich na naszej wschodniej granicy już 27. Tylko w tym roku przybyły cztery, a wkrótce będą otwierane następne. Na granicy z Białorusią funkcjonuje 9 przejść, z Rosją 6, z Ukrainą 9 i z Litwą 3. Na marginesie uważam, że błędem ze strony organizatorów krynickiego forum było nie zaproszenie do udziału w nim Litwy oraz innych państw nadbałtyckich oraz niektórych państw WNP, wobec których dobrze rysują się perspektywy współpracy gospodarczej w przyszłości, w tym zwłaszcza z Kazachstanem.

Rozmawiałem o tym nie tylko z liczną grupą przedsiębiorców i biznesmenów ze Wschodu, ale również z szefami delegacji na krynickie forum - pełniącą obowiązki prezesa Centralnego Banku Federacji Rosyjskiej Tatiąną Paramonową, wicepremierem ds. reformy gospodarczej Ukrainy Wiktoorem Pynzenykiem oraz ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą

Białorusi - Michałem Mariniczem. Wszyscy oni są bardzo zainteresowani jak najlepszymi stosunkami gospodarczymi z Polską, widzą bowiem w tym dodatkową szansę na rozwiązywanie problemów swoich gospodarek. W relacjach ekonomicznych nie ma miejsca na sentymety (ani na resentymenty), liczą się bowiem przede wszystkim narodowe interesy. Im podporządkowuje się działania w ramach polityki gospodarczej. I nie ma wątpliwości, że **dobra współpraca gospodarcza, daleko wykraczająca poza sam eksport i import, leży w interesie strategicznym Polski, Rosji, Ukrainy i Białorusi.**

W naszych stosunkach ekonomicznych z wszystkimi tymi państwami **dominuje handel przy niskim poziomie rozwoju innych, bardziej wyrafinowanych form współpracy**, w tym zwłaszcza wspólnych przedsięwzięć kapitałowych i inwestycyjnych oraz przepływu usług, technologii i siły roboczej. Słabo przedstawia się także działalność na rynkach trzecich, choć tutaj dostrzec już można symptomy pewnego ożywienia, głównie wobec innych wyłaniających się rynków Wspólnoty Niepodległych Państw. Coraz więcej jest jednak inwestycji bezpośrednich, zwłaszcza prywatnych. Tutaj wyraźnie dominuje polski kapitał, który - jak się szacuje - zainwestował ponad 60 milionów dolarów, tworząc około pięciuset firm na Białorusi. Na Ukrainie polski kapitał stanowi 3,2 proc. inwestycji zagranicznych. Kryje się za tym działalność około siedmiuset firm, często wspólnych, a źródła ukraińskie szacują wartość tych inwestycji na blisko 12 milionów dolarów. Od czegoś trzeba było zacząć. I dla takiego typu przedsięwzięć tworzone są preferencje systemowe. Dają one już zauważalne skutki.

Z kolei obroty handlowe pomiędzy Polską a naszymi wschodnimi sąsiadami rosną ostatnio niezwykle szybko, szybciej nawet, niż zakładaliśmy w *Strategii dla Polski*. Obroty z Białorusią zwiększyły się w pierwszej połowie 1995 roku aż o 75, z Rosją o 42 i z Ukrainą o 153 proc. Są to przyrosty niebywale w normalnych warunkach, tak jak niebywała - i skądinąd przynajmniej po części do uniknięcia, gdyby nie znane błędy polityki gospodarczej tamtego okresu - była głębokość zapaści w dziedzinie współpracy gospodarczej na początku lat dziewięćdziesiątych. **Obecnie udział tych trzech partnerów w naszym handlu zagranicznym sięga tylko 10 proc, co jest skutkiem drastycznego załamania w początkowym okresie transformacji.** Dzisiaj opierają się one już głównie na transakcjach realizowanych w walutach wymiennalnych na bazie cen światowych, chociaż w niektórych wypadkach (głównie w handlu z Białorusią) nadal wysoki jest udział transakcji barterowych.

Odpowiedzi i pytania

Świat się nie tylko zmienił, ale również skurczył. Nie tak dawno w rozmowie z amerykańskim Sekretarzem Handlu Ronaldem Brownem dyskutowałem o uplasowaniu Polski właśnie pośród dziesięciu największych wylaniających się rynków świata. Zwracał on uwagę, że **jesteśmy coraz bardziej atrakcyjnym partnerem dla przedsiębiorców i inwestorów amerykańskich**. Nie tylko dzięki imponującej dynamice i ponieważ nasza gospodarka sama w sobie stanowi ponętny rynek blisko 40 milionów producentów i konsumentów, ale i z tej przyczyny, że Polska coraz wyraźniej staje się pomostem pomiędzy Unią Europejską, której będzie z czasem pełnoprawnym członkiem, a Wspólnotą Niepodległych Państw. Tę szansę wynikającą z położenia geopolitycznego, które tyle razy w historii było przyczyną nieszczęść, tym razem trzeba wygrać. Tym bardziej że podobnie postrzegani jesteśmy na Wschodzie. Można było to odczuć w Krynicy, gdzie biznesmeni oraz politycy z Białorusi, Rosji i Ukrainy nie mieli wątpliwości, że przybyli na Zachód.

Krynica, 3 września 1995 r.

Koniec strajków?

Jak na polskie realia ostatnich lat, tytuł ten może się wydać dziwny. Mamy przecież w języku polskim więcej określeń dla różnych rodzajów strajków niż Eskimosi dla nazywania śniegu. Dlaczego zatem miałby nadejść okres, kiedy strajki staną się czymś wyjątkowym, kiedy sięganie do nich jako do sposobu rozwiązywania sytuacji konfliktowych po myśli pracowników - niejednokrotnie krótkowzrocznej - stanie się zbyteczne? Pytanie to zadaję obserwując, co stopniowo zachodzi w naszym społeczeństwie na tle pozytywnych zmian gospodarczych.

Do społeczeństwa dobrobytu bowiem jeszcze nam bardzo daleko. Pomimo poprawy sytuacji ekonomicznej i socjalnej coraz szerszych kręgów społeczeństwa **konceptcja tworzenia państwa dobrobytu musi być podporządkowana priorytetowi zadań wynikających z rynkowej transformacji**. Jej przebieg w początkowej fazie niesie z sobą wiele następstw raczej zagrażających bezpieczeństwu socjalnemu niektórych warstw ludności oraz ogólnemu dobrobytowi ekonomicznemu niż je-zapewniających. Ale z czasem i to się zmienia. Bez większego echa (chyba właśnie dlatego, że bez

strajków) przeszły krótkie, ale owocne rozmowy partnerów społecznych _ przedstawicieli pracowników, pracodawców i rządu - na temat wzrostu płac do końca przyszłego roku. Najczęściej ustalenie odpowiednich proporcji w tym zakresie poprzedzone musiało być protestami i strajkami, natomiast tym razem skuteczne okazują się wspólne wysiłki zainteresowanych stron, prowadzące do rozstrzygnięć bez uciekania się do tak kosztownych metod, jakimi są strajki.

Temu służyć mają **partnerskie stosunki pracy i negocjacyjne mechanizmy kształtowania płac**. W ubiegłym roku w ramach pakietu ustaw uchwalonych przez Sejm znalazły się także dwa akty wnoszące zasadnicze zmiany w tym zakresie. Pierwszy z nich wprowadził zupełnie nowy w naszych warunkach mechanizm rozstrzygania o poziomie i dynamice płac pracowników państwowego sektora usług społecznych, czyli tzw. budżetówki. Warto przypomnieć, że ta dobrze nam teraz służąca ustawa była nieskuteczna - bo niesłusznie - wetowana i zaskarżana przez prezydenta Lecha Wałęsę do Trybunału Konstytucyjnego. Wtedy wygrał ustawodawca, teraz korzystamy z tego wszyscy. Poprzednio rokrocznie tracono wiele czasu i energii na konfliktogenne i z ekonomicznego punktu widzenia jałowe spory wokół „uzasadnionych” relacji płac tej grupy pracowników wobec zatrudnionych w sektorze przedsiębiorstw. Dzisiaj jest już inaczej.

Rokrocznie okazywało się również, że w ustawie budżetowej trzeba było odchodzić od iluzorycznego wskaźnika tej relacji, ustalonego w wysokości 106 proc, ponieważ przy istniejącym poziomie zatrudnienia i budżetu nie mógł on znaleźć finansowania. Towarzyszący tamtym dyskusjom przetarg polityczny dodatkowo nasilał procesy inflacyjne, co obracało się w pierwszej kolejności przeciwko interesom tej właśnie grupy, której taki sposób ustalania płac miał pozornie służyć. Obecnie uwaga i negocjacje koncentrują się na maksymalnie możliwym do osiągnięcia przyroście płac, traktując jego relację do innych wynagrodzeń jako skutek negocjacji, a nie ich punkt wyjścia. W ten sposób w polityce płacowej staramy się zapewnić **odczuwalny wzrost płac realnych** tej ważnej grupy społecznej. Zarazem zakładany przyrost znajduje realistyczne pokrycie w środkach budżetu państwa, z których jest przecież finansowany.

W efekcie **rosną płace realne nauczycieli i policjantów, lekarzy i oficerów wojska, pielęgniarek i administracji, w sumie o około 10 proc. w latach 1995-96**. W przyszłym roku szczególnie wyraźnie mają zwiększyć się płace profesorów i innych nauczycieli akademickich. Można to już powiedzieć w trybie twierdzącym, ponieważ wynegocjowane porozumienia

Odpowiedzi i pytania

zawierają klauzulę, zapewniającą realny, a nie tylko nominalny wzrost wynagrodzeń. Jeszcze w tym roku - poczynając od początku października - wszystkie grupy pracowników tzw. sfery budżetowej uzyskają wypłatę w sumie około 300 złotych ponad obecny poziom płac, tj. o 6 punktów ponad tegoroczną, skądinąd wyraźnie spadającą w ostatnich miesiącach inflację. Na 1996 rok podwyżka ta została ustalona w wyniku twardych negocjacji na 5,5 proc. Na tyle może stać będzie nasz budżet. Zarazem oczekiwać powinniśmy, zważywszy, że płace te finansowane są z pieniędzy podatników - iż poprawi się poziom usług świadczonych przez pracowników, do których podwyżki są adresowane.

Nowe reguły ustalania płac stosowane są także wobec tych, którzy są zatrudnieni w sektorze przedsiębiorstw. Ich dopuszczalny, **nieinflacyjny przyrost został wynegocjowany ostatnio na forum komisji trójstronnej**. Jest on nieco mniejszy niż dla pracowników sfery budżetowej, co poprawi relatywną pozycję tej drugiej grupy. Niedawno rozmawiałem z jednym z czołowych przywódców „Solidarności”, który uważa, że bezbolesne i niekonfliktowe (choć dodał, na wszelki wypadek pewnie, „jak dotychczas”) odejście od tak zniechęconego w kręgach pracowniczych i związkowych popiwku jest autentycznym sukcesem rządu SLD-PSL. Ja z kolei sądzę, że jest to wspólne osiągnięcie wszystkich partnerów społecznych, co jest możliwe wówczas, kiedy to parbierstwo traktuje się poważnie. Obecnie są ku temu coraz większe szanse, których wykorzystaniu - miejmy nadzieję - kampania wyborów prezydenckich nie przeszkodzi. Może nawet znajdzie się paru kandydatów, którzy na umacnianiu partnerstwa społecznego będą rozwijać swój program.

Komisja trójstronna - tak sprawnie kierowana przez wiceministra Andrzeja Bączkowskiego - dzięki **sukcesowi negocjacji płacowych oraz budowaniu podwalin partnerskich stosunków pracy stopniowo tworzy nową jakość w naszym życiu społecznym**. Faktu tego nie można zbagatelizować. Jest to przejaw zwycięstwa zdrowego rozsądku, ale są to dopiero początki właściwych działań zmierzających do podziału efektów rosnącego dochodu narodowego w warunkach pokoju społecznego. Tylko na takiej płaszczyźnie można budować i rozwijać przesłanki społeczeństwa dobrobytu w odległej, ale wyobraźalnej już - głównie dzięki szybkiemu wzrostowi gospodarczemu - przyszłości. To, że możliwa jest ona bez popiwku - już wiemy, ale czy bez strajków?

Zainteresowanie strajkami wyraźnie spadło w tym roku. Buńczuczne zapowiedzi niektórych liderów związkowych, pragnących wzmacniać swoją

(no bo przecież nie pracowników) pozycję organizacją różnych protestów, nie spotkały się z odzewem ze strony załóg. W sierpniu już tylko 37 proc. z nich wobec aż 58 proc. jeszcze w styczniu tego roku wyrażało gotowość - i to pod warunkiem uzyskania kompensaty finansowej z kasy związkowej - udziału w ewentualnym strajku w swoim zakładzie pracy. Wynika to z kilku czynników. Po pierwsze, poprawia się już sytuacja materialna większości pracowników. Po drugie, lepiej rysują się perspektywy zarobkowe i socjalne, w tym bezpieczeństwo zatrudnienia w przyszłości. Po trzecie, narasta przekonanie, że to właśnie negocjacje i partnerstwo, a nie strajki i konflikty lepiej służą realizacji celów pracowniczych. Ale to dopiero początki. Zawsze wszystko można jeszcze popsuć. Tylko po co?

Warszawa, 11 września 1995 r.

Półmetek

Dokładnie dwa lata temu, 19.IX., w wyniku w pełni demokratycznych wyborów społeczeństwo polskie wyniosło do władzy obecną koalicję SLD-PSL. W normalnych czasach taki układ polityczny byłby zagwarantowany przez konstytucyjną kadencję pełnych czterech lat. Ale nasze czasy - pomimo dokonanych wysiłków i znaczącego postępu - wciąż jeszcze w pełni normalne nie są. Opracowując dwa lata temu tezę, a nieco później rozwiniętą wersję gospodarczego programu koalicyjnego rządu - *Strategię dla Polski* - przyjąłem metodologicznie słuszne, choć politycznie ryzykowne założenie, że chodzi tutaj o horyzont czteroletni. W takiej perspektywie bowiem można próbować rozsądnie rozwiązywać nurtujące nas problemy gospodarcze i społeczne. Wydłużenie perspektywy czasowej w polityce gospodarczej i społecznej udaje się wszakże tylko częściowo. W obecnej fazie cyklu politycznego ponownie pojawiła się silna tendencja do jej skracania. W niektórych kręgach polityków - rządzącej koalicji i opozycji - wyraźna jest **skłonność do odkładania rozstrzygnięć trudnych dylematów na później**, kiedy to sytuacja powinna ulec normalizacji, jednak obawiać się można, że przeszkadzać temu będą jakieś inne okoliczności, które albo same zaistnieją, albo też znajdą się politycy, którzy z lubością nam je stworzą.

Odpowiedzi i pytania

Wiele faktów wydaje się jednak przemawiać za tym, że znajdujemy się na półmetku obecnej kadencji parlamentarnej, a przynajmniej trzeba i tym razem przyjąć takie założenie. Jest to niezbędne, aby nie poddać się presji skracania czasu i z determinacją godną sprawy transformacji polskiej gospodarki podejmować również i te działania, które w perspektywie kilku czy kilkunastu miesięcy mogą za sobą pociągać głównie koszty społeczne, a korzyści z tego zrodzą się później, niekiedy nawet później niż za dwa lata. Szansy na skuteczną kontynuację polityki gospodarczej dopatrzeć się można przede wszystkim w coraz wyraźniejszych osiągnięciach naszej gospodarki.

Po pierwsze, **polska gospodarka została wprowadzona na ścieżkę szybkiego i trwałego wzrostu gospodarczego**. O ile w początkowym okresie transformacji - w latach 1990-91 - produkt krajowy brutto spadł o ponad 18, a produkcja przemysłowa aż o około 40 proc, to w latach 1994-95 wielkości te rosły odpowiednio o około 12 i 25 proc. Jeszcze ważniejsze jest to, że wzrost ten stymulowany jest przede wszystkim bardzo szybko zwiększającym się eksportem oraz inwestycjami, co stwarza podstawy do utrzymania wysokiej dynamiki rozwojowej także w przyszłości. Poziom inwestycji zwiększa się wyraźnie szybciej niż samego dochodu narodowego, a jego proporcje zapewniają także wzrost konsumpcji, zwłaszcza indywidualnej, finansowanej między innymi z rosnących płac realnych.

Po drugie, takie tendencje makroekonomiczne idą w parze z przekształceniami mikroekonomicznymi. Na tym polu widać szczególnie wiele różnic w stosunku do wcześniejszej polityki, która doprowadziła do bardzo trudnej, często kryzysowej sytuacji finansowej w wielu zakładach i całych branżach przemysłowych. Dlatego podjęta została złożona i trudna restrukturyzacja finansowa, w tym zwłaszcza procedury oddłużania wielu firm. **Działania restrukturyzacyjne dają coraz lepsze rezultaty: lepszą kondycję finansową poszczególnych przedsiębiorstw, a także rosnące zatrudnienie**. Blisko trzysta tysięcy nowych, konkurencyjnych w skali międzynarodowej miejsc pracy, które powstały podczas ostatnich kilkunastu miesięcy, to niewątpliwe osiągnięcie tych przedsiębiorstw i wspierającej je polityki strukturalnej państwa.

W ostatnią niedzielę odwiedziłem stocznie Gdyni i Gdańska i mogłem ocenić skuteczność tej polityki. Podobnie jak zakłady przemysłu okrętowego Pomorza Zachodniego korzystają one - przy stawianiu im twardych wymagań finansowych - z szansy przekształceń dostosowujących do trudnych wymogów otwartej gospodarki rynkowej. Dzisiaj stają się lub już są przed-

siębiorstwami konkurencyjnymi na rynku światowym, tam bowiem kierują większość swojej produkcji.

Po trzecie, omawiane zmiany dokonują się w warunkach **pokoju społecznego**. Choć jest to niewymierne ilościowo, to wyprowadzenie gospodarki z antyefektywnościowego i konfliktogennego popiwku dowodzi możliwości kształtowania partnerskich stosunków pracy i negocjacyjnych mechanizmów wzrostu płac. Mogłem przekonać się na Wybrzeżu Gdańskim także i o tym, że właśnie dzięki połączeniu takiego podejścia z aktywną polityką strukturalną można było osiągnąć tak znaczący postęp w restrukturyzacji przedsiębiorstw. Dopiero na takiej podstawie możliwe jest budowanie przesłanek trwałego wzrostu w całej gospodarce.

Jest to obecnie tym bardziej możliwe, że - po czwarte - **poprawiła się sytuacja finansów publicznych i bardziej jeszcze zaawansowany został proces stabilizacji ekonomicznej**. Dopiero teraz jednak Sejm podjął niektóre prace nad przyspieszeniem samorządowo ukierunkowej reformy finansów publicznych, głównie pod kątem poprawy sytuacji gmin i większych uprawnień dla dużych miast. Dokonywana jest decentralizacja finansów publicznych. Pod kontrolą utrzymywany jest umiarkowany deficyt budżetu państwa, a Polska w tym zakresie od 1993 roku spełnia (co ciekawe, w odróżnieniu od większości państw Unii Europejskiej, które nie mogą się z tym uporać) jedno z głównych kryteriów z Maastricht, tzn. utrzymuje deficyt nie przekraczający 3 proc. PKB. Jeszcze bardziej znaczący dla nas wszystkich jest fakt, że udało się odczuwalnie zredukować poziom długu publicznego. Na tym polu Polska w tym roku po raz pierwszy spełni inne kryterium z Maastricht, obniżając relację długu publicznego poniżej 60 proc. PKB. Dzieje się to przy spadającej inflacji - z 38 proc. w końcu 1993 roku do 29 rok temu i około 22 proc. na koniec tego roku.

Wreszcie, po piąte, **zasadniczej poprawie uległa zewnętrzna pozycja gospodarcza, w tym finansowa Polski**. Rok temu podpisałem porozumienie w sprawie redukcji połowy zadłużenia wobec banków komercyjnych, skupionych w Klubie Londyńskim. Znormalizowane zostały stosunki finansowe z wszystkimi naszymi sąsiadami, w tym zawarte zostało w styczniu tego roku porozumienie o rozliczeniach z Rosją. Realizowane są - a stało się tak również na koniec pierwszego półrocza - kryteria wykonawcze, uzgodnione z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Wprowadzona została wymienialność nowego złotego w odniesieniu do transakcji na rachunkach bieżących. Sukcesem rynkowym zakończyła się pierwsza emisja polskich euroobligacji latem tego roku. Na takim tle bardziej przekonująco

Odpowiedzi i pytania

wygląda nasze włączenie się do Światowej Organizacji Handlu, zaawansowanie działań prowadzących do przystąpienia - miejmy nadzieję, że już w przyszłym roku - do OECD, a także realność szans na członkostwo w Unii Europejskiej w rozsądnym terminie.

W kontekście takich wyników nie sposób pominąć także **poważnych opóźnień w realizacji reform**. Nie udało się przeprowadzić podczas całego okresu transformacji - a ostatnie dwa lata bynajmniej nie przyniosły w tej sferze przełomu - koniecznych zmian w systemie ubezpieczeń społecznych oraz w finansowaniu usług społecznych, w tym głównie służby zdrowia. Skutkuje to coraz poważniejszymi zagrożeniami. Aby ich uniknąć, trzeba w pierwszej kolejności opracować i przyjąć budżet na rok przyszły. To zaś wymaga wdrożenia uchwalonej przez Sejm w zeszłym tygodniu ustawy o waloryzacji rent i emerytur. Bez takiej decyzji nie będzie sensownego budżetu, a wówczas może się okazać, że półmetek minął niezauważony już jakiś czas temu.

Warszawa, 18 września 1995 r.

Orzeł wśród tygrysów

Wiek XIX należał do Europy, wiek XX do Ameryki, natomiast **wiek XXI ma należeć do Azji**. Ten skrót myślowy pojawiał się często w ubiegłym tygodniu w Singapurze podczas kolejnego Światowego Forum Gospodarczego Azja Wschodnia-Europa. Uczestniczyłem w innym charakterze w poprzednim tego rodzaju zgromadzeniu dwa lata temu w Hongkongu i nawet w tym krótkim okresie dostrzec można, że twórcze zafascynowanie Wschodnią Azją rośnie nieustannie. Szczyt w Singapurze zgromadził sześciuset polityków najwyższego szczebla, przedsiębiorców i inwestorów, bankierów i finansistów, uczonych i publicystów. Dyskutowano perspektywy rozwoju stosunków ekonomicznych pomiędzy tymi częściami świata wobec zmian zachodzących w globalnym układzie politycznym i gospodarczym.

Układ ten będzie wyglądał zgoła odmiennie za kilkadziesiąt lat. Coraz więcej znaczą **stosunki w trójkącie Europa (Zachodnia), Ameryka (Północna) i Azja (Wschodnia)**. Przy tej okazji odbywają się nowe lekcje geografii gospodarczej i politycznej, świat bowiem się zmienia, a my w tych zmianach także uczestniczymy. Szczyt w Singapurze zdominowany był przez dysku-

Odowiedzi i pytania

sje na temat relacji z krajami Unii Europejskiej, ale przy tej sposobności udało się wyekspozować Polskę. W panelu z udziałem byłego premiera Francji - Raymonda Barre'a - wskazywałem nie tylko na nasze interesy, ale także na korzyści, jakie wniesie Polska przystępując do Unii Europejskiej.

Ten wątek wywoływał duże zainteresowanie. Proces bowiem poszerzenia Unii Europejskiej - a rozmawiałem o tym z wieloma politykami, w tym z jej wiceprezydentem, Sir Leonem Brittanem, który jest życzliwy naszej sprawie - ma także znaczenie dla partnerów na Wschodzie Azji. **Przyjęcie nowych członków do UE to nie tylko szansa polegająca na coraz większym rynku, do którego dostępu szuka - i w ferworze walki konkurencyjnej skutecznie znajduje - coraz więcej firm z tamtego regionu świata. Jest to także dodatkowe wyzwanie dla państw Azji Wschodniej, ponieważ w gospodarce światowej pojawiają się nowi konkurenci. I to nie tylko w Europie, w której wciąż jeszcze dostrzega się głównie jej bardziej rozwiniętą, zachodnią część. Szczyt w Singapurze powinien zapoczątkować przełom na tym polu. Taki miał cel mój udział w tym wydarzeniu i żałować trzeba, że inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej jakby nie doceniły wagi tych wyzwań i szans, jakie stwarza transformacja naszych gospodarek oraz proces integracji gospodarki światowej.**

Nie ma natomiast wąpliwości w Unii Europejskiej, że rozgrywanie globalnej partii w trójkącie Azja-Ameryka-Europa wymaga szczególnego kunsztu politycznego i profesjonalnego. Dziś łatwiej o to, zważywszy na sprzyjającą sytuację geopolityczną i sprowadzenie współczesnego świata do wymiarów globalnej wioski, choć pewnie wracając z Singapuru powinieniem powiedzieć - miasta. Unia Europejska opracowała specjalną *Strategię handlu i współpracy z Azją*. Trzeba to wykorzystać i **w ramach naszej długookresowej strategii gospodarczej rozwijać stosunki gospodarcze z Azją. To jest czynnik ułatwiający naszą integrację z Unią Europejską, a nie konkurencyjny wobec niej.** Nasze obroty z Azją Wschodnią mogą i powinny rosnać najszybciej, a ich udział z obecnych 7 proc. powinien podwoić się do końca dekady. Dyskontować w tym celu trzeba niebывale wielkie projekty inwestycji infrastrukturalnych w tamtym rejonie. Mają one do 2000 roku przekroczyć 2000 miliardów dolarów. Polska musi wejść do tego interesu, wchodząc także do Unii Europejskiej. Musi to być zatem równoległa ekspansja w dwu kierunkach, choć w końcu i tak prowadzi to w jedną stronę, a mianowicie do zajęcia właściwej pozycji w gospodarce XXI wieku.

Poszerzanie konkurencyjnych rynków trwa. Ameryka Północna to obecnie NAFTA, skupiająca nie tylko Kanadę i USA, ale także Meksyk. Azja Wschodnia to już nie tylko Japonia, tzw. cztery tygrysy (Korea Południowa, Tajwan, Singapur i Hongkong), ale także poszerzający się ASEAN, czyli Stowarzyszenie Państw Azji Południowo-Wschodniej. Ostatnio do tego ugrupowania, skupiającego Tajlandię, Malezję, Singapur, Indonezję, Filipiny i Brunei, dołączył bardzo szybko rozwijający się Wietnam. Wkrótce to samo czeka Kambodżę, a z czasem także Myanmar (Burmę). Jest to w sumie **czterystumilionowy rynek o bardzo zróżnicowanym rozwoju, ale zarazem charakteryzujący się największą dynamiką.** W tej globalnej grze gospodarczej sojuszników znaleźć można bardzo daleko. Nasze starania popierane są bowiem także przez Australię, co podkreślał jej minister spraw zagranicznych - Gareth Evans. Co ciekawe, Australijczycy - choć kiedyś byli Europejczykami - zabiegają teraz o to, aby... zaliczyć ich do Azji Wschodniej.

Oplaca się bowiem otwierać własną gospodarkę na międzynarodową konkurencję oraz integrację. Zgodzić się trzeba ze stwierdzeniem premiera Singapuru - Goh Chok Tonga - kiedy powiada, że *zamknięte gospodarki i protekcjonizm były powodem wolnego wzrostu w przeszłości.* Niestety, u nas podejście takie pobrzękuje jeszcze w niektórych kręgach, w tym także w moim dość bliskim otoczeniu. Dowodzi tego m. in. podejmowana w Sejmie próba blokowania obniżenia w przyszłym roku podatku importowego do trzech procent, a potem jego całkowite wyeliminowanie. To pomoże konkurencyjności gospodarki, spowalnianie zaś tego procesu może jej ewidentnie zaszkodzić.

Międzynarodowa konkurencyjność polskiej gospodarki ulega wyraźnej poprawie. Jest to przede wszystkim skutkiem wzrostu wydajności pracy stymulowanego liberalizacją i właściwą polityką przemysłową, a także dopływem inwestycji zagranicznych. Docierają one do nas także z regionu Azji Wschodniej, zwłaszcza z Japonii i Korei. Nasze wcześniejsze zabiegi w tych krajach dały już pewne skutki i - mam nadzieję - podobnie będzie także w wyniku licznych rozmów, prowadzonych w Singapurze. Spotkałem się tam m. in. z wicepremierem tego kraju - Lee Hsien Loongiem. Tamtejsi inwestorzy ulokowali do tej pory w Polsce ponad 70 milionów dolarów i można oczekiwać, że ten strumień będzie szybko rósł. Aż o 45 proc. natomiast rosną nasze obroty handlowe z tym azjatyckim tygrysem. Przekroczą one już w tym roku dwieście milionów dolarów. Nawiązany został także kontakt z dysponującym olbrzymimi kapitałami i coraz więcej inwestującym zagranicą Brunei. Minister przemysłu i handlu tego kraju - Abdul Taib - także jest świadom, że Polska odgrywać może znaczącą rolę jako

Odpowiedzi i pytania

partner gospodarczy całego ASEAN-u nawet jeszcze przed przystąpieniem do Unii Europejskiej.

Jak dotychczas, **naszym największym handlowym partnerem w tym regionie jest Tajlandia**, z którą obroty przekraczają pół miliarda dolarów. Podczas rozmów z wicepremierem tego kraju - Amnuayem Viravanem - poszukiwaliśmy sposobów wspólnej penetracji rynków trzecich. Z kierunku Polski - pod kątem trójstronnej współpracy z naszymi wschodnimi sąsiadami, natomiast z terenu Tajlandii w stronę Chin oraz Indochin. Także z politykami tego regionu odbyłem rozmowy, m. in. z premierem Kambodży - księciem Norodomem Ranariddh - oraz ministrem finansów Laosu - Xaysomphone Phonwiha. Wicepremier Wietnamu - Tran Duc Luong - zainteresowany jest współpracą inwestycyjną z polskimi firmami i skorzystaniem z naszych pozytywnych doświadczeń zarządzania długiem publicznym oraz rynkiem kapitałowym. Gubernator Banku Chin - Dai Xian-glong - interesował się przede wszystkim prywatyzacją i polityką monetarną, a także formami finansowego wsparcia eksportu dóbr inwestycyjnych polskich firm do Chin.

O ile w latach 1990-95 wzrost gospodarczy wyniósł w Ameryce Południowej 16, a w Afryce tylko 11 proc, to w Azji aż 44 proc. W tym czasie w Europie Wschodniej i byłym Związku Radzieckim dochód narodowy w wyniku towarzyszącego transformacji załamania spadł aż o 32 proc. Polska na tym tle - dzięki bardzo szybkiemu wzrostowi ostatnich lat - prezentuje się coraz lepiej, ale dystans dzielący nas także od niektórych państw Azji Wschodniej jest znaczny. Najważniejsze zatem, aby utrzymać wysokie tempo rozwoju poprzez stałą poprawę międzynarodowej konkurencyjności. Przesuwamy się wyraźnie w górę i ostatnio pod tym względem notowani jesteśmy aż na 45 miejscu na świecie, pozostawiając ponad setkę innych krajów z tyłu.

Co będzie dalej? To zależy od strategii gospodarczej. Szefowie 1500 największych firm świata przewidują, że **w roku 2030 siedem spośród dziesięciu najbardziej konkurencyjnych gospodarek świata znajdować będzie się właśnie w Azji**. Obok USA, Niemiec i Szwajcarii miałyby to być Japonia, Korea, Tajwan, Singapur, Indie, Chiny i Malezja. Ale gdyby Polska - znana już jako „wznoszący się orzeł Europy” - przez następne 35 lat przesuwiała się rok rocznie tylko o jedno miejsce na tej liście, to dlaczego nie mielibyśmy się i my znaleźć wśród tygrysów? Jest to możliwe, jeśli potrafi się działać z perspektywą 35 lat, a nie trzydziestu pięciu dni.

Singapur, 24 września 1995 r.

Liberum veto

Przeprowadzanie niektórych ustaw służących transformacji naszej gospodarki i społeczeństwa napotyka wiele trudności, które udaje się w końcu olbrzymim wysiłkiem przezwyciężyć. Trudności te biorą się nie tylko ze złożoności materii i jej oporu, ale także ze skomplikowań polskiej *cohabitation*. Prezydent państwa niejednokrotnie występuje w zupełnie jawny i oczywisty sposób przeciwko rządowi i parlamentowi, choć i te instytucje pochodzą przecież z demokratycznych w pełni wyborów. Choć brzmi to u nas jak *science fiction*, warto wyobrazić sobie, **o ile łatwiej byłoby nam wszystkim kontynuować trudne reformy gospodarcze i społeczne, gdyby to prezydent wyszedł od czasu do czasu z własnymi, twórczymi inicjatywami ustawodawczymi**. A czasu tego mija właśnie pięć lat i z tego punktu widzenia został on bardzo źle wykorzystany, a właściwie zmarnowany.

Wykorzystane natomiast zostały możliwości działań odwrotnych i w istocie destruktywnych. Częste przypadki wetowania przez prezydenta ustaw dobrze służących przekształceniom naszego państwa to niebywała we współczesnym świecie polityka swoistej obstrukcji, która musi być przezwyciężana poprzez dodatkowy nakład czasu i energii. A przecież można by jedno i drugie lepiej wykorzystać. Przypomnijmy, że tak niedawno prezydent Lech Wałęsa wetował między innymi ustawę o kształtowaniu wynagrodzeń dla pracowników sfery budżetowej. Zaskarżał ją także do Trybunału Konstytucyjnego. Tam też nie jemu przyznano rację, tylko rządowi i parlamentowi. Ważniejsze wszakże, że **ustawa ta dobrze służy dwupółmilionowej rzeszy pracowników sfery usług społecznych finansowanych z budżetu państwa, czyli tzw. budżetowce**.

Rozwiązania wdrożone wbrew woli prezydenta i pomimo mnożonych przez niego utrudnień stworzyły podstawy do podwyżek płac o sześć procent powyżej inflacji w tym roku i o następne pięć i pół w roku przyszłym. Już w tym miesiącu - po dwu wcześniejszych podwyżkach, dokonanych w styczniu i w lipcu - nastąpią kolejne wypłaty zwiększające realne płace nauczycieli i profesorów, lekarzy i pielęgniarek, policjantów i administracji. Blokowanie gwarantujących to rozwiązań nie wynikało chyba z niezrozumienia istoty sprawy przez prezydenta, ale - jak można się obawiać - z chęci wywołania wrażenia, że samemu dba się o cudze interesy lepiej, choć faktycznie im się szkodzi.

Odpowiedzi i pytania

Warto przypomnieć, że **gdyby odrzucono weto prezydenckie w swoim czasie, taka poprawa płac tej ważnej i licznej grupy społecznej byłaby niemożliwa**. Ewentualny wyższy nominalnie wzrost dochodów byłby realnie mniejszy niż obecnie ze względu na większe natężenie inflacji, której poziom udaje się skutecznie obniżać. Dzisiaj zatem - w tym przynajmniej przypadku - wiadomo już nie tylko, kto i dlaczego miał rację, ale także kto z pewnością się mylił. A dlaczego - to pytanie, na które warto spróbować odpowiedzieć. Choćby dlatego, że tamto weto nie było ani pierwsze, ani ostatnie.

Podobnie jest także tym razem, kiedy to Sejm - powtórnie uchwalając ponad dwiema trzecimi głosów ustawę zmieniającą zasady waloryzacji rent i emerytur na rok przyszły - odrzucił weto prezydenta. Tym razem - miejmy nadzieję - już ostatnie. Polityka obstrukcji musi bowiem być zastąpiona polityką konstrukcji lepszych rozwiązań niż te, które jest w stanie zaproponować rząd. I to nie tylko obecny; problemy podobne, choć na mniejszą skalę, występowały także poprzednio. Moje usiłowania, aby odżegnać Lecha Wałęsę od wetowania tej i kilku poprzednich ustaw nie na wiele - poza dwoma wcześniejszymi wyjątkami - się zdały. **Prezydent kieruje się innymi kryteriami, których w żaden sposób nie mogę jako wicepremier odpowiedzialny za sprawy gospodarcze i minister finansów Rzeczypospolitej podzielać.**

Nigdy nie zaakceptuję działań, które w istocie prowadzić mogłyby do podważenia podstaw funkcjonowania państwa. A takim fundamentem są finanse publiczne. Nigdy też aprobaty nie powinny zyskać działania, które pod różnymi pozorami - najczęściej populistycznym wołaniem o interesy warstw biedniejszych - prowadziłyby do odwrotnych niż deklarowane cele. Gra polityczna prowadzona przy takich okazjach polega na tym, że - ze względu na zawichości polityki finansowej i dochodowej - **łatwo jest manipulować opinią publiczną i przynajmniej część z niej wprowadzać w błąd**, a odpowiedzialność za negatywne następstwa zrzucić na innych. O zgrozo, dla niektórych to jest właśnie istota polityki!

Wspomniana **ustawa gwarantuje wzrost realnej siły nabywczej świadczeń emerytalno-rentowych w 1996 roku o dwa i pół procent**. Gwarancji takich nie ma wiele innych grup, w tym pracownicy sektora przedsiębiorstw. Taki wzrost świadczeń jest nadal olbrzymim obciążeniem dla budżetu, a więc dla podatników, ponieważ dotacje do systemu ubezpieczeń społecznych są nadal największą pozycją w strukturze jego wydatków. Ogranicza to możliwości znaczniejszego wzrostu wydatków na inne cele.

Cała trudność polega na tym, że w Polsce mamy wyjątkowo dużo świadczeniobiorców w stosunku do ludności aktywnej zawodowo i dlatego też - pomimo realnego wzrostu świadczeń - wciąż jeszcze dla około 15-20 proc. emerytów i rencistów ich poziom nadal pozostaje bardzo niski.

Warto dodać, że przyszluczna poprawa sytuacji materialnej tej czwartej części naszego społeczeństwa (właśnie tak - co czwarty Polak to emeryt i rencista) będzie jeszcze poprzedzona podwyżką tych świadczeń o ponad piętnaście procent już w grudniu. **Prezydent Lech Wałęsa sam nieopatrznie przyznał, że chodzi mu bardziej nie tyle o ich losy, ile o głosy**, ponieważ poprzednio stracił ich dwadzieścia procent, gdy podpisał inną ustawę, jeszcze za rządu Hanny Suchockiej. Być może sądził, że je odzyska, jeśli tym razem nie podpisze tego, co postanowił parlament po długich i trudnych debatach. Ale zablokowanie tych rozwiązań poprzez destabilizację finansów publicznych i wyższą inflację doprowadziłoby rychło do pogorszenia sytuacji nie tylko emerytów i rencistów, ale również innych grup społecznych. Oczywiście, nastąpiłoby to jakiś czas po wyborach prezydenckich, a odpowiedzialność w całym tym zgiełku i tak dałoby się zwalić na rząd - i to obojętnie jaki, choć nasz cieszy się tu szczególną atencją.

Ta i inne ustawy zostały wypracowane - niekiedy z wielkim trudem - przez parlament. To razem 460 posłów i 100 senatorów, wybranych w powszechnych, demokratycznych wyborach. Podobnie jak jeden prezydent. Nie może być tak, że w tej konfiguracji politycznej nadużywa się takich demokratycznych instytucji państwa prawa, jak weto prezydenckie czy też zaskarżanie do Trybunału Konstytucyjnego uchwalonych - niekiedy nawet dwukrotnie - ustaw. Jest to swoiste liberum veto, które zniweczyć może nie tylko zbiorowy wysiłek kilkuset parlamentarzystów, wyrażających przecież interes ogólnospołeczny, ale szkodzić temu interesowi. **Czasz liberum veto minęły bezpowrotnie, a dziś wracają nieomal jak chichot historii. Ale tu nie ma się z czego śmiać.** Sprawy są zbyt poważne.

Dlatego nie bacząc na okoliczności, trzeba dalej ciągnąć ten kierat i kontynuować wysiłki na rzecz kompleksowej reformy systemu ubezpieczeń społecznych. Słuszna jest bowiem krytyka, że działania te są opóźnione. Ich podjęcie napotyka szczególnie opór politycznej materii, także w łonie rządzącej koalicji. **Nie da się zreformować systemu rent i emerytur bez szerszego zrozumienia społecznego i kompromisu politycznego.** To było wyraźnie widoczne po raz kolejny w przebiegu debaty sejmowej nad odrzuceniem weta. Szczególnie niepokojące jest tutaj zachowanie Unii Wolności, która głosując przeciwko ustawie, głosowała sama przeciwko

Odpowiedzi i pytania

sobie, przeciwko swoim wcześniej słusznie forsowanym reformom. Ale mimo to - a może właśnie dlatego - trzeba już teraz przystąpić razem do dalszych prac, włączając do nich wszystkie bez mała, a nie tylko koalicyjne siły parlamentarne - od Unii Wolności do PPS. Koalicja jest do tego gotowa, ponieważ reforma ubezpieczeń społecznych to nie tylko zmartwienie rządu, ale nas wszystkich. Także następnego prezydenta.

Warszawa, 2 października 1995 r.

Polska na szczycie

Gdy ktoś czyta słowa: **Rosnąca reputacja Polski jako »tygrysa« gospodarczego środkowej Europy została wzmocniona przez tegoroczny rekordowo duży, ciągniony przez eksport wzrost, któremu towarzyszy jeszcze wysoka, ale spadająca inflacja**, mógłby odnieść wrażenie, że wypowiedział to rzecznik naszego rządu albo też że jest to fragment z mojej konferencji prasowej. Tymczasem to cytat ze specjalnego dodatku do profesjonalnego i prestiżowego „Financial Times” przygotowanego specjalnie w związku z odbywającym się właśnie w Waszyngtonie dorocznym szczytem Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Poprzednio - jako polski gubernator w MFW - uczestniczyłem w spotkaniu tego rodzaju w Madrycie rok temu (*Prawie wszystkie pieniądze świata*, „Polityka” 41/1994). Od tamtego czasu zmieniło się wiele, nie tylko w naszej gospodarce, ale także w szerokim świecie. Na tym tle Polska i dorobek kilku lat naszej rynkowej transformacji budzi tutaj szczególne uznanie.

Na przykład zagraniczne inwestycje bezpośrednie w Polsce są w tym roku największe; podczas pierwszych dziewięciu miesięcy przekroczyły 1,6 miliarda dolarów i już wynoszą więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Niezależnie od rosnącej atrakcyjności dla inwestorów zagranicznych, lokujących swoje kapitały bezpośrednio w Polsce, jesteśmy już także obecni na światowym rynku finansowym wskutek pierwszej, dokonanej latem tego roku emisji naszych obligacji. Wyraźnie poprawiła się zatem nasza międzynarodowa pozycja finansowa, co ma wpływ na naszą politykę pożyczkową wobec MFW i Banku Światowego.

Fakty ilustrujące stabilizację i wzrost polskiej gospodarki są w Waszyngtonie oceniane bez takich emocji, jakie w ferworze walki politycznej wy-

stępują u nas. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, jak i Bank Światowy szczególnie wagę przykładają do analizy naszych dokonań i sposobów rozwiązywania problemów gospodarczych. Wynikają stąd bowiem liczne wnioski dla innych krajów reformujących gospodarkę, a także dla polityki tych instytucji wobec przemian rynkowych. Zmiany, jakie zaszły w Polsce, są oceniane pozytywnie i uznawane za godne naśladowania. Miałem okazję dyskutować o tym nie tylko z wieloma ekspertami MFW i BŚ, ale także z ministrami finansów krajów członkowskich CEFTA oraz Rosji i kilku innych państw wyłonionych z byłego Związku Radzieckiego.

Przydatność naszych doświadczeń - pozytywnych i negatywnych - dla innych była przedmiotem mojej rozmowy z dyrektorem zarządzającym MFW, Michele Camdessus, i jego pierwszym zastępcą, profesorem Stanleyem Fischerem, jednym z wybitniejszych współczesnych ekonomistów. Istnieje zgodność poglądów co do tego, że utrwalenie dotychczasowych osiągnięć transformacji polskiej gospodarki i ograniczenie pozostających wciąż jeszcze zagrożeń dla tego procesu wymaga reformy systemu ubezpieczeń społecznych i kontynuacji zmian strukturalnych. Na tym tle niepokój budzą w tutejszych kręgach, sprzyjających naszym wysiłkom na rzecz rynkowej transformacji, działania hamujące reformy, w tym zwłaszcza utrudnianie pożądaných zmian w finansowaniu systemu emerytalnego. Pewne refleksje wywołuje także postęp w zakresie prywatyzacji (a sektor prywatny wytwarza już około dwóch trzecich dochodu narodowego), jak i mała skuteczność polityki monetarnej w zakresie kontrolowania przyrostu rezerw dewizowych i - w rezultacie - także podaży pieniądza. Osłabia to bowiem efekty działań antyinflacyjnych, pomimo konsekwentnej polityki dochodowej i utrzymywania kolejny rok z rzędu deficytu budżetowego poniżej trzech procent PKB. A tego zazdrości nam nawet, odchodzący po dwunastu latach z funkcji ministra finansów Szwajcarii, Otto Stich. W ostatnich latach kierował on w MFW konstytuanta, której członkiem jest Polska, jak również pięć środkowoazjatyckich państw poradzieckich - Azerbejdżan, Kirgizja, Tadżykistan, Turkmenia i Uzbekistan.

Rynkowa transformacja w naszej części świata stanowi jeden z ważnych wątków tegorocznych debat na szczycie, ale z pewnością nie dominujący. Wiele bowiem zmieniło się - i to często w sposób bynajmniej nie przewidywany w Madrycie - podczas minioriego roku. Meksyk, z gwiazdy procesu dostosowawczego, stał się przedmiotem troski w wyniku bezprecedensowego kryzysu finansowego, którego rozmiary i zakres przerosły także możliwości szybkiego odreagowania ze strony MFW. Inne główne obszary

Odpowiedzi i pytania

zainteresowań to mizerna ostatnio aktywność japońskiej gospodarki, nieprzewidywalne zmiany kursu amerykańskiego dolara oraz wahania co do dalszego postępu w zakresie tworzenia unii monetarnej w zachodniej Europie.

Niezależnie od tych nowych zjawisk, które mniej czy bardziej zaskoczyły światową gospodarkę w minionym roku, nadal dotkliwie są inne problemy. W szczególności dotyczy to wysokiego bezrobocia, które - pomimo ożywienia koniunktury - nie ulega wyraźniejszej redukcji. Drugi narastający od kilku lat problem i chyba największe wyzwanie na przyszłość to finansowanie systemu ubezpieczeń społecznych dla starzejącej się ludności. I wreszcie trzecia kwestia to zapóźnienie ekonomiczne najbardziej rozwiniętych regionów świata. Trudno w tym zakresie - z kilkoma wyjątkami - dostrzec większy postęp. MFW i Bank Światowy kolejny raz są z tego punktu widzenia krytykowane. Są wszakże również pewne pozytywne procesy w tym zakresie, w szczególności w takich krajach jak Indie czy Wietnam, nie mówiąc już o Chinach, które od kilku już lat odnotowują znaczące osiągnięcia. Najgorzej nadal jest pod tym względem w Afryce. Ten kontynent pozostaje wyzwaniem dla nas wszystkich.

Warto może przy tej okazji odnotować, że obszar niepewności *co do* tempa rozwoju gospodarczego jest zaskakująco duży, i to nawet w odniesieniu do najbardziej, wydawałoby się, dojrzałych i ustabilizowanych gospodarek. Często spotykam się z krytyką za byle odchylenie rzeczywistego przebiegu procesów gospodarczych czy finansowych od naszych przewidywań. A tu raptem okazuje się, że MFW rok temu zapowiadał wzrost gospodarczy w siedmiu najbardziej rozwiniętych krajach świata w 1995 roku (Francja, Japonia, Kanada, Niemcy, Wielka Brytania, Włoch i USA) na 2,7 proc. Wiosną podwyższył prognozowany wskaźnik do 3 proc, aby teraz obniżyć go z kolei do tylko 2,4 proc. Wypada się na tym tle cieszyć, że nasze przewidywania co do wzrostu PKB w tym roku o 5,5 proc. też się nie sprawdzą, choć wzrost produktu krajowego brutto będzie - odwrotnie niż w krajach grupy G-7 - wyższy i sięgnie 6,5 do 7 proc. Niektóre szacunki Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, jak również niezależnych ekspertów, mówią nawet o wzroście 8-procentowym. Dawałoby to nam już nie tylko najwyższe tempo rozwoju w Europie, ale także jedną z czołowych co do dynamiki gospodarczej pozycji w świecie.

Tak właśnie polska gospodarka wspina się na szczyt. Z zewnątrz postrzega się przede wszystkim rezultaty tej wspinaczki. U nas natomiast

uwagę społeczną przykuwa głównie wysiłek, jaki podczas tej wspinaczki trzeba ponieść i towarzyszące temu koszty. Ale z pewnością nie jest to zwykła praca. Obojętnie skąd na to spojrzeć, warto widzieć szczyt.

Waszyngton, 9 października 1995 r.

Batalii o podatki ciąg dalszy

We wszystkich demokracjach od czasu do czasu toczą się niezwykle żywe **batalie o podatki. O ich wysokości decydują parlamenty.** Ten demokratyczny tryb podejmowania decyzji ma oczywisty wpływ na przyszły kształt parlamentów (wyborcy bowiem przywiązują szczególną wagę do obciążeń podatkowych, które nakładają na nich ich wybrańcy) jak i na rozwój gospodarki. Dla mnie to ostatnie jest najważniejsze i z tego też punktu widzenia warto spojrzeć na podjęte ostatnio w Sejmie postanowienia.

Od strony finansowej najważniejsze wydaje się zapewnienie odpowiednich dochodów budżetu państwa. Nowe rozwiązania taki poziom w przyszłym roku powinny zapewnić, choć pojawia się tutaj pewne ryzyko. Zważywszy na system sprzężeń, jaki występuje w systemie finansów publicznych oraz na cały system ulg podatkowych, **nie ma pewności, że w pełni zagwarantowane będzie uzyskanie wpływów w wysokości zakładanej w projekcie budżetu państwa na 1996 rok.**

Co więcej, rozbudowany system ulg - a wygląda na to, iż ambicją każdej partii jest przeforsowanie choćby jednej nowej - doprowadzić może do sytuacji, w której nasz system podatkowy będzie wyglądał podobnie jak ser szwajcarski, tyle że będzie składał się przede wszystkim z dziur. Dlatego wprowadzone do systemu fiskalnego ulgi rodzinne powinny być skorelowane z ograniczeniem zasiłków rodzinnych. Wdrażanie natomiast ulg za korzystanie z odpłatnych usług zdrowotnych wymaga dostosowania po stronie nakładów publicznych na służbę zdrowia.

Od strony ekonomicznej niepokój budzić może oddziaływanie nowych stawek podatków od dochodów osobistych na proces formowania się kapitału, tak ważny w tej fazie tworzenia i rozwoju gospodarki rynkowej. Rzecz w tym, że nowa skala może pociągnąć za sobą **zmniejszenie skłonności do oszczędzania.** Wyższe grupy dochodowe z reguły odkładają nie

Odpowiedzi i pytania

tylko więcej w ujęciu absolutnym, ale także oszczędzają większą część swego dochodu. W populistycznym odruchu Sejm odrzucił propozycję, którą popieram, aby - skoro nie ma zgody na przywrócenie od 1997 roku poprzednich stawek w wysokości 20, 30 i 40 proc, a taki wniosek został słusznie zgłoszony w trakcie debaty sejmowej - przynajmniej obniżyć przy tej okazji górną stawkę podatkową do 43 proc, co byłoby gospodarczo korzystne i nie stanowi żadnego ryzyka dla budżetu.

Środki w rękach niższych grup dochodowych, przejęte od osób więcej zarabiających, zostaną przeznaczone głównie na bieżące wydatki, a nie na oszczędności, z których właśnie finansuje się inwestycje. Te inwestycje przesadzają o wzroście produkcji, a w konsekwencji także o wyższym dochodzie w przyszłości, w tym także o poprawie sytuacji materialnej ludności obecnie mniej zamożnej. Jej trzeba pomagać - i to czynimy - poprzez stosowanie właściwych instrumentów polityki dochodowej, a nie fiskalnej. Od października tak właśnie stało się z płacą minimalną, która zwiększyła się do 305 nowych złotych i nadal będzie rosła w przyszłości. Już z początkiem grudnia o około 15 proc. wzrosną renty i emerytury, także te najniższe.

Redystrybucja dochodów metodami fiskalnymi od grup bardziej do mniej wydajnych sprzyja zwiększaniu wydatków gospodarstw domowych na konsumpcję - i to zwłaszcza tanich, krajowych produktów, głównie żywności. To jest prawda. Ale sugestia, że takie dodatkowe wydatki pociągałyby za sobą wzrost rodzimej produkcji, w tym też rolniczej, jest już bardzo wątpliwa. Mogą one spowodować w pierwszej kolejności - niezależnie od zwiększonego importu - dodatkowy wzrost cen, a więc większą inflację.

Od strony społecznej redystrybucja, polegająca na przepływie części dochodów od warstw wyżej do grup niżej uposażonych, jest kontrowersyjna. Uważam, że w sumie dobrobyt społeczny w wyniku tej operacji nie będzie większy, ale wręcz mniejszy. Innymi słowy, **stopień niezadowolenia z nowych rozwiązań fiskalnych wśród bardziej wydajnych i aktywnych warstw społeczeństwa przewyższy płynący stąd w innych kręgach stan satysfakcji**. Dodatkowo może to nasilić nacisk rewindykacyjny na płace, które mają się zwiększyć w przyszłym roku o około 4,6 proc. (realnie) dla pracowników sfery budżetowej i około 3 proc. dla sektora przedsiębiorstw. Dla ludzi ostatecznie najważniejszy jest poziom dochodów realnych netto, a więc to, co dostają „do ręki”. Nowe stawki podatkowe spowodują, że wraz z nadchodzeniem kolejnych miesięcy - zwłaszcza latem i jesienią

- dochód nominalny netto pozostający do dyspozycji będzie odpowiednio mała, wraz bowiem z przechodzeniem do wyższego przedziału opodatkowania rosnać będą kwoty potrącanych miesięcznie zaliczek.

Od strony politycznej nie liczyłbym na miejscu autorów tych zmian na większe poparcie wyborców, ponieważ pozytywne efekty - a takie przecież też są - rozmyją się w nurcie innych równoległych procesów gospodarczych oraz społecznych. Nawet ekonomiści (albo zwłaszcza oni) nie dojdą do porozumienia, co od czego zależy, a już z pewnością, kto i co komu zawdzięcza. Pamiętać warto także, że na początku obecnej kadencji parlamentarnej zostały podniesione stawki podatkowe, choć nie było to konieczne z ekonomicznego punktu widzenia, gdyż można było prowadzić politykę budżetową bez tego. Przedstawione wówczas przez część z nas argumenty nie zostały zaaprobowane. Podobnie było w ubiegłym roku, kiedy to podjąłem nieudaną próbę przywrócenia poprzednich stawek podatkowych, która została zablokowana w łonie rządzącej koalicji opóźnieniem reformy ubezpieczeń społecznych. Dopiero teraz została ona podjęta.

W obliczu obstrukcyjnych wobec finansów publicznych i ubiegłorocznej ustawy podatkowej działań prezydenta Lecha Wałęsy zawarty został w parlamencie (bez udziału rządu) układ polityczny pomiędzy SLD, PSL i Unią Pracy. Od początku uważałem, że był on niepotrzebny, ponieważ koalicja SLD-PSL i tak była w stanie szkodliwe weto prezydenta odrzucić własnymi siłami. Tak więc **na gruncie politycznym wcześniejszą obietnicę obniżenia stawek podatkowych zastąpiono tym, że dla jednych (dotyczyć to może około 85 proc. wszystkich podatników) stawki te się obniża, ale za to dla innych po raz drugi zwiększa się obciążenia podatkowe.** Objąć to może - według wstępnych szacunków - około 15 proc. wszystkich podatników, w tym jedną czwartą uzyskujących dochody wyłącznie z wynagrodzeń oraz ponad jedną trzecią otrzymujących dochody z tytułu prowadzenia własnej działalności gospodarczej oraz uprawiania wolnych zawodów. Najwięcej skorzystaliby emeryci i renciści, pośród których aż około 95 proc. zapłaciłoby nieco niższe niż obecnie podatki.

Wreszcie **od strony moralnej, a nawet filozoficznej** pojawił się przy sposobności debaty podatkowej ciekawy i nie rozwiązany dotychczas wątek sprawiedliwości społecznej. Jeśli nie udało się tego uczynić w toku historii, to pewnie nie uda się także rozstrzygnąć tego dylematu i tym razem, nawet naszym posłom. Każdy może i często będzie się na sprawiedliwość społeczną powoływał - nawet wtedy, gdy w rzeczywistości będzie dokładnie

Odpowiedzi i pytania

odwrotnie. Uważam, że właśnie teraz - we wczesnej fazie tworzenia nowoczesnej gospodarki rynkowej i wysokiego tempa wzrostu gospodarczego - **sprawiedliwość w stosunkach podziału wyrażać powinna się w wynagradzaniu ludzi według wnoszonego przez nich wkładu do ogólnego dobrobytu.**

Stąd też zabieranie przez fiskusa coraz większej części dochodów coraz bardziej wykształconej, aktywnej zawodowo, pracowitej i wydajnej części ludności po to, aby poprzez system podatkowy przekazywać je mniej wydajnym warstwom - jest niesprawiedliwe. Ale skoro nie można tego inaczej rozstrzygnąć, jak poprzez głosowanie, to przychodzi pokornie zgodzić się, że **rację ma demokratycznie przez nas wybrana większość, a nie siła argumentów ekonomicznych.** W dłuższej perspektywie może i będzie sprawiedliwiej, ale niekoniecznie lepiej.

Warszawa, 16 października 1995 r.

Kampania nieprezydencka

Tyle jest pewnie interpretacji polityki, co i sposobów jej uprawiania. Dla jednych polityka to stwarzanie problemów komu innemu, byleby tylko samemu utrzymać się u władzy. Dla innych z kolei to **wysiłek na rzecz rozwiązywania cudzych problemów.** A wszyscy czytają, co inni o nich mówią i piszą, częstokroć od wymowy tych opinii uzależniając swoje dalsze słowa i czyny. *I tak kręci się ten polityczny młyn, który raz wyrzuca ziarna, kiedy indziej otręby.* Obywatele - wyborcy i podatnicy zarazem - muszą dokonać swych wyborów tak, aby ponieść jak najmniejsze koszty, a zyskać możliwie jak najwięcej.

Dobrze zatem jest nie kandydować i aktywnie w cudzych kampaniach nie uczestniczyć, to bowiem ułatwia szersze spojrzenie na obecną rzeczywistość. Oczywiście są także osoby **wyjątkowe wśród kandydatów na prezydenta, zorientowane w swych kampaniach właśnie na przyszłość i rozwiązywanie problemów, i bez ukrywania społecznych kontroli, i bez łatwych obietnic.** Przecież możliwe jest stawianie czoła problemom i jednoczesne pozyskiwanie poparcia społecznego w dłuższym czasie. Pytanie tylko, czy w okresie kampanii wyborczej taka uczciwość w polityce popłaca, ale o tym przekonamy się już wkrótce.



Odpowiedzi i pytania

Powoli wyzwalam się z resztek zakorzenionego w typowym dla nauki przekonaniu, że ostatecznie liczą się tylko fakty i prawda, ponieważ obserwuję ze smutkiem, że liczy się często coś zgoła odmiennego. I świetnie to rozumieją politycy, zwłaszcza ci, dla których rozwiązywanie problemów *pro publico bono* ma znaczenie instrumentalne, a co najwyżej wtórne, gdyż z ich punktu widzenia są sprawy ważniejsze - choćby sama władza. Czytałem niedawno w jednej z analiz wyników badania opinii publicznej, że **w obecnej fazie cyklu politycznego nie liczą się pozytywne fakty i argumentacja merytoryczna, ale przede wszystkim gra na nastrojach i emocjach grup społecznych**. Sztabowi socjotechnicy potrafią z tego szybko wyprowadzić wnioski dla swoich szefów, a stąd już tylko krok do szerzenia się społecznej demagogii, oskarżania innych o popełnione, a zwłaszcza o nie popełnione grzechy, czy też licytacji obietnic bez pokrycia. W stosunku do sfery ekonomicznej dotyczą one najczęściej zakłęb o równoczesnym obniżeniu podatków i zwiększeniu wszelkiego typu wydatków budżetowych. **Wygląda na to, że to kampania wyborcza na ministra finansów, a nie na prezydenta!** Otóż takie obietnice oznaczają wzywianie do działań na rzecz wyższej inflacji i szkoda, że podczas toczącej się kampanii ten temat jest dość skrętnie pomijany, wówczas bowiem trzeba by powiedzieć także coś o kosztach koniecznych do poniesienia w przyszłości.

Tym bardziej **trzeba prowadzić kampanię nieprezydencką, zwracając uwagę na to, co od czego zależy i jakich nakładów - także społecznych - wymagać będzie osiągnięcie zamierzonych celów**. Z opinią publiczną należy się nieustannie liczyć, wsłuchując się w nią, ale także przekonywać ją do swoich racji programowych. Ale opinii publicznej trzeba również umieć się skutecznie i odważnie przeciwstawić wtedy, kiedy jest ona w błędzie. Tym bardziej jest to konieczne, że w ferworze walki politycznej - w tym także podczas toczącej się u nas kampanii prezydenckiej - jest ona celowo w błąd wprowadzana.

Dlatego też trzeba nieustannie tworzyć nowe, pozytywne zdarzenia gospodarcze i z benedyktyńską cierpliwością - a nie zawsze jej starcza - merytorycznie argumentować na rzecz racji, o których słuszności jest się dogłębnie przekonany. To jest jedyne antidotum na panoszącą się demagogię i obietnice bez pokrycia. **Populistycznym iluzjom trzeba przeciwstawić programową wizję**. Jeśli jeden czy dwu kandydatów potrafiło taką wizję zakreślić, to już jest szansa, że po wyborach nadal produkcja będzie rosła, a inflacja spadać.

Politycy widzą siebie i przedstawiają innych polityków w krzywym zwierciadle. Tym lustrem wydaje się być właśnie opinia publiczna, na którą wpływ wywiera ogrom różnych czynników, często dyktowanych krótkookresowymi emocjami. I tu pojawia się niebezpieczeństwo w postaci reakcji także obliczonych na krótki okres. Niezaprzeczalnym faktem jest, że nasza gospodarka w wyniku trudnego procesu transformacji systemowej nie tylko rozwija się, ale że jest to zarazem rozwój najszybszy w Europie. W oczach opinii publicznej fakt ten jest jednak skrzywiony (bo przecież liczy się bardziej gra na emocjach i nastrojach) i nie znajduje pełnego potwierdzenia. Spośród wszystkich Polaków (inni czytają to: wyborców) w październiku o rozwoju gospodarki przekonanych było już 51 proc. ludności, podczas gdy jeszcze w lipcu tylko 37 proc. **O tym, że gospodarka się rozwija, przekonanych jest 71 proc. osób z wyższym wykształceniem, 59 ze średnim, 50 z zasadniczym zawodowym i 33 proc. z wykształceniem podstawowym.**

Oczywiście, istnieją grupy społeczno-dochodowe, które oceniają całą gospodarkę przez pryzmat swojej sytuacji materialnej, nie zawsze najlepszej. Na oceny te rzutuje wiele faktów, ale i reakcje polityczne wobec tych opinii są różne. Demagog zwali wszystko na obecny i poprzednie rządy, populistą obieca podwyżki dla najbiedniejszych i niższe podatki oraz większe wydatki. Polityk odpowiedzialny wyciągnie z tego wnioski, że **tylko i wyłącznie stabilizacja i wzrost gospodarczy w dłuższym okresie pozwoli podnieść wykształcenie społeczeństwa i jego dobrobyt poprzez poprawę wydajności pracy i lepsze jej opłacanie.** Dlatego taką wagę przywiązuję do inwestowania w kapitał ludzki. Wówczas zmieni się także opinia publiczna o tym, co już osiągnęliśmy, i jej wiedza na temat tego, co jeszcze należy uczynić. Niekoniecznie po to, aby ktoś wygrał wybory, ale dlatego, aby po prostu było nam w Polsce lepiej.

Nie jest to bynajmniej kraina czarów. Ale jest to coraz lepiej rozwijająca się gospodarka rynkowa, jest to kraj, w którym powoli **gospodarka bierze górę nad polityką - a nie odwrotnie.** Miejmy nadzieję, że kampania prezydencka niewiele już szkód tu narobi, gospodarka jest bowiem dość silna, aby obronić się przed takim niebezpieczeństwem.

Warszawa, 23 października 1995 r.

Przełom

Budżet trzeciego roku *Strategii dla Polski* jest już w Sejmii. Corocznie wypracowanie projektu tego podstawowego dokumentu uwikłane jest w liczne trudności.

Tym razem bezsprzecznie największym kłopotem było doprowadzenie do dwukrotnego uchwalenia po destruktywnym wecie prezydenta ustawy gwarantującej w przyszłym roku wzrost realnych rent i emerytur o 2,5 proc. Pokonane zostały także trudności wokół obniżenia stawki podatku importowego do 3 proc, co właśnie uczynił Sejm w minionym tygodniu. Jest to posunięcie, które powinno zwiększyć skuteczność polityki antyinflacyjnej i wymusić dalszą poprawę konkurencyjności naszej gospodarki. Nie do końca natomiast udało się przeprowadzić zamysły w zakresie upowszechniania podstawowej stawki podatku od towarów i usług (VAT), gdyż w odniesieniu do niektórych sfer (na przykład materiałów budowlanych czy środków produkcji dla rolnictwa) próby te zostały skutecznie zablokowane - z oczywistymi implikacjami dla strony dochodowej budżetu.

Różnie można oglądać budżet i czytać zapisane w nim „słupki”. Dla producentów energii najważniejsze jest to, czy jej ceny będą rosły odpowiednio szybko, natomiast dla konsumentów tejże energii to, czy będą one rosły odpowiednio wolno. Często jest tak, że to samo zjawisko - jak chociażby spadek udziału dochodów z opodatkowania przedsiębiorstw - jest oceniane jednocześnie pozytywnie i negatywnie. Jedni powiedzą, że to dobrze, ponieważ **wskutek stosowania adresowanych ulg podatkowych obniża się fiskalizm wobec przedsiębiorstw**. Ktoś inny będzie usiłował twierdzić, że oto spada dyscyplina podatkowa albo też nadmierny zakres ulg obniża realne dochody budżetu. Prawie wszyscy intensywnie działają w kierunku obniżania poziomu dochodów, inni jeszcze aktywniej zabiegają o zwiększenie wydatków, a kasa zgadzać się musi. I się zgadza.

W przekazanym do parlamentu projekcie budżetu państwa na 1996 rok dostrzec warto pięć jego wyraźnych cech.

Po pierwsze, jest to **budżet wzrostu gospodarczego**. Utrzymana zostanie wysoka dynamika owocująca wzrostem produktu krajowego brutto (PKB) w latach 1994-96 aż o prawie 20 proc. W przyszłym roku dochód narodowy zwiększy się o blisko 6 proc, a zostanie to osiągnięte głównie poprzez ponad dwukrotnie szybszy wzrost eksportu i około półtorakrotnie szybszy przyrost inwestycji. Takie relacje utrwalają tendencje do wzrostu na dłuższy

okres. Rośnie zatem także zatrudnienie oraz realne dochody ludności - zarówno płace, jak i świadczenia społeczne. W przyszłym roku ponownie ponadprzeciętnie wzrosną płace realne w sektorze usług społecznych (tzw. budżetówka), co - wraz z tegorocznymi podwyżkami, a w tych właśnie dniach trzecia ich transza trafia do ponad dwu milionów ludzi - podnosi ich realny poziom znacząco, bo aż o ponad 9 proc. w latach 1995-96. Większe także będą realne nakłady bieżące i inwestycyjne na sferę budżetową.

Po drugie, jest to **budżet stabilizacji ekonomicznej**. Jego deficyt ustalony został na poziomie 2,75 proc. PKB. Oznacza to, że wydamy o 9,5 miliarda nowych złotych więcej, niż ściągniemy do budżetu, ale tyle właśnie można sfinansować z deficytu przy zamiarze zejścia z inflacją - liczoną przyrostem poziomu cen od grudnia do grudnia - do wysokości 17 proc. Niestety, ponownie cel ten nie jest poparty dostatecznie przez bank centralny, ponieważ NBP mierzy na wyższą - rzędu 19-21 proc. - inflację. Nie znam drugiego takiego przypadku na świecie, gdzie niezależny bank centralny akceptowałby w swojej polityce pieniężnej wyższą inflację niż rząd i jego minister finansów. Ponowny brak dostatecznego wsparcia polityki budżetowej przez politykę monetarną byłby z pewnością dodatkowym utrudnieniem w realizacji tych społecznie pożądanych celów stabilizacyjnych, ale nie czyni ich niemożliwymi. Choć nie wiem, dlaczego ma być jeszcze trudniej, niż być musi?

Po trzecie, jest to **budżet priorytetów społecznych**. Co najmniej trzy z nich rysują się wyraźnie. Szczególnie rosną **nakłady na inwestowanie w kapitał ludzki**, zwłaszcza w zakresie nauki i szkolnictwa wyższego, wobec tych sfer bowiem realne nakłady zwiększają się na dużą skalę, odpowiednio o 7,6 i 13,5 proc. Odczuwalnie większe będą także środki na kulturę, oświatę i reformę służby zdrowia. Wprowadzane są ponadto systemowe ulgi podatkowe związane z inwestowaniem w kapitał ludzki, które powinny zachęcać do zwiększonych nakładów na ten cel tak ludność, jak i firmy. Drugim ważkim priorytetem przyszłorocznego budżetu jest **bezpieczeństwo** obywateli, ale także bezpieczeństwo obrotu gospodarczego i dalsza absorpcja „szarej strefy”. Także tutaj skoncentrowane będą rosnące ponadprzeciętnie środki, których będzie w granicach 5 do 7 proc. realnie więcej. I wreszcie trzeci priorytet w polityce rządu to **rozwój obszarów wiejskich**. Chodzi nie tylko o budżetowe wsparcie dla czwartej części naszego narodu żyjącej na wsi, ale o skuteczne wspomóżenie trudnego procesu restrukturyzacji wsi i rolnictwa. A jest to konieczne w kontekście

Odpowiedzi i pytania

integracji Polski z Unią Europejską. O tym nie wystarczy mówić, za to trzeba też płacić. I stąd właśnie bierze się kilkunastoprocentowy wzrost nakładów na rozwój obszarów wiejskich w budżecie na rok 1996.

Po czwarte, wygląda na to, że będzie to **budżet przełomu finansowego**. Po raz pierwszy bowiem udaje się przełamać bardzo niekorzystną i niebezpieczną wręcz tendencję lawinowego narastania sztywnych wydatków w postaci kosztów obsługi długu publicznego oraz dotacji do systemu ubezpieczeń społecznych. Tym razem realne wydatki na obsługę długu publicznego spadają. Zapoczątkowanie reformy systemu ubezpieczeń społecznych umożliwia po raz pierwszy bezwzględny spadek dotacji. A obie te grupy wydatków przez lata narastały jak dwie toczące się kule śnieżne. Teraz - i to jest przełom - mogą one zacząć topnieć. Przy takich proporcjach i tendencjach możliwe jest także zmniejszenie skali redystrybucji PKB przez budżet. Obniża się ona po stronie dochodów o 0,5 proc, a po stronie wydatków nawet o 0,8 proc. Dowodzi to mniejszej skali fiskalizmu w gospodarce i postępu w zakresie rynkowych reform ustrojowych.

Po piąte, jest to **budżet kompromisu politycznego**. W tej fazie prac został on osiągnięty w łonie rządu i koalicji SLD-PSL. Może jest także szansa na szerszy kompromis? Kompromis pomiędzy reformatorskim nurtem koalicji i opozycji w interesie wzrostu i stabilizacji. Ale to już jest rozdział, który rozegra się wokół przyszłorocznego budżetu w parlamencie. Rząd swoje zrobił. Na czas, na korzyść całego społeczeństwa.

Warszawa, 30 października 1995 r.

Najlepsza polityka to skuteczna polityka

W czasach, kiedy wielu z nas zajmuje się inną polityką - jest pilna potrzeba pracy u podstaw, rzecz można - **polityki organicznej**. U podstaw to znaczy także w przedsiębiorstwach, którym trzeba pomóc w trudach procesu dostosowawczego. Powinno nas być stać na podwojenie dochodu narodowego (PKB) podczas siedmiu - ośmiu lat. Możliwe to będzie tylko przy wsparciu strategii makroekonomicznej odpowiednią polityką strukturalną, mającą na celu dalszą poprawę międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki.

Daleko zaszły już zmiany na tym polu. Polska jest w tym roku pierwszą i jedyną transformowaną gospodarką, która osiągnęła poziom PKB sprzed okresu załamania, ale jej struktura jest odmienna. Zmiany te dokonały się na drodze eliminowania zbyt dużej produkcji, a później poprzez wprowadzenie na rynek nowych dóbr i usług.

Najpierw mieliśmy głębokie załamanie produkcji przemysłowej (o blisko 40 proc. w latach 1990-91), a później jej szybki wzrost (o prawie 25 proc. w latach 1994-95). Na początku transformacji miała obowiązywać koncepcja, w myśl której **„najlepsza polityka przemysłowa, to brak polityki”**. **Stąd już krótka była droga do niekontrolowanego załamania produkcji**. W obliczu lawinowego narastania bezrobocia polityka strukturalna zaczęła odchodzić od takiego ujęcia już w 1992 roku, choć dopiero w ramach *Strategii dla Polski* sformułowana została w pełni alternatywna koncepcja. Jest ona jednak nadal krytykowana.

Pojawiają się np. opinie, jakoby przyszłoroczny budżet zakładał wydatkowanie środków „na utrwalanie nieefektywnych czy przestarzałych struktur”. Otóż tak nie jest, ponieważ **budżet preliminuje środki na aktywne wspieranie konkurencyjności polskiego przemysłu**. Metody i procedury rozdziału tych twardo ograniczonych nakładów są ściśle i rygorystycznie określone - w samej ustawie budżetowej, jak i w innych dokumentach, w tym także opracowanych przez Bank Światowy. Obrazowo mówiąc, przypominają one stosowanie „kija i marchewki”. Tego rodzaju **środki są adresowane do dobrych, a nie do złych przedsiębiorstw** - i to stanowi fundamentalną cechę naszej polityki strukturalnej. Trafiają one tam, gdzie dzięki ich zastosowaniu w przyszłości spadają, a nie rosną obciążenia budżetu, a w dalszej kolejności rosną, a nie zmniejszają się jego dochody wskutek poprawy rentowności przedsiębiorstw. Nie jest to zatem marnotrawstwo grosza publicznego, ale jego inwestowanie. By to zrozumieć, wystarczy wybiec myślą dalej w przód i ograniczyć kryteria ideologiczne.

Wspieranie restrukturyzacji jest jednak przez wiele grup nacisku wykorzystywane jako panaceum na własne trudności, których wiele firm nie potrafi przezwyciężyć. Ulegać takiej presji nie można. Tylko wówczas należy komuś pomagać, jeśli sam jest w stanie sobie pomóc. Wspieranie aktywnej polityką przemysłową adresowane musi być do tych podmiotów, które mają szczególnie duże znaczenie i dojrzałe programy zmian strukturalnych. Pozostawić natomiast własnemu biegowi rzeczy można - przykładowo - przemysł szklarski czy też przetwórstwo malin, choć i tu czasami warto pomóc. Ale zaden rozsądny rząd nie pozostawia hutnictwa czy

Odpowiedzi i pytania

górnictwa samym sobie. Ich kondycja ma zbyt duże znaczenie dla całej gospodarki.

Szczególnie budujące są doświadczenia przemysłu stoczniowego. Tworzy go sześć stoczni produkcyjnych i tyleż remontowych. Niektóre z nich - jak Stocznia Szczecińska, jedna z większych w świecie, czy też Gdańska Stocznia Remontowa, największy usługodawca w kraju - dobrze sobie radzą w konkurencji międzynarodowej. Inne podążają coraz skuteczniej tym śladem. Możliwe jest to dlatego, że państwo uczestniczy aktywnie w procesie przebudowy tej tak ważnej gałęzi przemysłu, która kilka lat temu skazywana była na upadek. **To właśnie polityka strukturalna - a nie jej brak - umożliwiły budownictwu okrętowemu wyjście na prostą.**

Obecnie wartość posiadanych przez nie kontraktów sięga 3,2 miliarda dolarów, co przekłada się na perspektywę opłacalnej produkcji i zatrudnienia nie tylko dla 35 tysięcy stoczniovców, ale także dla pracowników 800 zakładów z nimi powiązanych. Co więcej, **podniesienie konkurencyjności polskiego przemysłu okrętowego to istotny warunek przystąpienia Polski do OECD.** Łatwiej nam przeto teraz podejmować negocjacje w sprawie członkostwa, co może nastąpić już w przyszłym roku, przy czym dla zakończenia procesu restrukturyzacji stoczni będziemy chcieli uzyskać jeszcze kilkuletni okres przejściowy. Przy braku polityki przemysłowej byłoby to nie do pomyślenia. A przecież nie będziemy mieli szans na członkostwo w Unii Europejskiej, jeśli wpiery nie dowiedzimy naszej zdolności przystąpienia do OECD. To wymaga nie tylko wymieniałości złotego wobec transakcji bieżących, co wprowadziliśmy latem tego roku, ale także konkurencyjnej zdolności naszych przemysłów. To wymaga po prostu polityki organicznej.

Rozwój stoczni z kolei **nakręca koniunkturę w innych gałęziach**, w tym w hutach. Teraz już przemysł hutniczy ma większe szanse na restrukturyzację. Więcej trudności mamy z przemysłem zbrojeniowym, gdzie wykorzystanie zdolności produkcyjnych - mimo podwojenia w ostatnich latach - jest wciąż niskie, oraz z górnictwem. Tutaj proces dostosowań strukturalnych, polegający także na likwidowaniu zbytecznych kopalń i głębokiej redukcji zatrudnienia, potrwa jeszcze 7 do 10 lat, gdyż wymaga to stworzenia odpowiedniej liczby alternatywnych miejsc pracy.

To wszystko oczywiście nas kosztuje. Ale pytanie brzmi, czy zaniechanie **tych** aktywnych działań nie kosztowałoby jeszcze więcej? Otóż z całą pewnością tak. Liczyć bowiem trzeba koszty alternatywne. Koszty likwidacji całych gałęzi przemysłowych i masowe bezrobocie byłoby bardziej, a nie

mniej kosztowne dla podatników. Są wreszcie **koszty pokoju społecznego**, który jest wartością samą w sobie, ale ma też swoją cenę. Trzeba i warto ją płacić, choć nie należy jej przepłacać. Jeszcze większym wszakże grzechem polityki, z którego nie wystarczy się wypowiedzieć, byłoby lekceważenie tych kosztów. Tutaj także trzeba - i to stale - dokonywać wyboru. Jeśli ten dokonywany raz na pięć lat będzie także właściwy, to za mniejszą cenę wszyscy uzyskamy więcej.

Warszawa, 6 listopada 1995 r.

Już wybrali przyszłość

W ferworze prezydenckiej kampanii wyborczej usłyszeć można tak wiele opinii, że każdy znajduje w nich coś dla siebie. I być może o to właśnie chodzi. Ale jest to także dobra okazja do refleksji na temat przyczyn sukcesów niektórych narodów oraz naszej codziennej harówki, która do takiego sukcesu doprowadzić może, choć nie musi. **Jak będzie za lat kilkanaście, zależeć może od dokonywanego teraz wyboru.** Wybieramy bowiem także pomiędzy ilością czasu i energii, które przyjdzie nam poświęcić na rozstrząsanie słuszności wzniesienia licznych powstań w przeszłości, jak też czasem i nakładami, których poniesienie będzie niezbędne, jeśli w porze następnych wyborów - w roku 2000 - mielibyśmy wstępować do Unii Europejskiej. Za tydzień ta perspektywa może stać się bliższa lub bardziej odległa, jeśli zwyciężą iluzje.

Patrząc w przyszłość, trzeba umieć wyciągać wnioski z przeszłości. Nie po to, aby grać na grupowych emocjach, tylko by zrozumieć, skąd bierze się dobrobyt narodów. Polska jest chyba jedynym na świecie krajem, gdzie jeden kandydat wypomina drugiemu zdarzenia sprzed ponad pół wieku, choć obaj nie mieli z nimi nic wspólnego. Może ktoś traktować to jako argument w kampanii, choć dowodzi to słabości koncepcji programowej, bo co to za program, który skierowany jest na przyszłość? A czas posuwa nas w jedną tylko stronę - ku przyszłości. Dlatego też warto pamiętać, że **podstawy dobrobytu opierać muszą się zawsze na dwu filarach - na gospodarce i kulturze.**

Czerpiąc z innych doświadczeń trzeba akcentować w polityce rozwoju dwa zasadnicze wątki. Pierwszy z nich to makroekonomiczna **stabilizacja**,

Odpowiedzi i pytania

bez czego trudno sobie wyobrazić szanse na trwały wzrost gospodarczy, a także na stabilizację społeczną i polityczną, która nie tylko na ten wzrost pozytywnie zwrotnie oddziałuje, ale stanowi też wartość samą w sobie.

Postęp osiągnięty na polu stabilizacji ekonomicznej jest widoczny. Wyraża się w spadku inflacji aż o ponad 15 punktów między grudniem 1993 roku, kiedy wynosiła jeszcze 37,7 proc, a grudniem tego roku, kiedy to wyniesie już tylko około 22,5 proc. Warto przypomnieć, że cztery lata temu tak liczony wskaźnik inflacji przekraczał 250 proc! Co więcej, ten postęp osiągnięty jest w obliczu wzrostu dochodu narodowego podczas lat 1994-95 realnie o 13 proc. i stworzeniu przesłanek do utrzymania wysokiego tempa na przyszłość. Sytuacja byłaby jeszcze korzystniejsza, gdyby nie seryjne weta wobec reformatorskich ustaw, dotyczących sfery gospodarczej i społecznej, którymi prezydent Lech Wałęsa spowalniał tempo przekształceń. Kondycja gospodarki jest już jednak na tyle dobra, że i z tymi utrudnieniami jakoś sobie poradziła.

Drugi wątek to **inwestowanie w kapitał ludzki**. Warto przypomnieć, że tak budżet na 1994, jak i na rok 1995 spotykał się z obstrukcjami prezydenckimi - rzecz niebywała we współczesnym świecie - których koszty ponosi społeczeństwo, a ich przewyżnianie pochłaniało znowu dużo czasu i energii. Budżety te bowiem dobrze przyczyniły się do kontynuacji reform, przy czym zasilanie coraz znacześniejszymi środkami pozabudżetowymi sfery niektórych usług społecznych - zwłaszcza w nauce, kulturze i szkolnictwie wyższym - wskazuje, że także na tych obszarach działają już mechanizmy typowe dla rozwiniętych gospodarek rynkowych.

Wyraża się to m.in. w rozwijaniu systemu ulg podatkowych zachęcających firmy - tak prywatne, jak i publiczne - do bezpośredniego łożenia na instytucje nauki, kultury, oświaty czy służby zdrowia. Przede wszystkim jednak **gwarantowane są coraz większe środki z budżetu na te sfery kapitału ludzkiego**. W przyszłym roku zwiększają się realne nakłady na szkolnictwo wyższe aż o 13,6 proc, naukę - o 7,6, oświatę i wychowanie - o 5,6, ochronę zdrowia - o 5,1 oraz kulturę i sztukę - o 3,7 proc.

Osiągnięcie jakościowych zmian na tych polach wymaga kontynuacji takiej polityki przez wiele lat, a to może stać się wyłącznie na ścieżce szybkiego i stabilnego wzrostu gospodarczego. Wysiłki ku temu zmierzające łatwo jednak rozbić i od innej strony. Oto bowiem prezydent państwa - pomimo ostrzeżeń ze strony ministra finansów - kieruje do Sejmu projekt ustawy, zmierzający do przeznaczenia już od przyszłego roku aż 3 proc. PKB na obronę narodową. Oznacza to, że prezydent chciałby, aby do końca

stulecia aż 80 proc. przyrostu wydatków pieniędzy publicznych poszło na obronę narodową! To z kolei oznaczałoby, że prawie zamrożone na obecnym poziomie zostałyby realne wydatki na wymienione sfery, a także nakłady na opiekę społeczną, bezpieczeństwo publiczne oraz wspieranie rozwoju gospodarki i przyspieszanie przekształceń strukturalnych w przemyśle i rolnictwie.

Ośmiu z każdych dziesięciu złotych przyrostu nie można przeznaczać na wojsko nawet w warunkach poważnych napięć międzynarodowych, a cóż dopiero w tak korzystnej sytuacji geopolitycznej, w jakiej znajduje się nasza część świata. Nakłady na obronę narodową zresztą też rosną w przyszlórocznym budżecie - realnie o 4,3 proc. **Polska ma kroczyć do Unii Europejskiej i NATO jako państwo ustabilizowane, w warunkach spokoju społecznego, z rozwijającą się gospodarką i coraz bogatszym kapitałem ludzkim**, a to wymaga sensownego podziału efektów rosnącego dochodu narodowego, bez przywilejów dla jednych grup kosztem innych.

Myślę, że przyszłość to my już wybraliśmy. Utwierdzają mnie w tym nie tylko argumenty ekonomiczne i wiara w zdrowy rozsądek, ale także liczne kontakty środowiskowe i liczne wizyty, zwłaszcza spotkania z młodzieżą. Wszędzie podczas rozmów z młodzieżą szkolną i studencką czuć krytycyzm, ale i odpowiedzialność, chęć poszukiwania i tworzenia wizji, a nie życia iluzjami. **Młode pokolenie już wybrało przyszłość**. Warto, aby starsze to dostrzegło i swoimi wyborami tamtym wyborom dało dobrą szansę. Od sporów o znaczenie tego czy innego powstania lub dramatu narodowego są lekcje historii. A ludzie - zwłaszcza młodzi - patrzą w przyszłość. I mają rację.

Warszawa, 13 listopada 1995 r.

Uwłaszczenie w malinach

Wybory prezydenckie już za nami. Niektóre ze skutków kampanii będziemy odczuwać jeszcze przez czas jakiś. Gospodarka, dzięki swej dobrej kondycji, wyszła w zasadzie bez większego szwanku z trwających kilka miesięcy starć. Odsuwanie wszakże pewnych decyzji w gronie rządzącej koalicji ~ z jednej strony - czy też blokowanie wielu reformatorskich ustaw przez ich wetowanie i zaskarżanie oraz podsycanie inflacji wadliwą polityką

Odpowiedzi i pytania

monetarną - z drugiej strony - wszystkich nas co nieco kosztuje. Następstwa niektórych pomysłów i akcji przyjdzie nam dopiero ponieść w przyszłości, ale wszystko jest do odrobienia.

Ponieść także musimy konsekwencje decyzji, które - choć podejmowane były na najwyższych szczeblach (a może właśnie dlatego) - motywowane były przedwyborczą gorączką i dramatycznym poszukiwaniem głosów. Tylko tak bowiem oceniać można podejmowaną w przeddzień wyborów decyzję o przeprowadzeniu referendum w sprawie tzw. powszechnego uwłaszczenia obywateli. Dziwny to bardzo substytut niedotrzymanej obietnicy o najpierw stu, a potem trzystu milionach dla każdego. Była także mowa nawet o miliardzie, ale jakoś umknęło to uwadze. O co tak naprawdę tutaj chodzi?

Rok 1995 kończymy z daleko zaawansowanym procesem prywatyzacji, dzięki której już około dwóch trzecich naszego dochodu narodowego wytwarza sektor prywatny. Wpływy z prywatyzacji są w tym roku rekordowo wysokie, największy bowiem od początków transformacji jest jej zakres. Największe także w historii są bezpośrednie inwestycje zagraniczne, których poziom sięga dwu miliardów dolarów. Ale populiści i społeczni demagodzy zamierzali wszystkim wmówić, iż można wprowadzić kapitalizm wszelkiej szczęśliwości przez jakieś bliżej nieokreślone powszechne uwłaszczenie. W istocie zaś procesy prywatyzacyjne zachodzące w Polsce adresowane już są do szerokich kręgów społeczeństwa, szczególnie w ostatnim okresie.

W tym tygodniu przystąpiliśmy do dystrybucji powszechnych (nomen omen) świadectw udziałowych. Szkoda, że ustawodawca nie nazwał ich zamiast udziałowymi - uwłaszczeniowymi właśnie, świadectwo takie za symboliczną opłatę 20 złotych daje prawo udziału w programie prywatyzacyjnym, obejmującym ponad 500 przedsiębiorstw, tj. około 10 proc. (w ujęciu księgowym) majątku pozostającego jeszcze do sprywatyzowania. Z woli prezydenta Lecha Wałęsy, prawem przedwyborczej serii, przed Trybunał Konstytucyjny trafiła ustawa o komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych i ich prywatyzacji. Ma ona zagwarantować pracownikom firm podlegających prywatyzacji prawo do 15 proc. udziału w ich akcjach. W Sejmie na uchwalenie oczekuje ustawa reprivatyzacyjna, która także ma umożliwić sięgnięcie do majątku narodowego po to, aby choć częściowo skompensować krzywdy przeszłości.

Ponadto rząd przyjął ostatnio **założenia ustawy o kuponach rekompensacyjnych.** Dzięki temu programowi chcielibyśmy zrealizować orzeczenia

Trybunału Konstytucyjnego. Choć są one konsekwencją niewłaściwych decyzji Sejmu poprzedniej kadencji, to teraz dopiero podejmowane są próby zadośćuczynienia poprzez przekazanie uprawnionym grupom ludności części majątku, czyli właśnie poprzez ich uwłaszczenie. Rada Ministrów postanowiła do działań uwłaszczeniowych wykorzystać również banki, zmierzając do przekazania ich akcji wybranym grupom zawodowym w celu stworzenia dla nich funduszy emerytalnych, z których będą mogły korzystać w przyszłości. Wreszcie zaawansowane są prace nad projektem reformy systemu ubezpieczeń społecznych. Jej sensowne przeprowadzenie wymaga także wykorzystania majątku państwowego jako tzw. zasobów prywatyzacyjnych, które posłużą do kapitalizacji funduszy emerytalnych dla tych z nas, którzy do wieku emerytalnego dojdą dopiero za jakiś czas.

Można więc zauważyć, że **prywatyzacja w Polsce ma coraz więcej elementów wskazujących na jej powszechny charakter**. Wygląda inaczej niż w Czechach czy Rosji, ale inaczej nie oznacza gorzej. Przy całej krytyce przebiegu przekształceń własnościowych - a w znacznej mierze była i jest ona uzasadniona - trzeba dostrzegać te nowe wątki, które w nich się pojawiają. Ponowne zapowiadanie, że oto rozda się za darmo wszystkim dużo, jest po prostu ekonomicznie błędne, a politycznie nieuczciwe. Realizacja bowiem już przesądzonych - bądź na razie tylko zaawizowanych - powszechnych programów prywatyzacyjnych zaabsorbuje znaczną część pozostającego jeszcze do denacjonalizacji majątku. Proponując zatem w tej fazie transformacji ustrojowej takie referendum, mówić można o powszechnej iluzji obywateli, a nie o ich powszechnym uwłaszczeniu.

Równie dobrze można było zapytać pięć lat temu, czy każdy chce po sto milionów. Albo teraz zasięgnąć opinii, czy jesteśmy za niską inflacją lub też, czy opowiadamy się za trwałym wzrostem gospodarczym? Tylko że z pozytywnej odpowiedzi udzielonej na tak postawione pytania - a przecież z góry wiadomo, iż nie może być ona negatywna - nic nie wynika. Już dziś znamy odpowiedź na pytanie, które za trzy miesiące zostanie nam zadane w referendum. Ale czy warto - bo tak chciał tego jeden prezydent i 54 senatorów Unii Wolności, Solidarności i PSL - ponosić w tym celu ogromny wysiłek organizacyjny i kilkusetmiliardowe koszty, które pokrywa podatnik?

Tydzień przed głosowaniem nad propozycją przeprowadzenia referendum uczestniczyłem w Senacie w bardzo ciekawej debacie na tematy gospodarcze i finansowe. W jej trakcie jeden z senatorów zasiadających w ławach opozycyjnych zapytał mnie, o co chodzi w sprawie tego

Odpowiedzi i pytania

referendum i czy prezydent nie chce nas wszystkich „wpuścić w maliny”? Wówczas nie odniosłem się literalnie do tego ludowego porównania, ale próbowałem wyjaśnić ekonomiczne i społeczne uwarunkowania skutecznej prywatyzacji, w tym przede wszystkim podejmowane - także w parlamencie - działania uwłaszczeniowe. Teraz widzę, że wszyscy w malinach już jesteśmy. Wszyscy bowiem już wiemy, że w lutowym referendum, które zafundowali nam na nasz rachunek prezydent i Senat, odpowiedź będzie brzmiała „tak”. Ale jak brzmi pytanie?

Warszawa, 19 listopada 1995 r.

Jak wejść do klubu?

Często powtarzam, że **przystąpienie Polski do Unii Europejskiej** nie jest i nie będzie funkcją decyzji politycznych zapadających w Brukseli oraz w stolicach piętnastu państw członkowskich tego elitarnego klubu, lecz konsekwencją zwieńczonego powodzeniem procesu trudnych dostosowań strukturalnych oraz zmian instytucjonalnych. I choć wydaje się, że znacząca część nieodzownego na drodze do Unii Europejskiej wysiłku została już dokonana podczas minionych sześciu lat, to ani na chwilę nie można gubić z pola widzenia ogromu zadań, jakie wciąż jeszcze stoją przed nami.

Na drodze do pełnego członkostwa w Unii Europejskiej znajdują się ważne etapy, których osiągnięcie jest nie tylko probierzem naszej skuteczności i zdolności do osiągnięcia zamierzonych celów, ale przede wszystkim absolutnie niezbędnym - aczkolwiek nie z formalnego punktu widzenia - warunkiem wejścia z czasem do Unii. **Szczególne znaczenie ma tutaj przystąpienie Polski do OECD - Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju.** To także elitarny klub rozwiniętych gospodarczo państw świata, którego początki sięgają 1960 roku. Dzisiaj skupia on już 25 krajów, a ich liczba na początku XXI wieku zwiększyć się może o następne około dziesięć państw. Poza członkami Unii Europejskiej w skład OECD wchodzi także Islandia, Norwegia, Szwajcaria, Turcja, a z państw pozaeuropejskich USA, Kanada, Japonia, Australia, Nowa Zelandia i - od ubiegłego roku - również Meksyk.

Wkrótce do OECD przystąpić powinna Korea, później być może niektóre najszybciej rozwijające się państwa Azji Południowo-Wschodniej, skupione



Odpowiedzi i pytania

w ASEAN-ie. Z czasem dołączyć może także Chile, a w tych dniach członkiem OECD staje się pierwszy kraj z naszego regionu. Są to Czechy, które spełniają już kryteria decydujące o przyjęciu do tej organizacji. Jest to fakt znaczący, ponieważ dowodzi on gotowości OECD do poszerzania swego zasięgu o kolejne gospodarki pomimo pewnych wątpliwości, jakie zrodziły się tu i ówdzie po ubiegłorocznym krachu finansowym w Meksyku.

Chociaż wejście do OECD jest łatwiejsze niż przystąpienie do Unii Europejskiej, to wymaga ono jednak wielu wysiłków, odpowiednich osiągnięć i perspektyw. Wysiłki te ponosimy cały czas i teraz - w ciągu następnego półrocza - przyjdzie nam je zwieńczyć. Wiele jeszcze problemów pozostaje do rozwiązania, przede wszystkim w sferze dostosowującej regulacje prawne do standardów OECD. Nieustannie pracują specjalne zespoły rządowe, które przygotowują odpowiednie decyzje, w tym również zmiany ustawowe. Angażować się zatem w ten proces musi także w większym stopniu parlament - tak Sejm, jak i Senat. Teraz - po okresie przeprowadzania wielu trudnych procesów dostosowawczych w sferze realnej - łatwiej już jest dokonywać niektórych ze zmian o charakterze instytucjonalnym.

Łatwiej jednak - nie oznacza łatwo, wciąż bowiem występuje opór zmienianej materii. Czynione wysiłki obejmują tak różne sfery, jak działania poprawiające międzynarodową konkurencyjność naszego przemysłu stocznowego, dalszą liberalizację i deregulację rynków finansowych czy też nowe rozwiązania ustawowe w sprawie odpadów. W każdym z tych i dziesiątków innych przypadków przewycięzać trzeba grupowe interesy i rozwiązywać występujące pomiędzy nimi sprzeczności. I to są właśnie te koszty społeczne, które ponieść musimy, bo warto.

Wejście do OECD jest także funkcją osiągnięć gospodarczych. Wiele problemów zostało już rozwiązanych, co podkreśla także ubiegłoroczny raport paryskiego sekretariatu OECD na temat polskiej gospodarki. Ponownie oceny takie i wynikające z nich wnioski formułowane są w toczących się w Paryżu w tym tygodniu dyskusjach. Szczególnie duże znaczenie ma tutaj postęp w rozwoju sektora prywatnego, liberalizacja gospodarki i jej coraz szersze otwarcie na kontakty z zagranicą, uregulowanie zewnętrznych stosunków finansowych i wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złoto-gotówki, do czego udało się doprowadzić pół roku temu, oraz właściwe rozwiązania w odniesieniu do ochrony środowiska naturalnego.

Wreszcie aby zostać członkiem OECD, trzeba mieć perspektywę, gdyż nie wystarczą tutaj największe nawet wysiłki i spore już osiągnięcia. I polska

Co kangury noszą w torbach?

gospodarka ma takie perspektywy. Jest o tym przekonany świat, a znajduje to swoje odzwierciedlenie nie tylko w pozytywnych ocenach zagranicznych ekspertów, ale przede wszystkim w dobrych notowaniach naszych euroobligacji czy też rekordowo wysokim w tym roku dopływie prywatnych inwestycji bezpośrednich. Reakcje światowego rynku i międzynarodowej finansjery oraz inwestorów zagranicznych na wynik wyborów prezydenckich w Polsce potwierdzają przekonanie tych kręgów o naszych dobrych perspektywach rozwojowych. Przekonanie o tym znajduje także swój wyraz w zainteresowaniu wielu czołowych polityków z państw OECD rychłym przystąpieniem Polski do tej organizacji.

Co nam to da? W pierwszej kolejności same starania o członkostwo są katalizatorem przyspieszającym zdrowe ekonomicznie i w dłuższym horyzoncie korzystne społecznie zmiany strukturalne oraz systemowe, co nas prowadzi do pełnokrwistej gospodarki rynkowej. Na tym tle, poprzez poprawę międzynarodowej konkurencyjności, powstają liczne, nowe miejsca pracy, których obecnie jest o ćwierć miliona więcej niż rok temu, a za rok przybędzie ich drugie tyle. To z kolei tworzy przesłanki do wzrostu dochodów realnych przy równoczesnym postępie na polu stabilizacji ekonomicznej. Rośnie także nasz udział w międzynarodowym podziale pracy i płynących stąd korzyściach. Obejmują one stopniowo, ale konsekwentnie coraz szersze kręgi społeczeństwa. Dlatego też warto zadbać o to, aby na wiosnę także Polska stała się członkiem elitarnego klubu OECD. Już prawie stać nas na kartę klubową.

Warszawa, 27 listopada 1995 r.

Co kangury noszą w torbach?

Nadchodzi lato. Przynajmniej w Australii, gdzie wiele problemów gospodarczych i społecznych - odwrotnie niż aura - przypomina Europę. Ten kraj-kontynent, prawie dwudziestopięciokrotnie większy od Polski, choć z ludnością ponad dwukrotnie mniej liczną, boryka się także z wieloma problemami strukturalnymi, i to w epoce, kiedy świat stał się doprawdy globalną wioską. Poszukuje swego miejsca w międzynarodowym podziale pracy przy coraz ostrzejszej konkurencji, także ze strony transformowanych gospodarek naszego regionu. Powoli rośnie również zainteresowanie tym,

Odpowiedzi i pytania

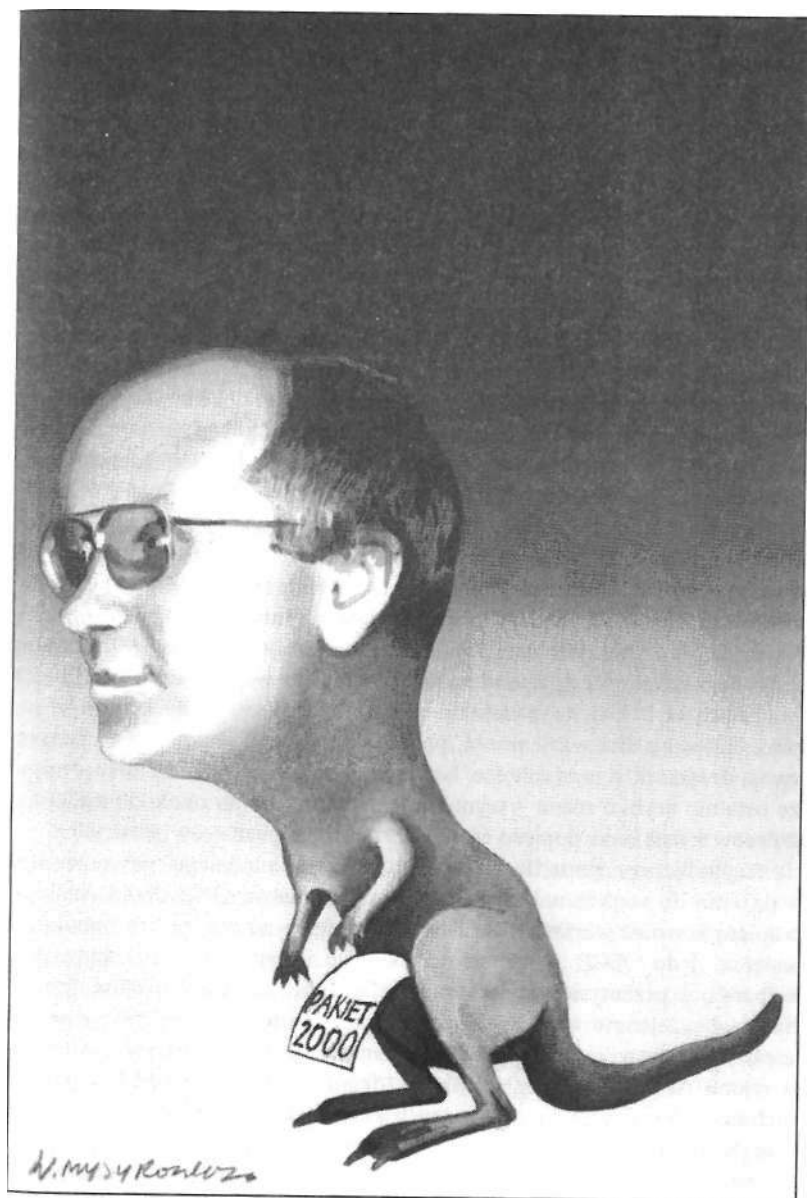
co się dzieje „na antypodach” - w Europie Środkowo-Wschodniej i byłym Związku Radzieckim. I to co najmniej z dwu powodów. Pierwszy to fakt, że kraje naszego obszaru, w tym Polska, postrzegane są jako coraz poważniejszy konkurent dla firm australijskich, głównie na rynkach Unii Europejskiej. Drugi - to dostrzeżenie, że oto w wyniku transformacji pojawiają się nowi partnerzy gospodarczy o rosnącym potencjale, szansach na rozwój handlu oraz inwestycji.

Strategicznie dla Australii najważniejszym partnerem jest region Pacyfiku. To z inspiracji tego kraju powstało i rozwija się ugrupowanie APEC, skupiające państwa leżące wokół brzegów Pacyfiku na czterech kontynentach. Także w tej odległej części świata ścieżek zrównoważonego rozwoju poszukuje się w liberalizacji handlu i regionalnej integracji, współcześnie bowiem nie sposób rozwijać się tylko na własną rękę. Z tego też obszaru pochodzi aż dziewięciu z pierwszej dziesiątki partnerów handlowych Australii. Główni pośród nich to Japonia, USA, Nowa Zelandia i Korea. Jedyne kraje spoza regionu to Niemcy, plasujące się wszakże dopiero na dziewiątej pozycji.

W poszukiwaniu rynków zbytu i nowych partnerów gospodarczych Australia jest szczególnie aktywna w regionie Indochin oraz samych Chin, widząc tam - nie bez słuszności - swoją wielką szansę. Szczególne znaczenie dla tego kraju mają trwałe związki gospodarcze, ponieważ Australia - ze względu na swą strukturę produkcji, charakteryzującą się dużym znaczeniem sektora rolniczego i surowcowego - jest szczególnie wrażliwa na koniunkturalne wahania światowych cen surowców.

Okazuje się, że zmiany ustrojowe zachodzące w Europie Środkowo-Wschodniej pogorszyły możliwości eksportowe Australii. Pewne - pośrednie przynajmniej - odbicie znajduje to w obrazie przedłożonego przez kanclerza skarbu Ralpha Willisa (o wzajemnie interesujących sprawach mam obecnie okazję również z nim rozmawiać) budżetu na 1995/96 r. Zakłada on m.in. cięcia w wydatkach budżetowych, w tym w programie przeciwdziałania bezrobociu, wzrost składek na ubezpieczenia zdrowotne, podwyżkę podatków od przedsiębiorstw, od nowych samochodów, na wyroby tytoniowe, na materiały budowlane. Wszyscy zatrudnieni będą płacić 3-procentową składkę na fundusz emerytalny.

Taki a nie inny kształt budżetu ma oczywiście swe różnorakie uwarunkowania wewnętrzne, niemniej sygnalizuje w jakimś stopniu australijską potrzebę poszukiwania nowych ścieżek ekspansji i rozwoju, co z naszego punktu widzenia można by skomentować: Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. **W Sydney spotykam się z blisko stuosobową grupą**



Odpowiedzi i pytania

inwestorów, z których część już działa na naszym rynku. Australijczycy zainwestowali dotychczas w Polsce wiele milionów dolarów i - realizując w tym roku kolejny projekt na ponad dwieście milionów dolarów - mają szansę przesunąć się nawet do pierwszej dziesiątki największych inwestorów bezpośrednich. Obecnych jest u nas wielu drobnych inwestorów, często polskiego pochodzenia, którzy zainwestowali w swoje przedsięwzięcia mniej niż milion dolarów. Takich firm, często o kapitale wspólnym z krajowymi partnerami, jest już blisko osiemdziesiąt, a ich liczba nadal będzie szybko rosła.

Zainteresowanie możliwościami lokowania w różne sektory gospodarki w połączeniu z procesami prywatyzacji wyraźnie wzrosło w ostatnich miesiącach, przede wszystkim wskutek uzyskania przez nasz kraj tzw. stopnia inwestycyjnego przy okazji pierwszej emisji polskich euroobligacji. Można oczekiwać, że z roku na rok kapitał australijski będzie płynął do nas jeszcze bardziej wartkim strumieniem. Dostrzega się bowiem tutaj również perspektywy łatwiejszego dostępu do rynków zachodniej Rosji i Ukrainy z jednej strony, oraz Niemiec z drugiej. Awansowanie przez ten kraj właśnie w tych dniach Polski z tzw. IV grupy ryzyka inwestycyjnego do grupy III wzmacnia jeszcze bardziej zainteresowanie inwestorów na antypodach.

Polska zawarła z Australią umowę o unikaniu podwójnego opodatkowania oraz o wzajemnym popieraniu i ochronie inwestycji. Chociaż na razie ta wzajemność sprowadza się głównie do wspierania australijskich inwestycji w Polsce, to nadejdzie także i taki okres, kiedy będzie to już prawdziwa i pełna wzajemność, polski kapitał bowiem znajdzie z czasem swoją drogę także w to miejsce. Nasze wzajemne obroty handlowe - mimo że ostatnio szybko rosną - wynoszą w tym roku tylko około 50 milionów dolarów i dają nam dopiero 66 miejsce na liście partnerów Australii.

Australijczycy poparli nasze - zwieńczone niedawno powodzeniem - dążenia do wejścia w skład Rady Bezpieczeństwa ONZ. Rząd Australii wspiera również starania Polski o przystąpienie na wiosnę (tu mówią, że jesienią...) do OECD. Wspólne członkostwo w tej organizacji, skupiającej najbardziej przemysłowo rozwinięte państwa, powinno ułatwić jeszcze bardziej wzajemne kontakty gospodarcze. Dostrzegam w tym również możliwość rozwoju współpracy wielostronnej: z perspektywy Australii w rejonie APEC, a z naszego punktu widzenia w obszarze CEFTA i wschodnich sąsiadów. Ponownie - po naszych wcześniejszych spotkaniach w Davos i w Singapurze - mam okazję rozmawiać o tym z ministrem spraw zagranicznych Australii, Garethem Evansem, tym razem w Melbourne.

To tutaj Elżbieta Krzesińska skoczyła po złoty medal olimpijski prawie czterdzieści lat temu. Ciekawe, kto sięgnie dla nas po złoto za lat pięć na olimpiadzie roku 2000 w Sydney? Na razie skaczą tutaj naprawdę kangury. Wreszcie mogłem przyjrzeć się, co też takiego noszą one w torbie. Otóż potomstwo. Czyli swoją przyszłość. Nawet kangury ją wybrały.

Sydney, 4 grudnia 1995 r.

Miss Sajgon

Pięćdziesiąt lat temu - w 1945 roku - w wietnamskiej prowincji Thai Binh zmarły z głodu trzy miliony ludzi. Obecnie kraj ten jest trzecim największym na świecie eksporterem ryżu. Dwadzieścia lat temu - w roku 1975 - ostatni helikopter w popłochu ewakuował grupę uciekinierów z dachu amerykańskiej ambasady w wyzwalanym Sajgonie, po czym doszło do zjednoczenia północy z południem i zapoczątkowano proces integracji państwa. Teraz Amerykanie zaczynają wracać jako turyści, a kapitał poszukuje atrakcyjnych możliwości lokowania w liczne konkurencyjne przedsięwzięcia. **W roku 1995 Wietnam jest jedną z gospodarczych gwiazd Azji, przyciągającą wielu polityków i jeszcze więcej inwestycji zagranicznych.** Za dwadzieścia lat będzie to już jeden z większych rynków, nie tylko w skali lokalnej, a za lat pięćdziesiąt gospodarka, z którą liczyć będą musieli się także moi tego świata. Już teraz warto dostrzegać potencjał tego kraju i tworzyć korzystne warunki do naszej z nim współpracy.

Od kilku lat dochód narodowy Wietnamu rośnie o ponad 8 proc. rocznie. Tylko jeszcze trzy kraje - Korea, Malezja i Tajlandia - mogą poszczycić się taką dynamiką. Wyprzedzają one pod tym względem Indonezję, Hongkong i Tajwan, a także Polskę, która przecież też należy do najszybciej rozwijających się państw świata.

Załamanie i kryzys strukturalny, jaki nastąpił po 1989 roku, po rozwiązaniu RWPG oraz upadku Związku Radzieckiego, został już prawie całkowicie przezwyciężony. Obecnie ponad 60 proc. obrotów handlowych Wietnamu przypada na Singapur, Japonię i Hongkong, a cała Europa to tylko około 10 proc. po stronie wietnamskiego eksportu i około 15 proc. po stronie importu. Tak radykalne przestawienie możliwe jest w wyniku skutecznie realizowanego programu reform gospodarczych. Ich nazwa - *moi*

Odpowiedzi i pytania

doi - oznacza odnowę, ale nie oddaje to istoty rzeczy, jest to bowiem nie tyle powrót do wcześniejszych wartości i rozwiązań, ile konsekwentne, często głębokie, choć przeprowadzane stopniowo odchodzenie od metod centralnego sterowania gospodarką.

Rośnie udział sektora prywatnego, a w rejonie miasta Ho Chi Minh, znanego bardziej jako Sajgon, przekracza on już nawet 50 proc. Prywatne firmy rozwijają się na razie głównie poprzez ekspansję coraz mniej skrepowanej przedsiębiorczości, a nie w rezultacie denacjonalizacji mienia państwowego. To czeka na swoją kolej, ale są już podejmowane pewne próby w tym zakresie, zwłaszcza poprzez tworzenie różnych form własności grupowej i spółek. Moich wietnamskich rozmówców nie bez powodu szczególnie interesowały polskie doświadczenia w zakresie rozwoju rynku kapitałowego i funkcjonowania giełdy.

Olbrzymie znaczenie dla ekspansji ma otwarcie gospodarki na kontakty zewnętrzne. Działa tutaj już ponad dwa tysiące firm zagranicznych, korzystających z liberalizowanych rozwiązań dewizowych. Wartko dopływają - zwłaszcza na południe, w rejon Sajgonu - zagraniczne inwestycje, które już przekraczają sześć miliardów dolarów. Najwięksi inwestorzy bezpośredni to Tajwan, Hongkong, Singapur, Korea, Japonia i Australia. Z państw europejskich w pierwszej dziesiątce znalazły się tylko Francja i Szwajcaria. Kapitał zagraniczny konkurować już musi ze sobą o korzystne lokaty na rynku wietnamskim. Wiele zmieniło się także w rolnictwie, które wciąż wytwarza ponad trzecią część PKB. Ale i tu liberalizacja i wprowadzenie mechanizmów rynkowych dało pozytywne skutki. Inflacja spadła z 70 proc. w 1991 roku do około 14 proc. obecnie.

Wietnam od dwu lat jest członkiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a od lata tego roku także ASEAN. Chce skorzystać z dorobku i doświadczeń państw nowo uprzemysłowionych, z czasem sam stając się jednym z nich. Na razie z dochodem narodowym rządu 250 dolarów na mieszkańca wciąż należy do najuboższych państw świata, ale to się szybko zmienia. Powszechne jest nie tylko uznanie, ale również zainteresowanie zmianami zachodzącymi w Polsce. Reformy wietnamskie różnią się od naszych innym podejściem do przekształceń własnościowych i wciąż mniejszym stopniem liberalizacji gospodarki oraz stopniowym przeprowadzaniem zmian. Ważne jest i to, że zmianom systemu gospodarczego nie towarzyszą podobne przekształcenia w sferze systemu politycznego. Jak dotychczas nie hamuje to reform gospodarczych, ale sądzę, że nadejdzie taka chwila, kiedy - podobnie jak u nas - zmiany te będą musiały iść w parze.

Miałem okazję dyskutować o tym z czołowymi politykami tego kraju, w tym z prezydentem Le Duc Anh oraz z premierem Vo Van Kiet. Sprzyjają oni dalszemu otwieraniu się na kontakty gospodarcze i zależy im szczególnie na współpracy z nami jako najważniejszym partnerem w tej części Europy. W Polsce działa już około 50 małych firm wietnamskich, na tamten zaś rynek wchodzi w zupełnie już nowym, rynkowym otoczeniu kolejne polskie przedsiębiorstwa. Główne obszary kontaktów to przemysł stoczniowy, chemiczny, energetyka i rybołówstwo, ale także przemysły lekkie, w tym spożywczy. Obroty handlowe na tym tle mogą - podobnie jak podczas ostatnich dwu lat - podwajać się rok rocznie. Sprzyjać temu będzie ponad dwa i pół tysiąca Wietnamczyków wykształconych w Polsce i znających nasz język, kulturę i gospodarkę. Wykorzystać warto także fakt, że u nas mieszka kilkanaście tysięcy Wietnamczyków (pisała o tym „Polityka”, nr 49), a warunki, jakie im ku temu stworzyliśmy, są w Wietnamie powszechnie doceniane, co jednoznacznie podkreślają moi rozmówcy.

Ekspansja na tutejsze rynki nie jest łatwa, gdyż konkurencja jest coraz silniejsza. Dopiero co wizytował Wietnam kanclerz Helmut Kohl, Niemcy bowiem zabiegają o szersze wejście do Wietnamu przez zdyskontowanie powiązań pozostających z czasów NRD. Niedawno w Hanoi gościła także premier Norwegii - Gro Brundtland. Coraz wyraźniej widać, że znowu nacierać będą Amerykanie - tym razem jako inwestorzy i partnerzy handlowi. W tych dniach trwa wizyta Fidela Castro. Tym razem to on będzie mógł skorzystać z bardzo przydatnych dla Kuby, jak sądzę, wietnamskich doświadczeń. Oparcie się bowiem na tamtych wzorcach w przypadku Kuby jest szczególnie uzasadnione. Później i tam - podobnie jak do Wietnamu - już w innym charakterze, wrócą Amerykanie.

Południe wygląda dziś inaczej niż dwadzieścia lat temu. Nawet gołym okiem dostrzec można różnice pomiędzy tym, co sam widziałem pięć lat temu, kiedy to pierwszy raz odwiedziłem Sajgon. I nie chodzi tu tylko o wielki boom inwestycyjny, ale o zupełnie inną atmosferę. Także na ulicach Wietnam zmienia oblicze. O ile kiedyś dominowały na nich przybyłe ze wsi Wietnamki z przewieszonymi przez ramiona koszami pełnymi egzotycznych dla nas warzyw i owoców, o tyle dzisiaj motocyklami i skuterami dojeżdżają do pracy setki tysięcy wykształconych i eleganckich kobiet. Zupełnie co innego bowiem dzisiaj oznacza Miss Sajgon.

Ho Chi Minh, 9 grudnia 1995 r.

Bogactwo narodów

To już dwieście dwadzieścia lat upłynęło od czasu, kiedy Adam Smith wydał swe wiekopomne dzieło *Badania nad naturę i przyczynami bogactwa narodów*. Przez ten okres świat zmienił się niepomierzenie, bogacąc się znacznie dzięki ludzkiej pracowitości i zapobiegliwości, choć tak się potoczyło koło historii, że jedne narody są wyraźnie bogatsze od innych. Różnicowanie tego bogactwa trwa nadal, są bowiem narody, które rozwijają się szybciej, ale są i takie - zwłaszcza w Afryce i niektórych obszarach Azji - które wciąż mają olbrzymie trudności z wyrwaniem się z zaklętego kręgu biedy.

Od czego zatem zależy bogactwo narodów i dokąd doszła w tym wyścigu Polska?

Wyniki badań niedawno przeprowadzonych przez Bank Światowy wskazują na trzy zasadnicze czynniki, przesądzające o poziomie bogactwa - albo biedy - różnych państw. Decydują o tym zasoby naturalne, kapitał ludzki i wartość produkcji. W rezultatach dokonywanych porównań zaskakujący jest fakt, że dużo mniejszą, niż to się powszechnie przyjmuje, wagę ma tutaj sama wartość produkcji mierzona poziomem produktu krajowego brutto. W rzeczywistości tworzy on tylko dwadzieścia, a często nawet mniej procent bogactwa. Wskazać można na przypadki, w których pomimo olbrzymich różnic w rozwoju technologicznym tylko kilkanaście procent całego bogactwa płynie z wartości produkcji, a reszta jest funkcją dwu pozostałych czynników. Tak jest, na przykład, w odniesieniu do USA i Madagaskaru, gdzie PKB daje tylko 16 proc. bogactwa narodowego. Istota różnicy sprowadza się do tego, że w tym pierwszym przypadku (USA) zdecydowanie większa część bogactwa narodu bierze się z kapitału ludzkiego, a w drugim (Madagaskar) z wartości zasobów naturalnych.

Ciekawie plasuje się z tego punktu widzenia Polska. Na liście bogatych i biednych tego świata za nami znalazło się aż 115 krajów, wyprzedza zaś nas 76. Nasze bogactwo, oceniane na 50 tysięcy dolarów na osobę, składa się przede wszystkim z wartości czynnika ludzkiego, który daje 56 proc. tego bogactwa, potem zasobów naturalnych - 31 proc. - i wreszcie samego poziomu produkcji, przyczyniającego się do naszej narodowej zasobności tylko w 13 procentach. Podobny poziom mają Czesi, ale przy nieco większym udziale kapitału ludzkiego - wynosi on tam 66 proc. - oraz produkcji (15 proc.) i tylko 19-procentowym udziale zasobów naturalnych.

Nieco tylko biedniejszy od Polski w tej klasyfikacji jest Swaziland, ale jego bogactwo aż w 73 proc. tworzą zasoby naturalne, produkcja w 9 procentach i kapitał ludzki w 18. W takim ujęciu z kolei nieco bogatsza od nas jawi się Mongolia, która - z 51 tys. dolarów na głowę - przy bardzo niskim poziomie produkcji, przyczyniającym się do jej bogactwa tylko w 3 proc, aż 79 proc. swego bogactwa czerpie z zasobów naturalnych, a jedynie 18 proc. z wartości kapitału ludzkiego.

We współczesnym świecie Polacy są w takim właśnie znaczeniu bogatsi od mieszkańców Brazylii, Iranu, Łotwy, Tajlandii, Turcji, Słowacji, Ukrainy czy Algierii. Biedniejsi zaś jesteśmy od Malezji, Wenezueli, Chile, wszystkich członków OECD i najbardziej rozwiniętych państw wschodniej Azji, a spośród gospodarek transformowanych wyżej plasują się Białoruś, Estonia, Węgry, Jugosławia, Rosja i Słowenia. Polska jest notowana jako najbogatsze państwo w tej grupie, ale znajduje się wciąż tylko na 50 miejscu w tym światowym rankingu. Wysoka pozycja Białorusi, Węgier i Słowenii bierze się z dużej wartości zasobów ludzkich, Rosji natomiast - z bogatych zasobów naturalnych.

Współczesny świat ma swoje wyraźne dwa bieguny - biedy i bogactwa. Ten pierwszy zajmują takie państwa, jak Etiopia z 1400 dolarów na głowę, Nepal, Burundi, Malawi i Uganda. Ten drugi biegun to już tradycyjnie Australia z 835 tys. dolarów, Kanada, Luksemburg, Szwajcaria i Japonia. USA zajęły dopiero dwunaste miejsce, a Niemcy piętnaste. Jest oczywiste, że taka kolejność - gdzie Nowa Zelandia sąsiaduje z Botswaną, Polska ze Swazilandem, Korea Południowa z Omanem czy też Litwa z Paragwajem - musi budzić poważne wątpliwości. Szacunki bowiem tu przytaczane są daleko posuniętym uproszczeniem, ale z drugiej strony zwracają naszą uwagę na konieczność nowego spojrzenia na sprawę bogactwa narodów.

Otóż zasoby naturalne są dane przez ziemię. Tu i ówdzie uda się jeszcze coś odkryć i wydobyć, jednakże nie tędy prowadzi droga do wzbogacenia się. Z pewnością dużą rolę nadal odkrywać będzie dynamika produkcji i jej rosnący poziom. Ale nawet uplasowanie się Polski z blisko 7-proc. tempem wzrostu PKB w pierwszej dziesiątce najszybciej rozwijających się państw świata w niewielkim tylko stopniu umożliwia nam przesuwanie się w górę na liście bogactwa narodów. **Gra o jutro odbywa się przeto głównie na obszarze czynnika ludzkiego.** Wśród najbogatszych państw - z wyjątkiem Australii i Kanady, gdzie zasadniczą rolę odgrywają zasoby naturalne - wartość kapitału ludzkiego waży szczególnie. Tworzy on bogactwo w ponad osiemdziesięciu procentach nie tylko w Belgii czy Holandii,

Odpowiedzi i pytania

a nawet w Portugalii czy na aspirującej do Unii Europejskiej Malcie, ale także w Korei, Hongkongu, Singapurze oraz Izraelu.

Zasadnicze znaczenie tak dla osiągniętego poziomu zamożności, jak i dla procesów rozwojowych w przyszłości ma zatem kapitał ludzki. Jego jakość decyduje o bogactwie narodów w długim okresie. Stąd też tak dużą wagę przypisujemy do procesu inwestowania w kapitał ludzki. Do procesu właśnie, musi to być bowiem stale obecny i eksponowany element długofalowej strategii rozwojowej. Poprawa stanu wyżywienia społeczeństwa, opieka zdrowotna, ale nade wszystko oświata i nauka oraz kultura to nie tylko konsumpcja części bieżącego dochodu narodowego, ale przede wszystkim swoiste inwestycje w przyszłość. Dlatego konieczne jest utrzymywanie wysokiej skłonności do oszczędzania - o co tym łatwiej, im szybciej rosną dochody i bardziej spada inflacja - oraz inwestowania. Przyszłoroczny budżet, nad którym w Sejmie dobiegają końca prace pod czujną pieczęcią posłanki Wiesławy Ziółkowskiej - przewodniczącej sejmowej Komisji Polityki Gospodarczej, Budżetu i Finansów - zawiera dobre przesłanki do zwiększenia nakładów na te cele. W następnych latach w szczególności zmóc trzeba będzie inwestowanie w rozwój oświaty. Powinno to być łatwiejsze dzięki szybszemu wzrostowi naszej gospodarki, a ponadto będzie zwrotnie na ten wzrost w dłuższym okresie wpływać. Dzięki temu coraz większe będzie bogactwo narodu.

I tego trzeba wszystkim życzyć. Na razie - wszystkim pod choinkę możemy położyć prezent o wartości 50 tysięcy dolarów. Wesolych Świąt!

Warszawa, 18 grudnia 1995 r.

Trzy szczęśliwe siódemki

Trudno podsumowywać rok. Każdy, a cóż dopiero taki jak 1995. Dla mnie ten drugi rok realizacji *Strategii dla Polski* to z pewnością najtrudniejszy rok w życiu, ale za to dla gospodarki jest to bez wątpienia rok najlepszy od wielu lat. Przemawiają za tym liczne fakty i obiektywne oceny, formułowane także przez niezależnych zagranicznych ekspertów oraz wpływowe instytucje, w tym zwłaszcza Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju - OECD. Trzy co najmniej są ku

temu powody. I tak się składa, że za każdym kryje się - szczęśliwa dla wielu - siódemka.

Pierwszy z nich to znaczący wzrost gospodarczy. **Produkt krajowy brutto zwiększył się bowiem w tym roku o prawie siedem procent**, co w szerokim świecie określa się jako tempo azjatyckie, a pośród transformowanych gospodarek naszej, też jakby coraz szerszej, części świata po prostu tempem polskim. Na tle tego wzrostu następuje nie tylko poprawa materialnych warunków życia coraz większej liczby rodzin, ponieważ szybciej także zwiększają się dochody realne, ale tworzone są solidne podstawy dla utrzymania tej tendencji również w przyszłości. Jest to bowiem wzrost oparty głównie na szybkim zwiększaniu się inwestycji oraz eksportu. Szczególnie rosną inwestycje sektora prywatnego, co wiąże się także z największym w okresie transformacji zakresem prywatyzacji. Dochody uzyskane przez Skarb Państwa z tego tytułu są rekordowo wysokie, a przy okazji są one kierowane na wspomaganie procesów restrukturyzacji mikroekonomicznej, bez czego utrzymanie wysokiej dynamiki rozwojowej na dłuższą metę byłoby niemożliwe. Rekordowe jest także tempo wzrostu eksportu, przekraczające (licząc w dolarach) 35 proc.

Drugi powód to **dalszy, znaczący spadek inflacji o siedem punktów** - z 29,5 proc. w grudniu poprzedniego roku do około 22,5 obecnie. Możliwe to było w warunkach dalszej liberalizacji gospodarki i zwiększania jej otwarcia na zagraniczną konkurencję. Rośnie bowiem nie tylko eksport, ale większy jest także o blisko czterdzieści procent import. Zbicie inflacji o siedem kolejnych punktów jest ściśle związane z pomyślną realizacją tegorocznego budżetu. Wiele satysfakcji dał mi w ostatnich, jakże gorzkich z innych powodów, dniach goszczący w Warszawie dyrektor Departamentu Europejskiego MFW - Michael Deppler, który wysoko ocenił nasze postępy w sferze stabilizacji ekonomicznej. Według tych opinii sytuacja w całym roku ukształtowała się lepiej, niż oczekiwał tego Fundusz. Dlaczego nie można tego usłyszeć na rodzimym gruncie? Przecież im lepiej, tym lepiej.

Oczywiście, inflacja jest nadal wysoka - za wysoka - i stanowić będzie jeszcze przez kilka lat poważny problem dla naszej gospodarki. Okazuje się wszakże, iż **przy właściwej polityce i dyscyplinie możliwe jest przyspieszenie wzrostu dochodu narodowego, jak i spowalnianie wzrostu cen**. W takich też ramach możliwe jest jednoczesne znaczące obniżenie inflacji i bezrobocia. A przecież jeszcze niecałe dwa lata temu musieliśmy wysłuchiwać licznych stwierdzeń, że to jest niemożliwe. Skoro wtedy nie trafiały racjonalne argumenty, to teraz liczyć muszą się już twarde fakty.

Trzecia przyczyna - i trzecia nasza szczęśliwa siódemka - to **wzrost zrealizowanych już bezpośrednich inwestycji zagranicznych do poziomu około siedmiu miliardów dolarów**. I tym razem rok 1995 jest rekordowy, a nawet najlepszy w historii Polski, ponieważ tylko od Nowego Roku do Sylwestra ulokowano u nas około dwa i pół miliarda dolarów. Ponad połowa inwestycji bezpośrednich z ostatnich sześciu lat przypada na okres 1994-95. Nie jest to przypadek, gdyż takie zainteresowanie i zaufanie do naszej gospodarki łączy się ściśle z jej osiągnięciami. Jedno wspomaga drugie - i odwrotnie. Ale nie to jest najważniejsze. Rzecz w tym, że zagraniczni inwestorzy lokują swoje kapitały tylko tam, gdzie widzą dla nich korzystną przyszłość. Oni też ją wybrali! A to dlatego, że w skutecznym przebiegu naszej transformacji dostrzec potrafią również szanse dla siebie.

Dla nas natomiast dopływ tak szerokim strumieniem inwestycji bezpośrednich to instrument służący poprawie konkurencyjności polskiej gospodarki i - poprzez między innymi wysokie tempo wzrostu eksportu - wzmacniania tendencji rozwojowych w dłuższej perspektywie. Dopiero na takim tle może rosnąć zatrudnienie i spadać inflacja. Raz jeszcze okazuje się, że to, co ponoć było niemożliwe kilka lat temu, teraz jest już możliwe.

Kolejną ciekawostką naszego folkloru politycznego jest to, że zagraniczni inwestorzy lepiej widzą przyszłość naszej gospodarki niż rodzimi politycy z kręgów opozycji. Tu bowiem tkwi różnica pomiędzy podejściem „im lepiej, tym lepiej”, a zgubnym przekonaniem, że „im gorzej, tym lepiej”. Cieszy zatem, że decyzje o kolejnych bezpośrednich inwestycjach zagranicznych na sumę prawie 7 mld dol. są już znane i podjęte. Teraz ich napływ zajmie już nie sześć, ale najwyżej trzy lata.

Zawsze jednak wszystko można popsuć. W czasie, kiedy o tych właśnie sprawach dyskutowałem z misją Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz ambasadorami dwudziestu sześciu państw członkowskich OECD, Sejm dyskutował na inny, bardziej pasjonujący temat funkcjonowania i ostatnich rewelacji służb specjalnych. Skoro nie można zdestabilizować sytuacji politycznej („im gorzej, tym lepiej”...) na gruncie gospodarczym - no bo jak to uczynić w obliczu tak imponujących światu osiągnięć naszej gospodarki - to zawsze jeszcze jest samorozrastający się potwór, wyłazący z teczki o czarnym kolorze. Wyobraźmy sobie, jak doprawdy niebezpieczna byłaby sytuacja i rzeczywiste zagrożenia, gdyby gospodarka nie miała się dobrze. Jak łatwo byłoby rozhuścić nastroje i skłócić różne grupy społeczeństwa, gdyby produkcja spadała, inflacja rosła, a kapitał odpływał za granicę. Ale tak nie jest, jest bowiem dokładnie odwrotnie. I dlatego też zenująca

polityczna burza rozpętana przez Lecha Wałęsę - choć narobiła Polsce dużo szkody - gospodarce chyba jednak nie zaszkodzi. Ta już wyżywi się sama. Po prostu ma szczęście, bo trzy siódemki to oczko, które wygrywa.

Do Siego Roku!

Warszawa, 22 grudnia 1995 r.

Błyszcząca moneta

To był rok! I dobrze, że już minął, a zwłaszcza, iż tak dobrze skończył się dla gospodarki. Dostrzegają to nawet najbardziej profesjonalni i najsurowsi obserwatorzy naszej polityki ekonomicznej i finansowej. W przedstawionym na gwiazdkę raporcie misja Międzynarodowego Funduszu Walutowego stwierdza: *trwa znaczący postęp w transformacji polskiej gospodarki. Realny wzrost PKB o 6 i pół procent, wymierna poprawa efektywności, spadające bezrobocie oraz przełomowe wzmocnienie zewnętrznej pozycji (włączając w to odbudowę dostępu do międzynarodowych rynków finansowych) wskazują na polską gospodarkę w 1995 roku jako na wzór, do którego aspirują pozostałe gospodarki przechodzące transformację.*

Co ważniejsze, ta pozytywna ocena przenosi się także na prognozy rozwoju sytuacji ekonomicznej w przyszłości. Eksperci MFW uważają, że *perspektywy dla polskiej gospodarki pozostają dobre. Obecne tendencje są pozytywne, plany co do polityki finansowej godne zaufania, a otoczenie zewnętrzne jest sprzyjające.*

Jaki zatem będzie nowy, 1996 rok dla naszej gospodarki, a zwłaszcza jak przeniesie się to na dalszą poprawę warunków życia rodzin? Jakie są szanse gospodarki w 1996, trzecim już roku realizacji *Strategii dla Polski*, a jakie dla niej podstawowe wyzwania? Gdzie wreszcie dopatrywać się musimy zawczasu głównych zagrożeń? Oto pytania odpowiednie na sylwestrową noc.

Konsekwentne odejście od niewłaściwych kierunków polityki makroekonomicznej i błędnych rozwiązań w zakresie zmian instytucjonalnych, realizowanych przed kilkoma laty, daje już odczuwalne skutki. Wzmocnienie złotego z równoczesnym przejściem do jego wymienialności w przeciwieństwie do wcześniejszej polityki sztywnego kursu nominalnego i centralnego nim administrowania, wyprowadzenie przedsiębiorstw z koszmarniej ingerencji popiwkowej i stworzenie podwalin systemu negocjacyjnego,

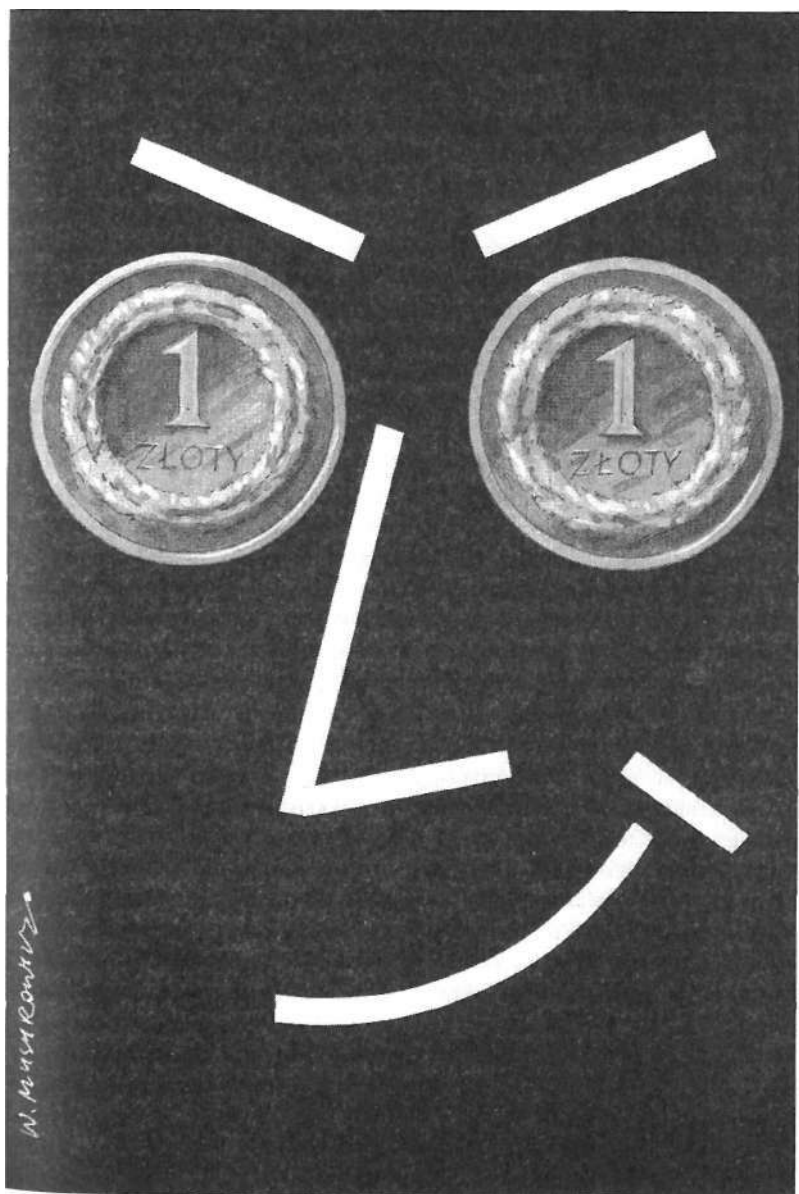
Odpowiedzi i pytania

podjęcie aktywnej polityki przemysłowej w miejsce wpędzania bardzo wielu przedsiębiorstw w kryzys niespłacalnego, prowadzącego do upadłości zadłużenia - to tylko niektóre, choć bardzo ważne elementy urzeczywistnianej ścieżki reform systemowych. Jest ona z coraz większą wyrazistością alternatywna wobec koncepcji lansowanej jako jedynie słuszna w początkowym okresie transformacji, głównie w latach 1989-91. Na takim właśnie gruncie wchodzimy w rok 1996 z perspektywą wzrostu dochodu narodowego o kolejne sześć albo i więcej procent.

W nowym roku większe znaczenie dla wzrostu będzie miał popyt wewnętrzny, którego przyrost kreowany będzie głównie przez budownictwo, w pierwszej kolejności mieszkaniowe, ale również infrastrukturalne. Wzrost realnej produkcji budowlano-montażowej w kończącym się roku aż o około 15 proc. (a więc nawet jeszcze więcej niż produkcji przemysłowej, która skoczyła o 11 proc.) oznacza w istocie boom inwestycyjny. Teraz będzie przejawiał się on już nie tylko w większej liczbie rozpoczynanych budów, ale również w rosnącej ilości oddawanych do użytku domów i mieszkań. Nadal znaczącym czynnikiem utrzymywania dobrej koniunktury gospodarczej będzie eksport, przy czym stosunkowo zwiększyć się rola współpracy z rynkami bliższego i dalszego Wschodu. Na tej fali wzrostu produkcji bardziej odczuwalna będzie poprawa w sferze finansowania nauki i kultury, co jest nie tylko wartością samą w sobie, ale również podstawą jakościowego rozwoju kapitału ludzkiego.

Ponadto bezrobocie spadnie podczas nadchodzącego roku o następne ćwierć miliona osób, a rosnące zatrudnienie w coraz bardziej konkurencyjnych przedsiębiorstwach będzie źródłem wzrostu płac. **Na następnego Sylwestra Polak będzie zarabiał już przeciętnie około 333 dolarów, ale - oczywiście - w złotych, skądinąd coraz twardszych.** Wpierz jednak będzie musiał cały rok - i to o jeden dzień dłuższy - solidnie przepracować.

Wielką szansą Polski *Anno Domini* 1996 jest członkostwo w organizacji najbardziej rozwiniętych państw świata - OECD. Moja ambicją doprowadzenia nas tam jeszcze w drugim kwartale ma pełne wsparcie nowego prezydenta - Aleksandra Kwaśniewskiego - z którym o szansach i problemach gospodarczych miałem okazję rozmawiać w ostatnich dniach starego roku. Przyjęcie do OECD wydaje się już prawie przesądzone, ale to tak jak bieg maratoński, kiedy to po czterdziestym kilometrze wydaje się, że meta tuż tuż, ale jednak trzeba się jeszcze natrudzić, aby tam dobiec. Trwają zatem spokojnie prace w rządzie i parlamencie, przybliżające nas do tej mety.



Odpowiedzi i pytania

Największym wyzwaniem roku 1996 -nie tyle dla samej gospodarki, ile dla całego społeczeństwa i jego klasy politycznej - jest właściwe przygotowanie przełomowej reformy systemu ubezpieczeń społecznych. To bardzo trudne przedsięwzięcie, wciąż jeszcze nie przygotowane ani właściwie, ani też do końca. Świadom tego w pełni jest nowy prezydent i - być może - w odróżnieniu od swego poprzednika miast blokować kolejnymi wetami nieśmiałe próby działań, podejmowane ostatnio na tym polu, będzie inspirował śmiałymi inicjatywami politycznymi oraz ustawodawczymi niezbędne reformy. To doprawdy sprawy o fundamentalnym znaczeniu dla przyszłości dalszej niż tylko rok 1996. Cała trudność polega na tym, że stopniowe zmiany systemu emerytalno-rentowego przeprowadzić trzeba w warunkach pokoju społecznego, chroniąc realną siłę nabywczą świadczeń - z jednej strony - i tworząc podstawy nowego, w jak największym stopniu funduszowego, a nie zaopatrzeniowego systemu dla następnych pokoleń emerytów - z drugiej strony. I wszystko to stać się powinno poprzez możliwie jak najmniej inflacyjne finansowanie budżetowych dopłat do świadczeń, a zarazem przy zapewnieniu środków na inne cele społeczne, z których najważniejszym w tej fazie rozwoju staje się oświata.

Najpoważniejszym zagrożeniem dla skutecznej polityki gospodarczej - obok wciąż zbyt wysokiej inflacji - jest... polityka. To ona jest chora, gospodarka bowiem jest zdrowa, jak chyba nigdy dotąd. Miejmy nadzieję, że zdrowie zwycięży. W to trzeba wierzyć i na Nowy Rok sobie nawzajem tego właśnie życzyć, a nade wszystko do spełnienia tych życzeń wspólnie zdążyć. Zamieszanie - tak szkodzące Polsce - jakie na odchodnym wywołał Lech Wałęsa, gospodarce jeszcze nie szkodzi. Ale jeśli następstwa tego zamieszania nie znajdą szybko właściwego i klarownego wyjaśnienia, to już wkrótce może to nie wyjść na zdrowie także gospodarce. Jeden z bardzo opiniotwórczych dzienników niemieckich napomknął przy tej okazji o „polskim bagnie politycznym”. To bardzo przykre czytać coś takiego. I małe to chyba pocieszenie, że na tle tego bagna gospodarka wygląda jak błyszcząca moneta. Aby jednak błyszczała dalej, musi się zmienić - i to możliwie jak najszybciej - właśnie tło, ponieważ bagno ma to do siebie, że się w nie wsiąka.

Zakopane, Sylwester 1995 r.

Ministerialna rozszada

Ogrom wyzwań, jakie wciąż stoją przed naszą gospodarką, pociąga za sobą konieczność przeprowadzenia zmian tak co do sposobu zorganizowania instytucji, które kształtują przebieg procesów ekonomicznych, jak i w odniesieniu do osób, które tymi instytucjami kierują. Takie właśnie przesłanki leżą u podstaw przygotowanej reformy pionu gospodarczego rządu, a także ostatnio dokonanych w kierownictwie Ministerstwa Finansów zmian organizacyjnych i personalnych.

Istota dokonanych zmian wiąże się ściśle z ograniczaniem zakresu ingerencji państwa w procesy gospodarcze, te bowiem - w wyniku dojrzenia mechanizmów gospodarki rynkowej - przebiegają w sposób coraz bardziej autonomiczny. Nieustannie jednak ścierają się tutaj dwie przeciwstawne tendencje, a mianowicie chęć do administracyjnego ingerowania w przebieg procesów gospodarczych i dążenie do trwałego ograniczenia możliwości takich interwencji, głównie poprzez odpowiednie reformy instytucjonalne.

Od kilku już tygodni projekt reformy centrum gospodarczego jest gotowy. Od strony legislacyjnej reforma sprowadza się do pakietu kilkunastu ustaw, które oczekują na rozpatrzenie w parlamencie. Sądzę, że jeszcze w styczniu, a najpóźniej na początku lutego sprawa stanie się przedmiotem debaty sejmowej. Już teraz jednak trzeba podejmować działania ułatwiające sprawne jej przeprowadzenie. Z tą też intencją dokonałem stosownych zmian w sposobie zorganizowania i obsady stanowisk w kierownictwie resortu wciąż najważniejszego - Ministerstwa Finansów (chyba że jest nim Ministerstwo Spraw Wewnętrznych...). Zmienia się bowiem sukcesywnie obszar i stopień oddziaływania polityki na gospodarkę. Inaczej zatem trzeba postrzegać rolę rządu i jego ministerstw na tym polu.

Jakiegolwiek by były jeszcze pozostałości etatyzmu i przeregulowania gospodarki, to faktem pozostaje, że wielkim osiągnięciem transformacji ustrojowej jest znacząca i wciąż postępująca decentralizacja i deregulacja. Jest to prostą konsekwencją prywatyzacji oraz innych reform strukturalnych dokonanych w ostatnich latach. Nie przebiegają one łatwo, ponieważ opór materii - w tym również tej politycznej i biurokratycznej - jest duży. Tym bardziej warto zaczynać od siebie, aby także innym wskazać, że skuteczność w polityce gospodarczej bynajmniej nie jest funkcją wielkości resortu, a już^z pewnością liczebności jego kierownictwa.

Odpowiedzi i pytania

Okazuje się, co nader ciekawe, że niejednokrotnie resort i minister to nie to samo. Sięgając znowu do najbliższego mi przykładu, wspomnę, że w pewnej fazie prac nad reformą centrum gospodarczego do pełnomocnika rządu, koordynującego prace w tym zakresie - ministra Marka Pola - większość uwag zgłoszonych wobec przedkładanych propozycji z wszystkich w sumie resortów wpłynęła z... Ministerstwa Finansów. Wkrótce potem minister finansów wycofał więcej uwag niż wszyscy pozostali ministrowie razem wzięci.

Nie czekając zatem na pełne wdrożenie pakietu reformującego sposób funkcjonowania pionu gospodarczego rządu, zacząłem od przeprowadzenia zmian organizacyjnych i kadrowych w Ministerstwie Finansów. Nic dziwnego, że prasowe dociekania na temat tych zmian nie prowadzą do żadnej zdroworozsądkowej konkluzji, wychodzą bowiem z fałszywego założenia, iż chodziło tutaj o jakąś politycznie motywowaną „karuzelę stanowisk”. Fakt - przyświeca mi motywacja polityczna, ale w rozumieniu polityki jako działań służących rozwiązywaniu problemów, a nie rozgrywaniu czyichś interesów. Warto zatem - pozostawiając na marginesie liczne rewelacje i spekulacje na ten temat - zwrócić uwagę na co najmniej trzy wątki dokonanych zmian.

Po pierwsze, wzmocnienie gospodarki, jej tendencji rozwojowych i dalszy postęp w sferze stabilizacji wymaga swoistego ograniczenia siły oddziaływania administracji gospodarczej, łącznie z tą najwyższego szczebla. Wówczas w większej mierze działają mechanizmy autoregulacji. To ciekawe, że nikt tego nie chce dostrzec, ale od czasu, kiedy bez mała dwa lata temu objąłem stanowisko ministra finansów, aż o trzy osoby spadła liczba stanowisk wiceministerialnych w tym resorcie. Moi poprzednicy - abstrahując od licznych deklaracji - dbali raczej o coś odwrotnego. Obecnie integrowane są zadania realizowane w poszczególnych sferach polityki finansowej. Ponadto świadomie ograniczany jest zakres zadań. Tak więc przy okazji ostatnio dokonanych zmian ubyło kolejne stanowisko wiceministerialne i dzięki temu jest lepiej, a nie gorzej, wiąże się to bowiem z poprawą funkcjonalności całego resortu na tle autentycznego postępu w sferze prywatyzacji gospodarki i jej decentralizacji. Co więcej, umiejętności wysokiej klasy specjalistów - takich jak były wiceminister Witold Modzelewski - mogą być wykorzystane gdzie indziej, w tym w dziedzinie kształcenia kadr dla administracji skarbowej różnych szczebli.

Po drugie, w obecnej fazie reform systemowych, w szczególności w odniesieniu do systemu fiskalnego i jego stabilizacji, większy akcent należy

Sport (a nie polityka) to zdrowie

kłaść na aspekty ekonomiczne niż prawne. Bynajmniej nie lekceważąc tych drugich - tym bardziej że płynące stąd doświadczenia minionych lat są dostatecznie wymowne - zasadnicze znaczenie mają zmiany, prowadzące do stabilizacji systemu podatkowego w dłuższej perspektywie. Winien on jeszcze wyraźniej ujmować związki występujące pomiędzy systemem podatkowym a kształtowaniem zdolności do oszczędzania, akumulacji i formowania kapitału. Innymi słowy, podatki muszą być postrzegane bardziej jako kategoria ekonomiczna niż prawna, a obecnie ważniejszy jest wpływ systemu fiskalnego na utrwalanie tendencji rozwojowych i wzmacnianie procesu stabilizacji niż sama jego konstrukcja. Ta bowiem została już stworzona i teraz pora wypełnić ją do końca właściwą treścią.

Po trzecie wreszcie - o ile prawdą jest, jak chce jedna z gazet, że „karuzela stanowisk” sytuacji nie poprawia, „mieszanie herbaty”, jak woli druga z nich, herbaty nie dosładza, czy też „tasowanie kart”, jak ironizuje trzecia, liczby asów w talii kart nie zwiększa, to jest jeszcze coś takiego jak rozszada. To posunięcie szachowe samo z siebie nie zmienia liczby figur będących w grze. Zmienia ono wszakże ich usytuowanie, a - w ślad za tym - sytuację taktyczną. Wówczas łatwiej wygrać partię. A jest wciąż o co grać.

Warszawa, 9 stycznia 1996 r.

Sport (a nie polityka) to zdrowie

Doroczny bal mistrzów sportu za nami. Jedni balują, drudzy politykują, a jeszcze inni ciężko trenują i dochodzą do tak wspaniałych rezultatów, jak zwycięzca tegorocznej edycji plebiscytu „Przeglądu Sportowego” - judoka Paweł Nastula. Jemu do kolekcji marzy się złoty medal olimpijski, a wielu z nas, aby sport - podobnie jak gospodarka - był w szerokim świetle ambasadorem polskiej sprawy.

Sport bowiem - bo z pewnością nie polityka - to zdrowie, ale także i sposób na sławienie naszego kraju, jego możliwości i osiągnięć. Wszystko wszakże kosztuje i - choć wielu na sporcie zarabia krocie, także w Polsce - to wpierv jednak trzeba na rozwój sportu, kultury fizycznej i turystyki sownie łążyć. Jest to także inwestowanie w kapitał ludzki i cieszę, że nakłady na ten cel rosną. W tegorocznym, właśnie uchwalonym przez

Odpowiedzi i pytania

parlament budżecie zwiększają się one realnie aż o ponad 13 proc. Większe są również środki publiczne z budżetów gmin oraz z dopłat totalizatora sportowego. Niekiedy - jak się ma wysportowaną żonę i dwie córki - to aż tak, że trzeba się brać jeszcze solidniej do roboty i więcej zarabiać. Jest bowiem na co wydawać.

Tymczasem z państwowej kasy idzie na sport więcej niż w poprzednich latach nie tylko dlatego, że jesteśmy już w roku olimpijskim, ale przede wszystkim dlatego, iż szczególną troską otaczać trzeba rozwój sportu masowego, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży.. Znakomicie do jego upowszechniania przyczyniają się nowe formy organizacyjne, wypracowane ostatnio dzięki inwencji Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, tak sprawnie kierowanego przez Stefana Paszczyka, a przede wszystkim dzięki inicjatywie nauczycieli i rodziców. To oni razem stworzyli i uruchomili w całej Polsce ponad dwa tysiące UKS-ów. Nie chodzi mi bynajmniej o Urzędy Kontroli Skarbowej (też w końcu UKS-y), ale o masowo działające Uczniowskie Kluby Sportowe. Korzystają one ze szkolnej, wciąż niedostatecznej, ale ostatnio coraz szybciej rozwijającej się i doinwestowywanej bazy. Z budżetu finansowane są także wydatki na sprzęt sportowy. Przede wszystkim pomagają jednak rodzice. Nic zatem dziwnego, że przy takim mądrym i skutecznym finansowaniu z jednej strony oraz duchu rywalizacji sportowej (pewnie dlatego młodzież mniej politykuje...) z drugiej strony w minionym roku w ponad dwunastu tysiącach szkół z udziałem półtora miliona dzieci odbyły się Igrzyska Młodzieży Szkolnej.

Lepsze jest także wspieranie przez budżet sportu osób niepełnosprawnych. Na ten cel przeznaczają się część (ponad 4 proc.) środków, pochodzących z dopłat do totalizatora sportowego. Głównie jednak służą one dofinansowaniu sportu właśnie młodego pokolenia (blisko 26 proc.) oraz inwestycjom - budowie nowych, modernizacji i remontom istniejących obiektów sportowych. Obecnie realizuje się blisko trzysta projektów angażujących środki publiczne, w tym prawie 50 basenów, ponad 80 sal gimnastycznych, 90 hal sportowych oraz 30 stadionów lekkoatletycznych. Co szczególnie cenne, uaktywniają się jeszcze bardziej przy takich okazjach samorządy terytorialne - wojewódzkie i gminne - co sprzyja rozwojowi tej bazy i jej dobremu wykorzystywaniu.

Niektóre obiekty miałem sposobność ostatnio obejrzeć. W Kaliszu przeżywałem wraz z zawodniczkami i kibicami finałowy mecz pucharu Polski w siatkówkę. Tu też pojawił się nie tylko wątek sportowy (wygrały w bardzo wyrównanym pojedynku dziewczęta z Augusto Kalisz), ale i finansowy.

Sport (a nie polityka) to zdrowie

Otóż klub ten jest własnością prywatną firmy, która w ten sposób nie tylko sponsoruje sport, ale przede wszystkim reklamuje... swoje lody. Fiskus zaś takim praktykom sprzyja, stworzyliśmy bowiem system ulg podatkowych, zachęcających do łożenia na inwestycje w kapitał ludzki, w tym na sport. Takie właśnie darowizny jeszcze w 1994 roku przekroczyły kwotę 2,7 biliona złotych, w tym znaczna ich porcja poszła na sport właśnie. Oczywiście, sponsorzy odliczyli sobie z tego tytułu określone sumy od podatku. Środków pochodzących z tego źródła jest coraz więcej.

Ostatnio zajrzałem także do ośrodka w Spale, gdzie do olimpiady w Atlancie przygotowują się czołowi sportowcy. W sumie w kraju i za granicą trenuje pod tym kątem aż 660 osób, aczkolwiek niektórzy - być może w przyszłości także olimpijczycy - na razie tylko jako sparing-partnerzy. Swoją drogą ciekawe, dlaczego nie ma tej instytucji w polityce, tylko od razu wszystko musi iść „na ostro”? Ilu sportowców pojedzie latem na igrzyska do USA - zobaczymy. Premie pieniężne, jakie uzyskają dzięki hojności sponsorów za swoje wyjątkowe wyczyny, rozslawiając przy tym ojczyznę, zwolniłem od podatku. Patrząc dalej w przyszłość, już zwiększone zostały środki z budżetu na przygotowania do następnych olimpiad - zimowej w Nagano w 1998 roku oraz letniej w Sydney w roku 2000.

Jakie są nasze szanse medalowe w tym roku? W międzynarodowych porównaniach i ocenach notowania polskich sportowców - podobnie jak gospodarki - idą wyraźnie w górę.

O ile w 1993 roku szeregowani byliśmy w rankingu olimpijskim na 19 miejscu, a w 1994 na 16, to w roku 1995 już na pozycji 11. Tuż przed nami plasują się Kubańczycy i Węgrzy, a za nami kroczą Białorusini i Anglicy. Cztery lata temu w Barcelonie nasi sportowcy zajęli 15 miejsce zdobywając 19 medali. W tym roku podatnicy, łożąc na rozwój sportu wyczynowego, mają prawo oczekiwać tych medali - powiedzmy -20. I od razu proponuję przyjąć, że będzie to zasługą Unii Wolności, a koalicja SLD-PSL nie ma z tym nic wspólnego. Co najwyżej przeszkadzała w osiągnięciu jeszcze większych sukcesów przed czterema laty w Barcelonie... Jeśli zaś uda się chociażby tylko sport oddzielić od polityki, to sportowcom wyjdzie to na korzyść, a nam wszystkim - na zdrowie!

Warszawa, 15 stycznia 1996 r.

Pięciu bratanków

We współczesnym świecie najszybciej *rozwijają* się te kraje, które potrafią dobrze skorzystać z niezwykle szybko pogłębiającego się międzynarodowego podziału pracy. Świat staje się coraz mniejszy z gospodarczego punktu widzenia i dzisiaj tylko te narody mogą się wybić, które potrafią w odpowiedni sposób włączyć się do globalnej, skomplikowanej i wyrafinowanej gry ekonomicznej. Nie ogranicza się ona bynajmniej tylko do prostej ekspansji eksportowej i zdolności do plasowania na rynkach zagranicznych jak największej ilości własnych towarów, ale do świadczenia usług, transferów kapitału, technologii, siły roboczej i własności intelektualnej, a także inwestycji. Krótko mówiąc, we współczesnym świecie bardziej już niż eksport artykułów przemysłowych czy rolniczych liczy się eksport dobrych pomysłów, ucieleśnionych nie tyle w samych towarach, ile właśnie w technologiach, usługach i kapitale.

Nasze obroty handlowe w ubiegłym roku po raz pierwszy sięgnęły aż 50 mld dolarów. Polska w ostatnich latach może odnotować na tym polu coraz większe osiągnięcia, ale wciąż jeszcze nasza pozycja nie jest dostatecznie konkurencyjna, zwłaszcza jak na jakość kapitału ludzkiego, jakim dysponujemy. Dostrzec jednak już można, że coraz większe znaczenie w naszym udziale w międzynarodowym rynku ma przepływ kapitału, lokowanie inwestycji bezpośrednich w Polsce i pierwsze, nieśmiało jeszcze nasze inwestycje w sąsiadujących państwach, a przede wszystkim rosnący udział w eksporcie usług i towarów wysoko przetworzonych, zawierających wkład rodzimej myśli technicznej i własności intelektualnej. Dowodzi tego zarówno struktura naszych obrotów handlowych, jak i ich rekordowy poziom, który w ubiegłym roku sięgnął aż 50 miliardów dolarów. Ta sfera działalności gospodarczej powinna zatem nadal być jednym z głównych kół zamachowych rozwoju polskiej gospodarki.

Nic jednak nie dzieje się w próżni. Gospodarki narodowe rozwijają się w kontekście funkcjonowania całej gospodarki światowej, ale dzieje się to przede wszystkim poprzez integrację w ramach ugrupowań regionalnych. Na mapie można dostrzec ich coraz więcej. Poczynając od Unii Europejskiej, poprzez północnoamerykańską strefę wolnego handlu NAFTA czy też państwa Azji Południowo-Wschodniej, skupione w ASEAN albo wspólny rynek kilku krajów Ameryki Południowej - *Mercosur* - do dopiero rozwijającej skrzydła organizacji państw obrzeża Pacyfiku - APEC. Z takiej też

perspektywy widzieć trzeba naszą, coraz lepiej sprawdzającą się organizację CEFTA, tj. Środkowoeuropejską Umowę o Wolnym Handlu. Została ona powołana do życia przed trzema zaledwie laty, ale już wkrótce potem, wiosną 1994 roku został w Budapeszcie podpisany dodatkowy protokół, zmieniający zakres i przyspieszający tempo wprowadzania wzajemnych koncesji w handlu pomiędzy krajami członkowskimi. Początkowo było ich cztery - Czechy, Polska, Słowacja i Węgry, a od bieżącego roku doszła jeszcze Słowenia. Ewentualnym członkostwem w późniejszym terminie zainteresowane są także inne kraje, w tym Bułgaria, Litwa i Rumunia, a nawet Izrael, ale poszerzanie CEFTA nie jest na razie na porządku dziennym.

W ugrupowaniu tym chodzi nam przede wszystkim o stworzenie trwałych podstaw korzystnej regionalnej współpracy gospodarczej - nie tylko handlowej. Ma to być instrumentem poprawy konkurencyjności naszych gospodarek i w dłuższej perspektywie sprzyjać powinno także integracji z Unią Europejską, a wcześniej przystąpieniu do OECD. Czechy już są członkiem tego klubu najwyższej rozwiniętych państw, Polska i Węgry przystąpią do niego jeszcze w tym półroczu, a Słowacja i Słowenia - nieco później. Współdziałanie także na tym obszarze uzgodniłem ze swoimi partnerami - wicepremierami do spraw gospodarczych i ministrami finansów podczas niedawnego spotkania w Budapeszcie.

Trwa proces ograniczania zakresu cel stosowanych we wzajemnych obrotach handlowych. Zapadły decyzje, że wobec towarów przemysłowych strefa wolnego handlu powstanie już z początkiem przyszłego roku, a w stosunku do artykułów rolno-spożywczych pogłębiona zostanie liberalizacja. Warto na tym tle zaznaczyć - a mało kto zdaje sobie z tego sprawę - że umowa CEFTA nawet wyprzedza czasowo harmonogram redukcji cel, obowiązujący w układach stowarzyszeniowych państw Grupy Wyszehradzkiej ze Wspólnotami Europejskimi. Jest to dodatkowy argument w naszych staraniach o członkostwo Polski i innych państw regionu w Unii Europejskiej. Po drodze niejako dokonuje się liberalizacja przepływu kapitału i siły roboczej, usług i wzajemnych inwestycji w państwach CEFTA oraz podejmowane są wspólne przedsięwzięcia, także infrastrukturalne.

To w dłuższym horyzoncie czasu. **A na krótszą metę szczególnie cieszy podwojenie naszych obrotów handlowych z CEFTA w latach 1994-95. Sięgają one już prawie 3 miliardów dolarów, a w tym roku zwiększą się o kolejne 20-30 proc.** Naszym pierwszym partnerem są tutaj Czechy z obrotami około 1,3 miliarda dolarów w 1995 roku. O połowę mniejsze,

Odpowiedzi i pytania

na zbliżonym poziomie - ponad 600 milionów dolarów - są obroty ze Słowacją i Węgrami, a listę tę zamyka mała Słowenia. Z kolei dla wszystkich tych państw Polska jest partnerem znaczącym, w sumie bowiem ponad połowa mieszkańców regionu CEFTA to Polacy właśnie, z gospodarką nie tylko największą, ale i najszybciej się rozwijającą.

Ostatnie spotkanie w Budapeszcie, które odbyło się z mojej inicjatywy, służyło także koordynacji działań i wspólnej taktyce w naszych stosunkach z organizacjami międzynarodowymi, do których razem należymy, bądź do których aspirujemy. Szczególnie ważna jest tutaj współpraca na forum Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego oraz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Doroczne zgromadzenie EBOR odbędzie się wiosną w Sofii i teraz już państwa CEFTA - mając wspólne interesy - mają też w wielu kwestiach wspólne lub zbliżone stanowisko. Podobnie będzie także w sferze naszych innych działań.

Kiedyś znane było powiedzonko o Polakach i Węgrach jako bratankach, gotowych i do biesiadowania, i do walki. Dzisiaj tych bratanków jest już pięciu. Ale pola walki leżą już zupełnie gdzie indziej - w sferze gospodarczej. Budapeszteńskie spotkanie ministrów finansów pięciu krajów CEFTA odbyło się w tej samej sali, w której kilka lat temu rozwiązana została RWPG. Czas szybko leci. Tym bardziej trzeba umieć go jak najlepiej wykorzystywać, bo jest o co walczyć we współczesnym świecie.

Warszawa, 22 stycznia 1996 r.

Pakiet 2000

Obecna faza transformacji polskiej gospodarki stwarza konieczność, a także - mam nadzieję - możliwość przeprowadzenia pewnych zmian w systemie i polityce podatkowej. Do podatków trzeba podchodzić przede wszystkim jako do instrumentu ekonomicznego, służącego formowaniu się kapitału, bez czego trudne byłoby utrzymanie tak wysokiego jak w ostatnich dwu latach tempa wzrostu. Realizacja tego celu leży u podstaw programu polityki podatkowej *Strategia dla Polski - Pakiet 2000*. Dzisiaj już - kiedy znajdujemy się w sytuacji szybkiego wzrostu - można podjąć skądinąd ryzykowną próbę zmniejszenia obciążeń podatkowych przedsiębiorstw i ludności.

PAKIET 2000



M. W. 1998

Odpowiedzi i pytania

Jeśli działania na tym polu zostaną przeprowadzone rozważnie, stopniowo, ale zarazem kompleksowo i konsekwentnie, to uda się osiągnąć zakładane cele społeczne i gospodarcze, w szczególności podtrzymać impet naszej gospodarki, pogłębić jej stabilizację i poprawić konkurencyjność. A wówczas żyć będziemy też coraz dostatniej i stać nas będzie nawet na zorganizowanie Zimowych Igrzysk Olimpijskich Zakopane 2006, który to zamiar tak jednoznacznie poparliśmy wraz z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim w ostatnią niedzielę podczas rozegranego na zakopiańskiej Krokwi Pucharu Świata w skokach narciarskich. Tylko bowiem kraj z kwitnącą gospodarką będzie mógł pozwolić sobie na przeprowadzenie igrzysk olimpijskich, a nasza gospodarka w 1999 roku - kiedy to zapadła decyzja co do miejsca światowego święta sportów zimowych w roku 2006 - będzie w jeszcze lepszej kondycji niż obecnie. Temu właśnie ma służyć *Pakiet 2000*.

Jego wdrożenie powinno ustabilizować oczekiwania wszystkich podmiotów gospodarczych - zarówno przedsiębiorstw, jak i gospodarstw domowych - co do wielkości obciążeń podatkowych i klarownych zasad, obowiązujących państwo i jego podatników. Ta podstawowa cecha *Pakietu* - stabilność właśnie - jest wartością samą w sobie. Nie oznacza to jednakże niezmiennych stawek podatkowych, tylko pełną jasność co do ich wysokości w przyszłości.

Druga fundamentalna cecha *Pakietu 2000* to rozwojowy charakter systemu i polityki fiskalnej. Sposób naliczania podatków i stosowania ulg sprzyjać będzie w jeszcze większym niż dotychczas stopniu formowaniu się kapitału, stymulowaniu skłonności do oszczędzania oraz wysokiemu poziomowi inwestowania i rozwojowi eksportu. Przyspieszonemu tworzeniu kapitału i wysokiemu poziomowi oszczędzania - a także dalszej prywatyzacji majątku - służyć ma niewprowadzanie do 2000 roku podatku od dochodów kapitałowych. Obok tych kół zamachowych działań będą z coraz to większą siłą także dwa inne, związane ze wzrostem popytu wewnętrznego. W budownictwie mieszkaniowym koniunkturę będzie nakręcał system ulg podatkowych adresowanych do ludności. Rosnący w sposób nieinflacyjny wewnętrzny popyt konsumpcyjny z kolei będzie wynikać z mniejszych obciążeń podatkowych gospodarstw domowych, a tym samym dysponowania przez nie większą efektywną siłą nabywczą, albo też - mówiąc po ludzku - większą ilością gotówki w kieszeni.

Wreszcie trzecia zasadnicza cecha *Pakietu 2000* to większa skuteczność fiskusa. Z takiej właśnie perspektywy widzieć trzeba dyskutowane już w Sejmie projekty ustaw o doradztwie podatkowym, administracji skar-

bowej czy wreszcie kompleksową ordynację podatkową. Te propozycje zostaną uzupełnione jeszcze innymi rozwiązaniami, przygotowywanymi pod kątem dostosowania naszego ustawodawstwa podatkowego do obowiązujących dyrektyw Unii Europejskiej. Po drodze niejako, w tych właśnie dniach i tygodniach, dyskutowane i wdrażane są także rozwiązania w systemie fiskalnym, zgodne z zasadami obowiązującymi w OECD.

Istota proponowanych rozwiązań sprowadza się do obniżenia stawek podatkowych przy jednoczesnym zwiększeniu wpływów do budżetu po to, aby również w następnych latach zapewnić lepsze finansowanie potrzeb społecznych i rozwojowych. Jeśli coraz więcej firm osiągających coraz lepsze wyniki finansowe będzie płacić coraz mniejsze podatki, to możliwe, że wpływy z tego źródła, jakie uzyskuje budżet państwa - a także samorządy terytorialne, gdyż i ten wątek reformy finansów publicznych jest uwzględniony w *Pakiecie* - będą coraz większe. Poprawie sytuacji finansowej samorządów służyć będzie wprowadzenie za kilka lat podatku katastralnego, czyli od wartości nieruchomości. Będzie on w pełni przejmowany przez gminy i miasta, a budżet państwa w ogóle nie będzie z tego tytułu czerpał dochodów.

Od strony ekonomicznej najważniejsze jest dalsze zmniejszanie fiskalizmu, to znaczy relacji obciążeń podatkowych do dochodu narodowego. Zakładam spadek udziału budżetu państwa w PKB z 32,9 proc. w 1995 roku aż o trzy punkty, do 29,9 proc. w roku 2000. Jednocześnie udział dochodów budżetu wobec PKB powinien się zmniejszyć w tym okresie z 30,2 proc. do 28,1 proc. Oznacza to, że stopniowo, ale konsekwentnie redukowany będzie deficyt budżetowy; w końcu dekady może on wynieść już tylko 1,7 proc. PKB. Na tle takiej ścieżki dostosowań budżetowych dążyć będziemy do sprowadzenia inflacji poniżej 5 proc. w roku 2000, a towarzyszyć temu będzie wysokie tempo wzrostu dochodu narodowego - na poziomie około 5,5 proc. rocznie. Wówczas PKB za cztery lata będzie o 30 proc. większy niż w roku ubiegłym, a inwestycje wzrosną aż o ponad 50 proc. Da nam to dobre warunki materialnego startu w przyszłe millenium.

Co zatem z podatkami? Otóż wkrótce kieruję do rządu projekt ustawy, zakładający obniżenie stawek podatku od dochodów osobistych do 20, 30 i 40 proc. począwszy od przyszłego roku. Zarazem proponuję sukcesywne - zgodnie z tzw. mechanizmem zachodzącego słońca - obniżanie stawki podatku od osób prawnych z obecnych 40 proc. do 32 proc. w roku 2000. Schodzenie w dół ma być równomierne, o dwa punkty procentowe rocznie. W obu przypadkach redukcje te będą związane z racjonalizacją systemu

Odpowiedzi i pytania

ułg podatkowych, tak aby zachować określoną makroproporcjami ekonomicznymi równowagę systemu finansów publicznych. Ponadto ciężar - coraz mniejszy - opodatkowania będzie się stopniowo przesuwiał z podatków bezpośrednich (dochodowych) na pośrednie (zawarte w cenach towarów), głównie poprzez upowszechnianie VAT-u i szersze stosowanie jego podstawowej stawki. Jeden z podatków pośrednich wszakże - wprowadzony w końcu 1992 roku - zostanie już od 1997 roku całkowicie wyeliminowany. Podatek importowy jeszcze w 1994 roku wynosił 6 proc, obecnie spadł on do 3 proc, co nakłada na podatników obciążenia przekraczające 25 bilionów złotych. Tylko zatem z tytułu eliminacji tego podatku o ponad 50 bilionów złotych mniej wpłacimy do budżetu w przyszłym roku, niż płaciliśmy w roku 1994 wskutek decyzji naszych poprzedników, a dziś często zagozrzałych krytyków. Będzie to także przeciwdziało inflacji i sprzyjało poprawie konkurencyjności gospodarki.

Warszawa, 29 stycznia 1996 r.

Gwiazda niejednego sezonu

Gwiazdą tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos z pewnością była Polska. Jestem także przekonany, że przy okazji odbywającego się właśnie forum kraj nasz przekroczył swoistą smugę cienia. Przyszłowiowe „pięć minut” dla Polski już minęło i teraz jesteśmy zupełnie normalnym, dojrzałym i poważnym partnerem na międzynarodowej scenie ekonomicznej. Owe pięć minut to okres pewnej ekscytacji, może nawet zauroczenia. A teraz okazuje się, że nasz sukces gospodarczy ma solidne, trwałe podstawy i stąd też optymistycznie widziane są perspektywy na przyszłość.

Tegoroczny szczyt w Davos przebiegał pod hasłem globalizacji procesów ekonomicznych. Taki charakter mają one już od wielu lat, ale współcześnie wzajemne powiązania firm i krajów są tak silne, że często właśnie te stosunki w większej mierze, niż same rządy przesądzają, co dzieje się w poszczególnych gospodarkach narodowych. Zwyciężają zatem ci, którzy potrafią rozegrać w korzystny dla siebie sposób fakt globalizacji stosunków ekonomicznych, wykorzystując w tym celu również coraz bardziej znaczącą rolę licznych organizacji międzynarodowych.

Na innym planie tego tła wyraźnie widoczne są działania integracyjne nie w całym układzie globalnym, ale w ujęciu regionalnym. Stąd wiele uwagi w trakcie dyskusji skierowano na kwestie integracji europejskiej, współpracy państw obrzeża Pacyfiku czy północy albo południa kontynentów amerykańskich.

Obecnie jednak globalizacja postrzegana jest także przez pryzmat nowych zjawisk i procesów. Szczególnie akcentowany jest tutaj rozwój teleinformatyki, który uczynił nasz wielki świat małą skrzynką, w której z szybkością światła przerzuca się informacje. Niezwykle ciekawa dyskusja na temat implikacji - także politycznych, ale przede wszystkim ekonomicznych i kulturowych tego fenomenu *fin de siecle* - odbyła się w niedzielny poranek w gronie określonym jako przywódcy ekonomiczni świata. Są to całkowicie zamknięte, nieformalne spotkania szefów państw i rządów, a także organizacji międzynarodowych oraz czołowych polityków uczestniczących w forum. Tytani informatyki pokazali politykom, że nie są oni już w stanie kontrolować przepływu informacji. Ma to swój wpływ nie tylko na globalizację życia ekonomicznego, ale również na kulturę, politykę i obyczajowość.

Od strony zaś czysto ekonomicznej tegoroczna debata koncentrowała się na problemach wzrostu i przeciwdziałania bezrobociu, bo nawet w państwach najbardziej rozwiniętych wysokie bezrobocie i niskie tempo wzrostu jest przedmiotem dużej troski. Z tej perspektywy jako imponujące oceniane są osiągnięcia polskiej gospodarki. Jest to coraz częstszy punkt odniesienia już nie tylko dla transformowanych gospodarek naszego regionu, ale także dla wielu innych krajów, przechodzących przez trudne procesy dostosowań strukturalnych. Okazją do fascynującej dyskusji na te tematy był panel prowadzony przez jednego z najwybitniejszych współczesnych ekonomistów - profesora Riidigera Dornbuscha z amerykańskiego uniwersytetu MIT - z udziałem ministrów finansów Brazylii, Japonii i Polski, ministra przemysłu i handlu Czech oraz ministra spraw zagranicznych Meksyku.

Pytanie, na które odpowiadaliśmy, dotyczyło lekcji, jakie wyciągnęliśmy z ostatniego kryzysu finansowego, który wstrząsnął nie tylko Meksykiem. Każdy mógł dostrzec, że sukces polskiej gospodarki zbudowany jest na zdrowych podstawach postępującej makroekonomicznej stabilizacji i silnej ekspansji eksportowej oraz inwestycyjnej, a nie - jak było to w przypadku Meksyku - na ruchomych piaskach w postaci dopływu krótkoterminowych, głównie amerykańskich inwestycji portfelowych. Moja rada dla innych

Odpowiedzi i pytania

sprowadziła się do postulatu różnicowania źródeł i form finansowania rozwoju gospodarki. Wówczas uniknąć można tych niebezpieczeństw, którym nie potrafił umknąć Meksyk, a których konsekwencje mają globalne implikacje. Z takiej właśnie perspektywy dużo mówi się o Meksyku, ponieważ tam dochód narodowy właśnie spadł o siedem procent, i o Polsce, bo tu z kolei aż o siedem procentów się zwiększył.

Davos to również znakomita sposobność do całej serii rozmów dwustronnych. Politycy debatują często o sprawach nawet bardzo odległych od gospodarki, choć jej przecież szczyt jest poświęcony. Kolejny raz uczestniczył w nim Aleksander Kwaśniewski - tym razem jako bardzo życzliwie przyjmowany prezydent Polski. Jego publiczne wystąpienia cieszyły się dużym zainteresowaniem.

Moi rozmówcy z kolei to ministrowie finansów i gospodarki z różnych krajów - od USA i Chile, poprzez Szwajcarię i Czechy do Słowacji i Rosji. Przede wszystkim jednak spotykałem się z czołowymi przedstawicielami organizacji międzynarodowych. Szczególne znaczenie miały spotkania z kończącym niedługo swą misję sekretarzem generalnym OECD - Jean Claude Payem - oraz jego następcą, obejmującym urząd z początkiem czerwca - Kanadyjczykiem Donaldem Johnstonem. Nasze członkostwo w OECD wydaje się już przesądzone, ale wprawdzie musimy spełnić wszystkie związane z członkostwem wymagania, co jest kwestią kilku miesięcy.

Z szefem Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju - Jacques de Larosierem - rozmawialiśmy o powiększeniu kapitału tej instytucji oraz kredytowaniu sektora prywatnego i programów infrastrukturalnych. Z wiceprzewodniczącymi Unii Europejskiej - Hansem Van de Broekiem i Leonem Brittanem - rozmawialiśmy o naszych aspiracjach integracyjnych, przebiegu procesów dostosowawczych oraz sposobach ich wspierania przez Unię. Tematem dyskusji z zastępcą dyrektora MFW - profesorem Stanleyem Fischerem - była skuteczność polityki stabilizacyjnej i zagadnienia międzynarodowych transferów kapitału.

Wyraźne jest rosnące zainteresowanie polską gospodarką i zarazem słabnące wydarzeniami na scenie politycznej. Uważam, że jedno z drugiego po prostu wynika. Mogę już teraz zaryzykować stwierdzenie, że po rekordowym 1995 roku obecny będzie jeszcze lepszy z punktu widzenia dopływu zagranicznych inwestycji bezpośrednich. Sięgną one czterech miliardów dolarów i to, że jesteśmy w Davos gwiazdą, ma także na taką tendencję swój wpływ. Mówiąc krótko - produkcja będzie rosła, a inflacja spadać.

Ale powtarzanie tego staje się już nudne. Tak samo jak, zdaniem profesora Dornbuscha, nudne już jest chwalenie naszej polityki gospodarczej. W oczach świata ona się sprawdziła.

Davos, 4 lutego 1996 r.

Oczyszczanie atmosfery

Dobra atmosfera to dobra rzecz. Dotyczy to nie tylko atmosfery politycznej, która w ostatnim tygodniu wyraźnie się oczyściła. Z pewnością do poprawy przyczyniło się sformowanie nowego, trzeciego już rządu koalicji SLD-PSL z premierem Włodzimierzem Cimoszewiczem, który w tym tygodniu wygłasza sejmowe *expose*. Ponadto na międzynarodową atmosferę wokół Polski wpływ miała także bardzo nagłośniona wizyta amerykańskiego podsekretarza Stanu - Richarda Holbrooke'a oraz prawie całkowicie wyciszona wizyta belgijskiego wicepremiera, ministra finansów i handlu - Philippe'a Maystadta.

Wszystkie te wydarzenia układają się w pewną całość. W polityce bowiem wiążą się ze sobą wątki na pozór oderwane. Dla mnie najważniejsze z punktu widzenia reform i rozwoju społeczno-gospodarczego było uzyskanie pozytywnej opinii OECD co do perspektywy naszego członkostwa w tej organizacji. Trwają nieustanne zabiegi wokół tej sprawy, ale wiele jeszcze kwestii, zwłaszcza natury technicznej, pozostaje do rozwiązania. Niezależnie od profesjonalnych negocjacji, które odbyły się w Paryżu w minionym tygodniu, oraz działań legislacyjnych i politycznych podejmowanych w kraju, zagęszczenie atmosfery politycznej wymagało także politycznych i dyplomatycznych działań na scenie międzynarodowej. W jej oczyszczeniu pomogły aktywne kontakty międzynarodowe nowego prezydenta oraz innych wpływowych polskich polityków, a także moje liczne ostatnio spotkania z ambasadorami (zwłaszcza grupy państw C-7) oraz z politykami czołowych państw członkowskich OECD podczas tegorocznego Światowego Forum Gospodarczego w Davos. Wiele rozmów ostatnich dni i tygodni utwierdziło raz jeszcze naszych partnerów w przekonaniu, że po stronie polskiej panuje pełna determinacja w dążeniu do członkostwa w euroatlantyckich strukturach, a służące temu reformy są poważnie zaawansowane.

Odpowiedzi i pytania

Same zapewnienia jednak nie starczą. Liczą się przede wszystkim twarde fakty dowodzące tej determinacji. Dla mnie najważniejsze znaczenie ma tutaj doprowadzenie Polski do członkostwa w OECD jeszcze w tym roku. Publiczne zainteresowanie tą sprawą - jakby narastające w ostatnim okresie - powinno cieszyć, gdyż jest to nasza wspólna sprawa. Piszę specjalnie „nasza”, a nie rządowa, ponieważ w tym wysiłku uczestniczy już także prezydent i parlament, a od pewnego czasu również pozarządowe, niezależne instytucje, takie jak Narodowy Bank Polski, Komisja Papierów Wartościowych czy też Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji.

W takim też kontekście warto postrzegać ogromne zainteresowanie wizytą Richarda Holbrooke'a. Poprzednio spotkałem się z nim w styczniu ubiegłego roku w Cleveland i dzisiaj wyraźnie widzę, jak ogromną drogę - idąc w dobrym tempie i we właściwym kierunku - przebyliśmy przez te trzynaście miesięcy. Z punktu widzenia przystępowania do OECD kluczowe znaczenie w ostatnim czasie miały rozmowy w Davos z podsekretarzem Skarbu USA - Lawrence'em Summersem - i właśnie pozytywne oceny, do jakich doszedł w Warszawie jego kolega z Departamentu Stanu. Tłem dla oceny postępu polskich reform, stabilizacji i wzrostu były ostatnie, rekordowe notowania polskich papierów na światowych rynkach finansowych. Tak polskie obligacje Brady'ego, jak i wyemitowane w lipcu zeszłego roku po raz pierwszy euroobligacje w tych właśnie dniach były wszelkie rekordy notowań w swojej krótkiej historii. Dowodzi to, że także międzynarodowy rynek, nie tylko giełda papierów wartościowych, już zawniosła, że tendencje gospodarcze są pozytywne jak nigdy dotąd, a trudności polityczne mają charakter przejściowy i własnymi siłami, poprzez demokratyczne procedury, są przezwyciężane. Dla polityków zagranicznych obiektywne oceny rynku mają szczególną - trudną do zakwestionowania nawet w warszawskich salonach opozycyjnych - wymowę.

Podobne były reakcje belgijskiego wicepremiera i ministra finansów, który ma specjalną, eksponowaną pozycję w Międzynarodowym Funduszu Walutowym, gdzie kieruje jego tzw. komitetem przejściowym. Philippe Maystadt szczególnie podkreślał dokonania ostatnich dwu lat reform gospodarczych, a przy okazji jednoznacznie poparł polskie aspiracje do wejścia do OECD w tym roku. Takie jednoznaczne poparcie uzyskałem również w przeddzień paryskiego spotkania komitetu finansowego OECD od federalnego ministra finansów Niemiec - Theo Waigla.

Członkostwo w OECD, o które zaczęliśmy się ubiegać dwa lata temu, jest już w sensie politycznym przesądzone. Od strony technicznej - a to

w końcu decyduje, a nie publiczne deklaracje - konieczne jest jeszcze dokonanie określonych zmian instytucjonalnych. Niezbędne jest podjęcie szeregu decyzji odnoszących się do dalszej liberalizacji transferu kapitałów, nad czym pracujemy razem z NBP i KPW, oraz w zakresie liberalizacji usług, czyli tzw. transakcji niewidzialnych. Nieodzowne jest także przyjęcie przez parlament kilku ustaw, w tym przedstawianych w tym tygodniu na posiedzeniu Sejmu o odpadach oraz o ochronie środowiska. Atmosfera bowiem musi być dobra nie tylko w polityce, ale również w naszym naturalnym środowisku, co chyba staje się - zważywszy na polską scenę polityczną - jakby nawet łatwiejsze...

Uchwalona także musi być ustawa o spółkach z udziałem kapitału zagranicznego, znosząca ograniczenia wprowadzone na początku lat dziewięćdziesiątych, oraz niepotrzebnie przedstawiana przez niektórych polityków jako kontrowersyjna ustawa regulująca zasady nabywania nieruchomości przez cudzoziemców. Proponowane rozwiązania - chroniąc w pełni interesy polskiego rolnictwa, na co tak słusznie zwracają uwagę politycy PSL - mają tylko ułatwiać nabywanie ziemi niezbędnej dla bezpośrednich inwestycji zagranicznych, na których dopływie przecież nam zależy. Regulacji ustawowej w stylu nowoczesnych rozwiązań światowych wymaga także kwestia dostępu przez służby fiskalne do tajemnicy bankowej i jej ochrona. Projekt stosownych nowelizacji uzgodniony z NBP w tym właśnie tygodniu po rozpatrzeniu przez KERM kierowany jest do rządowej, a następnie parlamentarnej akceptacji.

Tydzień w polityce to jednak dużo. I dobrze, że atmosfera już jest lepsza. Mijmy nadzieję, że uda się przez czas jakiś skutecznie popracować, zanim krasnoludki i inne polityczne ufoludki niewiadomego pochodzenia znowu ją popsują.

Warszawa, 12 lutego 1996 r.

Krótki kurs ekonomii

Utworzenie nowego-starego rządu koalicji SLD-PSL oraz przebieg ubiegłotygodniowej debaty nad sejmowym *expose* premiera Włodzimierza Cimoszewicza były kolejną okazją do wygłoszenia - dla mnie do wysłuchania - różnych poglądów ekonomicznych. Wchodząc w skład już trzeciego rządu

Odpowiedzi i pytania

z największą uwagą obserwuję ewolucję owych poglądów w kręgach politycznych, w tym wśród naszych parlamentarzystów. Proces taki bowiem postępuje i niekiedy mam wrażenie, że obecna „geografia” sali sejmowej jest już nieco nieodpowiednia do głoszonych - bo nie wiem, czy faktycznie wyznawanych - przekonań (co najmniej dobrze byłoby, gdyby Unia Pracy rozważyła zasadność zamienienia się miejscami z SLD, a Unia Wolności z KPN).

W świetle całości dyskusji jednak - być może dość paradoksalnie dla wielu obserwatorów naszej sceny politycznej - rządowy program rozwoju gospodarczego wydaje się w rozsądny sposób uwzględniać postulaty nie tylko partii koalicyjnych, ale także opozycyjnych. Wreszcie - siedząc w ławie rządowej i skrupulatnie przysłuchując się dyskusji nad wystąpieniem nowego premiera - nie mogłem uciec i od takiej konstatacji, że w zasadzie to wszyscy są w opozycji, a niekiedy przede wszystkim posłowie SLD i PSL. I to jest bardziej zastanawiające czy wręcz niepokojące niż rutynowe już utyskiwania przedstawicieli partii opozycyjnych.

Z tego punktu widzenia dobrze się złożyło, że to właśnie z początkiem funkcjonowania rządu premiera W. Cimoszewicza zbiegło się zaprezentowanie programu *Strategia dla Polski - Pakiet 2000* i publiczna nad nim debata. Szerokie wsparcie dla zakreślonego w nim kierunku działań ze strony środowiska pracodawców i przedsiębiorców, jak również zainteresowanie środowisk pracobiorców i związkowców może rokować, że uda się właściwie ukierunkować wspólne wysiłki, decydujące o tempie reform ustrojowych i rozwoju gospodarczym w następnych latach. Chodzi przy tym o okres wykraczający poza obecny cykl polityczny, wyznaczony terminem wyborów parlamentarnych w połowie przyszłego roku. Fakt, że obecnie o polityce gospodarczej mówi się najczęściej w horyzoncie roku 2000, jest sam z siebie znamienity. **Trzy są główne powody, dla których właśnie teraz - na fali coraz wyraźniej dostrzeganych osiągnięć transformacji gospodarczej - konieczne jest rozwinięcie i nieco inne rozłożenie akcentów w linii programowej *Strategii dla Polski*.**

Po pierwsze, trzeba stale podnosić poziom zatrudnienia i konsumpcji poprzez wzmocnienie i utrwalanie tendencji rozwojowych gospodarki, ponieważ obecny wzrost nie bierze się sam z siebie, ani też nie jest dany raz na zawsze. Nad jego utrzymaniem trzeba nieustannie pracować, wykorzystując w tym celu różne instrumenty polityki gospodarczej, zwłaszcza finansowej.

Po drugie, trzeba stawić czoło nadmiernym roszczeniom. Wielką sztuką w tej właśnie fazie transformacji, stabilizacji i wzrostu jest dzielenie jego efektów pomiędzy różne konkurencyjne zastosowania. Skuteczne odpieranie coraz silniejszej presji roszczeniowej jest konieczne. Co więcej, dzisiaj jedną ze skuteczniejszych metod działania opozycji jest prowokowanie rządu do ustępstw wobec nacisków rewindykacyjnych. To tak, jakby radzić komuś, żeby sam się zasypał.

Po trzecie wreszcie, *Pakiet 2000* jest rozwinięciem dotychczasowych kierunków polityki gospodarczej i wychodzi naprzeciw podstawowym wyzwaniom przyszłości, płynącym z włączania się Polski do układu gospodarki światowej u progu XXI wieku. To rok 1996 powinien być rokiem wprowadzenia Polski do OECD, a lata następne to nie będzie już tylko okres politycznych deklaracji co do naszej narodowej woli wejścia do Unii Europejskiej, ale twardych dostosowań strukturalnych.

Pierwszy cel ma być osiągnięty głównie poprzez rozwój przedsiębiorczości i rynkową alokację zasobów. Dalsze zwiększanie skłonności do oszczędzania wymaga utrzymywania pod kontrolą poziomu deficytu budżetowego i jego nieinflacyjnego finansowania. Takiemu podejściu przeciwstawiana jest koncepcja odwrotna, a mianowicie wysokiego poziomu opodatkowania i redystrybucji przez budżet, a także przez rynek w wyniku wyższej niż nieunikniona inflacji. Stoi za tym błędna argumentacja, że niesie to z sobą mniejsze koszty społeczne, choć jest odwrotnie: wyższa inflacja zawsze koszty te podwyższa. Większy zaś budżet nie zwiększa przecież ilości środków finansowych, jakimi dysponuje całe społeczeństwo, ale z pewnością zwiększa możliwości polityków i administracji, w myśl zasady *divide et impera*. *Pakiet 2000* natomiast ma zagwarantować poprawę konkurencyjności i rozwój przedsiębiorczości jako sił motorycznych wysokiego tempa wzrostu gospodarczego, a to dzięki niższej skali opodatkowania i - tym samym - mniejszej skali redystrybucji, tak przez budżet, jak i przez uwikłany w procesy inflacyjne rynek. Wówczas nie trzeba tworzyć kolejnych komitetów Rady Ministrów i funduszy rozdzielanych centralnie, często pod politycznym naciskiem, choć pod ładnie brzmiącą nazwą.

Rozwój gospodarki wymaga zatem zdolności do przeciwstawiania się fali roszczeń. Wiele niekwestionowanych potrzeb społecznych będzie coraz lepiej zaspokajanych, ale trzeba zmieniać proporcje wśród rządzących polityków tak, aby więcej było zainteresowanych tworzeniem dochodu narodowego, a mniej jego wydatkowaniem na nie kończącą się listę „służnych celów”. Łatwo być polityczną gwiazdą, dzieląc cudze pieniądze,

Odpowiedzi i pytania

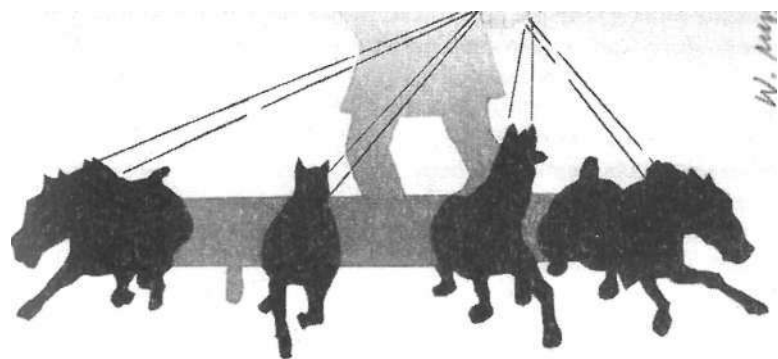
trudniej przeciwstawiać się nieustannym żądaniom, których żaden budżet nigdy nie sfinansuje. Nasze potrzeby bowiem w coraz większym stopniu zaspokajane muszą być przez rynek i finansowane z własnych dochodów indywidualnych, rosnących także w wyniku obniżenia podatków. Dlatego też PKB do roku 2000 musi rosnąć dwukrotnie szybciej niż realne wydatki budżetu państwa. W przeciwnym razie dochód narodowy będzie rósł wolniej, a nie szybciej. Innymi słowy, teraz - ale dopiero teraz, gdy PKB w latach 1994-96 rośnie o prawie 20 proc. - można podjąć ryzyko zmniejszenia ciężaru opodatkowania, zapewniając jednocześnie odczuwalny wzrost wydatków socjalnych. Taka polityka warunkuje utrwalenie tendencji rozwojowych na okres wieloletni i - poprawiając konkurencyjność gospodarki - zbliża ją stopniowo do standardów OECD i Unii Europejskiej.

I taki jest na dziś krótki kurs ekonomii. Właśnie zaczyna się nowy semestr i spróbuję w rozwiniętej formie przekazać to moim studentom w SGH. Mam nadzieję, że się uda i w czerwcu zdadzą egzamin. W polityce zaś sesja egzaminacyjna trwać musi nieustannie. Niech nikt tylko nie próbuje oblewać na cudzy rachunek.

Warszawa, 19 lutego 1996 r.

Uczciwi śpią spokojnie

System podatkowy nie może sprawnie funkcjonować bez zrozumienia go przez ludzi, dla których jest stworzony. Nie pierwszy raz - i obawiam się, że nie ostatni - podejmowane są próby zaszkodzenia interesom podatników, a więc całego społeczeństwa i państwa, choć intencjonalnie chodzi tylko o szkodenie władzy. Ale podatki są przecież nie dla władzy, tylko dla finansowania demokratycznie funkcjonującego państwa i jego instytucji oraz dla sfinansowania licznych celów społecznych i rozwojowych, pokrywanych z budżetu państwa. Państwo demokratyczne jest naszym wspólnym dobrem i wspólnym obowiązkiem jest zagwarantowanie - także od strony finansowej - jego sprawnego funkcjonowania. Dlatego też zagrożenie stanowić mogą działania podejmowane w celu destabilizacji finansów publicznych poprzez wzywianie do niepłacenia należnych nam wszystkim - *pro publico bono* - podatków. Dobrze się stało, że ludzie nie są aż tak naiwni i nie dają na szerszą skalę wiary tego rodzaju podpuszczeniom.



Czy zatem obecnie występuje jakieś zagrożenie dla stabilizacji finansów publicznych państwa? Bynajmniej, gdyż skutek wysiłku reformatorskiego ostatnich lat są one w coraz lepszej kondycji. Także wykonanie budżetu państwa podczas dwu pierwszych miesięcy roku przebiega korzystnie. I tak będzie przez cały rok, jest to bowiem potrzebne nie władzy, ale ludziom. Losy większości naszego społeczeństwa - bezpośrednio czy też pośrednio - zależą od sytuacji budżetu i dlatego jako minister finansów nie pozwolę, aby losom tym miało coś zagrażać ze strony finansów publicznych. Nie chciałbym także, aby pogłoski o rzekomych stratach budżetu państwa zostały wykorzystane jako pretekst do torpedowania moich starań o obniżenie od przyszłego roku podatków, a próby blokowania wdrażania *Pakietu 2000* są już podejmowane. Być może jedno łączy się z drugim.

Istotnym elementem naszego systemu i polityki podatkowej są ulgi i zwolnienia. W odniesieniu do przedsiębiorstw mają one głównie motywować do inwestycji, w przypadku gospodarstw domowych zaś jest to świadomy element polityki prorodzinnej i zachęta do inwestowania w kapitał ludzki oraz wspierania ważnych dziedzin życia społecznego - kultury i nauki, oświaty i dbałości o zdrowie, turystyki i sportu. Na takim gruncie coraz szerzej rozwija się zwyczaj wspierania finansowego - tzw. sponsoringu - wielu ciekawych inicjatyw, a także osób czy instytucji w potrzebie. Z możliwości darowania części swoich dochodów korzysta wielu podatników, zwłaszcza tych, których na to stać i którzy mają potrzebę wsparcia częścią własnych dochodów cudzej aktywności. Dobrodziejstwo instytucji darowizn polega także na tym, że kto daje, decyduje o celu, na który środki są przeznaczane, choć budżet w tym także partycypuje, rezygnując z części należnego mu w innym przypadku dochodu.

Ubolewania godny jest zatem fakt, że oto podjęta została próba skompromitowania korzystnego rozwiązania stosowanego w naszej społecznie i prorodzinnie zorientowanej polityce podatkowej. Prym w tym wiodą - nie trudno zgadnąć - „Gazeta Wyborcza” i „Życie Warszawy” oraz telewizja. Ta pierwsza, drukując instruktaż, jak wypełniać fikcyjne umowy darowizny, zachęca swoich czytelników - podważając wiarygodność pisma - do składania przez podatników fałszywych, niezgodnych tak z prawem, jak i z dobrze rozumianym własnym interesem deklaracji. To drugie - wzywa do oszustw wobec fiskusa - a więc w stosunku do własnego państwa i w końcu wobec samego siebie - usiłując sugerować bezsilność państwa wobec składania fałszywych deklaracji podatkowych. Ta trzecia - do polemiki z ministrem finansów na antenie telewizji publicznej (!) angażuje człowieka,

który właśnie odpowiada przed sądem za oszustwa podatkowe na kwotę kilkudziesięciu miliardów złotych! Dobrze, że już wkrótce Sejm przyjmie ustawę o doradcach podatkowych, jest to bowiem domena wysoko kwalifikowanych fachowców, a nie cwaniaków czy też niekiedy niekompetentnych dziennikarzy.

Państwo wszakże jest silne. I to nie tylko siłą sprawnego aparatu kontroli, ale przede wszystkim siłą prawa i praworządności, demokratycznych instytucji oraz logicznych argumentów, choć żal, że tego dorobku demokratycznych reform nie chcą i nie potrafią wesprzeć niektóre media. Dobrodziejstwo instytucji podatkowo wspieranych darowizn ma na celu lepsze zaspokajanie potrzeb w określonych dziedzinach, a nie minimalizowanie należności podatkowych i dochodów budżetu państwa. Dlatego też, skoro podejmowane są zorganizowane próby zaszkodzenia interesom społecznym, rząd i jego służby podejmować będą niezbędne działania chroniące interesy uczciwych podatników, a takich przecież jest zdecydowana większość. Istniejące prawo - wbrew temu, co wmawia się zdeorientowanym czytelnikom na niektórych łamach - nie tylko umożliwia, ale wręcz nakłada na Urzędy Skarbowe obowiązek skwapliwego zbadania, czy zdarzenia potwierdzone podpisami na deklaracji podatkowej i załączonych dokumentach rzeczywiście miały miejsce. Uczciwi podatnicy bowiem nie powinni wybaczyć służbom skarbowym tego, że to oni ponieśliby w końcu większe obciążenia podatkowe czy też zostaliby obarczeni skutkami wyższej inflacji dlatego tylko, że ktoś z namowy czyjejs oszukał fiskusa, czyli nas wszystkich. Urzędy Skarbowe zatem szczególnie wnikliwie - w interesie uczciwych podatników i dla dobra ogólnego - czynić będą swoje powinności stosując prawem przewidziane procedury kontrolne. O możliwości ich stosowania decydują ustawy i obowiązujące przepisy, a nie gazety.

Uczciwi podatnicy spać mogą spokojnie. Aby tak jednak być mogło, nieuczciwi takiego komfortu mieć nie mogą. Podobnie jest z kierowcami. Nasze bezpieczeństwo wymaga, aby policja często zatrzymywała samochody nie po to, by trzeźwym utrudniać podróżowanie, ale w celu eliminowania z dróg zagrożenia, jakie stanowią dla trzeźwych pijani kierowcy. Tak samo służby skarbowe sprawdzać będą deklaracje podatkowe podatników twierdzących, że dokonali daru, jak i tych, którzy taki dar mieliby otrzymać po to, aby wyeliminować ewentualne nieprawidłowości, chroniąc interesy uczciwych podatników tak, jak policja chroni trzeźwych kierowców przed zagrożeniami ze strony pijanych.

Odpowiedzi i pytania

Być może, wielu z gruntu uczciwych ludzi zostało wprowadzonych w błąd. Jednakże w przypadku przesłania oświadczenia o nieumyślnie dokonanej pomyłce w deklaracji podatkowej i uregulowaniu odpowiedniej należności wobec budżetu, wprowadzą wyłącznie właściwe korekty i nie będą stosowały żadnych sankcji. W pozostałych zaś przypadkach odliczenia sobie od podatku jakichkolwiek kwot z tytułu fikcyjnych darowizn na podstawie umów, które nie odzwierciedlają faktycznego stanu rzeczy, stosowane będą prawem przewidziane sankcje karno-skarbowe, niekiedy bardzo dotkliwe. Jeśli ktoś zechce w ślad za tym ubiegać się o odszkodowania za poniesione straty materialne i moralne, to swych racji niech dochodzi od redaktorów i właścicieli gazet, które ich wprowadziły w błąd.

Warszawa, 26 lutego 1996 r.

Zaczęły się schody

Na przemiany polskiej gospodarki można patrzeć z dwu stron. Jedna perspektywa, to spojrzenie od strony najbardziej rozwiniętych państw świata (dotyczy ona zwłaszcza wymagań co do naszego członkostwa w OECD w tym roku i w Unii Europejskiej za lat kilka). Druga - to spojrzenie ze strony niektórych innych krajów naszego regionu, gdzie do zrobienia wciąż jeszcze jest dużo więcej niż u nas. Właśnie ku temu miałem okazję w trakcie mojej wizyty na Ukrainie i w Mołdowie.

Te sąsiadujące kraje mają wiele problemów podobnych do przeżywanego kilka lat temu przez naszą gospodarkę. Można więc przyjąć, że za kilka lat ich sytuacja ekonomiczna będzie podobna do obecnej w Polsce, i dlatego warto sprzyjać rozwojowi współpracy ze wschodnimi sąsiadami. **Stalego rozwoju wymagają przede wszystkim stosunki z Ukrainą - nie tylko graniczącym z nami ważnym państwem, ale również liczącym ponad 52 miliony ludności rynkiem zbytu, o dostęp do którego trzeba konkurować.** Kraj ten może ponadto pośredniczyć w intensyfikacji stosunków gospodarczych z wyłaniającymi się rynkami Azji Środkowej - od Kazachstanu, Uzbekistanu po Kirgizję i Tadżykistan.

Co do Mołdowy zaś - kraju małego, bo żyje tam tylko cztery i pół miliona mieszkańców - to okazuje się, że delegacja z wicepremierem rządu polskiego jest pierwszą wizytą na najwyższym szczeblu od niepamiętnych

czasów. Ze wspólnej naszej historii odnotowuje się najczęściej epizod sprzed bez mała czterystu lat, kiedy to „za króla Olbrachta wyginęła szlachta”. Obecnie samoloty Air Moldova dwukrotnie w tygodniu lądują na Okęciu, przywożąc głównie mołdawskich biznesmenów.

Wzajemne obroty handlowe są wciąż małe, ale tempo ich wzrostu jest wysokie i dziś najważniejsze jest utrzymanie tej dynamiki. Pod tym kątem prowadzone były rozmowy w Kiszyniowie, gdzie miałem okazję spotkać się z prezydentem państwa - M. Snegurem, marszałkiem parlamentu - P. Lucinschim - jak i z premierem - A. Sanghelim oraz ministrami spraw zagranicznych i resortów gospodarczych. Główna szansa rozwoju wzajemnego handlu polega na ekspansji prywatnych przedsiębiorstw (są już także przedsięwzięcia w przemyśle spożywczym). Chcielibyśmy je wspierać przez system gwarancji za pośrednictwem KUKÉ, czyli Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych. Wbrew temu, co się niekiedy słyszy, problem nie polega na braku środków na ubezpieczanie kredytów, udzielanych przez banki komercyjne na finansowanie eksportu, ale na niedostatku odpowiednio przygotowanych udokumentowanych wniosków. Podejmowane są starania, aby przy pomocy międzynarodowych instytucji finansowych podobne rozwiązania jak KUKÉ funkcjonowały także u naszych wschodnich partnerów. Ich brak bowiem stanowi wąskie gardło w ekspansji handlu.

Władze Mołdowy bardzo zainteresowane są skorzystaniem z naszych doświadczeń w transformacji i pomocy technicznej w rozwiązywaniu swoich problemów finansowych i gospodarczych. Tego typu wsparcie - także dla innych państw regionu, w tym Ukrainy - traktować można jaką swoistą splatę długu, ponieważ sami też korzystaliśmy z pomocy bardziej od nas rozwiniętych krajów. Ogromne zainteresowanie naszymi osiągnięciami i sposobami dochodzenia do nich przejawiają studenci, których tłum ledwie mieścił się podczas wykładów zarówno na Uniwersytecie im. Tarasa Szewczenki w Kijowie, jak i w Akademii Ekonomicznej w Kiszyniowie. I choć na sali wykładowej było tak zimno, że wszyscy siedzieli w płaszczech, to wygląda na to, że także w gospodarce mołdawskiej nadchodzi już wiosna, którą wita się tu już I-go marca.

Mołdowa - podobnie jak Ukraina - przeszła fazę ciężkiego załamania gospodarczego, ale osiągnięto tam już znaczny postęp w zakresie stabilizacji ekonomicznej, między innym w rezultacie dość dobrze przeprowadzonej reformy walutowej. Poziom inflacji jest coraz niższy (nieco ponad 20 proc), a deficyt budżetowy niewiele większy niż u nas. Na Ukrainie jest z tym wyraźnie gorzej, natomiast oba kraje nie weszły jeszcze na ścieżkę wzrostu

Odpowiedzi i pytania

gospodarczego po tym, jak dochód narodowy spadł aż o blisko 60 proc. Skutki strukturalne tej wielkiej recesji są tam nadal odczuwane i tym bardziej oba państwa poszukują sposobów rozwoju stosunków gospodarczych na różnych kierunkach, w tym także z naszym krajem.

Polska jest czwartym-piątym partnerem gospodarczym Ukrainy. W latach 1994-95 obroty handlowe corocznie podwajały się i w ubiegłym roku przekroczyły miliard dolarów (na około 30 miliardów w sumie na Ukrainie i ponad 52 miliardy w Polsce). Ale chyba jeszcze ważniejsze jest to, że na Ukrainie funkcjonuje już 700 firm z udziałem kapitału polskiego. Oznacza to, że poza handlem mamy do czynienia z przepływem kapitału, wspólnymi - także z partnerami z krajów trzecich - przedsięwzięciami inwestycyjnymi i produkcyjnymi oraz transferem technologii. Również te formy współpracy, o czym dużo dyskutowaliśmy z wicepremierem R. Szpekkiem oraz ministrami finansów i spraw zagranicznych, obudowywane są instytucjonalnie poprzez wsparcie KUKI i koordynację działań na forum międzynarodowych organizacji gospodarczych. Z kolei z prezesem Narodowego Banku Ukrainy - W. Juszczenko - ustaliliśmy, że wiosną powinno dojść wreszcie do otwarcia filii lubelskiego Banku Depozytowo-Kredytowego w Łucku, na co oczekuje wiele firm, prowadzących interesy z Ukrainą.

Obok współpracy gospodarczej coś interesującego dzieje się również w sferze związków naukowych i kulturalnych. Współpracują niektóre uczelnie, instytuty i szkoły. Odwiedzając Odesę, mogliśmy zajrzeć do jednej z piękniejszych oper świata. Wskutek zabiegów Marii Fołtyn znakomita solistka tej opery - Tatiana Zacharczuk - wystąpiła niedawno na deskach naszej narodowej sceny jako Halka. Mam nadzieję, że dojdzie do wzajemnych wizyt i serii przedstawień obu oper. A pociąg z Odessy do Polski jeździ już dwa razy w tygodniu, ułatwiając kontakty między ludźmi - nie tylko interesu. Zawsze przecież warto przejść się po najstłynniejszych schodach świata. Nie widać już z nich wiecznieonego przez genialne dzieło Sergiusza Eisensteina pancernika „Patiomkin”, tylko zakotwiczony statek turystyczny przerobiony na czterogwiazdkowy hotel. Z udziałem kapitału szwajcarskiego. Nasz poszukuje tam też coraz skuteczniej korzystnych lokat. Dla inwestorów też zaczęły się już schody, choć tak naprawdę jest to dla nich duża szansa.

Kiszynibw-Odessa, 2 marca 1996 r.

Czy wybierzemy przyszłość?

Ponoć nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I tak też warto podejść do wyników niedawnego referendum w sprawie tzw. uwłaszczenia. Choć frekwencja nie dopisała i wyniki referendum nie obowiązują w sensie formalnym, to jednakże z tego plebiscytu coś wynika. Nie zawsze są to odpowiedzi; czasami są to nadal tylko pytania.

Okazją do bardzo ciekawej dyskusji na te tematy było spotkanie zorganizowane z inicjatywy prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, podczas którego poszukiwano sposobów dalszych przekształceń własnościowych. Otóż panuje w zasadzie zgodność poglądów, niejako ponad podziałami partyjnymi, co do potrzeby wykorzystania części majątku państwowego dla spłaty zobowiązań państwa wobec różnych grup ludności, które to zobowiązania nie mogą - bądź nie powinny - być sfinansowane w inny sposób. Gotówki bowiem wciąż będzie brakować.

Pamiętajmy o tym, że pierwsze pytanie referendum dotyczyło tzw. uwłaszczenia. Ale przy tej sposobności jakby zapomniano, że jest i druga strona tego medalu. Obok majątku państwowego, który należy do nas wszystkich i dlatego też ponoć trzeba go jakoś nam wszystkim „dać”, jest także dług publiczny. On też do nas wszystkich należy i trzeba go jakoś spłacić - i tym razem już bez cudzysłowu. Na takim tle wszelkie koncepcje tzw. powszechnego uwłaszczenia trzeba traktować z niezwykłą rozwagą i odpowiedzialnością za przyszłość finansów publicznych i gospodarki, a więc za przyszłość społeczeństwa i państwa. Trzeba do tego po prostu podejść z wielką wyobraźnią, ponieważ można popełnić poważny błąd, jeśli jej nie starczy. Trudno uznać za dobre pomysły sprowadzające się wyłącznie do wyzbycia się przez państwo bez mała wszelkiej własności (poprzez powszechne uwłaszczenie) i pozostawienie państwa tylko z ciężarem długu publicznego. A dług ten jest już powszechnie uwłaszczony, gdyż wszyscy po równo jesteśmy jego właścicielami.

Szkoda, że dotychczas nie udało się na większą skalę wykorzystać technik zamiany długu na własność. Działania takie mają, co prawda, miejsce, ale ich zakres jest bardzo znikomy i praktycznie do tej pory nie objął długu zagranicznego. To niedobrze, ponieważ korzystając z takich metod moglibyśmy pozbyć się nie tylko własności państwowej - o co niektórzy tak chętnie zabiegają - ale również części naszego wspólnego przecież, powszechnego długu.

Odpowiedzi i pytania

Dzisiaj wszakże - po referendum - wydaje się, że *władza* uzyskuje przyzwolenie społeczne na pewne działania typu zamiany długu na własność. Tak proponuję odczytywać szerokie poparcie dla pomysłów wykorzystania części tzw. zasobów prywatyzacyjnych do skompensovania wymagalnych - w świetle obowiązujących orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego - zobowiązań państwa (raz jeszcze: państwa, a nie tego czy innego rządu) wobec około siedmiomilionowej grupy rencistów i emerytów oraz pracowników sfery budżetowej. Suma ponad 6 miliardów nowych złotych, którą państwo jest im winne, to w sensie ekonomicznym dług publiczny, choć przybrał on swoistą formę i w swoisty sposób ma być spłacony. W tym właśnie tygodniu, także pod wpływem wyników referendum i dyskusji u prezydenta Kwaśniewskiego, rząd przyjmuje już (albo raczej dopiero) projekt ustawy, której realizacja powinna sensownie rozwiązać ten nabrzmiały problem. I to jest najpilniejsze.

Ważniejsza jednak od zamiany długu z przeszłości na udziały w prywatyzowanym majątku państwowym jest zamiana na tę własność przyszłego długu. Chodzi tutaj o wsparcie majątkiem państwowym funduszy emerytalnych dla przyszłego pokolenia emerytów. Budowa podwalin takiego nowego systemu wymaga olbrzymiego zastrzyku kapitałowego - znacznie większego niż ten, na którym opiera się program NFI czy też wspomniane przedsięwzięcia kompensacyjne. Odniosłem wrażenie, że - w ślad za wynikami głosowania w referendum - przedstawiciele wszystkich sił politycznych uczestniczący w spotkaniu u prezydenta wyraźnie opowiadają się za opcją jak najszerzego uwłaszczenia tą właśnie drogą.

Ma to głęboki sens także dlatego, że w przyszłości - wobec stworzenia kapitałowych funduszy emerytalnych - nie byłoby takiej jak obecnie presji na budżet państwa i nie musiałyby on w celu dofinansowywania emerytur pożyczać (a więc zadłużać nas wszystkich) tak, jak dzieje się to w obecnej sytuacji. W takim znaczeniu ta technika powszechnego (bo obejmującego choć nie wszystkich, to jednak wielką część społeczeństwa) uwłaszczenia, służyłaby także rozwiązywaniu problemu długu publicznego w sposób bezpieczny dla wzrostu stabilizacji gospodarki. Chcąc nie chcąc, jesteśmy winni każdy - od niemowlaka do staruszka - po około cztery tysiące nowych złotych. I dlatego też kwestia obsługi tego długu również w dalszej przyszłości musi być dostrzegana już teraz przede wszystkim poprzez pryzmat tworzenia funduszy emerytalnych. Wtedy okaże się, że mamy

zbiorową zdolność wybierania przyszłości. Warto spróbować porozumieć się wokół realizacji tego celu, jest on bowiem tak samo wspólny, jak wspólne są nasze osiągnięcia i kłopoty, czy też nasz majątek i nasz dług publiczny.

Warszawa, 11 marca 1996 r.

Jak nas widzą

Za granicą powstaje coraz więcej opracowań dotyczących polskiej gospodarki. Autorami analiz są nie tylko międzynarodowe instytucje finansowe i ośrodki naukowe, ale także firmy konsultingowe i banki, zwłaszcza inwestycyjne. Przygotowują one oceny zwłaszcza dla potrzeb zainteresowanych Polską inwestorów zagranicznych. Dobrą okazją do przyjrzenia się takim opiniom było jednodniowe seminarium zorganizowane w ubiegłym tygodniu w Nowym Jorku przez znany Instytut Wschód-Zachód oraz Bank Austria z udziałem ministrów finansów i przedstawicieli innych instytucji z państw CEFTA, czyli Czech, Polski, Słowacji, Słowenii i Węgier. W spotkaniu tym wzięło udział blisko pięciuset amerykańskich inwestorów, głównie z banków inwestycyjnych.

Polska wzbudziła tam największe zainteresowanie przede wszystkim ze względu na rozmiary naszego rynku, a także z powodu imponującego tempa rozwoju gospodarczego. Szczególne wrażenie wywołała teza Suzanne Patrick z jednego z nowojorskich banków; porównując osiągnięcia i potencjał państw naszego regionu odnotowała, że produkt krajowy brutto (PKB) Polski, mimo kilkukrotnie mniejszej liczby ludności, już w 2000 roku przekroczy połowę PKB Rosji! Zmieni to nie tylko ekonomiczną sytuację w naszym regionie. W rezultacie utrzymania wysokiego tempa wzrostu gospodarczego (czemu służyć ma realizacja *Strategii dla Polski - Pakietu 2000*) przyrost PKB w latach 1996-2000 przekroczy 30 proc. Biorąc pod uwagę postępujące w wyniku stopniowej aprecjacji złotego urealnianie kursu walutowego, skala wzrostu PKB w dolarach będzie nawet większa. Można przeto szacować, że w przyszły wiek Polska wejdzie z poziomem PKB przekraczającym 180, a być może sięgającym nawet 200 miliardów dolarów.

Osiągnięcie takiego poziomu - choć możliwe - jest bardzo trudne. Jednym z warunków jest przyciągnięcie znacznego kapitału zagranicznego.

Odpowiedzi i pytania

Z pewnością przyszłe członkostwo w OECD będzie dodatkowym katalizatorem napływu inwestycji bezpośrednich. Ułatwić to powinny także przyjęte właśnie przez Sejm ustawy, liberalizujące działanie spółek z udziałem kapitału zagranicznego oraz nabywanie nieruchomości przez zagranicznych inwestorów. Realizacji tych celów ma także sprzyjać współpraca, zwłaszcza inwestycyjna, z Bankiem Światowym. Jego nowy wiceprezes - Johannes Lirm - właśnie w tym tygodniu odbywa serię rozmów w Polsce. Ale już od jakiegoś czasu - praktycznie po podpisaniu porozumienia z Klubem Londyńskim we wrześniu 1994 r. i wprowadzeniu wymiwalności złotego oraz emisji pierwszych polskich euroobligacji latem ubiegłego roku - główny ciężar przyciągania kapitału przesunął się w stronę inwestorów prywatnych - tak firm, jak i instytucji - oraz na międzynarodowy rynek kapitałowy. Stąd między innymi duże znaczenie takich spotkań jak w Nowym Jorku.

Jak więc nas tam widzą, co wywołuje uznanie, a co niepokój? Opracowanie Banku Austria o Polsce nosi nadtytuł *Tygrys Europy Wschodniej*. Zawiera ono ciekawe zestawienie kluczowych problemów gospodarczych w perspektywie trzech-sześciu miesięcy, roku i pięciu lat w podziale na okoliczności oddziałujące korzystnie i negatywnie. I tak podczas najbliższego kwartału, dwóch, za zjawiska pozytywne uznaje się wprowadzenie nowych firm na giełdę, prawdopodobne podniesienie ocen ratingowych Polski, dalszą klasyfikację co do przyszłości prywatyzacji i polityki podatków dochodowych (*Pakiet 2000*) oraz stopniowe obniżanie inflacji. Natomiast po stronie negatywnej zapisane są dalsze dysputy w kwestii prywatyzacji i wciąż relatywnie wysoki poziom inflacji. Wniosek z tego taki, że postęp w prywatyzacji bynajmniej nie eliminuje dyskusji na jej temat, a inflacja, która wiosną spadnie po raz pierwszy od dziewięciu lat poniżej 20 proc. rocznie, jest nadal zdecydowanie za wysoka i tym bardziej trzeba prowadzić zdecydowaną politykę antyinflacyjną.

W perspektywie następnego roku po dobrej stronie zapisać możemy wysokie tempo wzrostu gospodarczego, realną aprecjację złotego, obniżenie stóp procentowych, boom inwestycyjny i postęp w prywatyzacji. Po stronie przeciwstawnej wskazuje się na duży deficyt rachunku obrotów bieżących, wciąż znaczną liczbę przedsiębiorstw przynoszących straty, wysoki poziom bezrobocia oraz możliwość wzrostu stopnia politycznych konfrontacji w obliczu przyszłorocznych wyborów parlamentarnych.

Z kolei na następne pięć lat korzystne tendencje i procesy to nadal wysokie tempo wzrostu gospodarczego, duża skłonność ludności do oszczęd-

dzania, wzrastające bezpośrednio inwestycje zagraniczne, relatywnie niskie, konkurencyjne koszty siły roboczej oraz poprawiająca się efektywność przedsiębiorstw. Utrudniać zaś rozwój będzie konieczność dalszej restrukturyzacji przedsiębiorstw, wciąż znaczny poziom zagranicznego i wewnętrznego długu publicznego oraz duże subwencje budżetowe do systemu ubezpieczeń społecznych.

Na tle takich ocen, formułowanych w różnej perspektywie czasowej, niezwykle ważne są konkluzje i opinie uogólniające. Zawsze dobrze jest mieć za sobą opinie niezależnych, uznanych w świecie instytucji, tym bardziej że ze względów politycznych niektóre z rodzimych ośrodków badawczych i opiniotwórczych mediów pragnęłyby stworzyć odmienny, niekorzystny obraz Polski, kojarząc go z obecnymi rządami. Tymczasem ocenia się we wspomnianym amerykańskim opracowaniu, że przez najbliższe pół roku sytuacja polityczna będzie dostatecznie stabilna, aby zagwarantować, iż polityka nie wyrządzi większej szkody gospodarce. Podczas kolejnego roku możliwe będzie finansowanie deficytu obrotów bieżących poprzez dopływ kapitału i bez potrzeby większej - ponad kroczącej - dewaluacji. Do roku zaś 2000 przeciętne tempo wzrostu PKB wynosić będzie 5 do 7 proc. rocznie.

Tak - mam nadzieję - będzie.

Spała, 7 marca 1996 r.

Placówka

Czasy się zmieniają. Ludzie też. I chociaż już 110 lat minęło od opisanego przez Bolesława Prusa w „Placówce” zmagania Jagny i Józefa Ślimaków z pruskimi kolonizatorami, to można mieć wrażenie, że nadal zagraża nam kolonizacja. Raz po raz okazuje się, że merytoryczna argumentacja jest niewystarczająca, a emocje mogą brać górę nad racjami ekonomicznymi, zwłaszcza jeśli wśród zainteresowanych nie do końca znane są fakty. Przykładem pokonywania takiego oporu w otwierających się na świat gospodarkach są inwestycje zagraniczne. Pamiętam stosunek Meksykanów jeszcze kilka lat temu do rodzących się wzdłuż granicznej rzeki Rio Grande tzw. *maqui-lladoras* - fabryk z udziałem kapitału zagranicznego, głównie amerykańskiego. Wpierw wzbudzało to niechęć i protesty, a przy okazji

Odpowiedzi i pytania

niektórzy politycy mieli się dzięki temu wcale nieźle. Potem - w obliczu pojawienia się niekwestionowanych korzyści dla ludzi i gospodarki - zaczęto o ich dopływ wręcz rywalizować (a politycy nadal mieli się wcale nieźle...).

Podobne tendencje zaobserwować mogliśmy w naszej części Europy, chociaż wydawało się, że pewnych ksenofobicznych pozostałości wyzbyto się w Europie Wschodniej szybko. Od kilku już lat bowiem, w obliczu niedostatku kapitału rodzimego, trwa wyraźne współzawodnictwo o przyciąganie jak największej ilości bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Wraz z nimi docierają także nowe technologie i umiejętności menedżerskie oraz marketingowe, co z kolei nam ułatwia dostęp do trudnego rynku światowego. Polska jest coraz atrakcyjniejszym partnerem dla wielu państw i firm, absorbując rekordowe inwestycje zagraniczne. W ubiegłym roku przekroczyły one dwa i pół miliarda dolarów, a w tym z pewnością przewyższą trzy miliardy. Oznaczać to będzie, że w sumie zainwestowano u nas po roku 1990 aż dziesięć miliardów dolarów, z czego ponad połowę w latach 1995-96. To daje dodatkowe miejsca lepiej płatnej - bo wydajniejszej - pracy, dodatkowy wzrost produkcji eksportowej i dochodu narodowego, dodatkowe dochody do budżetów - tak gmin, jak i państwa. Zależąc nam zatem musi na dalszym wartkim dopływie inwestycji zagranicznych, tym bardziej że konkurują o nie również Meksykanie i Filipińczycy, Czesi i Egipcjanie, Chińczycy i Rosjanie oraz wiele innych łaknących kapitału krajów. Dlatego też - zważywszy na obecną fazę konkurencji międzynarodowej - trzeba dokonać dalszych zmian w naszych regulacjach gospodarczych, ułatwiających szerokie włączanie polskiej gospodarki w układ globalny.

Pod takim kątem prowadzone są działania zmierzające do członkostwa w OECD, co z pewnością będzie miało przełomowe znaczenie dla dalszej integracji z gospodarką światową, a w szczególności urealni szanse na przystąpienie do Unii Europejskiej. Na tej drodze pozostało jeszcze kilka rozstrzygnięć, w tym przyjęcie właściwych rozwiązań co do nabywania nieruchomości przez cudzoziemców. Do tej pory obowiązuje bowiem ustawa z roku 1920 (!) nadająca prawo podejmowania decyzji w tych sprawach - i to w sposób dość dowolny - ministrowi spraw wewnętrznych. Dlatego też już od 1988 roku stosuje się praktykę, że zezwolenia na nabycie nieruchomości w zasadzie powinny być wydawane, jeśli komuś jest to potrzebne do prowadzenia działalności gospodarczej, jak również z motywów osobistych czy też rodzinnych. Pozostaje jednakże do pokonania

w każdym indywidualnym przypadku biurokratyczna mitrega, trudna do zaakceptowania w państwach o rozwiniętym rynku.

W ostatnich latach rośnie zainteresowanie zagranicznych inwestorów nabywaniem nieruchomości w Polsce, choć w porównaniu z innymi krajami jest ono wciąż minimalne. Warto tylko wspomnieć, że we Włoszech ponad 800 tys. nieruchomości stanowi własność cudzoziemców. W Polsce natomiast - jednym z większych państw europejskich - w latach 1988-89 wydano tylko 343 zezwolenia. Następnie ich ilość stopniowo rosła: od 565 w roku 1990 roku poprzez 967 w roku 1993 do 1342 w roku 1995. Ponad połowa to zezwolenia dla spółek z udziałem kapitału zagranicznego, które od formalnej i nienaruszalnej własności działki, na której prowadzą działalność gospodarczą, uzależniają swoje zaangażowanie kapitałowe. Wnioski płynące z wszystkich państw są przy tym traktowane jednakowo. W ostatnich dwu latach, gdy pozytywnych decyzji zapadło najwięcej, zezwolenia otrzymały firmy i osoby z ponad 40 państw. Równocześnie jednak - w uzasadnionych przypadkach - zdarzały się odmowy: od 24 w 1990 r. poprzez 126 trzy lata później i 118 w roku 1994. Sposób jednak podejmowania tych decyzji - często kluczowy z punktu widzenia lokalizacji projektu zagranicznego inwestora - jest niesprawny. Dlatego też rząd podjął inicjatywę, aby dokonać odpowiednich zmian ustawowych w tej materii.

Są one bardzo łagodne i w pełni chronią polskie interesy, w tym zwłaszcza w odniesieniu do ziemi rolniczej, co słusznie jest przedmiotem szczególnej troski PSL - partii tak silnie związanej z naszą wsią i rolnictwem. Niedawno po ponad trzygodzinnej ostrej, ale merytorycznej dyskusji z klubem poselskim tej partii wydawało się, że wszystkie trudniejsze dylematy zostały rozstrzygnięte, a wątpliwości rozwiane. Z doświadczeń bowiem minionych lat wyprowadzono słuszne wnioski, które wydaje się podzielać reformatorski nurt PSL, że można sprzyjać dopływowi inwestycji zagranicznych, zarazem chroniąc interesy rodzime, zwłaszcza polskiego rolnictwa. Stąd też w nowej ustawie, nieco w Sejmie okrojonej w stosunku do przedłożenia rządowego, ograniczeniu ulega zakres regulacji dzięki zwolnieniu niektórych osób z obowiązku uzyskiwania zezwolenia. Uproszczona jest procedura wydawania zezwoleń na nabywanie nieruchomości oraz - co najważniejsze - eliminuje się luki w dotychczasowym ustawodawstwie, umożliwiające zakup ziemi poza kontrolą. Innymi słowy, przyjęcie nowej ustawy gwarantuje, że nieruchomości - w tym ziemię - nabywać będzie łatwiej, ale obchodzić przepisy przestarzałej ustawy - trudniej.

Odpowiedzi i pytania

Tym bardziej zostaliśmy zaskoczeni wynikami głosowania w Senacie, który - choć minimalną większością głosów - rozwiązania proponowane przez Sejm odrzucił w całości. Gdyby tak miało pozostać, byłby to fatalny sygnał wysłany na zewnątrz, nie tylko uniemożliwiający przystąpienie do OECD, ale na dłuższą metę także utrudniający proces integracji z Unią Europejską. Sprawa ta jednak wraca w tym tygodniu do Sejmu. Trzeba przyjąć te rozwiązania w ponownym głosowaniu nie tylko dlatego, że jest to jedno z formalnych kryteriów przyjęcia Polski do OECD, ale przede wszystkim dlatego, iż są to regulacje korzystne dla gospodarki, w tym dla rozwoju rolnictwa i gospodarki wiejskiej. Józef Ślimak, gdyby żył dzisiaj, to z pewnością byłby członkiem PSL, ale głosowałby za, bo chyba wiedział, co dla niego jest dobre.

Warszawa, 25 marca 1996 r.

Europa 2000

Międzyrządowa konferencja państw członkowskich Unii Europejskiej ponownie stawia na porządku dziennym kwestię przyszłości tej organizacji, a nawet więcej - politycznego i gospodarczego kształtu Europy u progu XXI wieku. Nadchodzi okres fundamentalnych rozstrzygnięć z punktu widzenia funkcjonowania tego sprawdzonego ugrupowania integracyjnego. Wkrótce zapaść muszą decyzje w sprawie utworzenia pełnej unii walutowej, wprowadzającej jedną, wspólną walutę o nazwie euro, ale nas najbardziej interesuje, czy z czasem - a jeśli tak, to kiedy i na jakich warunkach - będzie to także nasz pieniądz. Innymi słowy, zbliża się okres, w którym przyjdzie dokonać wyboru w kwestii poszerzenia Unii Europejskiej o niektóre państwa Europy Środkowej i Wschodniej. Polska jest największą gospodarką wśród krajów stowarzyszonych z UE, stąd też dla procesu integracji europejskiej stanowi największą szansę, ale zarazem i największe wyzwanie. Wystarczy uświadomić sobie, że Polaków jest tylu, ilu w sumie mieszkańców w czterech pozostałych państwach CEFTA (Czechy, Węgry, Słowacja, Słowenia), trzech państwach nadbałtyckich (Estonia, Litwa, Łotwa) oraz w Bułgarii. Jedno państwo, ale z takiego właśnie punktu widzenia - jak osiem innych.



Odpowiedzi i pytania

Ewentualne poszerzenie Unii Europejskiej - wpięrow o Cypr i Malte, a później o kraje naszej części kontynentu - wymaga już teraz skoordynowanych działań po obu stronach, tak w obrębie samej Unii, jak i w państwach z nią stowarzyszonych. Przed Unią stoją co najmniej trzy olbrzymie wyzwania, którym trzeba stawić czoło, aby zapewnić funkcjonalność całego ugrupowania. Na gruncie politycznym jest to system podejmowania decyzji, który skomplikowałby się jeszcze bardziej w przypadku przystąpienia nowych państw. Dochodzenie do konsensusu w ramach coraz większej liczby członków jest trudniejsze. Zarazem niby proste decydowanie głosami większości jest nie do przyjęcia dla mniejszych państw. Z dwu różnych punktów widzenia zwracali na to uwagę podczas niedawnego spotkania ministrów finansów dziewięciu państw bałtyckich w Boltenhagen w Meklemburgii Theo Waigel, minister finansów ponad 80-milionowych Niemiec, i Mats Nimisto, minister finansów 5-milionowej Finlandii.

Drugie wyzwanie dotyczy konieczności przeprowadzenia radykalnych zmian w ramach słynnej CAP, czyli wspólnej polityki rolnej. Jest ona trudna do utrzymania już obecnie, a cóż dopiero w przypadku przyjęcia Polski do Unii, kiedy to - ze względu na liczebność naszego kraju i bardzo wysoki, nie spotykany już w UE, udział ludności rolnej - budżet ugrupowania nie byłby w stanie sprostać obciążeniom wynikającym ze stosowania nieefektywnego systemu dotacji do rolnictwa. I trzecie wyzwanie to polityka w zakresie funduszy strukturalnych, służących stopniowemu wyrównaniu regionalnych poziomów rozwoju.

Ta sprawa ma szczególne znaczenie, ponieważ obecnie beneficjentami polityki regionalnej prowadzonej w Brukseli są przede wszystkim Grecja, Irlandia, Hiszpania i Portugalia. Te państwa patrzą na poszerzenie Unii przez pryzmat ryzyka utraty uzyskiwanych dotychczas funduszy. Są one bowiem przyznawane tym, którzy mają relatywnie niższy dochód narodowy na mieszkańca. Przyjęcie następnych członków - o jeszcze niższych dochodach - spowodowałoby takie obniżenie przeciętnego poziomu PKB na głowę, że niektóre państwa i regiony, dotąd korzystające z funduszy strukturalnych, utraciłyby do nich dostęp. Dlatego też po 1999 roku mechanizm dystrybucji środków finansowych ulegnie zmianie, a państwa dążące do członkostwa w UE powinny już zawnazę miarkować się w swych oczekiwaniach co do tej formy pomocy. Nie będzie ona bowiem w żadnym przypadku porównywalna z tym, co uzyskała Irlandia czy Hiszpania.

Po naszej natomiast stronie na drodze do Unii Europejskiej zamykać trzeba sukcesywnie trzy luki. Pierwsza z nich to luka **psychologiczna**. Chociaż dziś wydaje się - a potwierdzają to także wyniki badania opinii publicznej - że zdecydowana większość jest za przystąpieniem do Unii, to poparcie takie wymagać będzie jeszcze weryfikacji politycznej. A wpływ na to z pewnością wywrze również przebieg reform strukturalnych, które trzeba przeprowadzić, jeśli naprawdę chce się do Unii przystąpić, oraz sposób prowadzenia dyskusji publicznych na te tematy. A nie są to reformy łatwe, chociażby na polu ubezpieczeń społecznych, finansów publicznych, przekształceń własnościowych czy restrukturyzacji rolnictwa.

Skalę potencjalnych problemów związanych z zamykaniem swoistej luki psychologicznej unaocznia chociażby niedawna dyskusja o nabywaniu nieruchomości przez inwestorów zagranicznych. Przecież ci, co byli przeciwko tej zmianie, faktycznie opowiadali się również przeciwko integracji z Unią Europejską. Dobrze zatem, że są w mniejszości, ale lepiej mieć we właściwym czasie na pewno większość 51 proc. niż teraz deklaratorywnie czy też w badaniach opinii może nawet poparcie ponad 70 proc. ludności. Aby tak było, trwać musi nieustannie rzeczowa argumentacja na rzecz reform, nieodzownych pod kątem integracji i rozwoju gospodarki rynkowej. Muszą one zyskać autentyczne przyzwolenie społeczne i polityczne. Bez tego dzieje się tak, jak w rozwiniętej skądinąd bardzo dobrze Norwegii, gdzie w 1972 roku 53,6 proc. społeczeństwa, a pokolenie później - w roku 1994 - 52,3 proc. opowiedziało się przeciwko łączeniu z Unią. Mówiono, że do Oslo daleko, ale do Brukseli jeszcze dalej. Co ciekawe, obecny minister finansów tego kraju - Sigbjorn Johnsen - wcześniej głosował przeciw, a ostatnio za. Ale to jeszcze nie starczyło, w tej sprawie bowiem minister finansów miał tylko jeden głos.

Druga luka związana jest z **osiągniętym poziomem rozwoju, a dokładniej jego zróżnicowaniem między państwami członkowskimi i stowarzyszonymi**. Polska plasuje się tu wcale nieźle, choć nasz poziom rozwoju wciąż pozostaje daleko w tyle za standardami UE. Jeśli jednak policzyć PKB na mieszkańca w kategoriach nie obecnego kursu walutowego, tylko parytetu siły nabywczej, to ta luka jest blisko dwukrotnie mniejsza, a relacje dochodu na głowę między przeciętną dla Europy Zachodniej i Polski szacować można na około dwa i pół do jednego. Na stopniowe niwelowanie tej z kolei luki oddziaływać można jedną tylko metodą - i to bynajmniej

Odpowiedzi i pytania

nie poprzez liczenie na wartki dopływ środków pomocowych w formie wspomnianych funduszy strukturalnych. Tym jedynym skutecznym sposobem jest szybkie, dwu-, trzykrotnie większe niż w UE tempo wzrostu gospodarczego. I temu właśnie ma służyć *Strategia dla Polski - Pakiet 2000*. Przyjęcie przez rząd tego programu byłoby dobitnym dowodem - także dla oczekującego na to potwierdzenie świata zewnętrznego, w tym przede wszystkim dla samej Unii Europejskiej - rzeczywistej determinacji co do prowadzenia polityki służącej integracji europejskiej na drodze rynkowych reform, stabilizacji i wzrostu.

Realizacja tego pakietu sprzyjać będzie także dalszemu sukcesywnemu **zamykaniu trzeciej luki - instytucjonalnej**. Dlatego tak ważne są reformy sposobu funkcjonowania gospodarki pod kątem konsekwentnego wdrażania mechanizmów rynkowych. To wymaga jeszcze sporo wysiłku, w tym wprowadzenia zmian podatkowych zakładanych w *Pakiecie 2000*. Nie przypadkowa przecież jest zbieżność horyzontu czasowego pakietu i naszych ambicji co do przystąpienia do Unii. Polska słusznie idzie w tym kierunku nie po to, aby od razu być bogatsza - to bowiem przychodzi z czasem i z wysiłkiem - ale po to, aby być lepsza. Lepsza w tym sensie, że bardziej funkcjonalna będzie gospodarka, efektywniejsze struktury, sprawniejsze instytucje i - w rezultacie - lepsze także będzie zaspokojenie potrzeb społecznych i wyższa jakość życia.

Tego właśnie warto wszystkim życzyć. Wesołych Świąt!

Krynica, 31 marca 1996 r.

Mały rząd - dobry rząd

Wkrótce rząd będzie musiał podjąć kolejne, brzemiennie w skutkach decyzje przesądzające na kilka następnych lat kierunki polityki gospodarczej. Zostały one zakreślone w dokumencie programowym *Strategia dla Polski - Pakiet 2000*. Jego pierwszoplanowy cel to utrzymanie właściwego kierunku reform oraz wysokiej dynamiki rozwojowej, tak, aby w perspektywie roku 2000 można było odpowiedzialnie myśleć o członkostwie w Unii Europejskiej. Priorytet mają tu działania zmierzające do pełnej stabilizacji finansów publicznych (a bez tego nie będzie szans na pełną stabilizację społeczną i polityczną) oraz bardziej sprawiedliwego i efektywnego dzielenia kosztów i owoców rynkowych reform.

W trakcie publicznej dyskusji i konsultacji *Pakiet 2000* zyskał wielu sojuszników. Duże nadzieje pokładają w nim pracodawcy, przedsiębiorcy i inwestorzy, którzy widzą w tej linii programowej szansę na ekspansję i poprawę konkurencyjności swoich firm. Takie opinie docierają od wojewodów i z Konfederacji Pracodawców Polskich, z Krajowej Izby Gospodarczej, Polskiej Rady Biznesu czy Business Centre Club. Poparcie płynie też ze strony reformatorskiego i pragmatycznego nurtu związków zawodowych, zwłaszcza OPZZ i jego przewodniczącej - Ewy Spychalskiej. Bierze się to stąd, że właśnie wzrost gospodarczy tworzy nowe, lepiej płatne miejsca pracy. Program ten wzbudził również życzliwe zainteresowanie zagranicznych partnerów, czego dowodzą komentarze w prasie światowej, wypowiedzi przedstawicieli międzynarodowych organizacji gospodarczych i finansowych, a przede wszystkim rosnące zainteresowanie zagranicznych inwestorów. Przewiduje się, że w Polsce do roku 2000 ulokowane zostaną ponad 22 miliardy dolarów, a więc trzykrotnie więcej niż dotychczas! Najważniejsze jednak, że na *Pakiet 2000*, zwłaszcza na obniżenie podatków, czekają miliony podatników, a ich zaufania nie można zawieść.

Zgłaszane są wszakże wobec proponowanych rozwiązań pewne wątpliwości i zastrzeżenia. Można wskazać na dwa ich rodzaje. Pierwsze biorą się po prostu z własnych, grupowych interesów ekonomicznych i politycznych. Lansowanie życia na cudzy poniekąd rachunek - poprzez schemat w rodzaju „wasze wysokie podatki, nasze wysokie wydatki” - jest domeną wielu polityków i partii. I to bynajmniej nie tylko w Polsce. Dąży się na różne sposoby do przekazywania przez budżet państwa znaczących dochodów z miejsc, gdzie są one tworzone przez jednych, do miejsc, gdzie są wydatkowane przez innych. Od tego bynajmniej środków nie przybywa, tylko kto inny je dzieli - parlamenty i rządy, politycy i urzędnicy. Co gorsza, w dłuższym okresie środków jest wówczas mniej, gdyż nadmierne upolitycznienie i zbiurokratyzowanie stosunków podziału pociąga za sobą mniejszą efektywność w sferze finansów publicznych. **Dlatego też dobry rząd, to mały rząd - taki, który dzieli mniej po to, aby z czasem było w sumie więcej dla wszystkich.**

Druga grupa uwag ma charakter merytoryczny i wymaga rzeczowej dyskusji, ponieważ niezrozumienie istoty procesów gospodarczych prowadzić może do nieporozumień politycznych. Otóż podnoszone są wątpliwości co do możliwości utrzymania wysokiego tempa wzrostu na

Odpowiedzi i pytania

tle proponowanej w *Pakiecie 2000* ścieżki inflacji. Jeśli pominąć motywacje polityczne, które pod takim pretekstem zmiierzają właśnie do polityki „dużego budżetu” (czyli „złego rządu”), to trzeba uznać, że zbijanie inflacji jest dziś warunkiem koniecznym utrzymania wysokiego tempa rozwoju. Uleganie pokusie pobudzania wzrostu przez politykę dużych transferów budżetowych już za dwa, trzy lata okazałoby się zgubne. Ale właściwe decyzje podejmować trzeba obecnie. Zmniejszenie fiskalizmu i redystrybucji budżetowej może dokonać się w warunkach pokoju społecznego dopiero teraz, rośnie bowiem równocześnie produkcja i spada inflacja. Sprzyjać to będzie skłonności do oszczędzania - tak przedsiębiorstw, jak i gospodarstw domowych. Poprzez inwestycje (a nie protekcyjizm, dotacje, subwencje, dopłaty, ulgi i zasiłki) będzie zaś rosło zatrudnienie, płace i spożycie.

Zastrzeżenia tu i ówdzie wywołuje także zawarta w *Pakiecie* instrumentacja polityki finansowej, z punktu widzenia jej wpływu na eksport, który jest jednym z głównych kół zamachowych w naszej strategii rozwoju gospodarczego. Otóż zmniejszanie obciążeń podatkowych z pewnością lepiej wpłynie na zdolności konkurencyjne przedsiębiorstw, niż ustępowanie wobec wciąż silnych ciągów do protekcyjizmu i subwencjonowania producentów kosztem konsumentów (co sprawia, że fabryka inflacji cały czas produkuje: wystarczy spojrzeć na wzrost cen żywności, na którą wydajemy 38 proc. naszych rodzinnych budżetów). Podobnie jest z ulgami inwestycyjnymi. To prawda, że ten instrument interwencjonizmu się sprawdził i dlatego też zostanie utrzymany. Ale prawdą jest i to, że należy stosować go tylko w takim stopniu, jaki jest niezbędny dla wywołania zamierzonego efektu, nie rezygnując ponad miarę z pobierania dochodów do wspólnej kasy. Można zatem stopniowo obniżać ulgi, z których korzysta tylko część firm, aby więcej - wskutek spadających obciążeń podatkowych - inwestować mogli wszyscy.

I wreszcie podejrzenia, jakoby *Pakiet 2000* sprzyjać miał bogatym kosztem biednych. Otóż nie, na jego wdrożeniu bowiem skorzystają wszyscy, aczkolwiek nie w takiej samej mierze. Preferencje ukierunkowane są nie ku bogatym (jak twierdzą populiści, niektórzy zresztą też nie tacy w końcu biedni...) ale ku wykształconym, wydajnym, pracowitym, konkurencyjnym, przedsiębiorczym. Jeśli to zostanie zaakceptowane, do podziału dla wszystkich będzie więcej. Jednoczesne obniżenie stawek podatkowych do 20, 30 i 40 proc. i dalsze, stopniowe upowszechnianie VAT-u zmniejsza obciążenia podatkowe dla wszystkich bez wyjątku grup ludności. Zaniechanie natomiast takiego przedsięwzięcia pozbawiłoby wszystkich - także mniej za-
możnych, tego dobrodziejstwa.

Są w końcu i argumenty polityczne, choć lepiej posługiwać się ekonomicznymi. Nikt nie zapomniał, że po zwycięskich wyborach w 1993 roku kierownicze gremia SLD i PSL - te same zresztą, co dziś - obiecywały wyborcom, że podnoszą im podatki tylko przejściowo. *Pakiet 2000* stwarza szansę, aby te deklaracje były prawdziwe. A za rok - następne wybory. Pora zatem wybrać właściwe - brzemiennie w politycznych skutkach - rozwiązania.

Szczyrk, Wielkanoc 1996 r.

Europejczyk nr 1

W Sofii zakończył się właśnie tegoroczny szczyt Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR). EBOR jest - o czym się często zapomina - największym inwestorem zagranicznym w Polsce, posiadając udziały w bankach, firmach ubezpieczeniowych, przedsiębiorstwach przemysłowych oraz usługowych.

Zaangażowanie finansowe EBOR w naszym kraju (podobnie jak Europejskiego Banku Inwestycyjnego, z którego kierownictwem rozmawialiśmy o dalszych inwestycjach w Polsce) - osiągnęło już poziom ponad 1 mld dolarów. Oznacza to, że również te instytucje optymistycznie oceniają perspektywy rozwoju naszego kraju i poziom ryzyka inwestycyjnego. Dobrze się stało, że praktycznie w przeddzień sofijskiego zjazdu czołowa amerykańska agencja ratingowa Standard and Poors przyznała Polsce tzw. stopień inwestycyjny (BBB-), awansując nas aż o dwie klasy w stosunku do ubiegłorocznej oceny wiarygodności kredytowej. Fakt ten był szeroko i pozytywnie komentowany w kularach sofijskiego szczytu.

W rozmowach z prezesem EBOR - Jacques de Larosiere omówiłem gotowość banku do dalszego inwestycyjnego zaangażowania w naszą gospodarkę, zwracając jednocześnie uwagę na konieczność istotnego wzmocnienia roli tej instytucji jako katalizatora odbudowy stosunków gospodarczych pomiędzy krajami byłego RWPG. Na rzecz takiej strategii działa także nasz reprezentant w EBOR - były premier Jan Krzysztof Bielecki. Temu celowi służyć winny dodatkowe środki, o które zabiega EBOR wśród swoich akcjonariuszy.

Szczególne miejsce w tegorocznej sesji zajmowała problematyka umocnienia sektora bankowego w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Podczas panelu, w którym uczestniczyłem wraz z Jacques de Larosiere, Lubomirem Filipowem (prezes Narodowego Banku Bułgarii), Charlesem Dallara (dyrektorem prestiżowego Instytutu Międzynarodowych Finansów w Waszyngtonie) zwróciłem uwagę na rolę banków komercyjnych w pobudzaniu wzrostu gospodarczego oraz banku centralnego w zapewnieniu stabilizacji makroekonomicznej. **Tym** większa jest szansa na taką stabilizację, im większy jest zakres politycznej niezależności banku centralnego i większa doza profesjonalizmu w sterowaniu polityką monetarną. Im bardziej te dwie cechy się zbiegają, tym niższa jest inflacja. Dlatego też dobrze się dzieje, że w gospodarkach krajów transformowanych banki centralne w większości przypadków mają ustawowo zagwarantowaną niezależną pozycję.

Z takiego właśnie punktu widzenia należy patrzeć na przyjętą w ubiegłym tygodniu przez Sejm ustawę o konsolidacji banków z udziałem Skarbu Państwa oraz trwające w parlamencie, rządzie i NBP prace nad przygotowaniem nowoczesnych - odpowiadających europejskim standardom - regulacji prawnych. Ułatwi to spełnianie właściwej roli przez banki - tak centralny, jak i komercyjne oraz inwestycyjne - w osiąganiu celów gospodarczych.

Tylko w pierwszym kwartale tego roku zainwestowano u nas ponad 1 miliard dolarów i można oczekiwać, że suma tych inwestycji do końca roku przekroczy 11 miliardów. Do roku 2000 świat zainwestuje w Polsce następne 20 miliardów dolarów, do czego również przyczyniły się nasze sofijskie spotkania. Rozmowy prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, aktywność polskiej delegacji - tak rządowej, jak i naszych bankowców oraz inwestorów - przyciągają jeszcze większą uwagę nie tylko do osiągnięć siedmiu lat polskiej transformacji, ale przede wszystkim do perspektyw rozwojowych naszego kraju jako największego wyłaniającego się rynku w Europie.

Wizyta w Sofii była także dobrą okazją do dwustronnych kontaktów z politykami bułgarskimi. Sądzę, że dyskusje, które z nimi odbyłem i podjęte ustalenia - zwłaszcza z premierem Zanem Widenowem - spowodują wyraźnie ożywienie stosunków gospodarczych, przede wszystkim w odniesieniu do wymiany handlowej, której poziom, choć rosnący, jest wciąż bardzo niski, osiągając ledwie 0,2 proc. naszego całego handlu zagranicznego. Liczyć także można na stopniowe i konsekwentne uregu-



Odpowiedzi i pytania

lowanie bułgarskich zobowiązań finansowych wobec Polski, nie tylko poprzez dostawy na nasze stoły coraz lepszych bułgarskich win, ale także przez wykorzystanie technik zamiany długu na udziały w prywatyzowanych przedsiębiorstwach bułgarskich.

Światowa finansjera traktuje wschodnioeuropejskich polityków twardo i bez ogródek, także gospodarzy sesji, polityków bułgarskich. Polacy mają jednak dobre notowania: w niedzielnym wydaniu gazety „Emerging Markets” na pierwszej stronie ukazała się relacja z wystąpienia prezydenta Kwaśniewskiego na seminarium Wall Street Journal Europę. Tytuł: *Europejczyk nr 1*.

Sofia, 15 kwietnia 1996 r.

Świat się zmienia

Wiosenne spotkanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego wyostrza spojrzenie na zmiany, zachodzące w naszej globalnej wiosce. Porównując obraz gospodarki światowej, postrzeganej przez pryzmat waszyngtońskiego spotkania zaledwie dwa lata temu i obecnie, widać, że kilka procesów rzutuje w sposób decydujący na jej wygląd.

Pierwszy to niebywale intensywna globalizacja stosunków ekonomicznych. Wyraża się to nie tylko w rosnących szybciej niż produkcja obrotach handlu międzynarodowego, ale przede wszystkim w integrowaniu światowego rynku finansowego. Poszerza to możliwość ekspansji gospodarczej, ale zarazem stwarza nowe zagrożenia. Konsekwencje niedawnego, kryzysu finansowego w Meksyku, spowodowanego lawinową ucieczką kapitału, są odczuwane do dziś, a w MFW próbuje się wyciągnąć z tego doświadczenia lekcje na przyszłość. Wartki dopływ krótkoterminowych inwestycji portfelowych o charakterze spekulacyjnym może się szybko odwrócić wskutek niewłaściwych reakcji ze strony rynku albo polityki pieniężnej, pociągając za sobą niebagatelne konsekwencje dla całej gospodarki.

MFW wydaje się obecnie lepiej przygotowany na takie przykre niespodzianki, choć jest oczywiste, że to poszczególne kraje zawczasu same

muszą radzić sobie z takim niebezpieczeństwem. Meksykańska lekcja dowodzi, że **gdy polityka nie jest w stanie sprostać wylaniającym się problemom, rynek wymusza odpowiednie dostosowania, zdecydowanie bardziej kosztowne**. Narzucanie polityce dyscypliny finansowej przez bezwzględny rynek dokonuje się poprzez znaczne wahania w cenach różnych aktywów i kursów walut, co ma negatywny wpływ na aktywność gospodarczą oraz zatrudnienie. Dziś już wszyscy wydają się rozumieć, że integracja gospodarki światowej wymaga wielkiej dyscypliny finansowej, choć bynajmniej nie wszyscy w tym kierunku działają.

Drugi proces implikacji globalnych to transformacja systemowa w naszej części świata. Nie jest to już najgorętszy temat podczas tego typu zgromadzeń międzynarodowych, ale nadal rzutuje on znacząco na przyszłość świata. Na konferencjach naukowych, wśród bardziej pragmatycznej i chłodnej międzynarodowej finansjery, polskie osiągnięcia ostatnich lat to już bez mała sztandarowy przykład rynkowej transformacji jako jedyne skutecznego sposobu integracji z gospodarką światową. Zarazem na tegorocznym spotkaniu w Waszyngtonie dostrzec można, że zdecydowanie mniej niż kiedyś jest jednoznaczności w podejściu do sposobów transformacji, mniej jest ortodoksji i liberalizmu, więcej zaś elastyczności i pragmatyzmu oraz różnicowania ocen.

Szczególną uwagę - tak w MFW i BŚ, jak i pośród delegacji z krajów przechodzących transformację - przykłada się do polskich doświadczeń ostatnich lat. Polityka gospodarcza tego okresu dowiodła bowiem, że do wielu aspektów reform strukturalnych i instytucjonalnych można było podejść w odmienny niż uprzednio sposób - i to ze zdecydowanie lepszymi efektami. Nic dziwnego zatem, że wiele krajów, zwłaszcza ze Wspólnoty Niepodległych Państw, chce czerpać bardziej niż dotychczas z naszych doświadczeń, co także potwierdziły moje rozmowy z dyrektorem zarządzającym MFW - Michele Camdessus - i prezesem Banku Światowego - Jamesem Wolfensohmem. Chce on zapędzić - i słusznie - długoletnich pracowników tej szacownej instytucji do nauki, zwracając uwagę na konieczność znajomości realiów, którymi zajmują się w różnych miejscach świata eksperci banku, a nie tylko teoretycznej wiedzy, wyniesionej przed laty z uniwersytetów. Trzeba uczyć się nieustannie w tym najtrudniejszym, jakim jest życie. W Banku Światowym na permanentne kształcenie wydaje się tylko dwa procent środków, gdy nakłady te w nowoczesnej korporacji sięgają aż dziesięciu procent.

Odpowiedzi i pytania

Trzecia cecha, przez pryzmat której widać zmieniający się świat, to wzrost gospodarczy. Ciekawe jak będzie kształtował się w przyszłości. MFW w każdym kolejnym wydaniu semestralnego *Przeglądu gospodarki światowej* aktualizuje swoje prognozy. I nikt go za to nie krytykuje, a przynajmniej nie atakuje, gdyż świat nieustannie się zmienia. Zmieniają się również warunki gospodarowania i politykowania, nie mogą więc być stałe przewidywania co do przyszłości, nawet tej najbliższej.

Ciekawe są przy tym kierunki tych zmian. Otóż teraz **MFW oczekuje wzrostu gospodarczego na świecie w 1996 r. o 3,8 proc, czyli o 0,3 proc. mniej, niż w prognozie sprzed sześciu miesięcy.** Jest to głównie następstwem innej oceny perspektyw wzrostu w Unii Europejskiej, dla której obecnie przewiduje się wzrost PKB w 1996 r. już tylko o 1,8 proc. (a nie jak wcześniej o 2,8) oraz przewidywań wobec transformowanych gospodarek, których dochód narodowy ma wzrosnąć o 2,5, choć jeszcze jesienią zakładano jego zwiększenie o 3,4 proc. Przeciętne tempo wzrostu dla całego regionu znacznie obniża nadal trwająca w Rosji i na Ukrainie recesja.

Najciekawsze wszakże jest to, że MFW nie zmienia swoich prognoz w stosunku do krajów rozwijających się, dla których przewiduje taki sam jak pół roku temu, bardzo szybki wzrost o 6,3 proc. Tak znacząca dynamika rozwojowa państw tej kategorii - a PKB zwiększa się w tej najliczniejszej grupie w latach 1994-97 średnio o ponad 6 proc. rocznie - wyraża jedną z bardziej znamienych tendencji.

Na tym tle zmieniają się relacje w gospodarce światowej, tym bardziej, że szybki wzrost gospodarczy w krajach rozwijających się i czołowiec gospodarek transformowanych oparty jest na ekspansji eksportu. O ile w krajach uprzemysłowionych eksport rośnie w latach 1996-97 o około 5 proc, to w gospodarkach transformowanych o ok. 8 proc, a w rozwijających się - tym razem dosłownie - aż o ponad 10 proc. Oczekuje się przy tym, że 1997 r. przyniesie dalsze przyspieszenie tempa wzrostu. W skali globalnej produkcja wzrosnąć ma o 4,3 proc, w tym w państwach uprzemysłowionych tylko o 2,6 proc, natomiast w gospodarkach transformowanych o 3,8 i rozwijających się aż o 6,4. Polska ze wzrostem PKB o około 6 proc. plasuje się na tej mapie wcale dobrze.

Świat zmienia się również pod innymi względami. W centrum Waszyngtonu dyskutuje się o sprzedaży z rezerw Międzynarodowego Funduszu

Walutowego pięciu milionów uncji złota po to, aby starczyło środków na udzielanie na szerszą skalę dotowanych kredytów, wspierających procesy dostosowań strukturalnych w mniej rozwiniętych gospodarkach. My z takiej możliwości nie będziemy korzystać, gdyż stać nas już na inne sposoby finansowania rozwoju, zwłaszcza w postaci krajowych i zagranicznych inwestycji bezpośrednich ze źródeł prywatnych. Zupełnie inaczej wygląda dzisiaj Polska w tym zmieniającym się świecie, sama też na tych zmianach odciskuje swoje piętno.

Waszyngton, 22 kwietnia 1996 r.

Polskie drogi

Mijają dokładnie dwa lata, które spędziłem w polityce. I w „Polityce”. Z takiej perspektywy doświadczeń warto spojrzeć na ten okres, stawiając pytanie, na ile polityka gospodarcza i finansowa się sprawdza i w jakim stopniu jest to skutkiem kontynuacji wcześniej zapoczątkowanych działań, a w jakiej mierze odwrotnie - odejściem od tego, co w początkowym okresie transformacji się nie sprawdziło. Najważniejsze wszakże jest wyciągnięcie z tych ocen właściwych wniosków na przyszłość. I to przez możliwie wielu aktorów tak bardzo aktywnych na polskiej scenie politycznej.

Od pomówień formułowanych w kręgach opozycyjnych, że oto po wyborach parlamentarnych z jesieni 1993 roku nadchodzi okres „katastrofy narodowej” czy też „kroczącej destrukcji” na polu gospodarczym, ostatnio część opozycji przeszła do skrzętnych zabiegów o przypisanie sobie jak największej porcji zasług i praw autorskich do niekwestionowanych także pośród najbardziej zagorzałych przeciwników obecnego rządu sukcesów gospodarczych. Są one bowiem coraz bardziej oczywistym faktem i nie sposób wciąż powtarzać - także licznym zagranicznym gościom wyrażającym uznanie dla polskich przemian ustrojowych - że źle się dzieje na niwie gospodarczej.

Coraz wyraźniej jednak dostrzegane są zasadnicze różnice jakościowe pomiędzy polityką prowadzoną we wczesnym okresie transformacji - zwłaszcza w latach 1989-91 - bez której skądinąd później realizowane reformy nie byłyby możliwe, a zmianami urzeczywistnianymi w ramach

Odpowiedzi i pytania

linii programowej *Strategii dla Polski*. Oba programy są nie tylko określonymi koncepcjami polityki gospodarczej, zwłaszcza stabilizacyjnej, ale przede wszystkim sterowania zmianami systemu gospodarczego. Co do stabilizacji makroekonomicznej to obok licznych wątków kontynuacji, istotne różnice sprowadzają się do odmiennego podejścia do sposobów równoważenia finansów publicznych. Od dwóch lat bowiem główny nacisk położony jest nie na ograniczanie wydatków z budżetu państwa, tylko na maksymalizację jego dochodów przy równoczesnej redukcji skali fiskalizmu. Służy temu proinwestycyjnie ukierunkowany system ulg podatkowych oraz stopniowe eliminowanie podatku importowego, co tylko w przyszłym roku zmniejsza obciążenia podatników o równowartość około miliarda dolarów.

Na szczeblu mikroekonomicznym zasadnicze zmiany polegają na podjęciu działań restrukturyzujących portfele finansowe przedsiębiorstw i banków, które wcześniej popadły nie ze swojej winy w znaczne tarapaty, przeżywając zaiste szok, ale nie przechodząc przez terapię. Teraz odwrotnie - stosowana jest terapia, ale bez zbytecznych szoków, przy czym polityka przemysłowa adresowana jest do tych podmiotów, które mają szansę poradzić sobie w warunkach twardych ograniczeń budżetowych i ostrej rynkowej konkurencji, także zagranicznej. To właśnie - wraz z wprowadzeniem całej gospodarki na ścieżkę największego w Europie tempa wzrostu gospodarczego - dało szanse równoczesnego, sukcesywnego obniżania zarówno stopy bezrobocia, jak i stopy inflacji. Jeszcze dwa lata temu możliwości takie były kwestionowane, dzisiaj są one faktem.

Jeszcze więcej różnic i nowych elementów programowych występuje w odniesieniu sposobu sterowania zmianami systemu gospodarczego. Poprzednie podejście poległo na stosowaniu imperatywnej metody zmiany społecznej według schematu przejścia od socjalistycznej, zreformowanej gospodarki planowej do nowego systemu, zdefiniowanego jako kapitalistyczna gospodarka rynkowa. To powodowało traktowanie społeczeństwa jako względnie aktywnego obiektu oddziaływania władzy państwowej, który to obiekt musi dostosować się do z góry założonego wzorca. Takiemu podejściu towarzyszyła nieustannie retoryka o braku tzw. alternatywy wobec prowadzonej polityki.

Alternatywna koncepcja została jednak stworzona i w miejsce podejścia imperatywnego proponuje ona metodę interakcyjną. Jest to zatem program bardziej przeobrażenia systemu gospodarczego, niż przejścia od

jednego systemu do drugiego. Władza opracowuje wizję pożądaných zmian i stara się nie tyle narzucić jakiś model, ile wyzwolić mechanizmy i siły społeczne, które są w stanie właściwie ukierunkować przeobrażenia.

Spółeczeństwo jest zatem traktowane jako podmiot transformacji, która nie polega na wprowadzaniu na siłę z góry zaplanowanych rozwiązań, ale na ich kreowaniu w wyniku dyskursu i społecznej interakcji. W efekcie dokonuje się stopniowa i trwała - przebiegająca w warunkach pokoju społecznego - adaptacja wszystkich podmiotów gospodarczych do wciąż zmieniających się warunków konkurencji rynkowej. Wraz ze wzrostem produkcji i spadkiem inflacji przy takim podejściu mniej jest napięć społecznych, strajków i protestów. Wręcz symboliczne w tym ujęciu znaczenie miało tutaj - wcześniej ponoć niemożliwe - odejście od konfliktogenego i antyefektywnościowego popiwku i wprowadzenie zamiast niego negocjacyjnego mechanizmu kształtowania płac. To wszystko z kolei umożliwia coraz pełniejsze partnerstwo społeczne, w którym interaktywność zmian systemowych wyraża się najbardziej.

Odmienność obecnej linii programowej polega także na jej zasadniczym wzbogaceniu w porównaniu z polityką wczesnego okresu transformacji. Realizacja czternastu programów węzłowych *Strategii dla Polski* - od wielofunkcyjnego rozwoju obszarów wiejskich poprzez absorpcję szarej strefy do integracji polskiej gospodarki z uprzemysłowionymi krajami świata w ramach OECD - to nie prosta kontynuacja, ale ukierunkowywanie ludzkiej aktywności i wspomaganie jej przez politykę państwa. Próby nowatorskiego ujęcia rozwoju regionalnego jako swoistej przeciwwagi dla wciąż nadmiernej skali etatyzmu i branżowego podejścia do polityki gospodarczej wraz z reformą centrum gospodarczego rządu - to także ważne nowe elementy programowe.

Chociaż coraz lepszy stan polskiej gospodarki jest nie tyle rezultatem polityki gospodarczej na początku transformacji, ile właśnie następstwem odejścia od niej i realizacji alternatywnego programu, to dziś nie ma się co spierać o źródła obecnych sukcesów. Zostawmy to historii. Ważne, że one są. Ale jeszcze ważniejsze jest to, aby było ich nie mniej w przyszłości. Czując zatem już coraz częściej (szkoda, że tak wcześnie) powiew ociekających nas za kilkanaście miesięcy wyborów parlamentarnych, warto tak kroczyć polskimi drogami, aby nie spychać się wzajemnie na manowce. Na gruncie ekonomicznym bowiem bardziej dzieli nas przeszłość, a w przyszłości, którą przecież słusznie wybraliśmy, coraz więcej powinno nas łączyć.

Odpowiedzi i pytania

Warto zatem poszukiwać dróg, które pomieszczą jak najwięcej sił reformatorskich. Prowadzić to będzie do szerszego kompromisu politycznego. Wtedy produkcja nadal będzie rosła, a inflacja spadała. Atrakcyjnych tematów do „Polityki” zaś w coraz większym stopniu będzie dostarczała polityka, a nie gospodarka.

Bogusławice, 28 kwietnia 1996 r.

*Drugi rok
trudnych rozmów*

*(Fragmenty wywiadów prasowych wicepremiera,
ministra finansów prof. Grzegorza W. Kołodko)*

Strategia na miarę sukcesu

W rozmowie z Jerzym Bukowskim;
„Magazyn Przemysłowy” nr 2/1995

Panie Premierze, z satysfakcją odnotowujemy wyniki: rośnie produkt krajowy i produkcja, maleje bezrobocie, wzrasta eksport, import korzystnie zmienia swoją strukturę, zwiększają się rezerwy dewizowe państwa. Czyli sytuacja gospodarcza kraju wydaje się być idealna. Natomiast, okazuje się, że nie wszystkie podmioty gospodarcze potrafią wykorzystać tę koniunkturę. Dlatego uruchomiliśmy rubrykę *Sygnaly i szanse*, aby pomóc dyrektorom przedsiębiorstw pochwyć wiatr w żagle. Jakie sygnały z centrum wysłałby Pan do polskich przedsiębiorców, by mogli je wykorzystać jako szansę rozwoju?

Nie podzielam takiego punktu widzenia. Gdyby tak było naprawdę, gdyby przedsiębiorstwa nie wiedziały, co robić, trzeba by uznać za nieprawdziwe wyniki ekonomiczne, o których pan mówił na wstępie. Być może, nie jest aż tak dobrze, żeby sytuację określić jako idealną, ale jest ona rzeczywiście dobra i staje się coraz lepsza dzięki pojawiającym się результатам polskiej transformacji, wzmocnionych - jak sądzę - także przez skuteczną realizację naszego programu gospodarczego, znanego jako *Strategia dla Polski*. Przecież te osiągnięcia makroekonomiczne polegają na dynamicznym wzroście produkcji, głównie eksportowej. To tutaj, na szczeblu mikroekonomicznym, w przedsiębiorstwach, tkwi siła motoryczna polskiej gospodarki, której zawdzięczamy wzrost produktu krajowego brutto w 1994 r. powyżej 5 proc, a produkcji przemysłowej około 13 proc. w ujęciu realnym. Wiąże się z tym poprawa efektywności. Wzrost ów dokonuje się przy zdecydowanie unowocześnionej strukturze produkcji. Można powiedzieć, że jest to inna produkcja niż ta, która gwałtownie spadła w wyniku załamania w latach 1990-1991, co nastąpiło wskutek ewidentnych błędów ówczesnej polityki gospodarczej: nadmiernej destabilizacji, destrukcyjności, zlekceważenia sektora państwowego. Niepotrzebnie wówczas produkcja przemysłowa spadła o 40 proc. Ale dzisiaj rośnie - w I kwartale br. tempo przyrostu wyniosło blisko 15 proc. Za tymi wskaźnikami stoją także inwestycje, które dziś rosną szybciej niż dochód narodowy, a wraz z nimi - na co pan wskazał - następuje spadek bezrobocia. To z kolei oznacza, że coraz więcej przedsiębiorstw absorbuje nie zajętą, nie zatrudnioną do tej pory siłę roboczą, ponieważ znajduje dla niej opłacalne miejsca pracy.

To wszystko jednak, te pozytywne procesy, nie następują samoczynnie.

My ze szczybla centralnego oczywiście wysyłamy określone sygnały do podmiotów gospodarczych, których mamy około 20 tys., poprzez politykę podatkową, politykę kursu walutowego i stóp procentowych, a przede wszystkim poprzez konsekwentną politykę makroekonomiczną. Natomiast w aktualnej fazie polskiej transformacji staram się tak prowadzić politykę gospodarczą, żeby ograniczyć interweniowanie w procesy mikroekonomiczne. Jeśli już pragnę wymuszać dostosowania zorientowane proefektywnościowo, to właśnie poprzez grę parametrami ekonomicznymi, jakie stoją do dyspozycji ministra finansów w urynkowiającej się gospodarce.

Istnieje obawa, jak widać nie całkiem pozbawiona podstaw, że może zaistnieć zmienność tych parametrów. Jak w warunkach niepewności mają zachować się przedsiębiorstwa, zwłaszcza duże, które planują przecieć swój rozwój w dłuższym horyzoncie czasowym, zawnazasu przygotowują inwestycje, zawierają długoterminowe kontrakty?

Ja zarządzam interesem, który się nazywa polska gospodarka narodowa, a nie tym czy innym przedsiębiorstwem. Mnie interesuje rozwój tej gospodarki, aczkolwiek jestem w pełni świadom, że na rozwój gospodarczy składa się wzrost produkcji w podmiotach mikroekonomicznych. Jednak nie sądzę, żeby były obecnie jakieś poważniejsze obawy ze strony tych podmiotów co do trwałości przyjętego kursu polityki gospodarczej. Jeśli już, mogą to być najwyżej oczekiwania przedsiębiorstw, w tym także dużych, że ta polityka będzie dla nich bardziej korzystna. Czyli że będziemy skuteczniejsi w zapewnianiu stabilizacji gospodarczej, która przyniesie niższą inflację, a w ślad za tym niższe oprocentowanie kredytów w bankach komercyjnych, i że będziemy prowadzić taką politykę kursową, która podtrzyma opłacalność produkcji eksportowej. Jest to domena bardzo wielu przedsiębiorstw, zwłaszcza z kapitałem zagranicznym.

Toteż wysyłamy taki sygnał za pomocą instrumentów polityki finansowej, aby orientować je na ekspansję eksportową. Zależy nam na tym, ponieważ wciąż mamy jeszcze ujemny bilans handlowy, choć w 1994 r. ujemne saldo na tym rachunku wynosiło już tylko 1 proc. PKB, podczas gdy rok wcześniej 2,7 proc. Sądzę, że polska gospodarka jest już na tyle stabilna, a polityka gospodarcza na tyle konsekwentna i zarazem twarda w kategoriach finansowych, iż zespół sygnałów, które odbierają podmioty gospodarcze, powinny zachęcać do inwestowania i ekspansji. Obserwujemy to zresztą na codzień: coraz lepiej radzą sobie na rynku przedsiębiorstwa tak krajowe, jak i zagraniczne, zarówno państwowe, jak i prywatne.

Niemniej dyrektorzy przedsiębiorstw wciąż skarżą się na niestabilność przepisów, domagają się uporządkowania reguł gry. Dawali wyraz swym oczekiwaniom w tym względzie także na lamach naszego pisma.

Rozumiem i przyjmuję tę krytykę, a oczekiwaniom staram się wyjść naprzeciw. Jestem świadomy faktu, że zmieniają się niektóre regulacje prawne i podatkowe, polityka naszego banku centralnego na pewno nie jest też tak stabilna, jak w krajach Unii Europejskiej. Chciałbym jednak wyraźnie podkreślić, że jednym z tych kierunków, które eksponuję w swojej *Strategii dla Polski*, jest także stabilizacja oczekiwań. Chodzi bowiem o to, by nie tylko stabilizować pieniądź i cały układ makroekonomiczny, ale także, na tej bazie, stabilizować oczekiwania podmiotów gospodarczych, tak żeby były dla nich przewidywalne zachowania rządu w obszarze polityki gospodarczej. A jeśli się przyjrzeć decyzjom rządu i ministra finansów, aktom prawnym, które się tam przygotowuje, i ruchowi zasobów w naszej gospodarce, to łatwo dostrzec, że znaczący krok w tym kierunku został zrobiony, że polityka, którą prowadzę, jest wycelowana także na klarowność reguł gry ekonomicznej.

Nie oznacza to, że nie mamy żadnych trudności. Nam do stabilności na tym poziomie, jaki obserwujemy np. w RFN czy w Szwajcarii, jest jeszcze bardzo daleko. Polska to wciąż tzw. wylaniający się rynek - *emerging market*, to rodząca się demokracja, a przecież występują nieustanne sprzężenia pomiędzy stabilizacją polityczną a ekonomiczną. Cały czas działa silna presja inflacyjna, istnieje wiele napięć społecznych związanych z trudną sytuacją niektórych warstw ludności, stoimy w obliczu bardzo złożonej reformy systemu ubezpieczeń społecznych. Ja o tym mówię, choć sprawy te nie dotyczą bezpośrednio przedsiębiorców czy inwestorów. Ale w ogóle to ich dotyczą. Po drugiej stronie wydatków socjalnych mamy bowiem oczywiście system podatkowy. Jeśli ktoś oczekuje w przyszłości mniejszych podatków - a przecież takie są moje intencje - to będziemy sojusznikami tak długo, jak długo będę uzyskiwał jego poparcie w zamysłach reformatorskich, zmierzających do zrównoważenia budżetu państwa. Musi istnieć symetria dochodów i wydatków. W innym bowiem przypadku pogłębialibyśmy deficyt budżetowy, a my prowadzimy politykę redukcji tego deficytu. Był on w 1994 r. niższy niż w roku poprzednim - wyniósł tylko 2,7 proc. produktu krajowego brutto, czyli mniej niż w wielu państwach Unii Europejskiej. A w 1995 r., sądząc po wynikach I kwartału, sytuacja też rysuje się zupełnie przyzwoicie. (...)

Drugi rok trudnych rozmów

Był Pan niedawno w RFN...

Niemcy są głównym partnerem handlowym Polski. Tam lokujemy 30 proc. naszego obrotu towarowego. Eksport polski na rynek niemiecki zwiększył się w 1994 r. o 15 proc. i wyniósł 9900 mln DM, tyle samo co import, choć ten ostatni wzrósł tylko o 4 proc. Czyli praktycznie mamy około 10 mld marek po obu stronach bilansu handlowego, co i tak nie daje obrazu całości naszych stosunków. Są jeszcze transfery - pewna liczba Polaków pracuje w Niemczech, działają tam polskie przedsiębiorstwa, niemieckie firmy wchodzą na teren Polski, rozwija się olbrzymia wymiana przygraniczna.

Od samych liczbowych wskaźników jeszcze ważniejsza jest struktura tej wymiany. Otóż w obrotach polsko-niemieckich tak po stronie eksportu, jak i importu 60 proc. to wysoko przetworzone towary przemysłowe. A więc z naszej strony nie jest to już wywóz surowców, produktów żywnościowych czy półfabrykatów. Może nie zawsze jest to *high tech*, ale w każdym bądź razie mocno zaawansowana technicznie produkcja, którą sprzedajemy za ponad 6 mld marek na trudnym rynku tak rozwiniętego państwa. Uważam, że trzeba ten kierunek silnie podtrzymywać.

Jak Pan ocenia zaangażowanie kapitałowe Niemiec w naszym kraju?

W latach 1990-1994 kapitał zagraniczny zainwestował w Polsce prawie 4,5 mld dolarów. Niemcy partycypują w tej sumie tylko w 9 proc, a więc w zdecydowanie małym stopniu.

Tkwi w tym pewien paradoks i tą refleksją podzieliłem się wczoraj z ministrem Theo Waiglem. Otóż 5 lat temu często wyrażano obawy przed nadmiernym napływem kapitału niemieckiego i jego przewidywaną ekspansją w Polsce. Natomiast dzisiaj uskarżamy się raczej na to, że jest go za mało, a polski wicepremier i minister finansów, spotykając się z niemieckimi biznesmenami (miałem w Kolonii wykład dla 400-osobowej grupy przedsiębiorców) i rozmawiając z politykami tego kraju zachęca ich do większej intensywności działania na terenie Polski. Zależy nam przede wszystkim na inwestycjach bezpośrednich tak typu *joint ventures*, jak i tzw. *clean fields*, a więc realizowanych samodzielnie od początku. Zwracamy też uwagę na geografię tych przedsięwzięć. Chodzi o to, by inwestycje nie koncentrowały się w jednych tylko regionach, ale kierowano je tam, gdzie właśnie ze względu na trwający proces dostosowań strukturalnych tego kapitału potrzebujemy najwięcej.

Czy w Niemczech rozmawiał Pan także na temat przyjęcia Polski do Unii Europejskiej?

Popierajcie swój budżet

Tak. Niemcy są nie tylko największym naszym partnerem we współpracy gospodarczej, ale także partnerem w polskich aspiracjach do pełnego członkostwa w Unii, w której - jak sądzę - gdzieś około 2000 r. się znajdziemy. Nad tym też bardzo intensywnie pracuję. Jestem przekonany, że już w przyszłym roku staniemy się pełnoprawnym członkiem OECD.

Nie odnosi Pan wrażenia podczas swoich podróży za granicę, że jesteśmy tam często lepiej postrzegani niż w kraju?

Zdecydowanie tak. Miałem okazję rozmawiać trochę z politykami tej rangi, co prezydent Clinton, z którym spotkałem się podczas konferencji w Cleveland. W Davos dyskutowałem m.in. z prezydentem Herzogiem. Wszędzie, czy to były USA, czy Niemcy, Tokio czy Seul - spotkałem się z samymi superlatywami, jeśli chodzi o ocenę polskiej polityki gospodarczej. (...)

Z drugiej strony trzeba rozumieć powody rozbieżności w ocenach stanu gospodarki. Inne bowiem klasy zjawisk i procesów dostrzega zagranica, inne sektor biznesu, polityki czy dyplomacji, a jeszcze inne są odczucia polskiego społeczeństwa. Niełatwo pogodzić te wszystkie punkty widzenia. (...)

Popierajcie swój budżet

*W rozmowie z Haliną Bykowską;
„Głos Wybrzeża” z 13-14 maja 1995 r.*

Istnieje wyraźna różnica zdań na temat uwolnienia kursu złotego. Pan, jako profesor nauk ekonomicznych, niejednokrotnie publicznie stwierdzał, że manewr ten w chwili obecnej byłby niekorzystny dla naszej gospodarki. Tymczasem prezes NBP, Hanna Gronkiewicz-Waltz, inicjator uwolnienia kursu, dostrzega korzyści. Ludzie mają mętlik w głowach. Czy mógłby pan przedstawić swój punkt widzenia?

Mam nadzieję, że w chwili obecnej - podkreślam, w chwili obecnej - nie dojdzie do pełnego uwolnienia kursu złotego. Gdyby doszło do takiego pełnego uwolnienia, bez żadnych ograniczeń wahań kursów, należałoby oczekiwać aprecjacji złotego, a zatem spadku wartości dolara, czego konsekwencją byłoby załamanie eksportu oraz recesja gospodarcza. Zakłóciłoby to dobrze przebiegającą realizację programu *Strategia dla Polski*, skutecznie pobudzającego wzrost produkcji zarówno na rynek krajowy, jak i na

Drugi rok trudnych rozmów

eksport. Według najświeższych danych, w pierwszych dwóch miesiącach bieżącego roku eksport - mierzony w dolarach - wzrósł o 40,4 proc, podczas gdy import wzrósł o 43,5 proc. Wartość eksportu oszacowano na 3,155 mld USD. Łatwo to przeliczyć na tysiące miejsc pracy. Zbyt szybkie pełne uwolnienie kursu złotego spowodowałoby utratę zagranicznych rynków przez istotną część polskich producentów i mogłoby doprowadzić do wzrostu bezrobocia. Temu jestem przeciwny. Dlatego jestem zwolennikiem upłynnienia kursu z równoczesnym oznaczeniem granic jego wahań. (...)

Jest pan ostatnio dość często atakowany przez media...

Proponuję mówić jawnym tekstem. Dość już pomawiania ministra finansów o problemy charakterologiczne, co uczyniła jakiś czas temu „Polityka”. Nie ma dowodu na to i nikt go nie będzie w stanie przeprowadzić, że obecny rząd realizuje politykę proinflacyjną. Jesteśmy krytykowani czasami nawet aż do bólu za to, że wprowadzamy ostrą dyscyplinę finansową, ale dzięki twardej, konsekwentnej polityce budżetowej ubiegłoroczny deficyt wyniósł nie 4,1 proc. produktu krajowego brutto - jak zakładała ustawa budżetowa - lecz tylko 2,7 proc. Ważne, że udało się odstąpić od popiwku, który powodował wiele sporów politycznych w okresie sprawowania władzy przez poprzednie ekipy rządowe.

Wydaje się, że rzeczywiście powody do zadowolenia istnieją. Wrócił pan niedawno z sesji Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju - za granicą pozytywnie ocenia się rozwój polskiej gospodarki.

Sam zastanawiam się, skąd biorą się aż tak pozytywne oceny. Zapewne stąd, że zagraniczni obserwatorzy polskiej sceny gospodarczej biorą pod uwagę tylko niektóre kryteria, w tym np. dynamiczny wzrost eksportu. Nie muszą się oni martwić tym, jak Polacy żyją na co dzień. Mało kto za granicą pyta, ile w Polsce wynosi przeciętna płaca i jak się żyje za minimalną rentę lub emeryturę. Ale ja te ograniczenia i braki dostrzegam. (...)

Szara strefa na rynku pracy w naszym kraju przybiera niepokojące rozmiary. Mówiono o tym niedawno na ogólnokrajowej konferencji, zorganizowanej w Gdańsku. Według instytucji badawczych spory odsetek pracowników firm prywatnych uzyskuje dochody nielegalnie. Czy znany jest panu ten problem?

W anonimowych badaniach ankietowych ludzie prędzej zdradzają swoje praktyki seksualne, niż przyznają się do zarobkowania „na czarno”. Według mnie szacunki odnośnie do tzw. szarej strefy czynione są na bazie kruchych założeń i mają głównie podtekst polityczny. W rzeczywistości zwalczanie szarej strefy jest problemem skomplikowanym i niełatwo jest się z nim

uporać. Ale zajmujemy się tym. Kwestia absorpcji szarej strefy i bezpieczeństwa obrotu gospodarczego zajmuje niemało miejsca w programie *Strategia dla Polski*, który realizowany jest sukcesywnie. Nie chciałbym zanudzać przytaczaniem liczb, dotyczących przyrostu liczby podatników VAT, wzrostu liczby zarejestrowanych podmiotów gospodarczych płacących podatki. Upoważnia to mnie jednak do stwierdzenia, że dokonany został znaczący postęp w absorpcji szarej strefy. Stosujemy znaną metodę kija i marchewki. Wolałbym, aby więcej było marchewki, a mniej kija. Muszą bowiem istnieć zachęty do tego, by dochody ujawniać, rejestrować i opodatkowywać.

A jakie formy zachęty się stosuje?

Jedną z nich jest podatek ryczałtowy. Innym narzędziem jest podatek VAT. Każdemu, kto przedłoży rachunki za remontowanie mieszkania, wystawione przez rzemieślnika, który jest płatnikiem VAT, odliczamy te koszty od podstawy opodatkowania. Liczymy, że osoby korzystające z usług rzemieślników będą wywierać na nich presję, by rejestrowali się jako podatnicy VAT. **Panuje powszechna opinia, że składki ZUS są przynajmniej o połowę za wysokie i sprzyjają tworzeniu się szarej strefy na rynku pracy. Czy podziela pan ten pogląd?**

Poziom składek ZUS wynika z obciążeń systemu finansowego państwa kosztami ubezpieczeń społecznych. Mamy w kraju 9 mln emerytów i rencistów. Trzeba im zapewnić przysługujące im, bo przez nich ciężką pracą zarobione, dochody. Składki ZUS w tej sytuacji muszą być wysokie. Dotychczas płacone składki nie wystarczają na sfinansowanie rent i emerytur. Dopłaca budżet. Nie jest to jednak rozwiązanie możliwe do przyjęcia i stosowania na dłuższą metę. Musi zatem dojść - i dojdzie - do zmiany systemu emerytalnego. Realizacja tego zamierzenia potrwa jednak wiele lat. (...)

Rozwój orientacji proeksportowej

*W rozmowie z Bronisławem Tumilowiczem;
„Rynki Zagraniczne” z 27 maja 1995 r.*

Przed jakimi wyzwaniami stała polska gospodarka w okresie liberalizacji wymiany z zagranicą?

Liberalizacja handlu oprócz liberalizacji cen jest jedną z fundamentalnych cech transformacji systemowej. Bez tego trudno mówić o gospodarce

Drugi rok trudnych rozmów

rynkowej. Według mnie skala liberalizacji handlu w pierwszych latach transformacji poszła u nas zbyt daleko i spowodowała spadek produkcji przemysłowej, sięgający 40 proc. w latach 1989-1991. Jednocześnie zliberalizowanie dało znaczący efekt psychospołeczny w sferze podaży. Na rynek trafiła masa towarów z importu.

Uważam jednak, że obecnie podstawowym źródłem sukcesu naszej orientacji proeksportowej są czynniki strukturalne, a nie koniunkturalne czy monetarne. Przedsiębiorstwa prywatne, ale także i państwowe, są dziś w stanie lokować na rynkach coraz więcej wyrobów. Liberalizacja nastąpiła zarówno w eksporcie, jak i w imporcie. Eksport w odniesieniu do większości towarów nie jest koncesjonowany; podobnie dzieje się w imporcie.

Przedsiębiorstwa uzyskały pełną samodzielność. Zmieniła się też zupełnie struktura naszego handlu zagranicznego. Firmy same się wyspecjalizowały. Wyszliśmy już z czasów, gdy największym działem w przedsiębiorstwie był dział zaopatrzenia. Obecnie największy jest dział zbytu albo marketingu. Przy okazji rozwinął się na olbrzymią skalę mały handel przygraniczny. Trzeba umieć go docenić i nie traktować jako patologii. To też forma aktywności gospodarczej. Jako minister finansów muszę ubolewać, że jest to działalność nie zawsze rejestrowana i opodatkowana. Jednak kształtuje ona przedsiębiorcze zachowania podmiotów gospodarczych, kreuje dochody, daje zatrudnienie i uczy. Nie należy więc „wylewać dziecka z kąpielą”, ale zaabsorbować tę część handlu zagranicznego przebiegającą przez tzw. szarą strefę; trzeba ubezpieczać tego typu transakcje i obudowywać instytucjonalnie. W tym kierunku idzie polityka w ramach *Strategii dla Polski*. **Jakie mogą być konsekwencje opóźnienia przy ratyfikacji postanowień Rundy Urugwajskiej GATT i przystępowania do WTO - Światowej Organizacji Handlu?**

Chciałbym, by nie było istotnego opóźnienia, gdyż decyzje polityczne już zapadły. Uważamy, iż przystąpienie do WTO jest dla Polski korzystne, zwłaszcza w dłuższym okresie. Prócz tego są jednak względy prawne i proceduralne, złożone i skomplikowane. Rząd wprowadza nowe prawo celne i pakiet ustaw, który - mam nadzieję - po przyjęciu będzie skierowany do parlamentu. Chcielibyśmy więc odrobić zaległości i myślę, że to jest możliwe.

Jaka jest Pańska ocena wymianv towarowej z krajami Unii Europejskiej, EFTA i CEFTA?

Naszym podstawowym i strategicznym partnerem powinna być i będzie Unia Europejska. Niedawno z 15 ministrami finansów Unii dyskutowaliśmy

sprawy tzw. *Białej Księgi*, co jest ważne w kontekście naszych aspiracji do tej organizacji. Unia Europejska absorbuje już obecnie 2/3 naszego rejestrowanego handlu zagranicznego; ponad 60 proc. w eksporcie i blisko 60 proc. w imporcie. Jeśli pominąć USA - do których w I kwartale br. eksportowaliśmy towary za 1,46 mld USD (a importowaliśmy za 963 mln USD) - to widać, że trzonem naszego handlu są partnerzy z Unii Europejskiej.

Odnotowujemy dalsze przyrosty, bo w I kwartale br. wpływ) z eksportu przekroczyły 5 mld USD. Gdyby to się utrzymało, to 1995 r. byłby pierwszym rokiem, w którym eksport przekroczyłby 20 mld USD. Na kraje rozwinięte przypada 4,545 mld USD, na kraje Europy Środkowo-Wschodniej - tylko 368 mln USD, na Rosję - 126 mln USD, na pozostałe kraje b. ZSRR - 69 mln USD, na dwa podstawowe kraje grupy Wyszehradzkiej zaś: Czechy - 116 mln i Węgry - 31 mln USD. Kraje rozwijające się przyniosły nam w eksporcie 143 mln USD i to jest najbardziej żenująca pozycja naszej obecności gospodarczej w świecie. Trudno nazwać handlem fakt, że do takiego giganta, jak Brazylia, eksportujemy za 6 mln USD. Natomiast CEFTA, Grupa Wyszehradzka, to są rynki do odzyskania. W tych krajach byliśmy kiedyś bardzo aktywni, lecz w wyniku tąpnięcia towarzyszącego transformacji, a także rozpadu ZSRR i rozwiązania RWPG oraz przejścia na ceny światowe z rubla transferowego na waluty wymiennele utraciliśmy naszą pozycję.

Co Pańskim zdaniem należy zrobić, aby wzrosła dynamika obrotów również na rynkach wschodnich, a zwłaszcza z Rosją?

Problemy są oczywiście również po stronie partnerów, bo nasz system finansowy w porównaniu z tamtejszym jest bardzo wyrafinowany. Rząd przyjął odpowiednie rozporządzenia w sprawie Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, na której koncie jest już 300 mld starych zł. Może to niewiele, ale tyle zaplanowano w tegorocznym budżecie. W przyszłorocznym kwota będzie większa. Korporacja powinna zatem ubezpieczać od ryzyka handlowego transakcje eksportowe zawierane tam, gdzie ryzyko jest największe, a więc właśnie w WNP.

Nie ulega wątpliwości, że budżet musi wspierać ekspansję eksportową polskich przedsiębiorstw na rynki poradzieckie. Na początku transformacji niepotrzebnie daliśmy się z tamtąd wyprzeć. Na niektóre rynki może już nam się nie udać powrócić, bo zastąpili nas tam Chińczycy, Koreańczycy, a także Niemcy. Poprzednie ekipy narobiły też wiele strat w handlu ze Słowacją, Ukrainą itd.

Drugi rok trudnych rozmów

Dobrze, że nasze interesy przesunęły się na Zachód, ale nie musiało się to odbyć kosztem utraty, często bezpowrotnej, rynków na Wschodzie. Myślę, że to się zmieni za lat 5-10, bo szybciej będzie rósł eksport i import do WNP oraz innych sąsiadów z b. RWPG niż do krajów Zachodu. W latach następnych - gdy Rosja i inne państwa poradzieckie oraz kraje Europy środkowej, którym się to jeszcze nie udało, wyjdą z recesji i wkroczą na ścieżkę szybkiego wzrostu gospodarczego - staną się one również bardziej chłonne na eksport polskich produktów. Myślę, że może to być kołem zamachowym naszego eksportu, a tym samym i gospodarki. Estonia, Albania, Łotwa już mają kilkuprocentowe wskaźniki wzrostu. Inne kraje mają je o połowę lub trzy razy niższe niż Polska, ale z czasem to się zmieni. Wierzę, że i w Rosji PKB będzie rósł rocznie o 6-7 proc. a wówczas będzie też rósł import z Polski.

Koszt sukcesu?

*W rozmowie z Markiem Misiakiem
i Tomaszem Wolfem;*

„Nowe Życie Gospodarcze” z 8 czerwca 1995 r.

Co wnosi Pakiet działań antyinflacyjnych do diagnozy inflacyjnej w Polsce?

Pakiet, o którym mówimy, pojawił się nie dlatego, że obawiam się w najbliższym czasie wzrostu inflacji. W nadchodzących miesiącach - czerwcu, lipcu, sierpniu - będzie się ona zmniejszać. Źródła procesów inflacyjnych w naszej gospodarce są już dobrze rozpoznane. To, że są rozpoznane, nie oznacza oczywiście, iż nie ma odmiennych, od mojego, punktów widzenia.

A jaka jest pańska diagnoza sytuacji?

Dynamika inflacji jest większa, niż zakładaliśmy. Pojawiły się dodatkowe impulsy inflacyjne, wobec tego muszą pojawić się dodatkowe działania antyinflacyjne. Chciałbym jednak wyraźnie podkreślić - wbrew opinii o błędach w prognozowaniu, za które obarcza się kolejnych ministrów finansów - że nie jest to błąd prognozy, lecz błąd polityki. My pomyliliśmy się bowiem w najmniejszym stopniu. W grudniu 1990 r. ustawa budżetowa zakładała wzrost poziomu cen, w porównaniu z grudniem poprzedniego roku, o 140 proc, podczas gdy faktycznie wzrosły one o 249,3 proc.

Podobnie w następnych latach - w 1991 r. ceny miały zwiększyć się o 32,0 proc, a podniosły się o 60,4 proc, w 1992 r. planowano wzrost 36,9 proc, tymczasem wyniósł on 44,3, w 1993 r. wzrost był równy 37,6 proc. wobec planowanych 32,2 proc. W roku ubiegłym - w czym mam już swój udział - ceny miały się zwiększyć 23,1 proc, wzrosły natomiast o 29,5. Jak już stwierdziłem, nie jest to jednak błąd prognozy, lecz polityki. Prognoza oparta była na pewnych założeniach. Nie doceniła może oporu materii, który trzeba przewyciężyć, aby przewidywania się urzeczywistniły. To nie jest tylko sprawa polityki finansowej. Jest bowiem jeszcze określona polityka rolna, handlowa, a przede wszystkim monetarna. Dodatkowo procesy inflacyjne biorą się przede wszystkim z błędnej polityki monetarnej, stwarzającej korzystne warunki dla rozwoju procesów inflacyjnych. Zmarnowaliśmy co najmniej 9 miesięcy. Częściowe upłynnienie kursu walutowego i obniżenie - w ślad za tym - stóp procentowych, są decyzjami słusznymi, ale spóźnionymi. (...)

Drugi błąd polegał na niedostatecznie intensywnej interwencyjnej polityce rolnej, która powinna być sprzęgnięta z polityką handlową. Niewłaściwie reagowała Agencja Rynku Rolnego, dbająca głównie o opłacalność produkcji rolnej, a nie o interesy konsumentów. Błędna była również polityka handlowa, która nie wykreowała dodatkowej podaży - poprzez bezcłowe kontyngenty - zbijającej inflację.

Sugeruje pan, że rząd ze swoją polityką budżetową jest bez winy?

W ubiegłym roku rzeczywista inflacja była wyższa od założonej, choć w mniejszym stopniu niż w latach poprzednich. Ustawa budżetowa zakładała zaś zmniejszenie relacji deficytu budżetowego do PKB do 4,1 proc, tymczasem zmalała ona do 2,7 proc. W pierwszym półroczu br. deficyt budżetowy jest, na razie, pod kontrolą. Nie stwarza on więc dodatkowego impulsu inflacyjnego. Pod kontrolą jest też polityka dochodowa. Działa negocjacyjny mechanizm kształtowania wynagrodzeń w podmiotach gospodarczych, który zastąpił antyefektywnościowy „popiwek”. Zgodnie z założeniami komisji trójstronnej przyrost wynagrodzeń nominalnych w pierwszym kwartale miał wynosić 16,0 proc, wyniósł 16,1. Stąd również nie bierze się więc dodatkowy impuls inflacyjny. Mam nadzieję, że w przyszłości rewindykacje płacowe nie wezmą góry. (...)

Czynniki wpływające na wzrost inflacji związane są z określonymi interesami grupowymi...

Tak. I istotnym pytaniem jest, czy rząd, Sejm, prezydent, Bank Centralny, związki zawodowe mają wolę polityczną rozwiązywania konfliktów z tym

Drugi rok trudnych rozmów

związanych. Jeśli nie, trzeba mieć odwagę powiedzieć, że godzimy się na określony przejściowy mechanizm redystrybucyjny, wyrównujący dochody. Należy sobie przy tym zdawać sprawę, że zbyt duża redystrybucja może wpływać na wzrost inflacji. Walka z inflacją nie jest oczywiście walką za wszelką cenę. Nie jest bowiem obojętne, jaki to będzie miało wpływ na tendencje w produkcji, eksporcie itp. Konflikt interesów grupowych, rolników, górników, nauczycieli, służby zdrowia i in. jest zjawiskiem obiektywnym. Wyrazicielami tych interesów są grupy poselskie i resorty. Nie można mieć żalu do ministra rolnictwa, że walczy o interesy producentów rolnych. Wszyscy muszą natomiast dostrzec wspólnego wroga w inflacji. Jeśli nie wspomogą mojego programu, również ich programy będą mniej skuteczne. Źle by się stało, gdyby problem inflacji pozostawiono wyłącznie ministrowi finansów, któremu na dodatek nie sprzyja prezes Banku Centralnego. (...)

Nie jestem tyranem ani dyktatorem

*Rozmowa z Magda Sowińską;
„The Warsaw Voice” z 11 czerwca 1995 r.*

Czy w ciągu 400 dni sprawowania urzędu wicepremiera był pan bliski złożenia rezygnacji?

Tak. I nie ma w tym nic dziwnego. Wicepremier ds. gospodarczych i jednocześnie minister finansów znajduje się w sytuacjach, kiedy to, do czego jest przekonany, jest niemożliwe do zrealizowania. Trudno, **aby** myśl o rezygnacji sama wtedy nie przychodziła, ale trzeba próbować dalej.

Ale ostatnio wręcz grozi pan podaniem się do dymisji. Czy to nie oznacza wyczerpania się pana argumentów jako ekonomisty i jako polityka?

Nigdy dotąd nie powiedziałem, że podam się do dymisji. Natomiast powiedziałem, że jeśli w wyniku pewnych rozstrzygnięć politycznych i gospodarczych rząd nie realizowałby *Strategii dla Polski*, a orientacja pro wzrostowa przegrywałaby z rozwiązaniami sprzyjającymi inflacji, to wtedy działałoby się to już beze mnie. Traktuję to jako poważne ostrzeżenie dla przywódców obecnego układu politycznego.

Ale jest to postawienie sprawy: albo wszystko będzie toczyło się tak, jak ja uważam, albo odchodzę.

Upraszczać sprawę - tak. Za to właśnie nazywa się mnie arogantem. A ja po prostu mówię, że zostały określone pewne warunki brzegowe, w których ma się zmieścić polityka gospodarcza i finansowa. Ja ponoszę za to odpowiedzialność. Na razie realizujemy program *Strategia dla Polski*. Produkcja cały czas rośnie, inflacja - trochę wolniej, ale jednak spada. Cały czas jest to ta sama linia programowa rządu. Jeśli będzie kontynuowana, to ze mną, jeśli nie - beze mnie.

Dlaczego tak wybitny specjalista w sprawach inflacji ma kłopoty z jej opanowaniem w praktyce?

Inflacja jest przede wszystkim procesem politycznym, problemem politycznym. Ja założyłem inflację na określonym poziomie i zaproponowałem odpowiednie rozwiązania, które miały do tego doprowadzić. Wobec tego wyższa inflacja to nie błąd prognozy, lecz błąd polityki gospodarczej. Niedostatecznie skuteczna jest polityka monetarna banku centralnego, która tworzy sprzyjające środowisko do rozwoju inflacji. Na tej pożywce inflacja była większa w ubiegłym roku i póki co, jest wyższa w tym roku również ze względu na nie dość antyinflacyjnie ustawioną politykę rolną i handlową. **Ale to jest strzał do pana bramki, pan odpowiada za gospodarkę.**

Nie, **to** nie jest strzał do mojej bramki. Ja nie jestem tyranem i dyktatorem. Jest Sejm, Senat, są organy konstytucyjne, nie ja powołuję i odwołuję dyrektorów hut czy kopalń, nie ja prowadzę politykę rolną, ale mój rząd. Rząd, Parlament, Prezydent, prezes NBP; nie ja im dyktuję warunki.

Inflacja robi się niejako przy okazji, a nie dlatego, że ktoś chce ją na siłę napędzić. Politykę mieszkaniową czy rolną prowadzi się z punktu widzenia tamtych funkcji celu. Byłby to jakiś absurd, gdyby minister transportu prowadząc politykę w stosunku do kolei martwił się o to, jaka jest inflacja. To ja się martwię, że on może mi trochę inflacji dołożyć realizując swoje cele.

Właśnie tak mówi minister rolnictwa: ja muszę dbać o rolnictwo, o inflację niech się martwi Kołodko.

Niestety, tak. Taki jest podział ról. O tym twardo dyskutujemy w rządzie. I nie można powiedzieć, że są to tylko kłótnie między ministrami. To są po prostu głębokie różnice interesów ekonomicznych między grupami społecznymi, np. między producentami a konsumentami żywności. (...)

Mówiąc o 17 proc. inflacji pod koniec 1995 roku być może popełniłem błąd, ale nie co do samej prognozy - co do przekonania, że polityki poszczególnych ministerstw będą na tyle spójne, iż całokształt polityki makroekonomicznej będzie bardziej sprzyjał ograniczeniu inflacji. Jeszcze większe odchylenie od założeń nastąpiło w poziomie rezerw dewizowych

Drugi rok trudnych rozmów

Polski czy przyrostu eksportu, który bije wszystkie rekordy. Ale jakoś nikt mi tego nie zarzuca.

Ta spadająca, ale wciąż zbyt wysoka inflacja jest kosztem sukcesu gospodarki. Mamy bowiem do czynienia z konfliktem celów polityki gospodarczej. Jeśli chcemy utrzymać wysokie tempo wzrostu eksportu, wysokie tempo produkcji i spadku bezrobocia poprzez wzrost zatrudnienia, to niestety - trzeba za to zapłacić relatywnie wyższą inflacją. Niepowodzenie tej polityki byłoby wtedy, gdyby inflacja zaczęła rosnąć. A ja ciągle powtarzam, że inflacja pod koniec tego roku będzie zdecydowanie niższa niż w ubiegłym, choć nie tak, jak założyłem w ustawie budżetowej. I wiem, że nieustannie będę za to oskarżany. Na przyszłość przewiduję ostrożniej. (...)

Pan chce walczyć z inflacją, bo zaproponował pan dodatkowe działania antyinflacyjne. Czy mają one szanse realizacji?

Gdyby został zrealizowany w pełni, bez zwlekania, pakiet antyinflacyjny, który przedłożyłem Radzie Ministrów w końcu maja, to inflacja wyniosłaby w 1995 roku ok. 20 proc. Jednak, jeżeli z tego pakietu wyrwie się kilka ogniw, to skutek może być wątpliwy. Nie będę z tego powodu robił z siebie męczennika, mogę się z tym nie zgadzać, ale to rozumiem. Nie mam siły decyzyjnej, żeby wprowadzić te rozwiązania, bo niektóre sprawy wymagają zmian ustawowych. Program antyinflacyjny powinien być narzucony, a nie uzgadniany. Jeśli on wejdzie w normalne procedury uzgodnieniowe, to nie dogadam się z ministrem pracy.

Jest pytanie, kto dokonuje wtedy arbitrażu. Czy rząd *in corpore*, czy np. sam premier. Czy może zwycięży „terror” wicepremiera ds. gospodarczych. I wtedy inflacja będzie niższa. Minister finansów powoli zostaje zamieniany z psa ogrodnika w kozła ofiarnego, na którego można wszystko zwalić, gdy jest za wysoka inflacja. (...)

Me chcę, żeby budżet był licheski

*W rozmowie z Katarzyną Jędrzejewską
i Piotrem Aleksandrowiczem;
„Rzeczpospolita” z 22 czerwca 1995 r.*

(...) Czy założenia budżetowe na 1996 r. są uzgodnione z Narodowym Bankiem Polskim?

W zasadzie tak, jeśli chodzi o podaż pieniądza, ścieżkę dewaluacji złotego, stopy procentowe. Uzgodniony jest też poziom wpłat z zysku NBP, który w 1996 r. byłby o ponad 13 proc. niższy niż w roku bieżącym. Bank centralny zwraca natomiast uwagę na to, że osiągnięcie 17-procentowej inflacji w roku przyszłym jest bardzo trudne do realizacji. Jestem tego w pełni świadomy i tym bardziej jestem zdeterminowany, aby bronić niezbędnych z punktu widzenia tego celu proporcji. Do dyskusji pozostało, czy spełnione zostaną wszystkie warunki, aby inflacja spadła do takiego poziomu.

Czy deficyt w ogóle nie będzie finansowany przez NBP?

Jeśli uda się obronić deficyt na poziomie 2,8 proc. PKB, to nie powinniśmy sięgać do tego źródła. Jest to ściśle związane z eliminowaniem budżetowych źródeł inflacji. Dlatego deficyt wymaga sfinansowania poza bankiem centralnym i nie tylko w systemie bankowym. Chcemy sięgnąć do zasobów pozabankowych oraz do światowego rynku kapitałowego. Już to czynimy w tym roku, a nawet w tych dniach.

W założeniach budżetu zapisano, że środki zagraniczne są ograniczone. Czy tak naprawdę są ograniczone, czy raczej opcja autorów budżetu jest taka, żeby nie zwiększać zadłużenia zagranicznego?

Na to pytanie nie powinienem państwu odpowiadać.

Dlaczego?

Dlatego, że są tacy ludzie - zwłaszcza „dojutrkowi” politycy - którzy uważają, że obojętnie gdzie się pożyczają, to należy pożyczać i wszystko przejąć. Nie uważam, żeby należało przejechać aż tyle, ile obecnie. Tym bardziej czyniąc to na koszt przyszłości. Co innego - inwestycje.

Czyli nie należy zwiększać finansowania zagranicznego, nawet gdyby istniały takie możliwości?

Strategicznym interesem państwa i społeczeństwa jest to, żeby nie zadłużać się nadmiernie. Natomiast w przyszłym roku pewien poziom zadłużenia i jego wzrostu jest absolutnie przesądzony i konieczny. W innym przypadku nie da się złożyć budżetu państwa, a złożenie budżetu jest też w interesie państwa i społeczeństwa. Budżetu rozsądnego, ukierunkowanego na dalszą realizację priorytetów, to jest szybkiego tempa wzrostu gospodarczego, stabilizacji ekonomicznej i redukcji społecznych kosztów reform, wyrażającej się we wzroście płac i świadczeń oraz spadku bezrobocia.

Powstaje natomiast pytanie, jaka powinna być struktura finansowania tych około 10 mld złotych, które trzeba pożyczyc na koszt podatnika w przyszłości. Uzyskaliśmy korzystny rating, to jest ocenę naszej wiarygodności kredytowej. Istnieje zatem możliwość sięgnięcia do światowego rynku kapitałowego.

No właśnie, przecież ktoś może powiedzieć, że w założeniach zapisane jest kilkaset milionów dolarów, a Węgrzy pożyczają dwa-trzy miliardy na rynku europejskim. Dlaczego my też nie moglibyśmy tego robić?

Zobaczymy, ile pożyczymy, ale z pewnością nie za dużo. Węgry pożyczają, bo muszą, a my - bo chcemy. Dopiero wchodzimy na te rynki. Musimy zobaczyć - i to się rozstrzygnie w najbliższych dniach - jak będzie przyjęta pierwsza emisja euroobligacji. Być może z czasem pójdziemy dalej, ale nie za daleko. Jeśli bowiem nie jest rozstrzygnięty dylemat podstawowy, to nie pójde na szersze pożyczanie na rynkach światowych, bo mógłbym więcej pożyczać na rozwój polskiej gospodarki, ale nie na nieefektywny system ubezpieczeń społecznych, który niedługo nie będzie już systemem ubezpieczeń społecznych, tylko systemem niebezpieczeństw społecznych i obróci się przeciwko wzrostowi gospodarczemu, a więc - przeciwko nam wszystkim.

Pożyczanie ma sens wtedy, kiedy służy wspieraniu procesów rozwojowych, a nie łataniu dziur w budżecie w taki sposób, że ta dziura w przyszłości będzie jeszcze większa. Z pewnością mogę prowadzić tylko taką politykę, która oddali takie zagrożenia. (...)

W założeniach budżetu przewiduje się w przyszłym roku wyraźny wzrost dywidendy od przedsiębiorstw, która miałaby wynosić 20 proc. zysku netto. Równocześnie prognozuje się spadek zysków w sektorze przedsiębiorstw. Jak to pogodzić? I skąd ten spadek rentowności?

Nie wydaje mi się, byśmy zakładali spadek rentowności. Spadek zysków może wynikać z obciążenia amortyzacją. Ponieważ rozłożyliśmy w czasie na lata 1996 i 1997 skutki przeszacowania majątku dokonanego w bieżącym roku, to odpisy amortyzacyjne wzrosną w 1996 roku aż o około 78 proc.

Zakłada się że wpływy z podatku dochodowego od przedsiębiorstw realnie zmaleją, natomiast od banków - nie. Skąd się to bierze? Czy przewidujecie państwo zmiany w zasadach wliczania rezerw w bankach w koszty uzyskania przychodów?

Nie, nie zakładamy żadnych zmian w tych zasadach. Różnice te natomiast biorą się stąd, że banki, w odróżnieniu od przedsiębiorstw przemysłowych, budowlanych i innych, w mniejszym stopniu korzystają z ulg inwestycyjnych. Natomiast przedsiębiorstwa płacić będą efektywną stawkę podatku dochodowego już tylko 30 proc. Oznacza to, że spadają obciążenia podatkowe wobec firm. W tym także wyraża się prorozwojowa orientacja przyszłorocznego budżetu.

I jeszcze jedno pytanie. Dlaczego zakłada się dość istotny spadek dynamiki eksportu i importu w przyszłym roku?

No tak, dzisiaj padł już pomysł, żeby założyć wzrost eksportu i importu o 30 proc. Ale przecież to, co dzieje się obecnie, w żadnym przypadku nie może być traktowane jako długookresowy i trwały trend. Takiego wzrostu nie ma nigdzie na świecie zbyt długo.

Przed rokiem, kiedy przedstawiłem *Strategie dla Polski*, kwestionowano w niektórych, także profesjonalnych kręgach, jako nadmiernie optymistyczne założenie 9-10-procentowego wzrostu eksportu. Teraz okazuje się, że wzrost 12-13-procentowy w przyszłym roku niepokoi jako zbyt niski. To dobrze, bo dowodzi to pozytywnych zmian w społecznych postawach. Na ten imponujący wzrost eksportu, co dowodzi poprawy naszej konkurencyjności międzynarodowej, złożyły się pewne procesy dostosowawcze, polityka kontroli wewnętrznego popytu, dobra koniunktura w Unii Europejskiej. W przyszłym roku większy będzie popyt krajowy, inwestycyjny i konsumpcyjny, natomiast koniunktura i wzrost gospodarczy w Unii Europejskiej ustabilizują się, ale już się nie zwiększą. Natomiast dodatkowy impuls proeksportowy przyjdzie dla nas ze wzrostu importu do gospodarek WNP, bo i tam wkrótce nastąpi ożywienie. Bogiem a prawdą, mniejszy jest obszar niepewności co do naszych prognoz inflacji (a wyniesie ona w drugiej połowie tego roku w przeliczeniu rocznym prawdopodobnie mniej niż 20 proc.) niż obrotów handlu zagranicznego.

Nigdzie w założeniach nie ma prognozy inwestycji bezpośrednich w Polsce.

A, bo to akurat nie musi być uwzględnione w tym właśnie dokumencie. **Nie musi być, ale byłoby ciekawe dowiedzieć się, czy przewiduje się wzrost, stagnację czy spadek.**

Przewiduję wzrost. W tym roku inwestycje bezpośrednie powinny sięgnąć, a może nawet przekroczyć 2 mld dolarów. W przyszłym roku powinny wynieść 1,5-2 mld, ale wiele zależy od tego, czy np. prywatyzacja sektora tytoniowego, w której kapitał zagraniczny będzie partycypował, zakończy się w tym roku czy w przyszłym.

Chciałbym na koniec bardzo wyraźnie powiedzieć, że ułożenie dobrego budżetu na rok przyszły jest trudniejsze niż na rok bieżący, przede wszystkim ze względu na działanie efektu kuli śnieżnej w postaci irracjonalnie narastających dopłat do systemu ubezpieczeń społecznych i zaopatrzenia emerytalno-rentowego. Jeśli toczenie tej kuli nie zostanie wstrzymane decyzjami całego układu politycznego, to kula tocząca się będzie wchłaniała kolejne warstwy pieniędzy, a pod spodem pozostanie tylko zwiedła trawa, na której trudno będzie się nasycić.

Drugi rok trudnych rozmów

Celowo mówię o całym układzie politycznym, bo dylematy, jakie zostały zarysowane w założeniach do budżetu, zwłaszcza dotyczące waloryzacji emerytur i rent, nie mogą być rozwiązane tylko i wyłącznie siłami tego rządu ani nawet tej koalicji. Wymaga to regulacji ustawowych, a więc przyzwolenia parlamentu oraz podpisu prezydenta. Rozważając te dylematy, niektórzy politycy już dziś widzą oczyma swojej wyobraźni - i to być może trochę ich paraliżuje - że aby coś prze-forsować, trzeba mieć dwie trzecie głosów w parlamencie, także ze względu na możliwość zaskarżenia pewnych rozwiązań do Trybunału Konstytucyjnego. Stoimy w obliczu rozstrzygnięcia trudnych dylematów. Najważniejsze, że zostały przedstawione propozycje w tym zakresie. Nie wiem jeszcze, co je czeka, ale wciąż wierzę w pragmatyzm i zdrowy rozsądek.

Wynająłem się na warunkach

*W rozmowie ze Zbigniewem Sulewskim;
„Kurier Poranny” z 23-24-25 czerwca 1995 r.*

Panie premierze, niejednokrotnie mówił pan, że został wynajęty przez koalicję do wykonania konkretnej pracy. Proszę powiedzieć, jakie były warunki kontraktu, który pan zawarł z koalicją w momencie obejmowania funkcji wicepremiera odpowiedzialnego za gospodarkę?

Nie jestem człowiekiem do wynajęcia w każdej sytuacji i przez każdego. Natomiast są sprawy, którym jestem gotów służyć, a jestem przekonany, że polityka obecnie rządzącej koalicji SLD-PSL dobrze służy polskiej gospodarce, społeczeństwu i państwu. I tylko w tym kontekście należy rozumieć sformułowanie „jestem do wynajęcia”, natomiast nie można tego w żadnym przypadku traktować dosłownie i mam nadzieję, że pan redaktor w swoim pytaniu też tego tak nie ujmuje.

Jeśli ktoś na coś się zgadza podejmując decyzję, a podobnie jest w polityce, to zawsze jest to, a przynajmniej powinno być czymś uwarunkowane. Być może są tacy politycy, którzy na pierwsze skinienie palcem podskakują z radości i akceptują każdą robotę, uważając, że się do tego nadają. Ciekawe, że nikt nie sięga do tego, że przez miesiąc trwały korowody na temat mego wejścia do rządu w październiku 1993 roku, a w końcu do tego rządu z jakichś powodów nie wszedłem. A potem do tego samego rządu - gdyż

czas płynął, wobec czego nie była to już ta sama rzeka i ten sam rząd - wszedłem. Okoliczności, od których uzależniałem swoją pracę dla Polski w tej koalicji, nie były w dostatecznym stopniu uwzględnione w październiku 1993. Natomiast pół roku później doszedłem do wniosku, że być może są one dostatecznie spełnione. (...)

Potem wszedł pan także do rządu Józefa Oleksego.

Także wówczas prowadziłem bardzo twarde negocjacje, formułując przede wszystkim warunki programowe, w tym cztery szczególnie istotne. **Po pierwsze**, że polityka gospodarcza prowadzona będzie według *Strategii dla Polski*, z korektami wynikającymi ze zmiennych uwarunkowań. **Po drugie**, że będziemy realizować określony kierunek reformy systemu ubezpieczeń społecznych, gwarantując utrzymanie zdolności do rozwoju gospodarki i stabilność finansów publicznych przy autentycznym zabezpieczeniu interesów ekonomicznych emerytów i rencistów. **Trzeci warunek** dotyczył reformy centrum gospodarczego według pewnego zamysłu programowego, który został wcześniej wypracowany przeze mnie i moich współpracowników. **I czwarty warunek** - twarda dyscyplina budżetowa i wyraźnie antyinflacyjny kurs w polityce makroekonomicznej. W sytuacji, kiedy usłyszałem tak, mogłem zawrzeć ten kontrakt. Jeżeli natomiast nie zostanie on dotrzymany, to kontrakt będzie rozwiązany. (...)

Co było dotychczas największym kompromisem z pana strony na rzecz polityki?

To była zgoda na odłożenie zmiany zasad indeksacji rent i emerytur z formuły płacowej na cenową poza 1995 rok. Przy czym zostałem wtedy postawiony w sytuacji trochę przymusowej. Kiedy zapadły decyzje, których nie byłem już w stanie odkręcić, przebywałem służbowo poza Polską. W sprawach pryncypialnych na żaden kompromis, którego bym dzisiaj musiał żałować - może z tym jednym wyjątkiem - się nie zgadzałem. Natomiast było wiele spraw, których się nie udało przeprowadzić, np. reforma centrum gospodarczego miała być realizowana od 1 stycznia 1995 roku, a teraz będzie gigantycznym osiągnięciem wprowadzenie jej z początkiem przyszłego roku. Jednak mówiąc o kompromisach trzeba pamiętać, że my nie mamy dyktatorskiej władzy. Każda zmiana to nowe ustawy. (...)

Koalicja ma jednak ogromną większość w parlamencie.

Czasami ta większość musi być przez trzy miesiące przekonywana, że dwa razy dwa jest cztery. Mogę podać tysiąc takich przypadków. (...)

Z naszej rozmowy wnioskuję, że jest pan rozczarowany światem polityki.

To nie jest zajęcie dla normalnych ludzi. Dlatego, że nie może być tak, że im gorzej, tym lepiej. Opozycja cieszy się z tego, że inflacja jest wyższa, ale abstrahuje od pozytywnych zjawisk, za które ceną jest właśnie inflacja. Przecież w Polsce przybyło ćwierć miliona miejsc pracy, mamy wysoki poziom rezerw walutowych. Jest to jedna z przyczyn wyższej inflacji, ale przecież mamy te dolary. To zwiększa bezpieczeństwo finansowe państwa. Jeżeli pomija się te elementy, to dyskusja jest nieuczciwa. (...)

Co ma minister pod krótką koldrą

*W rozmowie z Jarosławem Pałuską;
„Słowo Polskie” z 19 lipca 1995 r.*

Pan trzyma kasę publiczną, a jak to jest w domu? Czy pozwala pan sobie w domu na szaleństwa, skoro z taką zawziętością broni pan publicznego grosza?

Domowe finanse trzyma żona. Ja - co zresztą może poświadczyć wiele pracujących ze mną osób - w ogóle nie noszę pieniędzy. Ostatnio dostałem w prezencie 1 grosz i to są jedyne pieniądze, które noszę przy sobie.

Czy pozwalam sobie na szaleństwa? Jeśli już - to wobec żony i córek, choć rzadko, bo pracuję po 16, 18 godzin na dobę.

Przejdźmy do poważniejszych rzeczy. Ostatnio mówił pan, że o przyszłoroczny budżet będzie jeszcze wiele batalii. 2 kim zamierza się bić Ministerstwo Finansów i o co?

Prace nad ubiegłorocznym budżetem przypominały regularną walkę. Zawsze jest luka pomiędzy tym, co się wydaje konieczne do zapisania w budżecie, a tym, co możliwe.

Od ministra finansów wszyscy żądają większego finansowania ponad to, co jest w stanie udźwignąć budżet państwa.

Dlatego do momentu wejścia w życie ustawy budżetowej na rok 1996 trzeba będzie stoczyć batalię, przekonując, że konieczne może być tylko to, co możliwe, dokonując trudnych wyborów pomiędzy konkurencyjnymi celami konsumpcyjnymi, społecznymi, rozwojowymi.

Trudność tej walki polega na tym, że niewielu wysiła się, by myśleć w sposób kompleksowy. Natomiast wielu wysiła się, i to bardzo - żeby zwiększyć udział swojego sektora w wydatkach budżetu państwa, nie

Finanse państwa to temat kontrowersyjny

dbając o to, że może to się odbywać bądź kosztem podatnika, bądź kosztem zaspokojenia innych alternatywnych potrzeb. (...)

Czy nie spodziewa się pan, że przeciąganie zbyt krótkiej koldry (czyli brakujących dla wszystkich pieniędzy) to w jedną, to w drugą stronę spowoduje, że będzie musiał pan pójść na kompromis? Że trzeba będzie zmieniać napisane już założenia do budżetu?

Jestem otwarty na każdy twórczy kompromis, sprzyjający wzrostowi gospodarczemu, stabilizacji makroekonomicznej i obniżeniu społecznych kosztów reform wyrażającym się we wzroście dochodów ludności, tak we wzroście płac, jak i rent i emerytur. (...)

Finanse państwa to temat kontrowersyjny

*W rozmowie z Pawłem Winiarskim;
„Głos Szczeciński” z 28 lipca 1995 r.*

Jest Pan chyba najbardziej kontrowersyjnym ministrem finansów w całej historii Polski. To przypadek czy zamierzony efekt konsekwentnych działań?

Ostatnie sondaże wskazują, że życie prywatne i zawodowe polityków jest znacznie bardziej interesujące dla ludzi niż życie gwiazd filmu i estrady. Stąd też pewnie tyle miejsca poświęca się i mojej osobie. Finanse państwa, od kilku lat, same w sobie są tematem kontrowersyjnym, więc i moje działania wzbudzają różne reakcje. Być może ma na to wpływ mój charakter i osobowość. Politycznie też mamy kontrowersyjne czasy, i to wszystko razem składa się na końcowy efekt. (...)

Polscy armatorzy wyrejstrowują swoje statki spod polskiej bandery i budują nową flotę np. w Bułgarii...

Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Tym powinno się zająć Ministerstwo Transportu i Gospodarki Morskiej. Ja uważam, że jeśli jakiegokolwiek polskie przedsiębiorstwo działa na swoją korzyść, to dobrze. Skoro bardziej opłaca się budować statki gdzie indziej oraz gdzie indziej je rejestrować, to trzeba z tego korzystać. Jeśli jednak pojawiają się konkretne pomysły, w jaki sposób bez specjalnych ulg i przywilejów tę sytuację zmienić na lepszą, to jestem otwarty na propozycje.

Rząd postawił sobie za cel ograniczenie szarej strefy. W rejonach przygranicznych, takich jak Szczecińskie, ma ona znaczne rozmiary. Jak to ograniczanie ma wyglądać?

Nie wierzę, że szarą strefę można zlikwidować. Dlatego też jestem zwolennikiem jej absorpcji, to znaczy powolnego wchłaniania jej przez strefę białą. Stosujemy w tym celu zasadę bata i marchewki. Z jednej strony mamy już np. ustawę o ochronie obrotu towarowego i szereg innych aktów prawnych, a niebawem przybędzie ustawa o administracji skarbowej. Z drugiej zaś, poprzez unowocześnienie systemu podatkowego i usprawnienie ściągalności zobowiązań wobec Skarbu Państwa zmuszamy szarą strefę do płacenia większej części należnych podatków.

A co z ogromnymi zaległościami podatkowymi i ZUS-owskimi państwowymi kolosów, które znalazły się w bardzo trudnej sytuacji?

Przede wszystkim nie temu rządowi i nie temu ministrowi zawdzięczają one obecną sytuację. Ja nigdy nie obiecywałem, że cokolwiek zostanie podarowane, ale doskonale rozumiem, że nie zawsze możliwa jest natychmiastowa egzekucja tych zobowiązań. Dlatego też stosujemy szereg instrumentów, które mają pomóc tym firmom stanąć na nogi i spłacić swoje długi wobec budżetu. Warunkiem jest jednak przedstawienie realnego programu naprawczego. (...)

Wśród wylaniających się rynków

*W rozmowie z Marię Artens;
„Gazeta Poznańska” z 8 sierpnia 1995 r.*

Wrócił Pan właśnie z USA, z konferencji, na której zaliczono nas do grona największych wylaniających się rynków świata. Co to dla nas oznacza?

USA pilnie obserwują procesy transformacji zachodzące w gospodarkach państw całego świata. Interesuje ich zwłaszcza, jak przebiegają tam procesy dostosowań strukturalnych i jak te państwa otwierają się gospodarczo, co przejawia się w rosnącej szybciej niż produkcja wymianie handlowej i dopuszczeniu bezpośrednich inwestycji zagranicznych do rodzimych przemysłów. Te gospodarki włączają się bowiem w szybkim tempie do międzynarodowego podziału pracy. W gronie takich państw znalazła się Polska, jako jedyny kraj transformacji postkomunistycznej byłej RWPG.

A znaleźliśmy się w nim z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy liderem procesu przemian w tej części świata i dlatego, że jesteśmy

największą na tym terenie gospodarką o blisko 40-milionowym społeczeństwie producentów i konsumentów. A ponadto mamy bardzo korzystne położenie geopolityczne. Być może jesteśmy w epokowym momencie zwrotu historycznego, kiedy to, co nam przez wieki nie sprzyjało - nasze położenie w centrum Europy między potężnymi sąsiadami Niemcami i Rosją, potem ZSRR, a teraz znowu Rosją, czy WNP - stanie się czynnikiem sprzyjającym rozwojowi. Amerykanie dostrzegają to położenie wiedząc, że stąd będą mieli dodatkowy dostęp do państw Unii Europejskiej po naszej zachodniej stronie i do rynków przyszłości - państw bałtyckich, Białorusi, Ukrainy, a przede wszystkim Rosji.

Jesteśmy zatem 40-milionowym rynkiem, na którym Amerykanie chcą sprzedawać swoje towary...

To jest przecież przedsięwzięcie amerykańskie. Amerykanie zaś mają, jak wiadomo, poważny problem ze swoim bilansem handlowym. I jednym ze strategicznych kierunków ich działań jest ekspansja handlowa. Nie może ona przecież polegać na nieustannej wojnie z Japonią i na zabiegach o jeszcze szerszy dostęp do rynków UE, gdzie konkurencja i tak jest potężna. Zwrócono zatem uwagę, że oto wyłaniają się na świecie nowe, wielkie rynki i stworzono odpowiednie zaplecze polityczne, strukturalne, a także marketingowe, by umożliwić ekspansję amerykańską na te rynki.

Ale powiedziałem w Waszyngtonie, i co ciekawe, zostało to bardzo dobrze przyjęte, że jeśli ten pomysł *big emerging markets* - wielkich wyłaniających się rynków - ma polegać na tym, że Amerykanie wyeksportują do nas swój deficyt handlowy z Japonią, to my patrzymy **na** to z dużym zainteresowaniem, ale nieco inaczej. My też chcielibyśmy zalać amerykański rynek naszymi towarami i usługami, które są coraz bardziej konkurencyjne.

Mamy jednak dzięki tej inicjatywie swoje kolejne 5 minut, które należy zdyskontować. Mówiąc wprost, gdybyśmy chcieli na własny koszt przeprowadzić kampanię marketingową, promującą w Ameryce nasze osiągnięcia i zwracającą uwagę na perspektywy polskiej gospodarki, kosztowałoby nas to dziesiątki milionów dolarów. Mamy to teraz za darmo. Przy tej okazji przedstawiłem plakat ze wznoszącym się orłem i hasłem „Poland a big bang into the big emerging market” - Polska od wielkiego wstrząsu do wielkiego wyłaniającego się rynku - który tam się bardzo spodobał. Pamiętajmy, że orzeł to również amerykański ptak. I zaproponowałem, by w Polsce odbyła się kolejna taka konferencja, jak w Waszyngtonie, która poświęcona byłaby wymianie handlowej między USA a owymi 10 wyłaniającymi się rynkami świata.

Drugi rok trudnych rozmów

Ale, żeby tam eksportować, nie wystarczy być wielkim wylaniającym się rynkiem. Trzeba udowodnić, że ma się towary i usługi, które będzie można sprzedać.

A mamy?

Mamy coraz więcej. USA są jednym z naszych partnerów handlowych. Od ubiegłego roku rośnie nasz eksport i import. Co więcej, to my mamy nadwyżkę handlową. To znaczy, że eksportujemy do USA więcej niż USA do nas.

To się wiąże z inwestycjami bezpośrednimi, które są przecież ukierunkowane na eksport. Niekoniecznie z powrotem do USA, ale na pewno na nasze sąsiednie rynki.

Już dzisiaj USA są największym inwestorem w Polsce. Ulokowali tu już 1,7 mld dolarów, a na drugie tyle są plany, które powinny się zrealizować do 1997 r.

Możemy zatem stać się pomostem między USA, a rynkami Rosji, Ukrainy, Białorusi...

Chciałbym, aby tak było. I są na to szanse. Dokładnie widzę walkę wielkich międzynarodowych korporacji, żeby wejść na nasz rynek. Często mam satysfakcję, że konkuruje się o to, żeby dostać nasz kontrakt. (...)

Nie pójdę na tani poklask

*W rozmowie z Krzysztofem Baczyńskim
i Haliną Bober;
„Sztandar” z 14—15 sierpnia 1995 r.*

Na jednym ze spotkań z Solidarnością powiedział pan, że nie można doprowadzić ludzi do depresji, nie należy ich wpędzać w nędzę. Trzeba pozwolić im żyć. Taką ofertę daje Strategia dla Polski. Kiedy zatem szumnie nagłaśniany wzrost gospodarczy odczuwamy w naszych kieszeniach?

Już odczuwamy! Przecież konsumpcja rośnie - realnie o 4 proc. O tyle samo powinna wzrosnąć w roku przyszłym. Ludzie ubierają się lepiej, jeżdżą lepszymi samochodami i to jest miarą sukcesu gospodarczego.

Pytanie tylko komu rośnie, po jakim czasie i z jakiego poziomu? Jeśli brać pod uwagę koniec lat 80-tych, to nie wyrównaliśmy jeszcze załamania z 1990 i 1991 roku. Średni przyrost o 4 proc. może oznaczać, że jednemu nic się

nie poprawiło, a drugiemu znacznie; ktoś nie ma co do garnka włożyć, a jego sąsiad kupił sobie nowego mercedesa. Ale przeciętnie licząc - wszystkim nam nieco się polepszyło, gdyż w ekonomii ten próg odczuwalnej poprawy zaczyna się od 2 proc, a my mamy dwa razy więcej. Jednak nawet duży wzrost zamożności, którym chwalą się nuworysze, nie wzbudza ich zadowolenia, gdyż apetyt rośnie w miarę jedzenia. Reasumując: efekty są, choć może nie na miarę oczekiwań. Ale na razie na takie stać gospodarkę. (...)

Przez 40 lat mówiono, że Polski na nic nie stać, bo brakuje dewiz. Teraz jest ich zatrząsienie i też jest źle.

Byłoby to korzystne, gdyby bank centralny potrafił prowadzić odpowiednią politykę monetarną, prawidłowo skorelowaną z polityką makroekonomiczną państwa. Ale jeśli NBP tego nie potrafi, to nie ma tego dobrego, co by na złe nie wyszło.

Ten problem można porównać do sytuacji krawca, u którego klient zamawia usługę i płaci, a krawiec uzyskane pieniądze odkłada do szuflady głodząc swoje dzieci. Wniosek: rezerwy mogą być duże, a w gospodarce będzie działało się źle. (...)

Czy pan, jako wicepremier, minister finansów ma wpływ na zmniejszenie tych rezerw?

Nie. Wszystko jest bowiem w rękach NBP: tak polityka stóp procentowych, jak i kurs walutowy. Oczywiście, próbujemy jakoś oddziaływać, np. przez negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Ale w sposób nie kwestionujący niezależności banku centralnego.

Nie jest tajemnicą, że wzrost inflacji ponad zakładany poziom spowodowany został także protekcjonistyczną polityką rządu wobec polskiego rolnictwa...

Część prawdy w tym jest. W ubiegłym roku wzrost cen produktów rolnych spowodowała susza, ale był on też skutkiem prowadzenia protekcjonistycznej polityki wobec polskiego rolnictwa. Za taką ochronę płacą - większą inflacją - wszyscy konsumenci.

Jest to świadoma polityka i szkoda, że ci, którzy ją prowadzą, nie chcą o tym mówić otwarcie. Wręcz wmawiają społeczeństwu, że za wzrost cen żywności odpowiada nie rolnik, a żerujący na nim pośrednik. Jedno jest pewne: ceny żywności tak czy inaczej rosną. A każdy, nawet najmniejszy wzrost oznacza inflację.

Przeforsował pan obniżenie wysokości podatku importowego z 5 do 3 proc. Niektórzy jednak sądzą, że to pozbawi nas ochrony przed tanim importem z zagranicy.

Drugi rok trudnych rozmów

Samo utrzymywanie takiego podatku może spowodować, że zagranica nałoży na nas pewne retorsje, gdyż przedstawiciele międzynarodowych organizacji handlowych otwarcie twierdzą, że podatek powinien być zniesiony. My zaś wynegocjowaliśmy tylko jego obniżenie.

Czy to nie uszczupli wpływów do budżetu?

Nie, gdyż niższa bariera to wzrost wymiany handlowej i związanych z tym wpływów z cła i VAT-u. Większy import, który przecież zaspokaja nasze potrzeby inwestycyjne, to większa produkcja, a więc większe dochody dla społeczeństwa. A to już skutkuje dodatkowymi wpływami z podatku dochodowego. W sumie okazuje się więc, że zmniejszenie podatku importowego nie tylko nie zuboży kasy państwa, ale wyraźnie ją zwiększy.

I tu nasuwa się odpowiedź na pytanie, co zrobić z rezerwami walutowymi. Należy przeznaczyć je na sfinansowanie importu, który wzrośnie dzięki obniżeniu podatku importowego. A większy i tańszy import to większa konkurencja i wolniejszy wzrost cen. Ale jestem przekonany, że przeciwko obniżeniu podatku importowego będzie walczyło PSL, zainteresowane w blokowaniu konkurencji dla swojego elektoratu.

Czy nie czuje pan, że właśnie dlatego niektórzy politycy są lepiej postrzegani przez społeczeństwo niż szef resortu finansów?

Uważam, że polityk, który rozdaje obietnice bez pokrycia, jest nieszczerzy i świadomie wprowadza ludzi w błąd.

Brutalna prawda o finansowaniu całej sfery budżetowej i wydatkach z budżetu państwa jest dziś taka: nie będzie więcej pieniędzy. Jeśli ktoś da więcej jednym, musi się to odbyć kosztem drugich.

Czy szansa przywrócenia stawek podatkowych 20-, 30- i 40-procentowych to też tylko obietnice bez pokrycia?

Przecież podniesienie stawek było nieznaczne, a ogromna większość i tak płaci najniższą stawkę. Podatki to dogodny temat, do którego politycy ciągle będą wracać, zabiegając o tanią popularność. Ja w takiej licytacji nie zamierzam uczestniczyć. Jeśli sam płacę 45 proc, to oznacza, że mam wyższe dochody. Co więcej, chciałbym, aby większość mogła płacić górne stawki, gdyż oznaczałoby to, że ludzie stają się bogatsi. (...)

Pięć minut dla Polski

W rozmowie z Eugeniuszem Możejko;
„Życie Gospodarcze” z 20 sierpnia 1995 r.

Panie premierze, jakie korzyści odniesie Polska z faktu zaliczenia jej do „wielkich wylaniających się rynków”?

Koncepcja „wielkich wylaniających się rynków” jest w istocie rzeczy pomysłem na ekspansję gospodarki amerykańskiej na zewnątrz, na rynki przyszłości. Są to rynki obejmujące wiele milionów konsumentów; jak się wydaje, przy ich wyborze uwzględniono także czynnik geopolityczny. Powiedziałem w Waszyngtonie wyraźnie, że nie może to być tylko pomysł na wyeksportowanie amerykańskiego deficytu handlowego do nas. Chcielibyśmy, żeby koncepcja *big emerging markets* posłużyła także jako czynnik wspierający naszą ekspansję eksportową.

Na krótką metę konferencja waszyngtońska z udziałem przedstawicieli krajów zaliczonych do tej grupy była dla nas pięcioma minutami promocji polskiej gospodarki. Do tej pory nigdy o Polsce nie powiedziano i nie napisano w tamtej części świata tyle dobrego. A przebić się tam trudno, bo Polska nie jest oczywiście pępkiem świata. Liczy raptem 38,5 mln konsumentów, bardzo mało w porównaniu z Indiami, Chinami czy nawet Indonezją. Ale na Polskę trzeba patrzeć jak na swoisty pomost między olbrzymim rynkiem Unii Europejskiej, do którego dodatkowy dostęp także z naszej strony miałby kapitał i biznes amerykański - już teraz, a w szczególności od roku 2000, kiedy, jak na to liczymy, staniemy się pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej - a Wspólnotą Niepodległych Państw i państwami bałtyckimi.

Kapitał amerykański nie ma chyba szczególnych trudności z przenikaniem bezpośrednio do Unii Europejskiej.

Tak, ale koszty pracy są tam zdecydowanie wyższe - 5- do 12-krotnie wyższe niż u nas, natomiast jakość siły roboczej nie jest u nas w porównywalnym stopniu niższa, a w niektórych dziedzinach - co także na tej konferencji podkreślał szef firmy Procter and Gamble - jest ona nie niższa niż w niektórych krajach OECD. To właśnie trzeba pokazywać Amerykanom, a poprzez nich także innym inwestorom: w Polsce opłaca się inwestować bezpośrednio, tak w formie inwestycji *greenfield*, jak i *joint ventures* wspólnie z naszymi grupami kapitałowymi po to, by tu wytwarzać z myślą o czymś rozleglejszym niż polski rynek wewnętrzny. (...)

Czy jednak pańskie sugestie jakoś zapadły w świadomość polityków amerykańskich kształtujących politykę wobec „wylaniających się rynków”?

Rozumiem, że Amerykanie prowadzą politykę globalną, ale interes musi być obopólny. Stosunki z USA jako pierwszym inwestorem w Polsce, który zainwestował już blisko 1,8 mld dol., a drugie tyle jest w planie do zainwestowania w ciągu 2-1,5 roku, mogą, a nawet powinny być dla nas sprawą priorytetową, ale współpraca ta musi być rozwijana przede wszystkim w interesie polskiej gospodarki.

W jakim stopniu Amerykanie są na zasady współpracy otwarci - to się jeszcze okaże. Trzeba twardo negocjować, aby z okazji, jaką stwarza znalezienie się w polu zainteresowania Ameryki, uczynić nie pięć minut, ale pięć lat. Na rynku amerykańskim musimy stawić czoło nie tylko producentowi amerykańskiemu, także Indonezyjczykom, Brazylijczykom i Turkom, którzy myślą podobnie jak my - też nie chcą, aby *big emerging markets* stały się koniem trojańskim, pomagającym Amerykanom eksportować swój deficyt handlowy.

Czy dla inwestorów amerykańskich ma jakieś znaczenie, że Polska jest też członkiem CEFTA?

Amerykanie patrzą na Polskę jako na 1/10 rynku Unii Europejskiej. Podobnie czynią Japończycy. Jeśli powstała pierwsza prywatna inwestycja Matsushity - fabryka baterii, to jest to zakład obliczony na miarę Europy, nie tylko Polski. O ile dzisiaj zbudowanie fabryki na Ukrainie czy zachodniej Rosji jest obarczone ryzykiem politycznym, to w stosunku do Polski już nie słyszę na ten temat pytań czy wątpliwości. Prawdopodobnie nasze zawirowania polityczne traktuje się jako element kolorytu lokalnego. W istocie ważne są wskaźniki ekonomiczne, to, że eksport rośnie, spada inflacja, rezerwy są wysokie. Tak jest w przypadku wielkich inwestorów, dla których inwestycja w Polsce jest tylko uzupełnieniem ich portfela; natomiast dla małych inwestorów podjęcie decyzji oznacza często zaryzykowanie wszystkiego. Są tacy, i to jest też miarą zaufania do naszego kraju. Tego dowodzi i rating Moody's, i zaliczenie Polski do dziesiątki najdynamiczniejszych rynków, i potwierdzenie wykonania kryteriów MFW na koniec ub. roku i na połowę tego roku.

W USA wyraża się pewien niepokój losami prywatyzacji w Polsce.

Biznes amerykański jest zainteresowany przede wszystkim naszym sektorem naftowym, gazowym, telekomunikacją, energetyką, bankowością i ubezpieczeniami i w tym kontekście rozpatruje także proces prywatyzacji

w Polsce. Intencją naszą nie jest z pewnością ograniczenie procesów prywatyzacyjnych w tych sektorach. Zmiana reguł w tym zakresie, zawarta w ustawie o komercjalizacji i prywatyzacji, nie była inicjatywą rządową - została ona wprowadzona w Sejmie. Nie jestem entuzjastką przyjętego rozwiązania. Może to sugerować niepełne zaufanie Sejmu do rządu. Ale z drugiej strony - jakim prawem odmawiać suwerennemu Sejmowi prawa do ustalania kierunkowych przecież reguł prywatyzacji tych sektorów.

Na pytanie o ocenę zasad prywatyzacji w Polsce odpowiadam, że przecież i tak muszę dla niej zyskać aprobatę Sejmu. Można oczywiście zadawać też pytanie, czy jest polityczna wola wspierania prywatyzacji, co deklarują i koalicja, i opozycja. Uważam, że to całe larum wokół prywatyzacji jest robione wyłącznie ze względów politycznych, i trafnie to wychwycił „Financial Times”, nazywając to footballiem pana Wałęsy, uprawianym w ramach kampanii wyborczej. (...)

W jakich dziedzinach najchętniej widzielibyśmy inwestycje amerykańskiego kapitału? Czy jego zainteresowania są zbieżne z naszymi oczekiwaniami?

Generalnie Amerykanie interesują się dotąd „rodzynekami”, i to największymi, w naszym cieście, a więc telekomunikacją, bo to jest intratny biznes, energetyką. Udało mi się wzbudzić zainteresowanie projektami infrastrukturalnymi, przede wszystkim budową autostrad, która - mam nadzieję - wreszcie ruszy. Nieco stonowane zostało zainteresowanie przemysłem tytoniowym, prawdopodobnie dlatego, że rząd podjął decyzję o prywatyzacji sektorowej w tej gałęzi. Z rekinami, które krążą wokół tego kąska, będziemy twardo negocjować, żeby uzyskać jak najlepsze kontrakty, i jak się w tym zmieści kapitał amerykański - zależy od niego.

Ale czy my mamy jasne wyobrażenie o tym, gdzie my byśmy chcieli widzieć kapitał amerykański?

Powiedziałbym, że wyobrażenia te są mgliste z pewnymi przebłyskami. Chcielibyśmy przyciągnąć inwestycje zagraniczne tam, gdzie mamy najwięcej problemów, aby nam pomógł je rozwiązać. Mamy je w regionach o strukturalnym bezrobociu, w gałęziach przemysłu, które nie są w stanie o własnych siłach sprostać konkurencji międzynarodowej, ale akurat tam kapitał zagraniczny najrzadziej puka do drzwi. Jakoś nikt nie zgłasza chęci kupienia górnictwa węglowego, natomiast gdybyśmy chcieli szybko sprzedać przemysł naftowy, to moglibyśmy to zrobić bardzo szybko. Ale nie sprzedamy tego szybko, postaramy się go przedtem zrestrukturyzować, chroniąc nasze interesy strategiczne. (...)

Czy przedmiotem rozmów była też kwestia prywatyzacji polskich banków i w związku z tym wykorzystanie funduszu stabilizacyjnego?

O tych sprawach rozmawiałem z panem Robertem Rubinem - nowym sekretarzem skarbu. Poinformowałem go, że pracujemy nad programem przyspieszonej prywatyzacji polskich banków, ale wskazałem, że nie należy oczekiwać, iż zostaną zrealizowane wcześniejsze ustalenia na ten temat. Przewidywały one, że do końca 1996 r. sprywatyzujemy wszystkie dziewięć banków komercyjnych wyłonionych ze struktury NBP. Moim zdaniem, był to od początku błędny zamysł, zostawiałoby to bowiem poza zasięgiem procesów prywatyzacyjnych inne banki, spoza tej dziewiątki, jak Bank Handlowy, Pekao SA, PKO BP. Mamy uzgodnienia ze stroną amerykańską, że będzie ona wspierać prywatyzację i technicznie, i finansowo, korzystając ze środków funduszu stabilizacyjnego. Ważne, że proces prywatyzacji trwa, a nie to, czy ten lub inny bank - i w którym kwartale - uda się sprywatyzować. Daje to dostęp do procesu prywatyzacji także kapitałowi zagranicznemu, nie tylko amerykańskiemu. Jak wiemy, aktywne są w Polsce także banki niemieckie, holenderskie, austriackie, irlandzki, amerykańskie. Akurat w tej dziedzinie małe kraje odgrywają dużą rolę. Występuje tu zresztą geograficzny podział zainteresowań: banki amerykańskie są więcej zaangażowane w Ameryce Łacińskiej, niemieckie w Europie Środkowej i Wschodniej, japońskie w państwach ASEAN-u i obrzeży Pacyfiku. (...)

Czy była także mowa o zagospodarowaniu nadmiaru dewiz?

Nie. Jedyne twórcze sposoby zagospodarowania tzw. nadmiaru dewiz polega na tym, że to co wpływa do Polski z tytułu eksportu towarów i usług oraz kapitału spekulacyjnego czy salda obrotów przygranicznych, powinno odpływać, żeby zachować równowagę, a to się stanie wtedy, kiedy stworzymy warunki dla rozwoju importu i kiedy instrumentami polityki monetarnej i kursowej, a więc tymi, którymi dysponuje NBP, będzie się skutecznie regulować poziom rezerw i wynikającą stąd presję inflacyjną. Podzielałam zdanie Funduszu Walutowego, że to się nie bardzo udaje. Ze strony MFW były na ten temat pytania, zgłasza się tam nie tylko oczekiwania, ale wysuwa wyraźny postulat, żeby odpowiednie posunięcia dostosowawcze zostały zrobione. Musimy przecież spełnić kryteria wykonawcze związane z porozumieniem *stand-by*, obowiązującym do końca roku, i dzisiaj wykonanie zobowiązań zależy przede wszystkim od tego, czy NBP podejmie właściwe posunięcia w zakresie polityki monetarnej. To jest potrzebne i możliwe. (...)

Polska, wznoszący się orzeł Europy

„Euromoney”, wrzesień 1995 r.

Od czasu rozpoczęcia radykalnych programów restrukturyzacji i stabilizacji ekonomicznej w 1989 roku podstawy gospodarki polskiej uległy przekształceniu, a w ostatnich 18 miesiącach zmiany były radykalne. Stwierdzenie, że Polska jak orzeł wzbija się w górę pośród krajów przeprowadzających reformy gospodarcze w Europie Wschodniej i Środkowej, nie jest żadną przesadą. (...)

Większość danych gospodarczych wygląda dobrze. Ale inflacja nadal pozostaje wyzwaniem? Jak Pan ocenia postępy rządu (w tym zakresie)?

Lipiec będzie pierwszym miesiącem od dziesięciu lat odnotowującym wskaźnik deflacji. Będzie on wynosił minimum 0,9 proc. W lipcu zawsze występują czynniki sezonowe, lecz nigdy w ostatnim dziesięcioleciu ten wskaźnik nie był ujemny. To, jak sądzę, wskazuje, że pakiety antyinflacyjne, jakie wprowadziliśmy w lutym i maju, ograniczyły inflację. Zmiany nastąpiły na rynku żywnościowym, gdzie wprowadziliśmy niektóre kontyngenty beczelowe przy imporcie zbóż, cukru i innych artykułów żywnościowych. Korzystaliśmy również z usług naszej Agencji Własności Rolnej, która odgrywa aktywną rolę poprzez wprowadzenie nadwyżek zapasów żywności na rynek w celu kontroli cen. Lecz kluczową cechą naszej polityki jest dyscyplina monetarna i kontrola płac. (...)

Polska przyciąga wiele inwestycji zagranicznych, które zagrażają Pańskim wysiłkom antyinflacyjnym. Jak Pan sobie z tym radzi?

Istnieje znaczny przepływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych. W I kwartale 1995 roku Polska wchłonęła 1,1 miliardów \$ w inwestycjach zagranicznych. Moim celem jest przyciągnięcie przez nasz kraj inwestycji, których wartość wyniesie od 1,5 do 2 miliardów \$. Sądzę, że 1995 będzie pierwszym rokiem, w którym odnotujemy 2 miliardy. Dotychczas pomiędzy rokiem 1990 a 1995 napłynęły bezpośrednio zagraniczne inwestycje w wysokości 5,5 miliarda \$ w ujęciu gotówkowym, przy czym drugie 5 miliardów zostało przyrzeczone i zostanie zainwestowane na przestrzeni następnych dwóch do dwóch i pół lat.

Narodowy Bank Polski, który jest instytucją niezależną, mógł powstrzymać podaż pieniądza poprzez powstrzymanie rocznego przepływu rezerw walutowych. NBP dokonał pewnej korekty zarówno polityki kursów walutowych, jak i stóp procentowych. Ta część polityki leży w kompetencji

Drugi rok trudnych rozmów

Narodowego Banku. Na drugim końcu tej skali realizujemy twardą politykę fiskalną. (...)

A po stronie wydatków?

Wydatki z budżetu państwa są pod kontrolą. Od trzech lat deficyt budżetowy wynosił poniżej 3 proc. Jesteśmy jednym z niewielu krajów w Europie, którym udało się to osiągnąć w tym czasie. W 1993 roku wynosił on 2,8 proc, w 1994 - 2,7 proc, w 1995 wyniesie 3 proc. a w 1996 roku - 2,8 proc. To jest nasz cel i wierzę, że uda nam się go osiągnąć. Budżet jest pod kontrolą, a więc naciski inflacyjne nie pochodzą od strony rządu, a deficyt jest finansowany w sposób nie nakręcający inflacji.

Ale jest jeszcze jeden składnik inflacji, o którym trzeba powiedzieć: mianowicie musimy od czasu do czasu dokonywać korekty cen. W styczniu tego roku wskaźnik wzrostu cen wynosił 4,1 proc. miesięcznie. Lecz był on wynikiem przede wszystkim reformy strukturalnej w budownictwie mieszkaniowym. Dokonałszy stopniowej liberalizacji czynszów mieszkaniowych, które wchodziły w skład wskaźnika cen konsumpcyjnych. Zatem nie była to inflacja podstawowa. Inflacja podstawowa była znacznie niższa, niż sugerował to ogólny wskaźnik cen. W 1993 roku wyniosła ona 38 proc., a następnie spadła do 29,5 proc. w 1994 i wyniesie pomiędzy 20 proc. a 23 proc. pod koniec tego roku. Naszym celem jest 17 proc. w 1996 roku.

Wyzwaniem jest również obecny kształt kosztowego systemu emerytalnego. Emerytury państwowe są finansowane z budżetu, lecz z uwagi na niekorzystne tendencje demograficzne mamy wysoki współczynnik zależności. Liczba osób, które są na emeryturze lub na rencie jest względnie wysoka w porównaniu z aktywną zawodowo częścią ludności. System ten nie jest samofinansujący i musi być dotowany. Obecnie emerytury są indeksowane - lecz względem wynagrodzenia, a nie cen. Wynagrodzenie, jak i cała gospodarka, poszło w górę, co z kolei powoduje korekty nominalnej stawki emerytury. To wymaga wysokich dotacji. Opracowaliśmy więc projekt programu reformy systemu emerytalnego i oczekujemy uchwalenia go przez parlament.

Będziemy również reformować służbę zdrowia i system ubezpieczeń społecznych. One są również finansowane z budżetu państwowego. Sądzę, że w perspektywie średniookresowej zarówno osoby prawne, jak i fizyczne mogą spodziewać się pewnego rozluźnienia dyscypliny budżetowej, lecz będzie to spowodowane korektą strukturalną po stronie wydatków. Następnym osiągnięciem będzie spadek podatku od osób prawnych i fizycznych. (...)

Stopa wzrostu Polski jest obecnie równa dwukrotnie przeciętnej stopy w krajach OECD. Czy ta tendencja może się utrzymać?

Przy bardzo pozytywnym rozwoju wydarzeń w innych dziedzinach naszej gospodarki nasza stopa wzrostu jest stabilna i pozytywna. PKB wzrósł o 5,5 proc. w 1994 roku, a w tym roku wzrośnie jeszcze szybciej. Według niektórych analityków, może wahać się pomiędzy 6 proc. a 7 proc. w ujęciu realnym.

Produkcja przemysłowa wzrosła o 13 proc. Jest to wzrost napędzany eksportem. W 1994 roku, wyrażony w dolarach, nasz eksport towarów i usług wzrósł o 22 proc. W pierwszym kwartale tego roku wzrósł on nie mniej niż 40 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego. Będzie to pierwszy rok, kiedy polski eksport przekroczy kwotę 22 miliardów dolarów. Co ważniejsze dla nas, ten eksport jest kierowany do krajów OECD, głównie do Europy (połowę naszego eksportu sprzedajemy do Niemiec). 80 proc. naszego eksportu trafia na rynki krajów rozwiniętych.

Nasz bilans handlowy i bieżący nadal odnotowuje deficyt, lecz jeżeli uwzględnimy handel przygraniczny, to możemy powiedzieć, że ma on nadwyżkę. Ministerstwo Finansów próbowało zestawić te wszystkie dane liczbowe, w tym również gospodarkę równoległą, która z kolei powoduje nadmierne szybki wzrost dewiz. Ogólnie mówiąc, zarówno bilans handlowy, jak i bieżący w 1994 roku i w 1995 roku wydają się dodatnie. Ogólny obraz jest więc pozytywny.

Lecz bezrobocie jest nadal wysokie.

Istnieje, na krótką metę, powiązanie pomiędzy inflacją a bezrobociem. Lecz ja ograniczam zarówno stopę inflacji, jak i stopę bezrobocia, chociaż bezrobocie spada powoli. Według oficjalnych danych, spadło z 16,9 proc. do 14,9 proc. Wiemy, że w wielu dziedzinach ludzie, którzy są oficjalnie bezrobotni, działają w szarej strefie. Myślę, że jedna czwarta, może nawet jedna trzecia wszystkich bezrobotnych wiąże koniec z końcem pracując w gospodarce równoległej, w tym w handlu przygranicznym. W tym czasie faktycznie stworzyliśmy 250000 nowych miejsc pracy i, co ważniejsze, wydajność pracy wzrosła 15 proc. do 17 proc, przy jednoczesnym wzroście płac realnych wynoszącym około 3 proc. do 4 proc.

Na ile jest pan zadowolony z powrotu Polski na międzynarodowe rynki ze swoją emisją latem tego roku euroobligacji o wartości 250 milionów \$?

Agentem emisji był JP Morgan. Byliśmy zadowoleni, to był dość znaczny sukces. Teraz czekam na reakcję rynku na wyniki polskiej gospodarki zarówno w ujęciu makro-, jak i mikroekonomicznym, zwłaszcza na rynku wtórnym. Na razie wygląda to dobrze. (...)

Drugi rok trudnych rozmów

Nastąpią dalsze emisje polskich obligacji, lecz będą one ograniczone. Pożyczam, ponieważ chcę, a nie dlatego, że muszę. Tak długo jak zaciąganie pożyczek na międzynarodowym rynku kapitałowym jest bardziej konkurencyjne niż na rynku krajowym, z uwagi na wysokie realne oprocentowanie, będziemy brali pod uwagę tę opcję, lecz każda pożyczka będzie ograniczona i pod ścisłą kontrolą. Rynki, którym będziemy się przyglądać, obejmują USA i Japonię.

Chcielibyśmy, rzecz jasna, otrzymać wyższą ocenę ryzyka inwestycyjnego. Jesteśmy jedynym krajem, który zrealizował plan Brady'ego, co dało nam ocenę inwestycyjną Moody's, fakt który doceniamy. Na podstawie naszej pozytywnej prognozy Standard & Poors dał nam do zrozumienia, że możemy uzyskać wyższą ocenę na początku 1996 roku. Chciałbym udowodnić, że dzięki realizacji skutecznej polityki makroekonomicznej, zasłużyliśmy na tę wyższą ocenę. Jest to dla nas rok wyjściowy. Międzynarodowa społeczność finansowa będzie postrzegała wyższą ocenę Polski jako czynnik, który zachęci do dalszych prywatnych inwestycji bezpośrednich. Tego właśnie odczuwamy niedosyt: zagranicznych bezpośrednich inwestycji pozwalających na zwiększenie konkurencyjności polskiego przemysłu. (...)

Istnieje rozczarowanie, jak niektórzy twierdzą, wolnym tempem prywatyzacji, zwłaszcza w odniesieniu do masowej sprzedaży majątku państwowego poprzez Narodowe Fundusze Inwestycyjne. Co Pan może na to odpowiedzieć?

Dwie trzecie naszego PKB jest już wytwarzane przez sektor prywatny. Około 60 proc. zatrudnionych pracuje w sektorze prywatnym. Z mojego punktu widzenia, prywatyzacja postępuje dość wyraźnie, od 1995 roku przychody z prywatyzacji osiągnęły rekordowy poziom. To jest pierwszy rok, w którym przychody będą wynosiły ponad 1 proc. PKB, lub więcej niż trzykrotność liczby z 1990 roku, kiedy to wynosiły one 0,37 proc. PKB. Uzyskaliśmy 1 miliard dolarów w 1995 roku ze sprzedaży wybranych przedsiębiorstw państwowych. (...)

Czy jest Pan zadowolony z postępu, jaki dokonuje się na polskich rynkach kapitałowych?

Rynki te rozwijają się. Giełda funkcjonuje dość dobrze. Istnieje ponad 800000 drobnych inwestorów, którzy obracają 50 notowanymi akcjami, które w 1994 miały średnią kapitalizację w wysokości prawie 4 miliardów dolarów i dzienne obroty w wysokości 50 milionów. Podpisaliśmy z WTO umowę dotyczącą liberalizacji rynków finansowych. Stopniowo pozwalamy

zagranicznemu kapitałowi uczestniczyć w prywatyzacji polskich banków. Coraz więcej zagranicznych finansowych inwestycji lokuje się u nas. Bony skarbowe dobrze się sprzedają i szacujemy, że jedynie 5 proc. rynku polskich obligacji jest w rękach obcokrajowców. Mam znacznie mniej problemów z rynkami kapitałowymi niż z sektorem bankowym. Banki nadal posiadają nieściągalne długi w swoich portfelach i my nadal musimy za to płacić określoną cenę.

Polski rynek kapitałowy staje się w coraz większej mierze częścią światowego rynku kapitałowego. Bardzo wielu zagranicznych inwestorów otworzyło swoje biura właśnie w Warszawie. Witamy ich z otwartymi ramionami.

Rząd sukcesów

*W rozmowie z Dobrochną Kędzierską,
Krzysztofem Golata i Markiem Królem;
„Wprost” z 22 października 1995 r.*

Sejm zdecydował o zmianie ustawy podatkowej. Gdzie są granice kompromisu między polityką a gospodarką, które jest pan w stanie zaakceptować?

Sugerują państwo, że powinienem się podać do dymisji? Nie mogę się zachowywać jak obrażona panienka. Wcześniej też nie zawsze słuchano moich argumentów. Wtedy nie uważałem, że powinienem zrezygnować. *Casus Olechowskiego* - to jest najłatwiejsze. Odejdę, gdy produkcja zacznie spadać, a inflacja rosnąć. Ani sekundy wcześniej. Na razie walczę. Trzech moich poprzedników wytrzymało łącznie na tym stanowisku krócej niż ja...

Odnoszę wrażenie, że np. w walce z inflacją jestem osamotniony. Nie wszystkie siły polityczne działają na rzecz jej zmniejszenia. Nie znam państwa, w którym bank centralny jest zaangażowany w produkowanie inflacji. Wszyscy mówią, że poziom inflacji jest wyższy, niż zakładano. Nie słyszałem natomiast, żeby ktoś zarzucał mi, że pomyliłem się w oszacowaniu tempa wzrostu PKB. Zamiast pięcioprocentowego mamy prawie siedmioprocentowy wzrost...

Gdyby parlament, zmieniając stawki podatkowe, popsuł mi budżet i zwiększył deficyt, nie rozmawiałbym już z państwem jako minister finansów. Jeżeli zburzą mi podstawowe założenia *Strategii dla Polski*, mowy nie ma o dalszej współpracy.

Zmiany w systemie podatkowym mają istotne znaczenie dla budżetu państwa.

Nie zgadzam się z takim rozumowaniem. Jest to sprawa trzeciorzędna. W wyniku mojej polityki gospodarczej spada w Polsce fiskalizm. Budżet na przyszły rok jest tego najlepszym dowodem. Jego udział w produkcji krajowym brutto zmniejsza się, spadają dopłaty do ubezpieczeń społecznych i na obsługę długu publicznego. Zatrzymany został bieg dwóch największych „kul śnieżnych”. Tego przede mną nikt nie dokonał. Dlatego jest to budżet przełomu. Budżet prowadzący do dalszego wzrostu i stabilizacji gospodarczej, w którym przewidziano więcej środków, zwłaszcza na sferę obsługi społecznej.

Rozszerzenie skali podatkowej jest decyzją nie mającą ekonomicznych podstaw?

Każda decyzja o podatkach osobistych jest polityczna. Podatek jest instrumentem redystrybucji dochodów z miejsca, w którym powstają, do miejsca wydatkowania. Proces ten podlega wartościowaniu, a w systemach demokratycznych ostatnie słowo należy do parlamentu. Jeżeli nawet nie podzielam racji ekonomicznych, którymi kierował się Sejm, jako podatek, wyborca i minister finansów muszę się podporządkować woli demokratycznie wybranego parlamentu. Jeżeli jednak są podejmowane decyzje, których słuszności z ekonomicznego punktu widzenia nie podzielam, muszę dążyć do maksymalizowania korzystnych rezultatów i minimalizowania ujemnych skutków. Polityka gospodarcza jest również sztuką kompromisu i trzeba się podporządkować decyzjom wypracowanym w ramach demokratycznych procedur. (...)

Rządowi Hanny Suchockiej zarzucano, że w 1993 r. utrzymał nie zmienione progi podatkowe mimo wysokiej inflacji. Teraz parlament także nie podwyższył najwyższego progu, mimo że inflacja przekracza 20 proc. Kolejne uderzenie w najbardziej wydajnych.

Mnie będzie to motywowało do większej wydajności. Nie widzę powodu, dla którego ludzie aktywni chcieliby mniej zarobić. Nikt chyba z tego powodu nie porzuci pracy. Podejrzewam, że pańskie pytanie wynika z faktu, iż 90 proc. czytelników „Wprost” należy do grupy o najwyższych dochodach.

Aleksander Kwaśniewski przekonuje w trakcie kampanii przedwyborczej, że musimy zapłacić za spokój społeczny. Czy cena wyborczego zwycięstwa nie będzie jednak zbyt wysoka?

Bez spokoju społecznego nie dokończymy transformacji gospodarczej. Podatnicy i budżet muszą przeznaczać określone kwoty na pomoc dla

nieefektywnych przedsiębiorstw, tak długo, jak nie wypracujemy dla nich pozytywnych rozwiązań. Pomysł zamknięcia kopalń z dnia na dzień jest awanturniczy, a nawet śmieszny i niepoważny.

Czy jednak za kilka lat nie będziemy żyli w spokojnym, ale gospodarczo zacofanym kraju?

Nie bardzo wiem, co państwa niepokoi. Proszę spojrzeć na budżet. Wyraźnie widać, że coraz mniej dopłacamy do nieefektywnych przedsiębiorstw. Dziś, w porównaniu z budżetami opracowanymi przez moich poprzedników, dopłaty do przedsiębiorstw stanowią najmniejszą pozycję budżetu. Jestem przekonany, że w wielu wypadkach wstrzymanie dotacji może w przyszłości znacznie więcej kosztować podatnika. Z drugiej strony, restrukturyzacja przedsiębiorstw musi kosztować i nie można jej przeprowadzić z godziny na godzinę. Pomysł przeniesienia na emeryturę kilku tysięcy górników poprawi kondycję kopalń, ale będzie musiał za to zapłacić podatnik.

Dane dotyczące kondycji polskich kopalń świadczą, że restrukturyzacja nie przynosi pożądanых rezultatów, a jedyną receptą są podwyżki cen węgla. Czy nie przeczy to pańskim słowom?

Pańskim zdaniem - przeczy, moim - nie. Nie jest bowiem do końca prawdą, że pogarszają się wyniki kopalń. Restrukturyzacja przynosi pożądane rezultaty, aczkolwiek nie takie, jak się spodziewaliśmy. Dlatego też na ostatnim posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów rozpatrywaliśmy program przyspieszający i zwiększający zakres restrukturyzacji górnictwa.

Są to dane holdingów węglowych. Gdzie w takim razie tkwi prawda o kondycji naszych kopalń?

W gospodarce i zapisach budżetu. Następuje poprawa efektywności mikroekonomicznej i coraz więcej przedsiębiorstw i gałęzi wykazuje zysk. Najlepszym przykładem jest przemysł stoczniowy. (...)

Stopień finansowej twardości

*W rozmowie z Klaudj ą Sanetra;
„Nowa Europa” z 30 października 1995 r.*

W przyszłorocznym budżecie nie przewidziano bezpośrednich dotacji do przedsiębiorstw państwowych. Ale są w nim zaprojektowane różnego

rodzaju dopłaty do państwowych podmiotów gospodarczych. Czy nie jest to marnowanie publicznych pieniędzy na nieefektywną produkcję?

Jeśli w trakcie parlamentarnych prac nad budżetem ktoś znajdzie możliwości zmniejszenia wydatków i zaoszczędzenia grosza publicznego, to powitam to z zadowoleniem. Uważam rządową propozycję za pewne niezbędne minimum wsparcia pieniędzmi podatników przez budżet państwa działań restrukturyzacyjnych i podnoszenia konkurencyjności polskiego przemysłu. To jest nakład, który jest także kosztem pokoju i spokoju społecznego, a tylko w takich warunkach można doprowadzić do sukcesu polską transformację ustroju gospodarczego. I dlatego pieniądze przeznaczone z budżetu na trudny program restrukturyzacji górnictwa postrzegam jako wydatek społecznie korzystny. Warto się bowiem zastanowić, ile - koniec końców - kosztowałoby polskie społeczeństwo, czy to bezpośrednio w postaci podatków, czy pośrednio - wyższej inflacji, gdyby nie ponieść tego wysiłku? (...)

Czy naprawdę nie ma możliwości zwiększenia dochodów budżetu? Już nawet nie z tej mitycznej, nierozpoznanej szarej strefy, bo na to potrzebne są dodatkowe nakłady, ale choćby ściągając należności od legalnie działających przedsiębiorstw?

Staramy się to robić. Ale jest nadal pewna schorowana część naszej gospodarki, gdzie nie służby skarbowe i nie pion finansowy państwa decyduje o ściąganiu, ale mechanizmy polityczne. Na przykład wiele kopalń jest w trudnej sytuacji, mają zaległości wobec budżetu i ZUS. I na razie, jak się okazuje, radykalizm wobec nich nie może być posunięty nawet o krok dalej. Tutaj z postępu bynajmniej nie jestem zadowolony. Ale to też trzeba widzieć w szerszym kontekście konieczności dokonania restrukturyzacji rzeczowej i finansowej przedsiębiorstw. Weźmy przykład tak słynny i „sztandarowy”, jak podwarszawski Ursus, gdzie łatwo powiedzieć: ściągnijcie, ale okazuje się, że to byłoby tożsame z zamknięciem zakładu. Zostały podjęte decyzje, żeby wykorzystać np. środki EFSAL-owskie i stworzyć szansę wyjścia na prostą niektórym przedsiębiorstwom. Przykładem pozytywnym skuteczności polityki strukturalnej jest polski przemysł stoczniowy, który kilka lat temu był w porównywalnej sytuacji z obecnym stanem górnictwa węglowego. Dzisiaj stocznie są konkurencyjne na rynku międzynarodowym i wypracowują zyski. Nie żerują na budżecie, ale nań łożą.

Nie tylko wierzę, ale wiem, że to może się udać w hutnictwie żelaza i stali, gdzie już został osiągnięty pewien postęp restrukturyzacyjny. Jest na to szansa w górnictwie węglowym. (...)

W projekcie budżetu inflacja jest zaplanowana na 17 proc. Prognoza Narodowego Banku Polskiego mówi o 19-21 procentach.

Nad tym ubolewam. Uważam, że jest niedopuszczalne i nie może być akceptowane, żeby bank centralny formułował prognozę inflacyjną wyższą niż cel polityki antyinflacyjnej, określony w dokumentach rządowych. W związku z tym oczekuję jako wicepremier rządu i jego minister finansów od niezależnego banku centralnego, że dostosuje politykę pieniężną do tego celu antyinflacyjnego, który przecież nie jest zbyt ambitnie określony. Choćby nam to miało bardzo utrudnić politykę gospodarczą, strukturalną, a także budżetową, oświadczam, że dostosujemy się do twardych ograniczeń narzuconych przez bank centralny. Ale niechże narzuci te warunki, a nie licytuje się, że ma wyższą prognozę. Niech nie stawia prognoz, tylko niech przedstawi program polityki pieniężnej, która sprowadzi inflację nie do 17, ale do 15 proc, choćbyśmy mieli piszczeć od restrykcyjności tej polityki. Niedobrze, że NBP przedłożył tak liche założenia polityki pieniężnej.

Warto przypomnieć, że rząd wyszedł naprzeciw postulatom NBP. Utrzymujemy twardą politykę finansową i deficyt w tym roku jest mniejszy, niż to przyjęto w ustawie budżetowej. Prowadzimy konsekwentną politykę finansową mimo silnej presji partnerów społecznych. Spada obciążenie importu cłami i podatkiem importowym, który zostanie obniżony z 5 pkt. do 3 pkt., a więc o 40 proc. Przedstawiliśmy nowelę prawa dewizowego, czego życzył sobie NBP. Żeby była zupełna jasność: rok temu przesłaliśmy prawo dewizowe do Sejmu także po uzgodnieniach z NBP. Bank zmienił stanowisko. Być może słusznie. To my też zmieniliśmy. Teraz pojawiły się sugestie, żebyśmy wprowadzili pewne działania bardziej z arsenału centralnego planowania, które wydawało się, minęło bezpowrotnie: administracyjne kontrolowanie napływu kapitału zagranicznego - wbrew tendencjom światowym, wbrew naszym ustaleniom z OECD i wbrew zasadom obowiązującym w Unii Europejskiej. Na razie rząd nie ma takiego zamiaru. Ale jeśli będzie absolutna konieczność, rząd i to zrobi.

Natomiast wciąż oczekuję od banku centralnego, że wreszcie zacznie kontrolować podaż pieniądza, bo to jest maszyna produkująca inflację. W każdym razie my nie zmienimy swojego celu polityki antyinflacyjnej. To nie jest konkurs prognoz. To jest trudny proces.

Nie zazdrozczę opozycji

W rozmowie z Dariuszem Szymczycha,
Gerardem Majem i Pawłem Pietruszkiewiczem;
„Trybuna” z 4-5 listopada 1995 r.

Jak Pan, Panie Premierze, odnosi się do stwierdzeń Unii Wolności, że polityka finansowa rządu przyczynia się do spowolnienia reform, a w efekcie może doprowadzić do załamania koniunktury?

Coraz częściej mam takie wrażenie, że złość rozum odbiera, a zazdrość pozbawia ostrości spojrzenia. Być może są to typowe reakcje polityczne, które mają na celu odwrócenie uwagi opinii publicznej od niepowodzeń polityki onegdaj prowadzonej. Uważam, że politycznie jałowe, choć demagogicznie niekiedy skuteczne, jest pomawianie innych o tzw. hamowanie reform bez doprecyzowania, o jakie reformy chodzi. Co to znaczy hamowanie albo przyspieszanie? To są po prostu pozbawione sensu nieostre pojęcia i dlatego nadużywa się ich w polityce.

Gdyby było to konkretnie powiedziane, że my hamujemy reformy ubezpieczeń społecznych - to rozumiem, że oni je przyspieszali, choć dziwnym trafem dopiero my je początkujemy. Gdyby padł zarzut hamowania reform instytucjonalnych, ale tak się składa, że to ja, na własne życzenie, wprowadzam np. niezależny nadzór ubezpieczeniowy z Ministerstwa Finansów. Tego wysiłku nie podjął żaden z moich poprzedników, w tym ci, którzy są dzisiaj opozycyjnymi politykami z Unii Wolności. I to są fakty, których w żaden sposób nie da się podważyć ani zakrzyczeć. Ataków nie odbieram personalnie, bo są one wymierzone w koalicję Polskiego Stronnictwa Ludowego z Sojuszem Lewicy Demokratycznej.

Zawsze będę odpowiadał, że nasza linia programowa, linia *Strategii dla Polski* nie polega na zmniejszaniu tempa reform, ale na zmniejszaniu kosztów tych reform dla zdecydowanej większości polskiego społeczeństwa. **Czy odporem dla stwierdzeń, że Pańska polityka finansowa jest zła, może być przyszlorzony budżet? Zarzuca się, że jest to już siódmy budżet bez reformy ubezpieczeń społecznych, że utrzymuje w starej formie służbę zdrowia i oświacie, a nawet że zamiast rozwiązania problemu długu publicznego proponuje się doraźne oszczędności...**

Trudno przejmować się takimi pseudoargumentami. Na czele opozycyjnej Unii Wolności stoi człowiek, który prowadził politykę w czasach, kiedy dochód narodowy spadł o 18 proc, a produkcja przemysłowa o blisko 40

proc. (lata 1990-91), a teraz ta produkcja rośnie realnie o 24 proc, zaś dochód narodowy - o 13 proc. w ciągu dwóch pierwszych lat *Strategii dla Polski*. **Po** zwycięstwie wyborczym koalicji SLD-PSL próbowano wmawiać ludziom, że oto nadchodzi krocząca destrukcja, a dziś odnotowujemy największy wzrost gospodarczy we współczesnej Europie i w całym postkomunistycznym świecie.

Ja nie jestem zaangażowanym politycznie członkiem żadnej partii, a w rządzie koordynuję politykę gospodarczą i finansową. Mogę więc mówić otwarcie o tym, co wyszło, a co nie, co zamierzamy robić dalej, jak będzie realizacja *Strategii dla Polski* i jak w tym kontekście wygląda budżet państwa. Szczerze mówiąc, nie zazdroszczę opozycji, ponieważ budżet na 1996 r. jest tak skonstruowany, że dużo więcej będą musieli się wysilić niż rok temu, żeby znaleźć dziurę w całym.

Pańskim ulubionym określeniem jest „budżet przełomu”. Na czym polega ten przełom?

Tak, jest to budżet przełomu. Otóż przez wszystkie lata na zasadzie efektu określanego kulą śnieżną narastały tzw. sztywne płatności - sztywne, bo nie negocjacyjne. One były funkcją czasu bądź działających praw i procesów demograficznych i rynkowych. Konkretnie - narastały w sposób lawinowy - stąd ta nazwa, kula śnieżna - dopłaty do ubezpieczeń społecznych, które w coraz mniejszym stopniu same się finansowały, stanowiąc coraz większe obciążenie dla podatnika, dla budżetu. Po drugie - lawinowo rosły także koszty obsługi długu publicznego, w wyniku bardzo wysokich stóp procentowych i piętrzących się obciążeń zewnętrznych, jeśli chodzi o obsługę długu zagranicznego.

Naszemu rządowi uda się przeprowadzenie historycznego zwrotu, jeśli budżet zostanie uchwalony w takiej wersji, w jakiej został przesłany do parlamentu.

Jaka jest istota tego zwrotu?

Polega ona na tym, że koszty obsługi długu publicznego będą mniejsze, ponieważ w wyniku skuteczności polityki antyinflacyjnej obniżają się stopy procentowe. Wiem, że obniżają się zbyt wolno, ale każdy już wie, że nie mamy sojusznika w NBP, i to nie ze względów merytorycznych. Ponadto uregulowaliśmy do końca nasze zewnętrzne stosunki finansowe. We wrześniu 1994 r. podpisałem porozumienie z Klubem Londyńskim, zaś latem tego roku brawurowo uplasowaliśmy euroobligacje na ćwierć miliarda dolarów na rynku światowym. I drugi wątek - zapoczątkowaliśmy, choć są tu opóźnienia, proces reformy ubezpieczeń społecznych.

Jakie to niesie skutki nie tyle dla budżetu, co dla ludzi?

Rozluźnia się gorset nałożony w przeszłości na finanse publiczne i krępujący możliwości ruchu. Nowy budżet ma więc konkretnie i wyraziście sformułowane preferencje społeczne. Inwestujemy w kapitał ludzki, a zwłaszcza w szkolnictwo wyższe i naukę oraz reformy służby zdrowia. Nie oznacza to bynajmniej zaniedbywania potrzeb oświaty i kultury oraz bezpieczeństwa szeroko rozumianego - i obywatela, i obrotu gospodarczego, i państwa. Kolejnym priorytetem jest rozwój obszarów wiejskich i rolnictwa.

Klientela opozycyjna oczywiście zarzuci: no tak, koncesja na rzecz PSL, wiadomo. Otóż dokładnie odwrotnie. Jakikolwiek poważny i odpowiedzialny polityk nie może dalej mówić o polskiej drodze do Unii Europejskiej zaniedbując i tak zacofaną wieś. Samym gadaniem do Unii nie wejdziemy, a proces restrukturyzacji polskiego rolnictwa musi kosztować także budżet państwa. Stąd istotne wzmocnienie finansowania tegoż procesu rozwojowego w roku przyszłym.

I to są główne nowe elementy w tym budżecie, a oprócz tego powtarzam to, co się udało zapisać i realizować w budżecie 1995 r. i częściowo 1994 r. To są budżety wzrostu gospodarczego, stabilizacji ekonomicznej i - mam nadzieję, że także - kompromisu politycznego. Bo ile się byśmy nie spierali, to jest coraz więcej gotowości, zdolności i umiejętności do poważnego traktowania partnerstwa społecznego. Coraz więcej spraw rozstrzyga się w wyniku negocjacji, a coraz mniej w wyniku strajków, choć niestety takie zjawiska jeszcze mają miejsce i uważam, że ostatni przykład strajku kolejarzy na Śląsku jest przykładem tego, że jeszcze nieraz podobnie trudne sytuacje będziemy napotykali.

Czy uważa Pan za błąd danie podwyżek śląskim kolejarzom?

Tak, jest to błąd. Zdecydowanie zaleciłem panu ministrowi transportu i gospodarki morskiej nie podpisywać jakiegokolwiek porozumienia, dopóki strajk trwa. Jest to wymuszenie siłą podwyżki płac kosztem większej części społeczeństwa, która ciężko pracuje. Tego typu ustępstwa są jednym ze źródeł inflacji i teraz jest pytanie, jakie będą tego konsekwencje. (...)

Panie Premierze, rozmawiamy jeszcze przed wyborami prezydenckimi. Jaki, Pana zdaniem, byłby najlepszy prezydent dla polskiej gospodarki?

Najlepszy byłby taki, który jak mówi, to wie, co mówi. Taki, który sprzyjałby tworzeniu warunków systemowych i politycznych do stabilizacji wzrostu. Taki, który jeśli już wetowałby jakąś ustawę, to tylko pod warunkiem, że jej wprowadzenie pogarszałoby sytuację w stosunku do istniejącego

stanu, a nie odwrotnie. Taki, który potrafi słuchać i argumentować i w związku z tym ma szansę wprowadzić Polskę do Unii Europejskiej w roku 2000, i to godnie, z podniesioną głową, a nie na klęczkach.

Czy jest taki kandydat?

Tak, jest taki jeden kandydat.

Droga przez mękę

*W rozmowie z Markiem Misiakiem
i Tomaszem Wolfem;*

„Nowe Życie Gospodarcze” z 16 listopada 1995 r.

Jednym z założeń ustawy budżetowej jest utrzymanie wysokiego tempa wzrostu gospodarczego. Ono rzeczywiście dotychczas było imponujące. Jednak według badań GUS i Instytutu Rozwoju Gospodarki sytuacja na rynkach zachodnich pogarsza się, jest też niepewność związana z rynkami wschodnimi...

Nie podzielam niepokoju o naszą dynamikę gospodarczą pod warunkiem, że zostaną utrzymane proporcje zaproponowane przeze mnie w budżecie na 1996 r. i że będzie utrwał się proces stabilizacji makroekonomicznej oraz przekształceń mikroekonomicznych. Korzystna, z punktu widzenia naszej koniunktury wewnętrznej, powinna być także koniunktura na rynkach światowych. Mogą nastąpić tu istotne zmiany, które jednak wcale nie muszą szkodzić naszej gospodarce. Dużo bowiem przesady, motywowanej względami politycznymi, było w ocenie czy raczej przecenianiu wpływu ożywienia gospodarczego w Unii Europejskiej i OECD na wysoką dynamikę wzrostu gospodarczego w Polsce. Wiele przesady może być również w opiniach, że osłabienie koniunktury w Europie zahamuje naszą dynamikę gospodarczą. Znam szacunki, według których 3-proc. wzrost PKB w Unii Europejskiej powoduje maksymalnie 1-proc. przyrost naszego PKB. Zewnętrzna koniunktura nie da się więc wyjaśnić przyspieszenia, jakie odnotowujemy w polskiej gospodarce.

Dźwignią tego przyspieszenia jest obok eksportu i wzrostu popytu konsumpcyjnego ekspansja inwestycyjna, która według założeń wyniesie w przyszłym roku ok. 9 proc. Czynnikiem pro wzrostowym może być przyspieszenie gospodarcze na Wschodzie. Jest to tylko kwestią czasu. Rynki: rosyjski czy ukraiński będą absorbowały znacznie więcej polskich

Drugi rok trudnych rozmów

produktów niż obecnie. Jeśli utrzyma się w przyszłym roku nieco tylko niższa, 5,5-proc. dynamika, choć uważam, że może być ona większa, to nie będzie to wcale źle, ale z pewnością znajdą się tacy, którzy będą nam podkreślali, że będzie to tempo niższe niż w br. Nie jest jednak powiedziane, że tempo to ma z roku na rok tak samo rosnać. Polską gospodarkę stać na wiele, ale w żadnym przypadku nie można odstępować od działań antyinflacyjnych.

Walka z inflacją może jednak zahamować ten wzrost...

Relatywnie wysoka inflacja jest kosztem wysokiej dynamiki gospodarczej. Odchylenie inflacji in plus w porównaniu z założeniami ma swoje odzwierciedlenie w jeszcze większym dodatnim odchyleniu wzrostu produkcji przemysłowej, zwłaszcza zorientowanej na eksport. Nasz błąd polegał na tym, że nikt nie zakładał aż takiej dynamiki eksportu, jaką odnotowaliśmy w ubiegłym i bieżącym roku.

Spadająca dynamika tego eksportu nie napawa jednak optymizmem.

To nie tak. Uważam, że wracamy do normy. Rzeczą anormalną jest 30-proc. dynamika eksportu. Zastanawiam się, czy niepokój o polski eksport, słabnącą jego dynamikę i pogorszenie się koniunktury jest błędem w rozumowaniu, czy może cynizmem politycznym. Realny wzrost produkcji, po uwzględnieniu inflacji, w ciągu 10 miesięcy o blisko 11 proc, a produkcji eksportowej o ponad jedną trzecią - to symptomy utrzymywania się dobrej koniunktury. Pewne spowolnienie tempa wzrostu eksportu i produkcji przemysłowej uważam w obecnych warunkach za rzecz naturalną. (...)

Pewne przyspieszenie wzrostu importu jest sposobem rozładowywania niebezpiecznego procesu nadmiernego narastania bankowych rezerw dewizowych. W *Strategii dla Polski* do głównych celów polityki gospodarczej zaliczyliśmy trwałą i zrównoważony wzrost przy jednoczesnym postępie stabilizacji makroekonomicznej i poprawie życia ludności. Ceną pewnego zejścia w dół z inflacją jest, niestety, utrata kilku procentów przyrostu produkcji przeznaczonej na eksport. Ale ogólne wyniki osiągamy naprawdę znakomite. W ciągu 9 miesięcy inflacja w Polsce spadła o 10 punktów procentowych, a produkcja przemysłowa wzrosła o prawie 11 proc. Problem inflacji i wzrostu nadal jest jednak zagonem, na którym harczą polityczne zajęcia.

Zadaję sobie natomiast inne pytanie, czy przypadkiem nie nastąpiło już pewne przegrzanie koniunktury? Gdybyśmy sprowadzili inflację do poziomu 17 proc, na pewno nie uzyskalibyśmy 6-proc. wzrostu PKB, ciągniętego

Jestem z wojskiem, ale...

przez ponad 30-proc. wzrost eksportu. Mniejsze byłyby rezerwy walutowe, bezrobocie większe. Przyzwoliliśmy na politykę utrzymania aż takiej dynamiki gospodarczej, wywoływanej głównie eksportem oraz inwestycjami, godząc się jednocześnie na nieco wyższą inflację.

Mimo że bank centralny wskazuje na pozamonetarne przyczyny inflacji, daje się zauważyć pewne złagodzenie sporu pomiędzy obiema stronami Świętokrzyskiej. Jakie są szanse lepszego porozumienia w kształtowaniu polityki finansowej państwa?

Bank centralny powinien prowadzić zdecydowanie bardziej twardą politykę antyinflacyjną, dążyć nie do 17, ale np. 12-proc. inflacji i zaproponować odpowiednie instrumenty zbitcia jej do tego poziomu. Oczekiwałbym więc od NBP klarownej polityki pieniężnej w celu redukcji inflacji. Poparłbym taką politykę. (...)

Jestem z wojskiem, ale...

*W rozmowie z Antonim Witkowskim
i Ryszardem Choroszym;
„Polska Zbrojna” z 17-19 listopada 1995 r.*

Czy pan premier utożsamia się z *Załoženiami polskiej polityki bezpieczeństwa*, a zwłaszcza z zapisem, że Polsce potrzebna jest armia, która rozstrzygnie ewentualne konflikty lokalne?

(...) Tak, utożsamiam się z tymi *Załoženiami*. Jeśli jednak tak sformułowane pytanie ma być pretekstem do tego, aby wprowadzić tylnymi drzwiami sprawy finansowe, argumentując, że armia ma za mało pieniędzy i nie jest zdolna do samodzielnego rozstrzygania lokalnych konfliktów, to muszę na samym początku zastrzec, że nie godzę się na taki sposób prowadzenia rozmowy. Gdybym się bowiem dowiedział, jako minister finansów, a także obywatel i podatnik, że za otrzymane pieniądze nasze wojsko nie jest w stanie samodzielnie obronić Ojczyzny, to doszedłbym do wniosku, że podatnicy marnują pieniądze.

Armia musi się zreformować - to nie ulega wątpliwości. W kształcie lat 80. nie mogłaby ona wykonywać zadań wynikających z narodowej strategii obronnej. Jednakże na tę reformę nikt i nigdy nie przydzielił dodatkowych środków. Pomoc na restrukturyzację otrzymały m.in. górnictwo czy przemysł stoczniowy. Czy sądzi pan premier, że wojsko

powinno stać być na dokonanie reform środkami przeznaczonymi na jego normalne funkcjonowanie?

Tak, armię musi być na to stać. W tym roku, po kilku latach gwałtownego obniżania realnych nakładów na wojsko oraz na restrukturyzację przemysłu zbrojeniowego, spadek wyniesie tylko 1 proc, a w 1996 r. przewiduję wzrost realny wydatków na obronę narodową o 4,3 proc. To jest pozytywna odpowiedź odnośnie do sytuacji finansowej wojska. A jeśli jeszcze uwzględnić m.in. świadczenia emerytalno-rentowe, to budżet MON wzrośnie o 6,1 proc. (...)

Zalóżmy, że może pan premier jednoosobowo decydować o przyznaniu tylko jednemu resortowi kilku bilionów starych zł dodatkowo wygospodarowanych środków. To jakie byłyby pańskie preferencje?

Z pewnością dałbym te pieniądze oświacie. Sądzę, że dziś bardziej należy inwestować w porządną edukację młodego pokolenia niż w armię. A że się to nie podoba wojsku, to ja rozumiem, ale są to bardzo trudne wybory: politycy mają wyjątkową zdolność do Majstrowania, obiecywania i unikania sedna sprawy. Wiem, że to co mówię, nie jest popularne, ale trzeba mówić prawdę. (...)

Musimy sobie powiedzieć szczerze, panie premierze, iż po informacji zawierającej pańską wypowiedź, że rząd dąży do podwyższenia gotowości bojowej i będą decyzje zwiększające nakłady na obronność - urywały się redakcyjne telefony. Ludzie byli przerażeni, że ma się to odbyć kosztem podatników...

Zawsze nakłady na wojsko będą odbywać się kosztem podatników. Ministerstwo Finansów pieniędzy nie drukuje. Będę to powtarzał.

Czy zna pan premier jakąś armię na świecie, która nie utrzymuje się z pieniędzy podatników?

Ciągle słyszę, że rząd nie chce dać. A ja mówię, rząd nic nie daje. Mamy tylko pieniądze podatników i decyzjami parlamentarnymi je rozdajemy. Oczekują tego także służba zdrowia, oświata czy kultura. Są to nasze wspólne pieniądze. Chcąc utrzymać priorytet dla wojska, należałoby komuś zabrać albo podnieść podatki lub dodrukować pieniędzy. Proszę mi wskazać takiego polityka, który to powie, zwłaszcza przed wyborami. Byłoby to jednak uczciwe postawienie sprawy. (...)

Dziś wiemy, że latał pan samolotem, ale czy służył pan w ogóle w wojsku.

Niewielu zapewne żołnierzy zawodowych latało MiG-iem 29, jak ja. Po to tylko, aby podkreślić, że ja jestem z wojskiem. Na wojnie nie byłem - Mam jednak takie odczucia, jakbym walczył na froncie. Tylko, że nie są to

okopy pod Verdim. Nie strzelam na oślep i czekam, kiedy to się skończy, bo nasze natarcie w gospodarce wciąż trwa i idziemy do przodu.

Panie premierze, za taką deklaracją dobrej woli powinny pójść odpowiednie środki na budowę lepszej armii. Zapewne pan wie, że w ostatnich latach wojsko zostało zredukowane o połowę, a budżet MON o 60 proc.

Przecież nie będę bez przerwy mówił, że nie ma pieniędzy. Jako strażnik grosza publicznego domagam się tylko, aby te pieniądze były dobrze wydawane. Zapewne państwo nie będą chcieli poruszać tego tematu, ale znam przykłady nagannego wydawania publicznych środków, także w wojsku. Zatem nikt nie jest bez winy.

Wojsko płaci VAT, podatek od nieruchomości, od użytkowania gruntów, środków transportu, składki ubezpieczeniowe oraz podatek dochodowy od osób fizycznych, a także odszkodowania na rzecz osób represjonowanych. Do tego dochodzą emerytury i renty. W sumie łączne podatki i emerytury stanowią ok. 28 proc. budżetu MON. Czy nie jest to przypadkiem jakieś nieporozumienie? Wszak armia jest traktowana jak przedsiębiorstwo produkcyjne.

Pytanie jest błędnie postawione, ponieważ ostatnio parlament utrzymał zerową stawkę VAT na zakup wojsko krajowego sprzętu i uzbrojenia do 1999 r. Fakt drugi: odszkodowania na rzecz osób represjonowanych nie obciążają budżetu MON, podobnie jak i Ministerstwa Sprawiedliwości. Wydatki na ten cel pochodzą z rezerw celowych. I wreszcie trzecie uściślenie: żołnierze są takimi samymi obywatelami Rzeczypospolitej jak inni. Dlatego mają taki sam jak wszyscy obowiązek płacenia podatków od dochodów osobistych. Gdy natomiast mówimy o emeryturach, pytam: dlaczego dodatkowe pieniądze poszły np. na wyższą od cywilnej waloryzację świadczeń służb mundurowych, a nie na zakup czołgów i samolotów? Jako minister finansów na to bym się zgodził. Ale jeśli mam być wrogiem publicznym wszystkich emerytów, to ja na takie rozwiązanie nie idę. Przyznam, że nowe zasady waloryzacji świadczeń powinny objąć również służby mundurowe. To, co jest dzisiaj, wywołuje negatywną opinię cywilnych środowisk emerytalnych wokół naszego wojska. Dlaczego podaję ten przykład? Gdyby obniżono realny przyrost świadczeń z 2,5 do 1,5 proc, wówczas oszczędności wyniosłyby ok. 5 bln starych zł. Te dodatkowe pieniądze można byłoby przeznaczyć na obronę narodową lub na inne niezbędne wydatki. Dlaczego tego nie zrobiono? Bo nikt nie chce tego słuchać. Nie przeciwstawiam bynajmniej wojska emerytom. Wskazuję tylko konkurencyjne cele, które muszą być finansowane z tych samych pieniędzy.

Drugi rok trudnych rozmów

Dlatego właściwy lobbing w parlamencie na rzecz finansowania wojska nie polega na tym, że się uchwała to, co nic nie kosztuje (np. 3 proc. udziału w PKB), ale wskazuje także, komu należałoby odebrać część tych środków. **Wróćmy jednak do pytania zasadniczego: czy malejący udział w redystrybucji wydatków budżetowych w PKB nie stanowi zagrożenia dla zakładanego przez rząd wzrostu nakładów rzeczowych o 3 proc. powyżej inflacji.**

Nie widzę takiego zagrożenia. *Strategia dla Polski* przewiduje stopniowe zmniejszanie udziału wydatków budżetowych w PKB, aby odsunąć sektor produkcyjny od budżetu. Są państwa, które w ogóle nie zajmują się kopalniami, hutami, stoczniami, restrukturyzacją wsi czy banków. Ale są one ustabilizowane, rozwinięte, o gospodarce w pełni sprywatyzowanej. Musimy ponieść jeszcze pewne koszty, w tym także koszty pokoju społecznego. Może już nadchodzi czas na restrukturyzację sił zbrojnych i podniesienie na wyższy poziom, także techniczny, naszej obrony narodowej. Warunkiem znacznego zwiększenia nakładów rzeczowych na wojsko będzie jednak utrzymanie wysokiego wzrostu gospodarczego, co jest jednym z głównych priorytetów budżetu państwa na 1996 r. (...)

Codziennie rozwiązują kwadraturę koła

*W rozmowie z Bożena Wiktorowską;
„Express Wieczorny” z 23 listopada 1995 r.*

(...) Dziura w budżecie z pewnością byłaby mniejsza, gdyby opodatkowano szarą strefę.

Szara strefa to wdzięczny temat dla dziennikarzy. To jest modne. Polityka podatkowa państwa jest prowadzona w taki sposób, by szara strefa stała się w końcu legalną działalnością gospodarczą. Rzecz w tym, żeby płacenie podatków było tańsze niż ryzyko oszustwa. Naszym sojusznikiem są uczciwe firmy, które płacą podatki.

To znaczy mały donosik?

Tego nie powiedziałem.

Na co zabraknie pieniędzy w budżecie?

Ludzie muszą zrozumieć, że można wydać tylko tyle pieniędzy, ile trafia do wspólnej kasy. Jeśli ktoś twierdzi, że brakuje na oświatę czy służbę zdrowia, to powinien od razu dodać, że należy podnieść podatki.

Jednym z celów przyszłorocznego budżetu jest „przełamanie kryzysu w budownictwie mieszkaniowym”. Brzmi to mgliście. Tym bardziej że na program budowy tanich czynszówek przeznaczono 50 mln zł. To wystarczy na wybudowanie 2500 mieszkań.

Państwo powinno wspierać rozwój budownictwa mieszkaniowego. I to robi. Łącznie nakłady z budżetu na „mieszkaniówkę” przekraczają 40 bln starych zł. Składają się na to dodatki mieszkaniowe, dopłaty do kredytów i kas mieszkaniowych, taniego budownictwa czynszowego. Pozostaje jednak pytanie, czy ludzie, którzy mają mieszkania, zechcą płacić wyższe podatki, tylko dlatego, że inni ich nie mają.

Czy podobnie zatroszczy się pan o podatników, gdy zapytają, dlaczego budżet finansuje Bank Gospodarki Żywnościowej?

Restrukturyzacja BGŻ kosztuje podatnika o połowę mniej niż upadek tego banku. Przypominam, że wszystkie depozyty ludzi, znajdujące się w tym banku, są ustawowo objęte gwarancjami skarbu państwa. Koszty restrukturyzacji (a nie dopłat) są o 50 procent niższe niż ewentualne koszty wynikające z upadłości BGŻ. Po raz kolejny powtarzam, że to, co robimy, jest w interesie podatnika.

Czy także przez wzgląd na dobro podatnika rząd chce zaoszczędzić w przyszłym roku 33 bln st. zł na emerytach. Mam na myśli nowe zasady waloryzacji świadczeń.

Co piąta złotówka z naszych podatków idzie na wypłaty rent i emerytur. Gdybyśmy nie zahamowali rosnących dopłat z budżetu do świadczeń emerytalnych, to podatki musiałyby wzrosnąć do 50 proc. Dlatego reforma systemu emerytalnego jest dziś najważniejsza. Bez niej wszystko się zawali.

Czyli - należy wierzyć w dobre intencje ministra finansów?

Renty i emerytury są wypłacane z pieniędzy pochodzących z bieżących składek na ZUS. A jest to 45 proc. od wynagrodzenia każdego pracownika. Pracodawcy krzyczą, że to już za dużo. A z punktu widzenia budżetu - za mało. Jednak podniesienie składki przyniosłoby spadek przedsiębiorczości. Mogłoby zacząć ubywać miejsc pracy. Czy, zamiast zmieniać zasady waloryzacji, mamy np. zamrozić renty i emerytury? Nie, bo to gorsze dla emerytów. Czy jest jakieś wyjście? Jest, właśnie je proponujemy. Kilka razy dziennie rozwiązuję kwadraturę koła. I gospodarka nie tylko działa, ale także się rozwija. Nie tylko najlepiej w Europie, ale także w świecie. (...)

Gwarantuję, że państwo nie pójdzie pod młotek

W rozmowie z Teresą Hurkałą
i Saturninem Sobolem;
„Zielony Sztandar” z 3 grudnia 1995 r.

Panie Profesorze, Ministrze, Premierze... Czy wymieniliśmy wszystkie pełnione przez Pana role?

Oczywiście, że nie. Jestem jeszcze, z urzędu, przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, publicystą - piszę stały felieton ekonomiczny w „Polityce” pod tytułem *Odpowiedzi i pytania*, wreszcie mężem i ojcem dwóch nastoletnich córek.

Jak Pan godzi te liczne obowiązki, jak znajduje na wszystko czas?

Pracuję jak porządny rolnik, po 16-18 godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Wstaję skoro świt, „z kurami”, a zajęć mam do późnej nocy. Gdy ktoś mnie pyta, skąd biorę na to siły, odpowiadam bardzo prosto: z przekonania, że to, co robię, jest słuszne, służy dobrej sprawie. A ja mniej więcej wiem, co i jak robić; znalazło to wyraz w *Strategii dla Polski*. Dziś, kiedy można już formułować oceny skuteczności tego programu, widać gołym okiem - przyznają to nawet ludzie niechętni programowi - że on zupełnie nieźle idzie. Przynosi oczekiwane rezultaty, mimo trudności, jakie piętrzą się w jego realizacji. Okazuje się, że jest ich więcej, niż można było się domyślać wcześniej; zatem żeby osiągnąć zamierzone cele - trzeba więcej pracować, mocniej angażować się w sensie intelektualnym, energetycznym, czasowym. A w żadnym razie nie spuszczać z tonu czy ograniczać celów.

Gdyby można to robić inaczej - w sposób lepiej zorganizowany, przewyciężając opory biurokratyczne i polityczne - to makroekonomiczne rezultaty w postaci wzrostu gospodarczego czy postępów w kwestii stabilizacji byłyby jeszcze większe. Czasem powtarzam, że mnie nie jest potrzebna opozycja, zupełnie wystarcza mi własna koalicja. Duża część trudności wynika ze złej organizacji pracy i zarządzania. Na różnych poziomach i szczeblach, także najwyższych. Dlatego jestem gorącym zwolennikiem reformy Centrum, która - mam taką nadzieję - uzyska także mocne poparcie PSL.

Gwarantuję, że państwo nie pójdzie pod rntotek

Decyduje Pan o naszych wspólnych pieniądzach, obraca państwowymi milionami i miliardami. A jak wygląda to w skali prywatnej?

Na dobrą sprawę ostatnio nie obracam własnymi pieniędzmi. Z tytułu urzędowych funkcji biorę tylko jedną pensję - wicepremiera.

Zresztą, trudno powiedzieć, że biorę. Ja jej nie oglądam, bo sekretarka w całości przekazuje pobory mojej żonie, Alicji. To ona jest naszym domowym ministrem finansów. Dobrym, bo wystarcza nam na życie. Bogactwa nie mamy, ale nie jest ono naszym celem czy marzeniem. Mamy domek rekreacyjny i kawałek lasu wokół niego w Wildze. Stać mnie na to - widząc w tym głębszy sens - aby honoraria otrzymane za książki przeznaczać na różne społeczne cele. Na przykład okrągłą sumkę przekazałem „Poznańskim Słowikom”, coś tam przeznaczyłem na Królewskie Łazienki. (...)

Mówi Pan o zmniejszeniu deficytu i długu publicznego. Ale przecież i budżet '96 nie domyka się. Dziura ma wynieść 9,5 miliarda złotych. A zadłużenie wewnętrzne państwa jest wysokie. Czy ciągle rząd musi wydawać więcej niż my? Czy nasze państwo jest jeszcze wypłacalne?

Deficyt utrzymuje się poniżej 3 proc. produktu krajowego brutto. To nie jest wielkość niebezpieczna. Ale faktem jest, że każdego roku wydatki budżetu są większe niż dochody, co powoduje narastanie wewnętrznego zadłużenia państwa. Gwarantuję, że nasze państwo jest wypłacalne i nie pójdzie pod młotek za długi. (...)

W budżecie na 1996 r. przeznaczono na rolnictwo i gospodarkę żywnościową 2889 mld złotych. Co to oznacza dla przeciętnego rolnika? Czy w jakiś sposób z tego skorzysta?

Znaczną część pieniędzy - 12,2 proc. ponad inflację więcej niż w zeszłym roku - postanowiliśmy przekazać wsi i rolnictwu. One idą na różne cele. O tym, gdzie przede wszystkim, decyduje wicepremier Roman Jagieliński. Na pewno będą tacy rolnicy, takie regiony czy zakresy potrzeb, gdzie odczuje się dopływ środków. Ale być może będzie i tak, że ktoś przeżyje 1996 r. bez świadomości, że jest beneficjentem budżetu państwa. Znaczne sumy zostaną wyasygnowane na poprawę infrastruktury wiejskiej, np. na drogi we wschodniej Polsce. Są przy tym pewne przedsięwzięcia wyraźnie adresowane. Często muszę tłumaczyć innym, dlaczego wieś i rolnictwo dostają więcej. Argumenty są oczywiste. Chodzi nam o zwiększenie efektywności pracy w rolnictwie i poprawy trudnych warunków życia. Tutaj zaległości są nie tylko z ostatnich lat, ale z historycznie dłuższego czasu.

Eksperti Unii Europejskiej twierdzą, że największym problemem związanym z integracją będzie dostosowanie naszego rolnictwa. Jak pan sądzi,

czego Zachód bardziej się obawia - zacofania naszej wsi czy też, że nasze produkty są konkurencyjne, czego dowodem jest chociażby handel wzdłuż Odry.

Uważam, że największym problemem dostosowania się do Unii Europejskiej nie jest, jak się powszechnie uważa, rolnictwo, lecz system ubezpieczeń społecznych. Jeżeli tego nie rozwiążemy, to naprawdę słabe są szanse, by Polska weszła do Unii w roku 2000. Bynajmniej nie chcę tu umniejszać znaczenia i trudności, wynikających z potrzeby restrukturyzacji rolnictwa. Na samym początku, gdy przystąpiłem do pisania *Strategii dla Polski*, sformułowałem program węzłowy, jeden z najważniejszych - wielofunkcyjny rozwój obszarów wiejskich.

Co to oznacza?

To, że ludność, która żyje na wsi, a jest to przecież 1/3 naszego narodu (w rolnictwie z kolei pracuje 1/4 aktywnych zawodowo osób), musi mieć swoją przyszłość tam, gdzie teraz mieszka. W innym bowiem przypadku musielibyśmy zaakceptować politycznie nieodpowiedzialną, bezsensowną społecznie koncepcję, pozwalającą na masową migrację ludności ze wsi do miast. A przecież w tych miastach mamy wysokie bezrobocie, niedostatek mieszkań. Wobec tego dostosowanie naszej wsi do standardów Unii musi polegać na tworzeniu alternatywnych źródeł zarobkowania na obszarach wiejskich. Dopiero wtedy łatwiej będzie dyskutować, co zrobić z rolnictwem jako takim.

W innym przypadku nie wyjdziemy z zakłętego kręgu niemożności. Zwłaszcza przy wspólnej polityce rolnej Unii Europejskiej, która jest trudna do sfinansowania w 15 państwach i w żaden sposób nie będzie możliwa do sfinansowania, gdyby do Unii dołączyła Polska - taka jak dziś - z 40 mln ludzi, z których co czwarty jest rolnikiem. Taka Polska w Unii Europejskiej nie znajdzie miejsca. Dlatego wszyscy, którzy mówią o integracji europejskiej, muszą mieć odwagę, by jasno to powiedzieć i bronić rosnących nakładów na rolnictwo, jego restrukturyzację i wielofunkcyjny rozwój obszarów wiejskich.

Gorzej już było

W rozmowie z Adamem Budzyńskim

i K.T. Toeplitzem;

„Wiadomości Kulturalne” z 3 grudnia 1995 r.

Niedawno z pana inicjatywy powstała Bankowa Fundacja Kultury. Skąd będzie ona czerpała pieniądze i na czym będzie polegała jej działalność?

Zawsze mówię, że trzeba mieć wizję, a nie iluzję, i dlatego chciałbym, żeby Bankową Fundację Kultury widzieć we właściwych proporcjach. Chodzi tutaj o uruchomienie kolejnej inicjatywy, która instytucjonalnie wzbogacałaby zasilanie kultury ze źródeł pozabudżetowych, choć w pewnym związku z budżetem. Wydaje się bowiem, że w tej fazie transformacji, gdy już chyba nikt nie ma wątpliwości, że zdążamy do gospodarki rynkowej, trzeba zdobywać środki, w tym przypadku służące kulturze, bez oglądania się na budżet państwa, czyli kieszeń podatnika. Chodzenie z kapeluszem na rzecz kultury jest czymś innym niż zbieranie zrzutki na mniej zbożne cele. Ale jednocześnie musi istnieć zainteresowanie materialne tych, którzy do tego kapelusza mają coś wrzucić, w tym wypadku są to banki. Gdzie jak gdzie, ale w bankach to jeszcze pieniądze są. Założyliśmy więc BFK i chcielibyśmy, aby przystąpiło do niej więcej niż dotychczas banków, także zagranicznych. W ich przypadku być może będziemy się uciekać do metody *moral persuasion*; jeśli ktoś chce penetrować polski rynek bankowy i kapitałowy w warunkach ostrej konkurencji, to przestrzegając prawa i traktując wszystkich tak samo, być może będziemy bardziej sprzyjać tym bankom, które będą sprzyjać także pozafinansowym przedsięwzięciom w Polsce. Jeśli chodzi o stronę fiskalną, to na mój wniosek parlament wprowadził ustawę, umożliwiającą odpisywanie od podatku sum przeznaczonych m.in. na przedsięwzięcia kulturalne do wysokości 15 proc. podstawy opodatkowania. (...)

Jakie warunki powinno spełniać przedsięwzięcie kulturalne, by mogło otrzymać wsparcie finansowe od BFK?

To jeszcze nie zostało ustalone. Trwa procedura rejestracyjna tej fundacji, a teraz chcielibyśmy powołać radę fundacji, radę programową oraz komitet finansowy, w których znajdują się ludzie kultury, biznesu i bankowcy. Rzecz cała nie może się ograniczyć do wymieniania uścisków i trącania się kieliszkami na coraz liczniejszych rautach w salonach warszawki, krakówka, a także innych miast. Chciałbym poprzez tę instytucję tworzyć pewien mechanizm gromadzenia i rozdzielania środków. Wkrótce zbierzemy się

i będziemy się zastanawiać, jak to robić, jak rozkręcać ten interes; być może BFK będzie prowadzić działalność gospodarczą.

Chcielibyśmy teraz zapytać, co pan sądzi o poglądzie wielu ludzi kultury, którzy uważają, że jej kłopoty polegają nie tyle na braku pieniędzy, co na pewnych mechanizmach budżetowych, które często krępują działalność wielu instytucji artystycznych lub hamują racjonalną decyzję o ich likwidacji? Wiadomo na przykład, że koszt likwidacji takiej instytucji jest większy niż koszt jej utrzymywania. Wydaje się zatem, że system finansowania jest często sprzeczny z logiką, która nakazuje likwidację placówki. Wśród wojewodów istnieje obawa, że kiedy się im mówi, żeby operę i operetkę przekształcili w jedną instytucję, to dostaną jedynie połowę sumy, jaką otrzymywali na te dwie instytucje.

Są określone środki, które społeczeństwo poprzez system finansów publicznych jest skłonne łożyć na kulturę. Środki te zawsze są za małe z punktu widzenia potrzeb, ale jest ważne, że tych środków przybywa. Na tym szczeblu, na którym ja działałam jako wicepremier i minister finansów, widzę - mówiąc językiem ekonomistów - jeden wielki agregat: nazywa się on kulturą. Dzisiaj coraz więcej instytucji finansuje się ze środków samorządowych czy lokalnych. Kiedy urzędnicy mówią, że brakuje im pieniędzy, to uważają, że jest to wywieranie presji na zwiększenie środków budżetowych na kulturę. Jeśli zamiast dwóch rachitycznych instytucji ma powstać jedna dobrze działająca, to ja takiemu rozwiązaniu jak najbardziej sprzyjam i nie jestem za tym, żeby ograniczać czy komasować środki. Jestem za takimi rozwiązaniami, które - nawet poprzez zwiększone finansowanie - integrują jakieś elementy sceny kulturalnej w tym czy innym mieście lub województwie. Ale nie mogę wykluczyć, że istnieją takie patologiczne przypadki, kiedy utrzymuje się dwie instytucje po to, by otrzymać większe dotacje, chociaż na dobrą sprawę stać nas na jedną.

Kiedy zostałam wicepremierem i ministrem finansów, nie działał żaden mechanizm zachęcający do zmniejszania zatrudnienia i oszczędzania, bo zmniejszenie liczby etatów wiązało się ze zmniejszeniem środków. Wprowadziłam taki mechanizm, że jeśli się zmniejszy zatrudnienie, to można zwiększyć wynagrodzenie. Istnieje dziś bodziec do tego, żeby zamiast trzymać na etatach np. dwudziestu lichych aktorów, zatrudnić dziesięciu, chociaż ten przykład nie jest może najlepszy, bo liczebność obsady jest funkcją tego, ilu aktorów musi wystąpić na scenie. Ale taki mechanizm został stworzony, przy czym nie jest to cecha specyficzna placówek kulturalnych.

Ministerstwo kultury twierdzi, że sprawy kultury właściwie rozstrzygają się w ministerstwie finansów. W każdym razie są dziedziny kultury ściśle związane z polityką budżetową.

Mam wiele szacunku i sympatii dla pana Dejmkę, ale zawsze będę twierdził, że programy - czy to w dziedzinie kultury, czy nauki, czy obronności kraju - należy dostosować do możliwości finansowania, a nie odwrotnie, bo inaczej rodzi się inflacja. Losy polskiej kultury decydują się przede wszystkim w środowiskach twórczych. Wiem, że łatwiej dbać o kulturę, gdy jest więcej pieniędzy, ale niekoniecznie muszą to być pieniądze z budżetu państwa. (...)

Ciągle mówimy przede wszystkim o finansowaniu placówek, jednak czy nie sądzi pan premier, że bardziej nowoczesnym rozwiązaniem jest finansowanie projektów czy konkretnych realizacji? Takie rozwiązanie zmusza do tego, by tak dobierać realizację, żeby łatwiej można było zdobyć pozabudżetowe środki.

Zgadzam się z tym poglądem, z tym że trzeba finansować i placówki o dużej randze, i konkretne przedsięwzięcia, i projekty. Trzeba finansować Konkurs Chopinowski i Festiwal Filmowy w Gdańsku, Vratslavię Cantans i ważne premiery teatralne, jak np. Bradeckiego w Krakowie. Istnieje bardzo wiele przedsięwzięć wartościowych i zasługujących na sfinansowanie. Niedawno pani Beata Tyszkiewicz pokazywała mi listę całej serii bardzo ciekawych przedsięwzięć, dotyczących literatury, studiów z historii kultury, wystaw plastycznych, wyjazdów naszych twórców na festiwale zagraniczne. Różnych możliwości jest więc wiele. I z tego, co wiem, nasze ministerstwo kultury działa w tej dziedzinie wielotorowo, wspierając i ważne placówki, i konkretne przedsięwzięcia. Konkurs Chopinowski odbywał się w Filharmonii, ale to było finansowanie imprezy, a nie placówki. Sumując: w budżecie pieniędzy na kulturę jest realnie o 3,7 proc. więcej. Czy jest to dużo, czy mało? W każdym kraju byłoby to wyjątkowo dużo, ale w Polsce, zważywszy drastyczne obcięcie wydatków na kulturę na początku lat 90., jest to wciąż za mało. Jeśli jednak uwzględnić to, czego budżet nie pobierze z powodu uruchomienia innych rozwiązań systemowych - ten przyrost środków jest faktycznie większy. Gdzie one trafią, to kwestia preferencji społecznych co do rozwoju różnych form kultury i ich wspierania przez budżet. Pieniądzy będzie w sumie więcej, ponieważ szybciej rosną środki pochodzące spoza budżetu, to znaczy ze sprzedaży usług kulturalnych, ze sponsoringu, a także ze źródeł na szczeblu lokalnym.

Inwestowanie w przyszłość

*W rozmowie z Anną Leszkowską;
„Nauka i przyszłość” z grudnia 1995 r.*

Panie premierze, podczas ostatniej debaty sejmowej dotyczącej nauki jeden z posłów powiedział, iż na naukę - w zapisie deklaracji - można przeznaczyć równie dobrze 2 jak 3 proc, bo każdą kwotę można w morzu nauki utopić. Czy dałby pan nauce - gdyby to tylko od pana zależało - 3 proc. PKB? Czy preferowałby pan - zgodnie z programem inwestowania w kapitał ludzki - zwiększone nakłady na naukę i szkolnictwo wyższe, czy też może opowiedziałby się pan za budżetem równowagi, gdzie nakłady na kulturę, wojsko, naukę, służbę zdrowia byłyby zbliżone wielkością?

To parlament pochodzący z demokratycznych wyborów decyduje, jakie są proporcje podziału naszego wspólnego dorobku w postaci PKB i tej jego części - ok. 30 proc, która przechodzi przez budżet państwa. Ja mogę mówić o swoich preferencjach jako minister finansów i wicepremier uprawiający politykę makroekonomiczną. Ten sam parlament uchwalił też rezolucję wzywającą rząd, aby zwiększył nakłady na obronę narodową do 3 proc. PKB.

W podziale budżetu muszą tu być zachowane określone proporcje, gdyż niekwestionowane potrzeby zwiększonego finansowania występują tak w odniesieniu do nauki, jak i obronności kraju, choć ja preferuję inwestowanie w kapitał ludzki. Są politycy, którzy mają inne preferencje, co widać np. w propozycji ustawy, jaką przesłał do Sejmu prezydent Wałęsa, a dotyczącej finansowania sił zbrojnych. Gdyby została przyjęta w swej pierwotnej postaci - zaabsorbowałaby w latach 1996-2000 aż 80 proc. przyrostu środków w budżecie. Na razie preferencje wyrażają się tym, że w przyszłym roku zakładamy istotny wzrost nakładów na naukę, większy niż na obronę narodową. Niewielu znam polityków, którzy potrafią na ten temat mówić głośno.

W wywiadzie dla „Przeglądu Technicznego” w tym roku stwierdził pan, iż środowisko naukowe źle interpretuje program inwestowania w kapitał ludzki, uważając, iż pierwszym krokiem w jego realizacji powinno być przeznaczenie znacząco wyższych kwot z budżetu na naukę i edukację. Dalej wyjaśniał pan, że chodzi o to, aby w dłuższym okresie uzyskać korzystne relacje między nakładami na naukę a efektami. Jest to pogląd

niepopularny, skoro nakłady na naukę osiągają ok. 0,5 proc. PKB. Czy naukowcy piszący do pana listy otwarte w tej sprawie nie mają racji, że dotychczasowe nakłady są żenująco niskie?

Nie, nie mają racji, skoro twierdzą, że są one żenujące niskie. Bo jeśli tak jest, to nie wiem, kto ma być zażenowany: może podatnicy mają się w związku z tym bardziej opodatkować, aby zaspokoić oczekiwania środowiska naukowego? Jest to przecież forma nacisku grupowego, która komuś może wydawać się skuteczna, choć ja twierdzę, że od takiej argumentacji środków nie przybywa. Jeśli lobby naukowe chce być skuteczne, to nie powinno wywierać nacisków na zwiększenie nakładów na naukę kosztem nie wiadomo kogo i czego, ale skutecznie przeciwstawić się naciskom innych, konkurencyjnych lobby. Ale to trzeba umieć powiedzieć w **oczy** innym: emerytom, rencistom, pracownikom służby zdrowia, kultury itd.

Natomiast oprócz tego, że to ja czuję się zażenowany postawą swojego środowiska, i to ja muszę się rumienić za powiedzenie, iż w Polsce finansowanie nauki jest na poziomie Trzeciego Świata, istnieje prawda obiektywna: takimi argumentami nie zwiększy się nakładów na naukę. Jeśli mówię robotnikom, że od strajku nie przybywa pieniędzy - że od krzyku nie przybywa środków, to muszę mieć odwagę powiedzieć swoim koleżankom i kolegom profesorom, że od tego typu argumentacji też nie przybędzie środków na naukę. (...) Nie należy zapominać, że naukę finansuje się w różny sposób, nie tylko z budżetu państwa. I trzeba pamiętać, iż przyszłość finansowania polskiej nauki na pewno nie polega na tym, że z roku na rok w takim tempie będą się zwiększać nakłady z budżetu państwa. Bo to jest niemożliwe. Mówię o tym po to, aby sprawę postawić uczciwie, profesjonalnie i odpowiedzialnie. Jeśli środowisko tego nie akceptuje - co mogę na to poradzić?

Naukę na świecie finansuje się w różny sposób. I w tych państwach rozwiniętych, na które na ogół powołują się środowiska naukowe, zdecydowanie większa część środków płynie spoza budżetu państwa, nie bezpośrednio od podatnika. (...) Zwłaszcza, że idziemy w kierunku gospodarki rynkowej - a więc produkt nauki też należy traktować jako towar do sprzedania i jeśli jest dobry, sprzedawać z dużym zyskiem.

W wywiadzie dla „Wiadomości Kulturalnych” powiedział pan, że nakłady na oświatę należy podnosić przez 7-10 lat, a dopiero potem liczyć efekty. Czy to samo może pan powiedzieć o nauce?

Drugi rok trudnych rozmów

Wiadomo, że zwrot nakładów na oświatę odbywa się w długim okresie. W nauce jest pod tym względem różnie - w zależności od tego, o jakich badaniach mówimy. W naukach stosowanych zależność między nakładami a efektami - w postaci poprawy warunków życia, dobrobytu, wzrostu produkcji - można zauważyć szybko. Co innego, kiedy bada się warunki wprowadzenia metody ciągłego odlewania stali w hutach Sendzimira czy Katowice, a co innego, gdy bada się wpływ dziury ozonowej na ocieplenie klimatu. Między tymi badaniami, ich charakterem, nie ma żadnego związku. Tak jak nie ma żadnego związku między wydawaniem miliardów złotych przez KBN na śledzenie wędrówki św. Wojciecha 1000 lat temu, a dobrobytem w przyszłości.

Inwestowanie w kapitał ludzki polega m.in. na tym, że inwestuje się w to, co ma przyszłość, a nie w to, co ma przeszłość. (...) Inwestowanie w kapitał ludzki to nie może być odwrócona kosiarka, która równo daje. Musi być elitarne i selektywne. I środowisko naukowe - poprzez swoje instytucje - alokacji tych środków powinno dokonywać w taki sposób, aby były one kierowane tam, gdzie będą najlepiej wykorzystywane. Bo część z tegorocznych 14,5 bln zł na naukę jest źle wykorzystywana. I ktoś powinien to głośno i szczerze powiedzieć. (...)

Od narzekania pieniędzy nie przybywa

*Rozmowa z Jolantą Bień i Krzysztofem Tylcem;
„Ekoprofit” nr. 1(2), zima 1996 r.*

Jakie środki przeznaczył Pan w tegorocznym budżecie na ochronę środowiska i dlaczego tak mało?

Jest to pytanie z serii obowiązkowych, które zadaje się ministrowi finansów: ile ma i ile da, ale to nie jest, moim zdaniem, dobrze postawione pytanie. W czym tkwi błąd? Otóż w tym, że ja nie rozdzielam żadnych pieniędzy. Budżet zatwierdza parlament i do niego należą decyzje - jak wysokie środki i na jaką działalność zostaną przeznaczone. Pytanie - dlaczego tak mało - uważam za wywieranie presji. Takimi pytaniami niczego się dla ochrony środowiska nie załatwi. Sam zaliczam się do lobbystów ekologii i działam na rzecz ochrony przyrody. Natomiast jeśli ktoś uważa, że od narzekania przybywa pieniędzy, to niech w tym złudnym przekonaniu zostanie. (...)

Wydatki na ochronę środowiska wyniosą w tym roku ogółem 3119,5 mln zł. W tym z budżetu 1169,8 mln zł i 1949,7 mln zł spoza. Jak widać kwoty spoza budżetu są wyższe, i to jest dobrodziejstwo, które stworzyliśmy w ramach finansów publicznych.

Chciałbym, aby w przyszłym roku i w latach następnych środki z budżetu państwa na ochronę przyrody stały się jednym z priorytetów. To wymaga trudnych wyborów. Tymczasem w Polsce wszyscy preferują wszystko. Uprawianie polityki, polegającej na tym, że się woła tylko o swoje, jest konfliktogenne. Trzeba umieć się przeciwstawić innym i udowodnić swoje racje.

Ochrona środowiska jest tak finansowana, że środki budżetowe są bardzo ważnym, ale tylko uzupełnieniem grosza publicznego. Szybciej będą rosły środki spoza budżetu, głównie z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Dlaczego w takim razie rząd akceptuje np. program restrukturyzacji górnictwa, który obniża dla kopalń węgla kamiennego opłaty za korzystanie ze środowiska o 80 proc, umarza odsetki, anuluje zaległe płatności? Przez takie działania zmniejszy się dopływ pieniędzy i dla NFOSiGW, i dla wojewódzkich funduszy ochrony środowiska. Czyli będzie gorzej, a Pan twierdzi, że lepiej...

Rząd nie przyjął jeszcze programu restrukturyzacji górnictwa; zarzut w pytaniu jest bezprzedmiotowy. Co do egzekwowania zaległych opłat - to jest to problem regionalny czy nawet lokalny. Kopalniom i gminom powinno zależeć na tym, żeby się dogadywać i regulować należności w sposób, który uwzględniać będzie finansowe możliwości kopalń. To, o czym mówimy, jest klasycznym konfliktem interesów między restrukturyzacją górnictwa a ochroną środowiska. Albo chce się mieć kopalnie, albo bezrobocie. Albo chce się mieć węgiel, albo czyste środowisko. Powtarzam: nie jest to problem rządu ani centralnej polityki, ale problem regionalny i nie można dopuścić do jego upolitycznienia. (...)

Staramy się pozyskiwać dla naszej gospodarki kapitał zagraniczny. Czy nie można spowodować, by w większym stopniu służył on ochronie środowiska, a nie był traktowany wyłącznie jako kapitał inwestycyjny?

Nasze standardy ekologiczne są bardzo rygorystyczne. Kapitał zagraniczny niesie ze sobą zazwyczaj postęp techniczny i technologiczny, lepszy management, poprawę konkurencyjności. Inwestycje na ochronę środowiska są bardzo opłacalne, podnoszą koniunkturę gospodarczą. Wyraźnie widzę, czym jest u nas zainteresowany np. kapitał amerykański: nie tylko

Drugi rok trudnych rozmów

takimi rodzynkami, jak telekomunikacja, ale też energetyką i właśnie ochroną środowiska. Amerykanie są w stanie dostarczać praktycznie wszystko i widzą, że w takim kraju, jak Polska, jest do zrobienia wielki interes. Są zainteresowani energetyką, która będzie mniej trująca dla środowiska. I jeśli nawet nie będą to od razu alternatywne źródła energii, to będą z pewnością alternatywne technologie.

Pewien postęp już się dokonał. Stan naszego środowiska jest lepszy niż kilka lat temu. Może jeszcze nie wszędzie i nie w sposób w pełni zadowalający - ale jest lepiej.

W dużej mierze spowodowane to jednak zostało załamaniem się gospodarki...

Początkowo tak. Był to efekt załamania gospodarczego w wyniku tzw. szokowej terapii. Ale lata 1994-95 pokazały dalszą poprawę standardów środowiska, choć mieliśmy silny wzrost gospodarczy, który bardzo mocno uwzględniał elementy ochrony środowiska także poprzez rozwiązania, jakie wprowadziliśmy od strony finansowej. Mówię tu o pewnych udogodnieniach podatkowych w postaci rozwiązań parabudżetowych. Dzięki temu problemy ochrony środowiska mają dużą siłę przebicia. Dzisiaj sprawa polega nie tylko na tym, skąd wziąć więcej środków na ochronę środowiska, ale jak optymalizować ich wykorzystanie. (...)

Przejdźmy do komunikacji. Jako lobbysta ekologii jest Pan za preferowaniem budowy autostrad czy modernizacją kolei i żeglugi śródlądowej?

Jestem zwolennikiem autostrad. Uważam, że to, w jaki sposób prowadzi się w pewnych środowiskach dyskusje na ten temat, świadczy o dbaniu o interesy lobby kolejowego i zaśłanianiu się przy tym troską o środowisko. To nie jest w porządku. W wielu krajach autostrady mają wysoki standard, jeżeli chodzi właśnie o ochronę środowiska. Absolutnie pójdziemy w tym kierunku.

Program budowy autostrad jest określony na kilkanaście lat, choć budować je będziemy pewnie przez kilkadziesiąt. Chodzi o to, by powstała ich cała sieć. To będzie odciążenie transportu kolejowego i zarazem konkurencja. I o to też chodzi. Jeżeli zaś okaże się, że część towarów może być przyjeta na pokłady barek - to też pójdziemy w tym kierunku.

Trzeba rozumieć lęki ludzi przed utratą pracy, ale nie można używać pseudoargumentów, wprowadzając przy okazji opinię publiczną w błąd, że dofinansowywanie kolei jest konieczne, bo inaczej autostrady zatrują środowisko. Nie zatrują, bo będą po nich jeździły samochody spalające mniej paliwa. Paliwo też będzie bardziej ekologiczne. Przeprowadzamy

Od narzekania pieniędzy nie przybywa

restrukturyzację sektora paliwowego, dopuszczając kapitał zagraniczny. Nie po to, aby rekinom dać zarobić w Polsce, lecz właśnie ze względu na poprawę jakości paliw silnikowych i ograniczenie negatywnego wpływu transportu samochodowego na środowisko. (...)

Szczerze mówię, choć nie widzę wielu sojuszników takiego rozumowania, że za energię, która jest wytwarzana na Śląsku, poza nim powinno się płacić drożej. I to też próbuje się upolitycznić. Jak to - pytają np. na Suwalszczyźnie - dlaczego my mamy płacić więcej; czy to kolejne preferencje dla Śląska? Nie - odpowiadam - ale z kolei na Śląsku więcej się płaci za zdrową, ekologiczną żywność. Na Mazurach zaś żywność jest lepsza i tańsza - bo środowisko jest lepsze. Czyli: jedni mają zdrowe powietrze, ale za to droższą energię, a drudzy tańszą energię, ale droższą żywność. Jeśli na Śląsku energię się wytwarza, to i koszty są mniejsze. Więc i ta energia musi mniej kosztować niż np. w województwie szczecińskim czy przemyskim. Dywersyfikacja cen energii z punktu widzenia kosztów dystrybucji jest rozwiązaniem nie tylko racjonalizującym rachunek ekologiczny, ale na długiej fali jest też czynnikiem sprzyjającym ekorozwojowi. Nie trzeba będzie tworzyć fundacji poszanowania energii. Mechanizmy ekonomiczne sprawią, że będzie się ją szanowało. Tak jak szanuje się własne pieniądze i własne otoczenie. (...)

A co do edukacji ekologicznej - podziwiam, jak robią to Amerykanie, i myślę, powinniśmy się na nich w tym przypadku wzorować. Potrafili oni poprzez kształtowanie świadomości, opinii publicznej, stworzyć modę, a nawet presję wymuszającą odpowiednie zachowania. Tam jest już wręcz nieprzyzwoitością kupowanie produktów, które na opakowaniu nie mają znaczka świadczącego, że dany towar po wykorzystaniu lub jego opakowanie nadają się do przetworzenia i że nie są szkodliwe dla środowiska. Rola mediów jest tu nie do przecenienia.

Wraz z ministrem Żelichowskim skierowaliśmy do Sejmu ustawę o odpadach, która może ułatwić Polsce przystąpienie do OECD. Ustawa ta, uwzględniając wymogi ekorozwoju, reguluje - między innymi - transfer odpadów szkodliwych przez polskie granice. Jest również w Sejmie dokument nowelizujący ustawę o ochronie środowiska, który także przybliży nas do standardów OECD. Nasza prasa codzienna jest mało zainteresowana tymi sprawami; woli gonić za sensacjami ze sfery polityki niż informować opinię publiczną o rozwiązaniach, jakie przyjął i skierował do Sejmu rząd, by pchnąć ekorozwój we właściwą stronę. Ale na to ja już nic poradzić nie mogę.

Błyszcząca moneta

W rozmowie z *Andrzejem Dryszelem*

i *Robertem Walenciakiem*;

„Przegląd Tygodniowy” z 10 stycznia 1996 r.

(...) Mówił pan, że rok 1996 będzie rokiem wielkich wyzwań gospodarczych. Jakie są najważniejsze z nich?

Moim zdaniem, tę perspektywę czasową trzeba wydłużyć, tak w myśleniu, jak w działaniu. Sprawą bezsprzecznie najważniejszą pozostaje - podobnie jak w latach 1990-95 - podjęcie reformy systemu ubezpieczeń społecznych. Specjalnie wymieniłem wszystkie te lata, bo cynizm i obłuda polityków opozycyjnych, zwłaszcza z obu Unii, budzi moje zdumienie. Choć bowiem nie podjęliśmy jeszcze w dostatecznym stopniu tego dzieła, to jednak rządy obecnej koalicji już coś w tym celu uczyniły. Rządy tamtych koalicji potrafiły zaś tylko przelewać z pustego w próżne, a obecnie krytykują, nie mając lepszych propozycji w zanadru. Warto przypomnieć, że fatalną indeksację płacową rent i emerytur wprowadzono przecież w czasie tzw. reform Balcerowicza, podobnie jak sposób finansowania Kasy Rolniczych Ubezpieczeń Społecznych, będący ogromnym obciążeniem dla budżetu.

Gdy dziś widzę próby zawiązywania pakciku politycznego przez ludzi takich, jak z jednej strony pan Syryjczyk, były minister przemysłu, forsujący oryginalną tezę, że najlepszą polityką przemysłową jest brak polityki; zaś z drugiej poseł KPN pan Król, to mówię - niech nas Bóg i demokracja bronią przed takimi sojuszami. Może się z nich urodzić to samo, co ze skrzyżowania osła z koniem - czyli bezpłodny muł. Nie jest prawdą, iż opozycji zależy na wsparciu działań prowadzących do reformy ubezpieczeń społecznych. Gdyby jej na tym zależało, to poszukiwałaby szerszego kompromisu, tym bardziej że wielokrotnie wychodziłem z takimi ideami, ale blokował je były prezydent, nie było też dostatecznej determinacji tak po stronie opozycji, jak i koalicji. Jeżeli politycy zasiadający po przeciwnych stronach sali sejmowej nie porozumieją się ze sobą - a doprowadzenie do tego uważam za wielkie wyzwanie dla prezydenta Kwaśniewskiego - to za rok na pytanie o najważniejszy nie rozwiązany problem będę musiał powiedzieć to samo, co dziś.

Ale i w łonie samej koalicji są różnice zdań. Minister Miller ma przecież inną koncepcję reformy ubezpieczeń społecznych niż Pan?

O tak. Zdecydowanie mi bardziej po drodze ze sposobem myślenia niektórych ekonomistów i polityków społecznych zbliżonych do UW i BBWR czy działających poza parlamentem, niż niektórych polityków koalicji PSL-SLD. Zapoczątkowanie reformy ubezpieczeń społecznych musi gwarantować utrzymanie siły nabywczej obecnemu pokoleniu emerytów i rencistów, które jest bardzo liczne. Podkreślam - należy zachować siłę nabywczą ich świadczeń, by mogli godnie i jak najlepiej żyć. Trzeba jednak zdyscyplinować orzecznictwo inwalidzkie. Jest bowiem u nas zbyt wielu inwalidów, zdolnych do pracy, niejednokrotnie aktywnie działających gospodarczo w szarej strefie. Sprawa druga to uwłączające naszym kobietom przechodzenie na emeryturę w wieku średnio 55 lat. Cóż czynimy z tych naszych pań? Skazujemy je na bycie emerytkami przeciętnie jeszcze przez ćwierć wieku. To nie jest chyba szczyt ich życiowych marzeń. Trzeba więc stworzyć warunki, by kobiety chciały i mogły pracować dłużej. Jeśli natomiast wołałyby z pracy zrezygnować wcześniej, to oczywiście tak - ale za odpowiednio niższą emeryturę.

Utrzymanie dotychczasowego poziomu wydatków emerytów wymaga oczywiście zmiany indeksacji świadczeń z płacowej na cenową. Mówię o wydatkach, bo poziom ich życia jest także funkcją nagromadzonych przez lata oszczędności - a znaczna część polskich emerytów ma oszczędności. Reforma musi zaś polegać na stworzeniu nowego systemu dla przyszłych emerytów i rencistów. Najbardziej pożądane byłoby przejście na system funduszy emerytalnych, który tak dobrze funkcjonuje w krajach latyno-amerykańskich. Fundusze te z czasem mogłyby podjąć działalność inwestycyjną, wzmacniając siłę polskiej gospodarki, wypracowując zyski. Na to jednak trzeba mieć pieniądze, zwłaszcza gdy jednocześnie chcemy utrzymać poziom świadczeń dla 9,5 mln emerytów i rencistów (czyli dla co czwartego obywatela).

Czy bieżący rok stwarza warunki polityczne dla podjęcia takich działań?

W jak najmniejszym stopniu. Nie widzę chęci do dogadania się ani w koalicji, ani w opozycji. Więcej tej gotowości jest w koalicji, ale druga strona nie garnie się do współpracy. Gdy zaś wydawało się, że w tak ważnej sprawie jak reforma ubezpieczeń społecznych trzeba jednak będzie się dogadać, to wywołano cały ten koszmarny wokół sprawy obecnego premiera. Na tle naszego bagna politycznego gospodarka wygląda jak błyszcząca moneta, tyle, że bagno ma to do siebie, iż wciąga. Politycznie prowokowane konflikty mogą przesunąć się na płaszczyznę ekonomiczną i na odwrót - problemy ze sfery gospodarczej stawać się będą zarzewiem kolejnych

Drugi rok trudnych rozmów

konfliktów politycznych. Najważniejsze w tym roku jest utrzymanie tempa wzrostu produktu krajowego brutto na poziomie 6 proc. Pewnie mogłoby być i 6,7 proc. jak w 1995 r. W dyskusji nad założeniami makroekonomicznymi były naciski na przyspieszenie, ale im nie uległem. Uważam, że sprzężenie celów, jakie chcemy osiągnąć - wzrostu gospodarczego, zatrudnienia, inwestycji, inflacji, deficytu budżetowego, relacji importu do eksportu - przy wzroście wynoszącym ok. 6 proc. stwarza warunki umacniania ekonomicznej stabilizacji, wzrostu dochodów realnych, rozwoju budownictwa mieszkaniowego.

Za ten spadek tempa wzrostu będą pana krytykować...

Będzie to główna linia zimnego prysznicza w prasie i telewizji. Nieustannie powtarzane będą pytania - dlaczego spada tempo wzrostu? No, chyba że opozycja przejmie władzę, to wtedy te same 6 proc. będzie gigantycznym osiągnięciem. (...)

Czy nie jest pan rozczarowany opiniami Leszka Balcerowicza, który mówi, że rząd zajmuje się głównie psuciem, a nie poprawianiem gospodarki?

Jestem rozczarowany. Zastanawiające, co się dzieje z człowiekiem, kiedy traci zdolność niezależnego myślenia poprzez uwikłanie partyjne. Przywódca opozycyjnej partii nie argumentuje w sposób racjonalny, lecz w sposób polityczny. I dlatego woli nie dostrzegać, że dochód narodowy spadał szybciej, niż teraz rośnie, że życie udowodniło, iż sprawdziła się *Strategia dla Polski*, alternatywna wobec planu Balcerowicza. Tłumaczyć dziś dynamiczny wzrost polskiej gospodarki w 1996 r. decyzjami z końca 1989 r. i przestrzeleniem polityki stabilizacyjnej w roku 1990 można w gazetach, ale nie na dobrych uniwersytetach. Widzę, że polityka wciąga. (...)

Z owoców wzrostu gospodarczego korzystają przede wszystkim wielkie ośrodki. Kiedy stanie się to udziałem i małych miejscowości?

Nie uogólniałbym w ten sposób, bo znam wielkie ośrodki, które twierdzą, że dzieje im się krzywda. My zmniejszamy nie tempo, lecz społeczne koszty reform, zwłaszcza dla bardziej zaniedbanych w przeszłości regionów kraju. To zaś oznacza, że jeśli ktoś korzysta więcej, to ktoś inny korzysta mniej, co wywołuje u niego niezadowolenie. Jest to po prostu walka o podział. Krzyczy się, wykorzystując różne chwytby socjotechniczne i grając znakomicie mediami, że hamujemy reformy. Przykładem niech będzie wzrost zatrudnienia w służbie zdrowia województw łódzkiego, białkopodlaskiego, siedleckiego. Warszawskie było uprzywilejowane wobec nich i chcemy te różnice ograniczać. Tymczasem podnosi się tylko zarzut, że resort finansów zmniejsza zatrudnienie w stołecznej służbie zdrowia. Jaka jest

reakcja warszawskiej opinii publicznej, której mówi się część prawdy? Gwałtowna! Ale ludziom trzeba wyjaśnić, na czym polega konflikt interesów i zdecydować w arbitrażu, czy dać więcej na ochronę zdrowia w tzw. Polsce „B”, czy w Warszawie. (...)

Zagraniczny kapitał ma chyba większe zaufanie do naszej gospodarki niż niektórzy politycy.

Dotychczas zainwestowano w Polsce ok. 7 mld dol., z czego ponad połowę za rządów obecnej koalicji. Trafia do nas i tzw. kapitał portfelowy - np. dolary zamieniane na złotówki w bankach komercyjnych. Banki komercyjne sprzedają dolary do banku centralnego, rośnie więc podaż krajowego pieniądza, co z kolei ciągnie w górę ceny. Można nad tym zapanować grając instrumentami fiskalnymi, np. stopą procentową, czyli ceną polskiego pieniądza w przyszłości, oraz kursem walutowym - ceną pieniądza zagranicznego. Ale ile razy publicznie nad tymi instrumentami dyskutowaliśmy, tyle razy wykorzystywano to politycznie, pisząc o konfliktach osobistych i instytucjonalnych. (...)

Co uważa Pan za najważniejsze zalety tegorocznego budżetu?

Dwie pozycje w budżecie po raz pierwszy realnie i relatywnie spadają - dotacje do nieefektywnego systemu ubezpieczeń społecznych i wydatki na obsługę długu publicznego, a są to najbardziej chore grupy wydatków. Zaletą są też priorytety budżetowe - inwestowanie w kapitał ludzki, naukę i szkolnictwo wyższe, reforma służby zdrowia, kultura, bezpieczeństwo publiczne, rozwój obszarów wiejskich. I na te dziedziny są wyraźnie większe środki niż w poprzednich latach. Moim zdaniem budżet '96 w pełni zasługuje na miano budżetu przełomu i nie sądzę, żeby była to ocena na wyrost. Przeciwnie, jestem pewien, że za rok będzie można to potwierdzić. Myślę że zdrowa gospodarka okaże się najlepszym lekarstwem na chorą politykę.

Bez skoku na kasę

*W rozmowie z Markiem Serafinem;
„Przegląd Sportowy” z 26-28 stycznia 1996 r.*

Czy jest pan przyjacielem sportu?

Oczywiście, że jestem, co nie znaczy, że za chwilę pan, a za panem środowisko sportowe, wykonacie „skok na kasę” - państwową. Na

Drugi rok trudnych rozmów

prywatną bardzo proszę, skaczcie. Po pierwsze bowiem, bacznie strzegę pieniędzy podatnika. I jeśli cokolwiek dla sportu robię, to dlatego, że kultura fizyczna jest ważkim segmentem życia społecznego. A w sensie ekonomicznym bardzo mi do sportu przystaje określenie „montaż finansowy”. Krótko mówiąc - montujemy ekonomiczne podstawy kultury fizycznej, nie angażując w nią ogromnych środków budżetowych, czyli - powtórzę - pieniędzy podatnika.

Tak w ogóle jednak nie ma pan węża w kieszeni, gdy przychodzi do strategicznych decyzji w sprawach finansowania kultury fizycznej?

Nie mam. Zwolniłem od podatku nagrody pieniężne, które dostaną zawodnicy za olimpijskie medale w Atlancie. Jednocześnie stawiam reprezentacji na Atlantę wyższe wymagania niż znakomicie kierujący Urzędem Kultury Fizycznej i Turystyki Stefan Paszczyk. On mówi o 16-18 medalach, ja o 20.

Uprawiał pan kiedykolwiek sport wyczynowo?

Nigdy. Po prostu nie potrafiłbym. Jestem wyczynowcem w innej dziedzinie, ale nie byłbym nim, nie potrafił sprawnie funkcjonować 18 godzin na dobę, gdybym nie pływał, nie grał w tenisa i nie jeździł na nartach. Mam wysportowaną żonę i dwie córki - 11- i 14-letnią - które są zdecydowanie bardziej wysportowane niż ja w ich wieku. Jedna lubi siatkówkę, druga koszykówkę, obie także pływają, grają w tenisa i jeżdżą na nartach. Są moimi tenisowymi sparring-partnerkami w weekendy. Na ogół je ogrywam, choć starsza czasem bywa lepsza. Gdy z obiema kiedyś sromotnie przegram, uznam to za swoje największe sportowe zwycięstwo. (...)

Co jest dla pana głównym argumentem przy wyciąganiu pieniędzy z państwowej kasy na potrzeby sportu?

Nie tylko sportu. Nie oddzielam go od rekreacji i turystyki. Wszystko razem spełnia funkcje wychowawcze, stanowi antidotum dla przestępczości. No i w zdrowym społeczeństwie - zdrowy duch. Są oczywiście konkurencyjne wobec kultury fizycznej potrzeby - opieka zdrowotna i oświata. Jednak to się łączy, bo zdrowi i sprawni nie potrzebują łóżek szpitalnych. Finansowanie sportu - w tym szerokim ujęciu sprawy - nazywam inwestowaniem w kapitał ludzki. Taką inwestycją jest także sprzęt sportowy w wiejskich szkołach. (...)

Proszę rozwinąć sekwencję o pańskim wpłynięciu w Nowy Rok...

Kocham pływać. Kiedyś miałem na to więcej czasu i kondycji. Zdarzyło mi się skoczyć na jakichś wczasach do Morza Czarnego i popłynąć w dal. Zapomniałem o obiedzie, wróciłem po siedmiu godzinach. Tak w ogóle,

myślę, że tylko w wyniku reinkarnacji stałem się człowiekiem, bo w poprzednim wcieleniu musiałem być delfinem. To nie przypuszczenie, lecz pewność. Jestem zresztą spod znaku wodnika, kolekcjonuję figurki delfinów. Do Nowego Roku płynąłem dwie godziny, a następnie - nagi - wytarzałem się w śniegu przy temperaturze minus dziesięć. W międzyczasie była sauna. (...)

Koniecznie łączy pan sport z turystyką. To jednak trochę odległe od siebie dziedziny.

Dla mnie - nie. I bardzo dobrze, że w jednym centralnym urzędzie sport powiązano z turystyką. Niedawno zdecydowaliśmy o powiększeniu obszaru pięciu parków narodowych. Między innymi z myślą o turystyce kwalifikowanej, nie szkodzącej przyrodzie. Z zamiłowania do przyrody bierze się - moim zdaniem - późniejsza chęć do ruchu na świeżym powietrzu. Polska jest pięknym krajem i mogłaby ciągnąć znacznie większe zyski z turystyki, za przykładem wielu innych państw, które w ten sposób rozwijają swoją gospodarkę. Przestał być u nas ekstrawagancją rower terenowy, nazywany - nie wiedzieć czemu - górskim. Ale i w tym względzie jesteśmy trochę do tyłu wobec rozwiniętego Zachodu. Kiedyś na Alasce widziałem rower, który określono jako ATV. Początkowo kojarzyło mi się to z... telewizją, ale gdy popatrzyłem na szerokie jak stół opony, odgadłem angielski skrót: *AU Termin Vehicle*, czyli pojazd na każdy teren. (...)

Obawiam się mówić z panem o ekonomii, na której się nie znam, ale - raz spróbuję. Jak to jest z odpisami podatkowymi w przypadku sponsorowania sportu? Na ogół przedsiębiorcy narzekają, że gra nie warta świeczki? Zyski reklamowe - żadne, a i odpisy marne.

Ludzie albo nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, że mogą odpisać 15 procent od kwoty do opodatkowania, jeśli te pieniądze przeznaczyli na przykład na sport. Naprawdę dużo, i to ja zwiększyłem tę wartość z 10 do 15 procent. Znam wielu polskich biznesmenów, którzy potrafią działać dla sprawy, a nie dla sławy, ale większość nie potrafi wykorzystać instytucji odpisów. Gdzie są ci sponsorzy, którzy chętnie dadzą 15 procent dochodu na klub sportowy? Z kolei przykład siatkarek Augusto Kalisz świadczy, że można - z pożytkiem dla obu stron. Czy wszyscy w Polsce wiedzieliby, że Augusto to prywatna firma produkująca lody, gdyby sponsoring zastąpiła kosztowną i koszmarną reklamą telewizyjną? Oczywiście, możliwość wspomnianych odpisów prowadzi do strat budżetu państwa, bo określone pieniądze nie wpłyną do państwowej kasy, lecz do klubów i sekcji. Uważam

Drugi rok trudnych rozmów

jednak, że to strata pozorna, i dlatego stworzyłem możliwości szerszego korzystania z systemu ulg, które z jednej strony są korzystne dla sponsorów, a z drugiej przyczyniają się do pomnażania środków inwestowanych w kapitał ludzki. Inwestycją w kapitał ludzki jest także działalność dwóch tysięcy Uczniowskich Klubów Sportowych (skrót UKS niektórym kojarzy się z Urzędem Kontroli Skarbowej...). Do szkół poszły dodatkowe pieniądze, ale z dyrektywą, że muszą być wykorzystane na zajęcia pozalekcyjne, w tym także na UKS.

W podatkach dochodowych stawki będą niższe

*W rozmowie z Katarzyną Jędrzejewską
i Piotrem Aleksandrowiczem;
„Rzeczpospolita” z 30 stycznia 1996 r.*

Jaki jest ogólny sens kompleksowego podejścia do podatków?

Główne cele, jakie chciałbym osiągnąć w wyniku realizacji programu *Strategia dla Polski - Pakiet 2000*, to utrzymanie zdolności do szybkiego wzrostu gospodarczego w warunkach postępującej stabilizacji ekonomicznej i poprawy konkurencyjności. Z tego punktu widzenia najważniejsze są cztery cele dokumentu: po pierwsze - stabilność systemu podatkowego, czyli przejrzystość reguł i ich trwałość, po drugie - przewidywalność, a więc jasność co do tego, jak będą się kształtować obciążenia podatkowe w przyszłości, po trzecie - wiarygodność władzy ustawodawczej i wykonawczej, która nakłada na przedsiębiorstwa i obywateli zobowiązania podatkowe wobec państwa, i po czwarte - prorozwojowy charakter tych rozwiązań. Cele społeczne są dwa: spadek bezrobocia i wzrost spożycia.

Ma to być dokonane poprzez cele gospodarcze, w tym głównie utrzymanie wysokiego tempa wzrostu gospodarczego; zakładam, że w perspektywie 2000 r. średnie realne tempo wzrostu produktu krajowego brutto wyniesie ok. 5,5 proc. rocznie. Wzrost ten byłby ciągniony głównie przez inwestycje, które mają zwiększać się ok. półtorakrotnie szybciej niż PKB, oraz przez eksport. Sądzę, że proponowane w *Pakiecie 2000* rozwiązania będą także wzmacniały oddziaływanie dwóch innych kół zamachowych: nieinflacyjnego wzrostu popytu wewnętrznego (który będzie wynikał m.in. z poprawy koniunktury w budownictwie mieszkaniowym) oraz nieinflacyjnego przy-

rostu realnej sity nabywczej sektora przedsiębiorstw i gospodarstw domowych (poprzez zmniejszanie obciążeń podatkowych). W horyzoncie roku 2000 nastąpi też daleko posunięta liberalizacja naszej gospodarki w stosunkach zewnętrznych, co będzie się przejawiać w ostrym schodzeniu w dół z obciążeniem importu stawkami celnymi. (...)

Jakie są słabe punkty?

Nie znam jeszcze odpowiedzi, w jakim, tempie i w jakiej sekwencji pójdziemy z reformą ubezpieczeń społecznych. Nie do końca jest też dla mnie jasna sprawa, jak mają być finansowane usługi służby zdrowia. Są pytania o deregulację finansów publicznych, czego początek dała ustawa o dużych miastach. Jest też kwestia wdrażania podatku tzw. katastralnego. (...)

Zakłada pan stały wzrost gospodarczy o 5-6 procent rocznie. Co będzie, jeśli ten rachunek się nie sprawdzi i wzrost gospodarczy okaże się wolniejszy?

Założeń jest więcej. Zakładamy poprawę efektywności mikroekonomicznej i rentowności przedsiębiorstw, absorpcję szarej strefy, poszerzenie bazy podatkowej, wzrost skuteczności służb skarbowych. Co zrobimy, jeśli okaże się, że któreś z założeń zawiodło, że na przykład grozi zwiększenie deficytu budżetowego? Czy mamy podnieść podatki dochodowe? Otóż nie, uważam, że ewentualnym zaworem bezpieczeństwa w całej koncepcji finansów publicznych powinny być podatki pośrednie. W sytuacjach trudnych trzeba byłoby sięgać do podatków pośrednich, a nie bezpośrednich.

Co będzie ze stawką podstawową VAT?

Na dziś zakładamy utrzymanie jej na poziomie 22 proc. i dalsze jej upowszechnianie.

Czy stawka VAT w budownictwie też będzie wzrastała?

Propozycja jest alternatywna: albo wprowadzenie stawki 22 proc. od 1997 roku, albo dochodzenie do tej stawki stopniowo, przez kilka lat, tak jak to się stało w przypadku mediów energetycznych. Uważam, że głównym stymulatorem rozwoju budownictwa mieszkaniowego powinien być system ulg w podatku dochodowym, i to ulg naliczanych od kwoty podatku, a nie od podstawy jego wymiaru. Równocześnie od 1997 roku chcemy wyeliminować podatek importowy. Zniesienie tego podatku będzie miało efekt antyinflacyjny - import stanie się tańszy, a konkurencja silniejsza. Sprzyjać to też będzie tzw. zagospodarowaniu rezerw dewizowych. Na końcu wymieniam także argument zobowiązań międzynarodowych.

Z dotychczasowych zapowiedzi wynika, że stawki podatku od dochodów osób fizycznych zostaną obniżone do 20, 30 i 40 proc, a być może nawet bardziej...

Drugi rok trudnych rozmów

Po dokonaniu szacunków rezygnuję z obniżenia stawek podatkowych bardziej niż 20, 30 i 40 proc. Nie widzę w tej chwili takiej możliwości. Chciałbym, aby od 1997 r. jednoznacznie i bezterminowo obniżyć stawki do 20, 30 i 40 proc. w powiązaniu z odpowiednim dostosowaniem dotyczącym kwoty wolnej, kosztów uzyskania przychodu oraz zakresu stosowania ulg. Jest też propozycja, która - przynaję - może być kontrowersyjna, co do zmiany systemu waloryzowania progów podatkowych.

Dziś obowiązuje zasada, że progi są waloryzowane zgodnie z dynamiką płac z trzech poprzednich kwartałów...

Tak, ale możliwa jest waloryzacja według przewidywanej dynamiki płac, czyli tej, jaka jest oczekiwana w przyszłym okresie. Możliwa jest też waloryzacja w odniesieniu do prognozowanej inflacji. W efekcie wybór metody ma wpływ na to, jakie są realne obciążenia podatkiem i jaki jest dochód netto ludności. Tak na dobrą sprawę, dochód realny netto jest najważniejszy, choć często wmawia się nam, że najważniejsze są stawki podatkowe. Lepiej zarabiać miliard złotych i płacić 45 proc. podatku, niż zarabiać 100 milionów zł i płacić na przykład 18 proc. Przekonanie, że jeśli są niższe podatki, to wyższy jest poziom dochodów, jest iluzją. (...)

Z zapowiedzi wynika, że zamierza pan ograniczać, a być może nawet eliminować, ulgi inwestycyjne. Tymczasem ulgi zmuszały podmioty gospodarcze do ujawniania swoich dochodów, a ściślej mówiąc - rentowności. Czy nie obawia się pan, że po likwidacji ulg nie powtórzy się już więcej rok 1995, kiedy dochody budżetu państwa były wykonane w 101 proc?

Rzeczywiście, ulgi inwestycyjne, przy bardzo wysokich wymaganiach co do dochodowości, zmuszały podmioty gospodarcze do wykazywania swojej efektywności. Dlatego też nie ma zamysłu, aby całkowicie je wyeliminować, choć - co ciekawe - gdy spotkałem się z przedstawicielami Polskiej Rady Biznesu, usłyszałem, że są tacy, którzy opowiadają się za systemem całkowicie neutralnym i klarownym: niskie podatki i żadnych ulg. Nie zamierzamy całkowicie wycofać się z ulg, natomiast będzie ograniczona ich skala. Towarzyszyć temu będzie określona ścieżka redukcji stawki podatku od dochodów osób prawnych.

W jakim tempie będzie redukowana stawka 40 proc?

Chciałbym, aby równomiernie, co roku, była ona obniżana o 2 pkt. proc, tak aby w 2000 roku mogła się ustabilizować na poziomie 32 proc. (...)

Co z podatkiem od dochodów kapitałowych?

To, co miało wejść w 1997 r., weszłoby od 2000 r. Przez ten czas obowiązywałoby ustawowe zwolnienie dochodów kapitałowych od podatku. Do roku 2000 nie byłoby też żadnego innego typu opodatkowania dochodów kapitałowych i quasikapitałowych, typu odsetki od lokat bankowych. Jednocześnie od 1997 r. wycofane byłyby ulgi podatkowe z tytułu nabywania obligacji Skarbu Państwa i akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw na rynku pierwotnym. (...)

Jak zamierza pan wprowadzić pakiet w życie? Było już sporo obietnic co do reformy ubezpieczeń społecznych, reformy centrum gospodarczego, stawek podatku dochodowego...

Jestem tego świadom, ale z drugiej strony, jakkolwiek by patrzeć, wszystkie te sprawy, chociaż wolno, ale są jednak procedowane.

Co do *Strategii dla Polski - Pakiet 2000*, to dziś przesyłam ten dokument do Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów w oczekiwaniu, że na jednym z najbliższych posiedzeń KERM zajmie w tej sprawie stanowisko, poprawiając i uzupełniając co trzeba, a następnie przesyłając dokument Radzie Ministrów. Chciałbym, aby został on przyjęty przez rząd jako dokument kierunkowy, obligując do realizacji harmonogramu zakładającego, jakie ustawy i kiedy powinny być wprowadzone. (...)

Niezależnie od tego, jako minister finansów, kieruję do rządu projekt ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, przesądzający wprowadzenie od roku 1997 obniżonych stawek: 20,30 i 40 proc. Uważam bowiem, że nawet gdyby prace nad całym pakietem nie szły do przodu - co byłoby bardzo niedobre - można i trzeba obniżyć stawki podatku od dochodów osobistych.

Falsz polityki, prawda gospodarki

*W rozmowie z Wiesławę Lipińską;
„Słowo Ludu” z 2 lutego 1996 r.*

(...) Na czym polegają innowacje w budżecie na 1996 rok?

Przede wszystkim spada stopień fiskalizmu. Skala obciążeń podatkowych w stosunku do produktu krajowego brutto jest niższa. Natomiast rosną realne wydatki państwa, dzięki czemu można finansować wiele potrzeb związanych z gospodarką i poziomem życia polskich rodzin. Są też zaznaczone wyraźnie priorytety - wzrost nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę, służbę zdrowia i rolnictwo.

Jakie konsekwencje dla skarbu państwa mogą spowodować nieudaczne przepisy o darowiznach? W większości będą to darowizny fikcyjne.

Faktycznie, w przepisach dotyczących darowizn powstały szczeliny. Sama idea jest godna pochwały i promocji. Chodzi przecież o zachęcenie do inwestowania w tzw. kapitał ludzki, w ochronę zdrowia, sport, kulturę, oświatę, naukę. Ale jest to dla poważnych, uczciwych podatników. To, co zrobiono po drodze, zmusiło Ministerstwo Finansów i rząd do wniesienia poprawki do ustawy *O podatku od dochodów osobistych*. By nikt nie poczuł się zaskoczony, wprowadzimy *vacatio legis*. Propozycja zmian prawnych podyktowana jest troską o budżet i stan finansów publicznych.

Kilka dni temu przekazał pan prezydentowi RP i Komitetowi Ekonomicznemu Rady Ministrów program nazywany *Pakiet 2000*. Jakie są jego główne założenia?

Jest to projekt nowej polityki finansowej. Zakłada on przede wszystkim zmniejszenie obciążeń podatkowych. Myślę, że w przyszłym roku uda się powrócić do 20-, 30- i 40- proc. stawek od dochodów osobistych. Również w stosunku do firm następowaloby stopniowe obniżenie podatku o 2 proc. rocznie: do 38 proc. w 1997 r. i 32 proc. w 2000. Z podatku zwolnione byłyby także dochody kapitałowe, m.in. ze sprzedaży akcji. Chciałbym, aby nasz system podatkowy był stabilny, przewidywalny i utrudniał uprawianie harców politycznych. Kilka razy mieliśmy już do czynienia z manipulowaniem podatkami dla doraźnych celów partyjnych. Będę dążył, by jak w każdym normalnym kraju, podatnicy nie byli zaskakiwani ciągłymi zmianami przepisów przynajmniej przez kilka lat. (...)

Czy stać nas na obniżenie podatków? W jaki sposób napelni pan budżet?

Stawiam przede wszystkim na podatki pośrednie, czyli VAT. Systematycznie powinna być zmniejszana liczba towarów objętych ulgami i zwolnieniami, a upowszechniana 22-proc. stawka dla wszystkich wyrobów.

Ostatnio koalicja powróciła do opcji podziału terytorialnego Polski na kilka dużych makroregionów. Działacze samorządowi i niektórzy politycy obawiają się, że doprowadzi to do zróżnicowania na Polskę „A” - bogatą i nowoczesną i Polskę „C” - biedną i zacofaną?

Gadanie o Polsce „A” i „C” odbieram jako kolejną próbę wywierania nacisków politycznych na władze, by więcej wyciągnąć dla siebie. I jeśli takie hasła mają być okazją do „skoku na kasę”, to na pewno nie ze mną. Mamy demokrację i pora przyzwyczać się, że swoje problem' musimy rozwiązywać sami. Nikt za nas tego nie zrobi. Najpierw trzeba wykazać się własną inicjatywą, dysponować realnym, dobrym, konkurencyjnym

programem rozwoju regionalnego, zaprezentować przekonujące argumenty o celowości danego przedsięwzięcia i dopiero wtedy można liczyć na pomoc z budżetu państwa. Od żądań, tupania, lamentowania pieniędzy nie przybędzie. Jestem zwolennikiem samorządów terytorialnych, gospodarczych, zdecentralizowania finansów publicznych. O tym, co się dzieje w terenie, powinni decydować sami zainteresowani, a nie politycy i urzędnicy w Warszawie. Z myślą o współpracy z władzami lokalnymi uruchomiłem specjalne grupy zadaniowe, tzw. *taskforce*, które dysponują środkami budżetowymi lub np. z funduszu PHARE na dofinansowanie pewnych inicjatyw regionalnych. Ale jeszcze raz podkreślam, że obowiązywać będzie zasada „nasz los leży w naszych rękach”.(...)

Niektórzy ekonomiści oceniają, że nasz system finansowy ma wiele dziur, przez które uciekają ogromne pieniądze. Brak centralnego systemu informatycznego o przedsiębiorstwach działających w Polsce ułatwia oszustwa podatkowe, rozwój szarej strefy, powstawanie firm „krzaków”, co w konsekwencji prowadzi do strat w budżecie państwa. Czy przewidywane są rozwiązania systemowe, które wzmocniłyby dyscyplinę finansową i zwiększyły skuteczność administracji skarbowej?

Nic nie wiem, by z budżetu państwa wyciekały ogromne pieniądze. Natomiast wiem, że postępuje absorpcja szarej strefy. Nie mówię o eliminacji, bo my nie chcemy zabijać aktywności gospodarczej ludzi. Z tego punktu widzenia służby skarbowe - na zasadzie kija i marchewki - bardzo wiele zrobiły. Widać to w statystykach. Coraz więcej podmiotów gospodarczych rejestruje się i płaci podatki. Natomiast pomysł banku informacji o firmach nie wydaje się być najszcześniejszym. Budujemy demokrację i wolny rynek. Poważni przedsiębiorcy wręcz żądają ustawowych gwarancji o tajemnicy handlowej. Uważam, że mamy skuteczne instrumenty, które umożliwiają ściganie osób próbujących ukrywać swoje dochody. Problem tkwi w sferze mentalności i nic nie zmieni budowanie scentralizowanych systemów informatycznych. W takiej sytuacji często opowiadam anegdotę o tym, jak amerykański snobistyczny miliarder grał w golfa z angielskim lordem i podziwiał jego trawnik. Gdy spytał go o radę, Anglik odpowiedział: „To bardzo proste. Trzeba dwa razy w tygodniu strzyć trawę.” Amerykanin ucieszył się. „Po powrocie popędzę moich ludzi i każę im robić to samo, nie dwa razy w tygodniu, ale trzy.” „Ale przez 200 lat”, dodał lord. By społeczeństwo zrozumiało, że uczciwe płacenie podatków jest obowiązkiem obywatelskim i leży w jego interesie, musi upłynąć wiele lat.

Jakie mamy szanse na wejście do OECD?

Na to pytanie odpowiem pani cytatem z mojej książki *Rok w Polityce*, którą pisałem w ubiegłym roku. *Polskie aspiracje do OECD mogą się ziścić tylko w oparciu o stabilność. Procesy te mogą zostać zakłócone przez nieodpowiedzialne i pozbawione wyobraźni działania polityków. To trzeba powiedzieć wyraźnie już teraz, aby zapobiec niebezpieczeństwu straty czasu i energii na niepotrzebne potyczki polityczne.* 29 stycznia 1995 r. iv sobotni luieczór w Davos tańczono argentyńskie tango. Za rok może być polka. Ale inni tak będą wokół nas tańczyć, jak my sobie zagramy. Czyż nie były to prorocze słowa? Na tle obecnego bagna politycznego tylko gospodarka jest jasnym punktem. Z całą pewnością zaświeci pełnym blaskiem na światowym forum ekonomicznym w Davos, które odbędzie się na początku lutego. Będę tam towarzyszył prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Podczas Polskiego Dnia przedstawione zostaną osiągnięcia naszej gospodarki, uzyskane w wyniku realizacji *Strategii dla Polski*. Jestem przekonany, że ten dorobek umożliwi nam wejście jeszcze w połowie tego roku do OECD.

Jak profesor-naukowiec czuje się w świecie polityki?

Przez dwa lata pracy w rządzie pozbyłem się resztek mojej profesorskiej naiwności, że prawda zawsze zwycięża. Uważany jestem za osobę kontrowersyjną, bo mam odwagę iść pod prąd, głosić niepopularne poglądy. Nie należę do żadnej partii, nie zamierzam kandydować na jakikolwiek urząd i nikomu nie muszę podlizywać się, by zdobyć głosy wyborców. A tak właśnie postępują niektórzy politycy dla uzyskania poparcia tzw. elektoratu, w obłudny sposób głoszą hasła, które nie mają żadnego związku z rzeczywistością. Zabiegając o popularność, co innego myślą, co innego mówią, a co innego robią. Dzięki mediom nawet najwięksi cyniczni gracze mogą zrobić z siebie dobrych wujków. Natomiast manipulując wizerunkiem tych uczciwie pracujących, często robi się z nich Belfegorów, Frankensteinów czy innych wampirów. Obejmując stanowisko wicepremiera **nie** przypuszczałem, że są tak ogromne różnice między prawdziwym obliczem polityka a tym stworzonym na pokaz. Ja mam ten komfort, że nie muszę ulegać ideologii. Jestem pragmatykiem, który sformułował cele gospodarcze i je konsekwentnie realizuje. Coraz więcej ludzi ma mieć pracę i coraz więcej zarabiać, w twardych polskich złotych. W jednym z sondaży moja popularność nieco spadła. Wcale się tym nie przejąłem i powiedziałem moim współpracownikom: „A niech spada nawet do zera, byleby razem z inflacją.” (...)

Jak przejść między Uniami

*W rozmowie ze Stanisławem Źwikiem
i Pawłem Pietruszkiewiczem;
„Trybuna” z 12 lutego 1996 r.*

Panie premierze, gratulujemy ponownej nominacji. Chcielibyśmy też pogratulować sukcesów gospodarczych, ale kiedy spojrzymy na media, kiedy posłuchamy opozycyjnych polityków, to sytuacja rysuje się smutno. Jak to jest, czy to Pan przesadza, czy też opozycja jest odporna na fakty?

Gdybym miał mierzyć skuteczność polityki gospodarczej i finansowej zadowoleniem w mediach, zwłaszcza w tych, które podlegają wyraźnym naciskom politycznym, to daleko byśmy nie zaszli. Najwyżej do kolejnego kryzysu gospodarczego. Sukcesy naszej linii programowej - dowiedzione już w sposób niezbity, tak w kraju, jak i w szerokim świecie - irytują bowiem polityków opozycyjnych, doprowadzają ich do dziwacznych komentarzy.

Nie mnie przecież kłują w oczy takie zestawienia: w dwóch pierwszych latach transformacji wskutek tzw. terapii szokowej produkt krajowy brutto spadł o 18 proc, gdy w dwóch pierwszych latach realizacji *Strategii dla Polski* wzrósł o prawie 13 proc. Wtedy powstało ponad milionowe bezrobocie, a ostatnio przybyło pół miliona nowych, lepiej płatnych miejsc pracy. Inflacja w 1990 r. sięgała 250 proc, a wiosną br. spada poniżej 20 proc. Wówczas Polska doszła do wielkiej recesji, a dziś dochodzi do światowej czołówki państw należących do OECD.

Gdybym był równie kąśliwy, to mógłbym powiedzieć: im więcej złośliwości po tamtej stronie, tym widocznie więcej skuteczności po naszej. Złość ta jeszcze rośnie, jak się czyta, że 36 proc. wyborców opowiedziało się dzisiaj za SLD - przede wszystkim wskutek sukcesów naszej polityki gospodarczej. A ilu opowiedziało się za opozycją? Przemilczmy.

Czy naprawdę myśli Pan, że chodzi tylko o złośliwość mediów?

Jeśli chodzi o media jako środek komunikacji społecznej, to traktuję je poważnie i z należnym szacunkiem. Uważam je za niezwykle istotny czynnik życia publicznego. Natomiast inaczej trzeba spojrzeć na media jako na instrument nie tylko wyrażania, ale i kształtowania opinii publicznej. Tu często mamy do czynienia z gazetami partyjnymi, kontrolowanymi przez opozycję i wykorzystywanymi przeciwko rządzącej koalicji. Dlatego postrzegają one rzeczywistość w krzywym zwierciadle, zauważają tylko to, co odpowiada ich doktrynom politycznym.

A jak jest naprawdę?

Jak jest naprawdę, o tym orzekają profesjonalnie i niezależnie przeprowadzone badania opinii publicznej. Takich w Polsce jest wiele, powstał bowiem rynek na tego typu usługi i jest konkurencja, nie da się więc manipulować. Otóż według badań w kolejnych miesiącach rośnie poziom optymizmu społecznego. Coraz więcej polskich rodzin mówi, że jest lepiej, niż było. I jest to stwierdzane przy stosowaniu trzech miar: oceny własnej sytuacji materialnej (dochodów), oceny zasobów pieniężnych rodziny, wreszcie - subiektywnej wizji przyszłości. Ludzie zaczynają więc dostrzegać, że wraz ze wzrostem gospodarczym, wynikającym ze *Strategu dla Polski*, żyje im się nieco lepiej lub dużo lepiej. Choć oczywiście nie dotyczy to wszystkich. Ogólnie jednak wzrasta poziom bezpieczeństwa, a oszczędzanie nabiera sensu. Jest na co wydawać oszczędności lub też można być spokojnym o ich przyszłość.

Są tytuły prasowe i programy telewizyjne, gdzie o pozytywach po prostu się nie pisze i nie mówi. (...)

Zdaje się, że bardziej doceniają Pana na Zachodzie. W Davos odniósł Pan już niekwestionowany sukces.

Nie ja, ale polska gospodarka, nasze osiągnięcia. Wspólnie z panem prezydentem Kwaśniewskim staraliśmy się wykorzystać w Davos kilka sprzyjających okoliczności. Między innymi doskonałą ocenę polskich wyników gospodarczych zawartą w kilku raportach sporządzonych przez profesjonalne międzynarodowe instytucje. Także dobre recenzje *Pakietu 2000*, które właśnie pojawiły się w specjalistycznej prasie światowej. Wreszcie - rekordowe notowania polskich obligacji na zachodnich rynkach finansowych. Wszystko to pozwoliło urządzić w Davos prawdziwy polski festiwal, co przyniesie naszemu krajowi bardzo wymierne korzyści. Na przykład oceniam, że Polska jeszcze w tym roku zostanie przyjęta do OECD. **Powróćmy jednak do kraju. Tutaj *Pakiet 2000* nie wzbudził na razie zachwytu polityków, nawet koalicyjnych.**

Nie dam się sprowokować do polemik z wypowiedziami, które są często kreacją mediów. Tak, jak było to w przypadku omówienia wypowiedzi pana Pietrewicza, później sprostowanego przez radio. Mogę natomiast panom pokazać zebrane na piśmie uwagi członków KERM. Nie jest tego dużo. **Tak** naprawdę dyskusja o Pakiecie dopiero się rozpoczyna. Przecież członkowie nowego rządu nie mieli jeszcze czasu dobrze się z nim zapoznać. Będzie więc dokładna analiza, wymiana racjonalnych argumentów i ważenie odmiennych racji. Rzecz bowiem nie w tym, że mamy czasami różne poglądy,

tylko że mamy różne interesy. Jedni chcieliby z budżetu wydawać więcej, inni chcieliby mniej wpłacać do budżetu. Jedni uważają, że żywność powinna drożeć szybciej, inni że w ogóle nie powinna realnie drożeć. Takich problemów jest wiele.

Nie widzę dzisiaj jednak żadnego powodu, żeby *Pakiet 2000* miał nie uzyskać poparcia nie tylko koalicji, ale i innych ugrupowań politycznych. Tym bardziej że uzyskał je już w wielu ważnych środowiskach, konsultowałem go np. z Krajową Izbą Gospodarczą, Konfederacją Pracodawców Polskich, Polską Radą Biznesu oraz z OPZZ. Wsparcie nie oznacza jednak braku wątpliwości czy wątków krytycznych. To byłoby dziwne, gdyby ich nie było. Ja sam mam wiele wątpliwości. Najważniejsze jednak, żeby różne osoby nie wypowiadały się o Pakiecie przed zapoznaniem się z nim. (...) **Krytycy Pakietu zgłaszają jednak więcej zastrzeżeń. Np. że nie ma w nim nic o reformie ubezpieczeń społecznych czy restrukturyzacji rolnictwa.**

A gdzie jest w Pakiecie restrukturyzacja górnictwa albo prywatyzacja handlu detalicznego? Nie ma. Nie powinno być i nie będzie. To są zagadnienia, które po prostu znajdują się gdzie indziej. Jak się idzie do kościoła, to się nie pyta, gdzie jest bar. Program reformy ubezpieczeń społecznych jest w Sejmie. I mam nadzieję, że opozycja podejdzie do niego poważnie.

Tak jak do budżetu państwa na ten rok?

Dobre porównanie, bo właśnie pan prezydent podpisał ustawę budżetową. Przy tej okazji powiem, że być może nie zawsze w sposób jawny, ale niektóre kręgi opozycyjne popierały ten budżet. Wybitny działacz opozycyjny, kandydat Unii Wolności na prezydenta, pan Jacek Kuroń ośmielił się wstrzymać przy głosowaniu (powiedział mi, że czyni to tylko dlatego, żeby nie być przeciwko swojej partii). Niestety, jest dzisiaj w partii krytykowany, podobnie jak z innych powodów pani Labuda czy pan Rokita. To jest też przyczynek do dyskusji, co to jest wolność i demokracja. Przypuszczam, że podobnie będzie z dyskusją wokół *Pakietu 2000*. Nie jeden jego zwolennik będzie musiał się kryć ze swoimi poglądami albo się narazi pryncypialnym kolegom partyjnym.

Panie premierze, 18 lutego mamy referendum uwłaszczeniowe. Jakie mogą być ewentualne skutki odpowiedzi „tak” na pytanie o uwłaszczenie?

Na to pytanie ja również odpowiadam „tak”. Nasza polityka gospodarcza jest nakierowana na jak najszerszą partycypację społeczeństwa w procesach przekształceń własnościowych. Z tego też punktu widzenia wiele rozwiązań

Drugi rok trudnych rozmów

zostało wprowadzonych. Do 20 proc. akcji przedsiębiorstw prywatyzowanych kapitałowo mogą kupić na preferencyjnych warunkach pracownicy prywatyzowanych przedsiębiorstw. Cieszy nas, że już ponad 6 milionów obywateli odebrało swoje świadectwa udziałowe w Programie Powszechnej Prywatyzacji.

Problem jest gdzie indziej. Pytanie o powszechne uwłaszczenie przypomina mi pytanie: „Czy jesteś za niską inflacją?”. Ja nie muszę robić referendum, żeby się dowiedzieć, że wszyscy są za niską inflacją. Ale jeśli napiszę, co to oznacza i od czego to zależy, to już się okaże, że nie wszyscy. Jeśli wskażę związek pomiędzy niższą inflacją i niższym deficytem budżetowym, to zyskam akceptację; ale jeśli powiem, że mniejszy deficyt polega na tym, że wycofa się pewne przywileje grupowe i upowszechni stawki VAT, także w odniesieniu do środków produkcji dla rolnictwa, to nagle może się okazać, że nie wszyscy chcą ograniczenia tej inflacji. (...)

Nie widzi Pan więc zagrożenia kolejnym kryzysem. Tymczasem politycy opozycyjni...

Nie będę tu cytował pewnych wybitnych ekonomistów i polityków, którzy opowiadali przed dwoma laty, jaka to katastrofa zdarzy się w gospodarce, jeśli tylko koalicja SLD-PSL zacznie rządzić, np. że roczna inflacja osiągnie 300 proc. a świat odwróci się do nas plecami. Dzisiaj, kiedy gospodarka kwitnie, kiedy miejsc pracy jest o blisko pół miliona więcej, a inflacja jest o 16 proc. niższa niż przed dwoma laty, jakoś nikt nie ma ochoty wracać do tej dyskusji i przyznać się do swoich błędów.

Pakiet 2000 zakłada, że wydatki z budżetu będą rosły, ale wolniej niż produkt krajowy brutto. Skala redystrybucji dochodów przez budżet powinna się zmniejszać. Nie wiem, czy dla takiego podejścia uda się znaleźć akceptację. Wiadomo, że tak w łonie koalicji, jak i poza nią zdania będą podzielone. Jedna Unia, tj. Unia Wolności, z pełną świadomością będzie wspierała tego typu sposób myślenia i na pewno nie od tej strony będzie krytykowała *Pakiet 2000*. Druga Unia, tj. Unia Pracy, z pewnością od tej strony *Pakiet* skrytykuje. Pamiętam, jak przed dwoma laty podczas debaty sejmowej nad *Strategią dla Polski* padło pytanie: czy jest w ogóle jakaś „trzecia droga”? Stojąc na trybunie spojrziałem głęboko w oczy jednym unitom, potem drugim i powiedziałem: oczywiście, wystarczy przejść między dwiema Uniami. I to, co my robimy, jest właśnie drogą pragmatyzmu skojarzonego z wrażliwością społeczną. (...)

Uczciwych będę bronili...

W rozmowie z Radosławem Stankiewiczem;
„Głos Wielkopolski” z 28 lutego 1996 r.

Publikując prognozę gospodarczą dla Polski w *Pakiecie 2000* określił pan poziom, jaki może osiągnąć polska gospodarka w ciągu najbliższych kilku lat. Czytając uważnie ten dokument można odnieść wrażenie, że stłumienie inflacji, obniżenie podatków i wzrost inwestycji będą trudno osiągalne bez jednoczesnego przeprowadzenia reformy systemu ubezpieczeń społecznych czy też systemu finansowania służby zdrowia. W *Pakiecie 2000* nie ma na ten temat ani słowa. A zatem jest to program gospodarczy czy zespół życzeń, oderwany od wcześniejszych założeń *Strategii dla Polski*, jak sugerują niektórzy?

Strategia dla Polski jest programem, który przynosi oczekiwane rezultaty. W ciągu ostatnich dwóch lat polska gospodarka okazała się jedną z najbardziej dynamicznych w świecie. Rekordowe było tempo wzrostu gospodarczego, spadała inflacja, malało bezrobocie. Realnie wzrosły dochody ludności i konsumpcja. Efekty tego programu dostrzegają międzynarodowi partnerzy Polski. Wzrost i postęp gospodarczy nie są jednak Polsce dane na zawsze. Potrzebne są zatem działania rządu, które te tendencje utrwala.

Niezbędne jest, oczywiście, reformowanie systemu ubezpieczeń społecznych, kontynuacja prywatyzacji sektora publicznego i wiele innych realizowanych lub przygotowywanych przez rząd programów szczegółowych. Bez nich utrwalanie długofalowych pozytywnych zjawisk w polskiej gospodarce będzie nierealne. Trzeba było jednak przyjąć pewne założenia szczegółowe, precyzujące cele, instrumenty i reguły polityki gospodarczej w dwóch, moim zdaniem, kluczowych obszarach: makroekonomicznej stabilizacji oraz funkcjonowania systemu podatkowego. Wyeksponowanie ich w *Pakiecie 2000* nie oznacza więc odsunięcia na dalszy plan wszystkich strukturalnych reform, których przeprowadzenie stanowi trzon *Strategii dla Polski*, a jedynie podkreślenie ich znaczenia oraz określenie roli, jaką odgrywają w kształtowaniu koniunktury dla polskiej gospodarki.

Pakiet 2000 różni się ponadto w sposób zasadniczy od wszelkiego rodzaju prognoz gospodarczych, w których znaleźć można na ogół twierdzenia dwojakiego rodzaju: optymistyczne, czyli na przykład takie, że wzrost PKB w 2000 roku osiągnie 7,7 procent, i pesymistyczne, zakładające wzrost 5,4 procent. Nie podają one jednak żadnych konkretnych metod działania,

Drugi rok trudnych rozmów

pozwalających realnie przewidywać to, co się stanie. *Pakiet* takie metody precyzuje i są one oparte na realnych prognozach. Jest to po prostu program ściśle uplasowany w czasie i przestrzeni, uwzględniający aktualną sytuację gospodarczą Polski.

To, co najbardziej interesuje obywateli w proponowanych rozwiązaniach, to podatki, które przyjdzie im płacić w roku 1997 i latach następnych. Proponował pan powrót do stawek 20, 30 i 40 procent. Czyli znowu biedni dostaną mniej niż ci najbogatsi?

Jeśli chodzi o podatek dochodowy od osób fizycznych, to od 1 stycznia 1997 proponujemy bezterminowy powrót do niższych, znanych już stawek 20, 30 i 40 procent. Wiązać się to będzie, oczywiście, z pewną korektą systemu ulg i odpisów podatkowych oraz sposobem waloryzacji progów. Od 1998 roku obowiązywałby system waloryzacji opartej na wroście cen, a nie - jak dotychczas - płac. Czy obniżka stawek podatkowych jest sprawiedliwa? Można odpowiedzieć w sposób przewrotny: jeśli koalicja podniosła kiedyś stawki do 21, 32 i 45 procent, to teraz powinna je obniżyć tak samo. To byłoby sprawiedliwe.

Obniżenie stawek podatkowych może być zarówno instrumentem gry politycznej przed wyborami parlamentarnymi w 1997 roku, od którego szybko można odejść, jak też instrumentem czysto ekonomicznym, pozwalającym zrealizować jakieś określone cele, zawarte w *Pakiecie 2000*.

Jedną z bolączek polskiego systemu podatkowego są częste zmiany. Realizacja założeń *Pakietu 2000* pozwoli na kilka lat uczynić podatki przewidywalnymi. I to jest podstawowy cel tych zmian. Jest również cel czysto ekonomiczny.

Obniżka zwiększy siłę nabywczą polskich gospodarstw domowych. Każdemu z nas zostanie po prostu pewna kwota pieniędzy, które wykorzystać można na dwa sposoby. Oba uważam za bardzo korzystne dla gospodarki. Po pierwsze, więcej pieniędzy w kieszeni podatników, to większe zakupy, czyli wzrost popytu. A większy popyt to wzrost produkcji, czyli lepsza kondycja przedsiębiorstw.

Po drugie, obniżenie stawek podatkowych będzie miało istotny wpływ na poziom oszczędności Polaków. A od niego w dużej mierze zależy osiągnięcie, zakładanego w *Pakiecie 2000*, obniżenia stopy inflacji do kilku procent w skali roku. (...) Osiągniemy w ten sposób zamierzony efekt zachęcania Polaków do oszczędzania poprzez lokowanie w bankach, na giełdzie, w obligacjach zdrowego pieniądza, co naturalnie będzie tłumić inflację.

Ostatnio kwestionuje się realność pana planów obniżenia podatków z powodu błędu, jaki Ministerstwo Finansów popełniło w 1995 roku w sprawie

ulgi z tytułu darowizn. Straty wynikające z tego powodu miały być tak duże, że budżet nie byłoby stać w przyszłym roku na planowane obniżki. Sugeruje się również, że powinien pan podać się z tego powodu do dymisji.

Nie przyjmuję zarzutu o błędzie, ponieważ intencją ustawodawcy było umożliwienie zwolnienia z podatku „autentycznych darowizn”. Urzędy skarbowe, minister finansów i rząd nadal będą takie darowizny popierać, a nieuczciwie skutecznie ścigać. Nie można zresztą zakładać, że podatnicy są nieuczciwi. A tych uczciwych będę zawsze bronił. Taki zresztą był sens wszystkich moich wypowiedzi w tej sprawie, a jeśli zostały one w inny sposób przedstawione, była to tylko manipulacja wybranymi fragmentami moich wypowiedzi.

Nie ma również podstaw do obaw o straty budżetu, ponieważ budżet spokojnie sobie z tymi ulgami poradzi, zostały one bowiem uwzględnione przy przygotowywaniu zapisów prawnych w tej sprawie.

Jeśli chodzi o ewentualną moją dymisję, to podam się do niej, gdy inflacja będzie rosła, a produkcja spadała, a na razie jest odwrotnie. (...)

Linia reform będzie kontynuowana

W rozmowie z Jelena Krom;

„Czas pik” (Sankt Petersburg) z 28 lutego 1996 r.

(...) *Zasadnicza różnica* pomiędzy naszą polityką ekonomiczną a tą z pierwszego okresu przekształceń rynkowych w Polsce, okresu terapii szokowej, polega na tym, że my stale prowadzimy dialog ze związkami zawodowymi i traktujemy je jak sojuszników, pomocników. Podnieśliśmy do rangi podstawowego priorytetu wzrost ekonomiczny, ale zrobiliśmy przy tym zastrzeżenie, że chcemy obniżyć koszty przekształceń rynkowych, ponoszone przez ludność. Pragnę podkreślić dwie kwestie. Po pierwsze - staram się tak pracować, żeby gospodarkę odsunąć jak można najdalej od polityki. Po drugie - żeby polityka, którą prowadzi nasz koalicyjny rząd, była mocno związana z badaniami ekonomicznymi. Na tej podstawie opracowany został program *Strategia dla Polski* do roku 2000, znany szeroko także poza naszymi granicami pod nazwą *Pakiet 2000*.

Strategia dla Polski sprawdziła się - mamy dziś najwyższe w Europie tempo wzrostu gospodarczego. Rok 1995 można uznać jako rekordowy. Po raz pierwszy wielkość polskiego eksportu przekroczyła 20 mld. dolarów.

Drugi rok trudnych rozmów

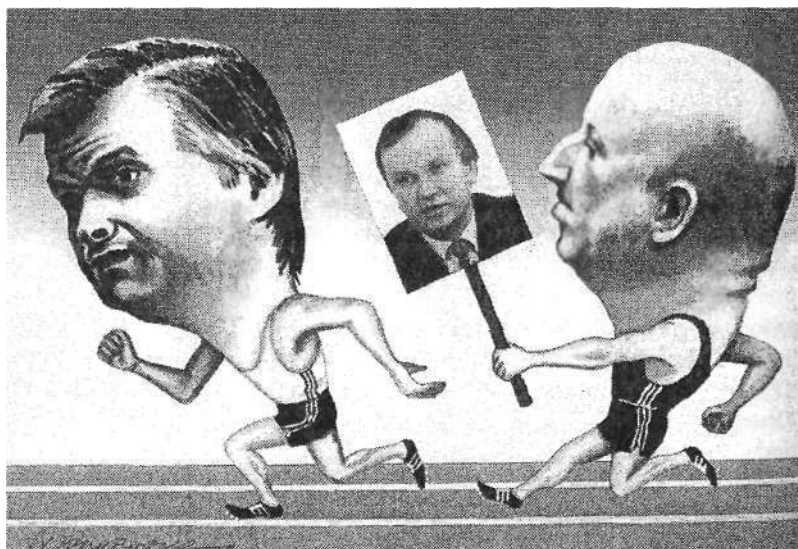
Rekordowe dochody przyniosła prywatyzacja, strumień zagranicznych inwestycji osiągnął 7 mld. dolarów, a w tym roku według naszych obliczeń przekroczy 10 mld. USD. Na rok 1996 przyjęty został dobry budżet - chwali go nawet opozycja, co prawda po cichu, w kuluarach.

Mówił Pan o oddzieleniu gospodarki od polityki. Czy to w ogóle może się komukolwiek udać? Zwłaszcza w Polsce, gdzie polityka jest taka niestabilna...

Właśnie w Polsce to się udaje. Proszę zwrócić uwagę: w dniach kiedy zmieniał się u nas rząd i premier - dwa rodzaje polskich papierów wartościowych, notowanych na międzynarodowych rynkach, osiągnęły rekordowe ceny. Mamy nowego premiera, ale możecie być pewni, że pan Cimoszewicz będzie kontynuował dotychczasową linię - linię reform. Ponieważ pozostaję w rządzie, tylko tak właśnie może być. I tak będzie.

Jest Pan jednym z nielicznych ministrów poprzedniego gabinetu, którzy pozostali w nowym rządzie. Czy nie odczuwa Pan jakiegoś dyskomfortu, poważnego nacisku ze strony kolegów?

W tym co dotyczy gospodarki żadnych przetasowań nie było. A zmiany w resortach niegospodarczych... Niektóre z nich nie mają najmniejszego związku z polityką gospodarczą - na przykład powołanie nowego ministra



spraw wewnętrznych. Natomiast zmiany, jakie zaszły w resortach mających styczność z gospodarką - oceniam jako pomyślne. Oto nowy minister pracy i polityki socjalnej - ma opinię pragmatyka i reformatora. Minister spraw zagranicznych ma staranne wykształcenie ekonomiczne.

Co się tyczy rozbieżności wewnątrz rządzącej koalicji... One oczywiście są. Głównie dotyczą tempa prywatyzacji, polityki podatkowej, jak też instrumentów redystrybucji i walki z inflacją. Wielu uważa, że inflację trzeba ostro obniżać, ale to wymaga surowej dyscypliny wydatków. Ja jeszcze nie spotkałem takiego ministra, z wyjątkiem ministra finansów, który by się opowiadał za obniżeniem wydatków. Ścisłej - wszyscy są za redukcją wydatków, ale za wyjątkiem swoich. Albo: wszyscy są za obniżaniem ogólnych podatków, ale jednocześnie kategorycznie przeciw rozciąganiu podatków pośrednich na towary tej sfery, którą zawiaduje ich ministerstwo. Na przykład stawka VAT na materiały budowlane wynosi u nas 7 proc, gdy tymczasem stawka podstawowa to jest 22 proc. Jestem przekonany, że trzeba stopniowo dojść do tego poziomu, ale trudno mi przekonać o tym panią minister budownictwa. Tak w ogóle są to rozbieżności naturalne, tylko, że powinien działać normalny mechanizm arbitrażu politycznego. Mamy ideę, żeby zreformować centrum gospodarcze. To jest próba przeorganizowania gospodarczej części rządu. Tu znowu: wszyscy są za, ale nikt nie chce, żeby to jego ministerstwo było zlikwidowane. Równo rok temu w jednym z największych polskich tygodników napisałem felieton pod tytułem *Teraz albo nie wiadomo kiedy*. I oto teraz, po roku wysiłków, znowu mogę napisać to samo.

A jak się Pan odnosi do krytyki ze strony opozycji?

Ma ona teraz trudne zadanie intelektualne: jak to wyjaśnić, że chociaż wszystko robimy źle to sytuacja gospodarcza kraju systematycznie się poprawia? Ale to jest jej smartwienie, niech sama próbuje rozwiązać ten paradoks.

Teraz albo nie wiadomo kiedy

*W rozmowie z Piotrem Aleksandrowiczem:
„Rzeczpospolita” z 15 kwietnia 1996 r.*

Prognozy Pakietu 2000 były mocno krytykowane. Twierdzono, że import będzie rósł szybciej, inflacji nie uda się obniżyć do 5 proc. itd. Najnowsza wersja, która we wtorek po raz kolejny będzie omawiana przez rząd, zawiera podstawowe dane w widelkach „od” „do”. Równocześnie wiele

innych kategorii, np. budżetowych czy dynamiki PKB, w ogóle nie uległo zmianie. Sprawia to wrażenie, że dla świętego spokoju autorzy *Pakietu* powstawiali widelki, żeby krytycy nie marudzili, ale nie stoją za tym ani rachunki, ani prawdziwe prognozy.

Ja nie przywiązuję do tego takiej wagi, to jest prognoza, a epoka centralnego planowania minęła bezpowrotnie, naprawdę. Jednak ponieważ nie mam sposobu przekonania wszystkich, że inflacja może być sprowadzona poniżej 5 proc. - co ja uważam, że jest możliwe, choć trudne - to akceptuję wprowadzenie widełek. Nie zgodziłbym się natomiast na skreślenie tej dolnej granicy 5 proc. (...)

Czy gdyby Unia Wolności przyniosła dokładnie taki sam dokument, powiedziałby pan, że jest to znakomity, wiarygodny program? Czy oceniliby go pan tak samo jak własny?

Być może, że w oparciu o samą lekturę dokumentu prezentacyjnego - nie. Ale mamy olbrzymią, bogatszą wiedzę niż dokument pokazany publicznie. Za nim stoi dwieście kilkadziesiąt stron wyliczeń i argumentów. Z pewnością natomiast - bez względu na to, kto byłby autorem takiego dokumentu - poważnie z nim dyskutowałbym i zadawał pytania. I oczywiście, program bym zaakceptował. Problem polega na tym, że nikt takiego programu nie przyniósł, tylko musiałem go sam napisać.

W wywiadzie dla Rzeczpospolitej p. Marek Borowski powiedział w ubiegłym tygodniu, że jego zdaniem są niewielkie szanse na obniżenie podatków w przyszłym roku. Czy może pan to skomentować?

To stwierdzenie dziwne w ustach tego wybitnego polityka dlatego, że był on i jest w kierownictwie politycznym koalicji PSL-SLD. Warto więc przypomnieć, że podatki zostały podniesione w wyniku decyzji tych samych osób i wówczas została jednocześnie złożona deklaracja w stosunku do podatników, społeczeństwa, inaczej mówiąc wyborców, że podwyższane są na jeden rok.

Pomimo moich dwukrotnych prób, podatki nie zostały obniżone. Na gruncie politycznym dzisiaj obniżenie stawek do 20, 30 i 40 proc. jest wciąż aktualnym zobowiązaniem koalicji PSL-SLD.

W Pakiecie 2000 wychodzę temu naprzeciw, choć kierują mną nie *możliwości* polityczne, lecz wyłącznie ekonomiczne. Uważam bowiem, że taki ruch, zmniejszający skalę redystrybucji i stopień fiskalizmu, dobrze będzie służył społeczeństwu i gospodarce, wspierając jej rozwój.

Istnieją wątpliwości, czy stać nas w tej fazie na obniżenie podatków. Otóż uważam, że można to zrobić albo teraz, w czasie wzrostu gospodarczego, albo... nie powiem nigdy, tylko powiem, że nie wiem kiedy. Jeśli to nie

zostanie zrobione, polityczne konsekwencje poniesie koalicja. Wracając do pytania, jeśli ktoś mówi, że nie widzi szans, to mnie to niepokoi, ale będziemy dalej argumentować, dlaczego moja ekipa gospodarcza takie szanse i możliwości **widzi**.

Powiedział pan, że obok dokumentu prezentacyjnego są jeszcze rachunki. W takim razie, ile netto przyniosą podatnikom zmiany w podatku dochodowym od osób fizycznych - obniżenie stawek przy równoczesnym ograniczeniu ulg. Ile w sumie będziemy płacić: mniej, tyle samo czy więcej.

Oczywiście, że mniej. Zapisaną i obliczoną ideą *Pakietu* jest zmniejszenie obciążeń podatkowych. Ustawa na rok 1996 zakłada, że podatek dochodowy od osób fizycznych przyniesie 27,9 mld zł. Na rok przyszły, po wprowadzeniu *Pakietu 2000*, obciążenia wyniosłyby 31 mld zł, co oznaczałoby wzrost nominalny o ok. 11 proc. przy indeksie cen konsumpcyjnych przewidywanych na poziomie 114. Nie wdając się w szczegóły można powiedzieć, że po zmianach ludzie zapłaciliby ok. 3 mld złotych mniej, niż gdyby tych zmian nie było.

Z kolei ograniczenie ulg i dalsze upowszechnienie VAT-u nieco zmniejsza te korzyści, ale z naszych wyliczeń wynika, że w porównaniu z dziś płaconymi podatkami obciążenie na osobę w rodzinie zmniejszy się od 1 do 2 proc, zależnie od tego, w jakiej grupie dochodowej jest dana rodzina. Co więcej, należy pamiętać, że w tym roku wpływy z podatku importowego wyniosą 2,6 mld złotych, a w przyszłym zero. To też korzyść dla podatników.

Dodajmy jednak, że to nie uwzględnia zmian w akcyzie.

Na wszystkich zmianach łącznie podatnicy zyskają.

Przeciwnicy obniżenia podatków podnoszą natomiast argument, że zmniejszą się dochody budżetowe...

...na co odpowiadam, że *Pakiet 2000* mimo obniżenia podatków, przy zmniejszonej skali redystrybucji, gwarantuje nawet nieco większe realnie wydatki budżetowe - rzeczowe i na płace. Jest to możliwe, ponieważ zakładamy, że jego wprowadzenie pozwoli na utrzymanie wzrostu gospodarczego i relatywne zmniejszenie kosztów obsługi długu publicznego.

My podkreślamy nie ubytek dochodów budżetu, lecz korzyści dla podatników i całego społeczeństwa. Natomiast istotnie, jeżeli ktoś się troszczy tylko o wydatki z budżetu, to jest jasne, że będzie akcentował fakt obniżenia wpływów do budżetu z tego czy innego tytułu, gdyż zmniejszenie wpływów oznacza zmniejszenie zakresu tego, co politycy i urzędnicy mogą podzielić. To trzeba powiedzieć wyraźnie.

Jakie będą skutki likwidacji niektórych ulg. W obecnej wersji Pakietu nie jest jasno powiedziane, które ulgi zostaną zniesione. Co tak naprawdę będzie się z nimi działo?

Tego dziś nikt nie wie. Będzie się działo to, co postanowią politycy.

Ja mogę tylko powiedzieć, że powinny być wycofane takie ulgi, które nie spełniają tych funkcji, do których zostały powołane, bądź nie mają sensu ekonomicznego.

Na przykład?

Na przykład związane z zakupem przyrządów i pomocy, bo okazało się, że wszyscy jako pomoc naukową kupują okulary, gdyż muszą czytać. To jest kpina z państwa polskiego.

Kiedy ulga ma w ogóle sens? Wtedy, kiedy uruchamia działanie, na którym nam zależy, ze względu na jego pozytywne efekty, a to działanie nie będzie podjęte, jeżeli danej ulgi nie ma. Natomiast jeżeli to działanie i tak ma miejsce, a mimo to udziela się ulgi, to jest to nierozważność w polityce finansowej.

Jeżeli ulgi miały sprzyjać inwestowaniu w kapitał ludzki, ale okazuje się, że nie ma możliwości kontroli, a ludzie nadużywają tej ulgi - to trzeba to znieść.

Wycofanie ulg związanych z kapitałem ludzkim, to przyzna pan, kompletna porażka.

W kapitał ludzki będziemy inwestować. Na przykład wycofanie ulgi oświatowej na szkoły niepubliczne oznacza 36 mln złotych dla budżetu więcej, ale te 36 mln zasili budżet oświaty.

Jaka jest łączna skala zmian w podatku dochodowym od osób fizycznych?

W sumie chciałbym co najmniej 3 razy więcej dać niż zabrać.

Jaka będzie zmiana netto dla przedsiębiorstw?

Można udowodnić, że korzyści związane z obniżeniem stawki podatku dochodowego od przedsiębiorstw są znacznie wyższe niż zmniejszenie korzyści związane ze stopniowym ograniczeniem wielkości ulg inwestycyjnych. Choć będą podmioty gospodarcze, dla których efektywne opodatkowanie zwiększy się.

Można natomiast zapytać: skoro uznaje się, że ulgi inwestycyjne są dobrym rozwiązaniem, to po co je zmieniać. Otóż rozwiązanie jest tak długo dobre, jak długo uruchamia motywację. Nie należy dawać ulgi na poziomie 50 czy 75 proc, jeśli wystarczy 25 proc. W zamian należy obniżyć stawkę podstawową podatku dla wszystkich.

Nie chcemy robić tego szokowo, więc proponujemy mechanizm zachodzącego słońca przez kilka lat. Tylko, że konkretne, wieloletnie rozwiązania mają

być przesądzone politycznie i ustawowo, a nie stanowić dalszy przedmiot przetargów i dyskusji politycznych.

Wprowadzenie *Pakietu 2000* zakończy historyczny okres tak zwanych ustaw okołobudżetowych. Jeśli *Pakiet* zostanie wprowadzony, to do roku 2000 będziemy mieli do czynienia tylko z budżetem, a nie ustawami okołobudżetowymi. Nie będą mieli swoich pięciu minut, a w zasadzie 365 dni politycy.

W odpowiedzi na *Pakiet 2000* PSL zaproponowało obniżenie stawek podatkowych o 3 punkty procentowe w każdej grupie. Co pan na to?

(...) Lider PSL jako premier i lider koalicji przeprowadził przez parlament podwyższenie podatków, obiecując ich obniżenie z powrotem do 20, 30, 40 proc. I to jest słuszne rozwiązanie. Natomiast propozycja obniżenia każdemu o 3 punkty jest proinflacyjna, niesprawiedliwa i antywzrostowa.

Jest niesprawiedliwa, gdyż utrzymywałaby relatywnie ponad dwukrotnie większe obciążenia podatkowe ludzi bardziej wydajnych, pracowitych, zaradnych, którzy w dużym stopniu finansują nasz wysiłek w zakresie restrukturyzacji i rozwoju obszarów wiejskich i naszą politykę socjalną.

Byłoby to posunięcie antywzrostowe, gdyż pozabawiłoby budżet znaczących środków, które służą działaniom rozwojowym.

Byłoby działaniem proinflacyjnym czy też destabilizującym, gdyż spowodowałoby w budżecie dziury nie do pokrycia. To jest propozycja, która rozkłada budżet.

Dlaczego została zgłoszona?

Bo dotyczy niemal wszystkich emerytów i rencistów rolniczych. To jest idealny prezent wyborczy. W PSL tak na to patrzą z punktu widzenia równowagi finansowej państwa, wpływu na oszczędności, na inwestycje i wzrost gospodarczy. (...)

Co z *Pakiem* jest dla pana absolutnie nienaruszalne?

Politycznie i metodologicznie nienaruszalny jest pakietowy charakter tej propozycji. *Pakiet* ma systemowo ustabilizować oczekiwania, zagwarantować, że nie można zmienić zasad gry przez przyjmowanie tak zwanych ustaw okołobudżetowych.

Ekonomicznie rzecz ujmując, nienaruszalne jest zmniejszenie skali redystrybucji budżetowej - dzięki redukcji podatków, i zmniejszenie redystrybucji przez rynek - dzięki zmniejszeniu inflacji.

Czy natomiast to oznacza, że na przykład szczegółowy przebieg ścieżki zachodzącego słońca w kwestii podatku dochodowego od przedsiębiorstw jest nienaruszalny? Nie, wiele kwestii może być przedmiotem dalszych prac, ale nie oznacza to, że jestem skłonny dyskutować z wszystkimi o wszystkim.

Amator sportu

*W rozmowie z Ireneuszem Paulikiem;
„Tempo” z dnia 26 kwietnia 1996 r.*

(...) Bardzo rzadko jestem ostatnio kibicem, przede wszystkim ze względu na brak czasu. Tu i ówdzie mnie obfotografowano i moja obecność na imprezach sportowych została zauważona. Zwłaszcza jej wątki sensacyjne, np. dostrzeżono, że rozmawiałem z Marianem Krzaklewskim, bo to przez media przedstawiane jest tak, że my już w ogóle ze sobą nie rozmawiamy. To nieprawda, choć łatwiej się rozmawia z panem Krzaklewskim np. o sporcie, niż o jego pomysłach gospodarczych i przypuszczam, że podobnie on może mówić o mnie. (...)

Czekając na rozmowę, usłyszałem, że dzwoniło z Torwaru i dopytywano się, czy pan premier tam dzisiaj zawita...

Niedawno narzuciłem sobie żelazną dyscyplinę i staram się ćwiczyć co drugi dzień...

Ale od paru dni pan premier nie może tego zrobić, bo, o ile wiem coś się stało z zębami. Czyżby kontuzja?

Niestety jest to skutek uprawiania sportu. Pozazdrościłem bowiem córkom i doszedłem do wniosku, że *snowboard* to nie jest coś, z czym nie poradziłyby sobie czterdziestokilkuletni mężczyzna i zacząłem zjeżdżać z Kaimówki, zresztą po otrzymaniu bardzo sympatycznego instruktażu od jednej z naszych najlepszych snowboardzistek, Moniki Kaim. Dumny byłem z tego, że za piętnastym i ostatnim zjazdem w poniedziałek wielkanocny uczyniłem to bez upadku, choć na pewno pokracznie w porównaniu z tym, co robią moje córki. Ale za którymś następnym razem niestety upadłem i to tak, że - nie wiem, gdzie były wtedy ręce? - uderzyłem się w lewą pierś i lekarz z przerażeniem stwierdził, że mam złamane zebro. Poprzednim razem, gdy jeździłem na nartach, upadłem w Wigilię i wsadzili mi nogę w gips od kostki do uda na trzy tygodnie. Jak widać - uparty ze mnie facet: pomimo, że raz i drugi się połamalem, nie rezygnuję i być może stąd się biorą także moje sukcesy na niwie polityki gospodarczej i finansowej, że nie kapituluję. W tym sensie mam sportowy charakter, lubię rywalizację, ale właśnie taką zdrową i przebiegającą według zasad fair play. Natomiast nienawidzę podstawiania nóg, obojętnie czy to na boisku, czy w polityce. Obawiam się, że w polityce nie widać tego gołym okiem, lecz jak na boisku kopie się w kostkę wtedy, gdy nie patrzy sędzia, tak w polityce nóż wbija się w plecy, gdy nie widzą tego kamery telewizyjne. (...)

Był pan premier widzem także na zakopiańskim PŚ w skokach narciarskich. Porozmawiajmy więc o Olimpiadzie w Zakopanem, bo może Olimpiadę w Warszawie zostawmy na razie na boku jako odleglejszą...

I od razu sobie powiedzmy, że tak długo jak mamy być realistami, Olimpiada w Warszawie jest zamysłem nierealistycznym w dającej się przewidzieć przyszłości. Jeśli tak nie jest, to niech ktoś mnie do tego przekona, bo gdyby to było możliwe, to ja oczywiście takiej idei chętnie bym sprzyjał. Może brakuje mi wyobraźni, ale mówię to również w poczuciu odpowiedzialności.

Na razie sam włączyłem się jakoś do idei - oby nie *fixe* - urzędzenia zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2006 r. w Zakopanem itd. Dlaczego mówię itd.? Bo z pewnością część konkurencji powinna być rozegrana w Szczyrku, część pewnie w Krynicy, część w Nowym Targu, ale centrum powinno być tam, gdzie powinno być, czyli w Zakopanem. Bardzo mi się nie podoba to, co od razu zaistniało: to polskie politykierstwo, te zamiary „skoku na kasę” państwa przy okazji, wyrażane w mediach obawy, że środowisko zniszczy my... Ludzie, którzy tak mówią, działają przeciwko tej idei.

Czy przeprowadzenie Olimpiady w Zakopanem jest możliwe? Tak, jeżeli podejmiemy do tego z myślą, że celem jest złapanie króliczka, a nie gonienie go. A wielu uważa, że nawet jak się nie schwyta króliczka, to uda im się przez ten czas załatwić rzeczy, których potem nie będzie można im odebrać.

Ja jestem z tymi, którzy mają cel bardziej ambitny: dogonić i złapać króliczka!

Trudność polega na tym, że decyzja o lokalizacji Olimpiady zostanie podjęta przez MKOl. w 1999 r. Czyli mamy trzy lata, żeby przedstawić silne argumenty, a nie pobożne życzenia, że nas, Polaków i Polskę stać na to. To nie może być tylko lokalne przedsięwzięcie, więc jest to też pytanie, w jakim stopniu społeczeństwo może się integrować wokół tego celu. Bo może w innym regionie ktoś np. powie: A co nam do tego! Jest jasne, że jeśli przedsięwzięcie ma być wsparte pieniędzmi publicznymi, to także środkami tych ludzi, którzy żyją zupełnie gdzie indziej. Istnieje zatem pytanie, czy jest odpowiedni poziom solidarności wokół takiej idei, bo można powiedzieć, że nas na to po prostu nie stać.

Więc wreszcie - czy nas na to stać? Otóż, jeśli się to zrobi porządnie, na zasadzie zainwestowania, a nie skonsumowania środków, które tutaj są potrzebne, to może się okazać, że nie tylko nas stać, ale również że się opłaci. Trudność polega na tym, że najpierw należy włożyć, żeby z czasem skorzystać. Prowadzę pewne rozmowy, ostatnio z przedstawicielami Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Europejskiego Banku Inwestycyjnego, na temat ich kredytowego zaangażowania w projekty

Drugi rok trudnych rozmów

infrastrukturalne, poczynając od nowoczesnej drogi z Krakowa do Zakopanego poprzez inwestycje w hotele odpowiedniego standardu i łącząc to, nie ukrywam, z programem Kraków 2000. Jak wiadomo, w 2000 r. Kraków będzie - z czego jestem dumny - europejską stolicą kultury. Już mam zainteresowanie tych banków, w ślad za nim pójdą pewne studia i - jak sądzę - pewne decyzje inwestycyjne. Ale, aby uzyskać kredyty, trzeba dać gwarancje rządowe, a potem te pieniądze zwrócić. (...)

Ci którzy wyrażają obiekcje na temat Olimpiady w Zakopanem uważają ją za ekstrawagancję, realizację hasła: zastaw się a postaw się. Problem polega na tym, czy obiekty, które zostaną wybudowane, uda się spożytkować później? Czy np. dziesięć hoteli o wysokim standardzie, jakie powinny powstać w Zakopanem, znajdzie w następnych latach wystarczającą liczbę klientów?

To pytania, na które trzeba odpowiedzieć spokojnie i profesjonalnie, bo z pewnością nie wolno przeinwestować. Na to ja już się nie zgodzę, tak długo, jak cokolwiek ode mnie będzie zależało, gdyż - jak Czytelniccy „Tempa” doskonale wiedzą - jestem ostatnim człowiekiem, który marnowałby publiczne pieniądze. Wobec tego żadnych szaleństw, żadnego nadmiaru, to musi być zrobione tak jak wszędzie, gdzie buduje się obiekty pod warunkiem, że będą one wykorzystane także później, że będą służyły ludności. Trzeba te imprezę rozrzucić, urządzić ją podobnie do Igrzysk w Albertville, gdzie w zasadzie odbyło się tylko otwarcie i zamknięcie Olimpiady, a zawody rozparcelowano po okolicy. Twardy rachunek ekonomiczny i finansowy - to jest mój wymóg. (...)

Ambasador polskiej sprawy

*W rozmowie z Klaudią Sanetra;
„Nozoa Europa” z 8 maja 1996 r.*

Posiedzenie rządu poświęcone polityce zagranicznej potwierdziło, że PoT skę w świecie promować będzie przede wszystkim gospodarka...

Znaczenie gospodarki i jej dynamicznego rozwoju podkreślali prezydent i premier. Gospodarka bowiem umacnia naszą pozycję w świecie. Prezydent podkreślał także spokój społeczny, który w świecie jest odbierany jako znaczący element wiarygodności Polski. A jest to przecież funkcja osiągniętego postępu gospodarczego, poprawy warunków życia i pracy ludzi.

Dzisiaj wyraźnie widać, że oczekiwania kręgów opozycyjnych, niezyczliwych dla rządzącej koalicji - iż doprowadzi ona do obniżenia prestiżu i autorytetu Polski w świecie - całkowicie się nie spełniły.

Za cel strategiczny zaraz po objęciu stanowiska wicepremiera uznałem członkostwo w OECD. W styczniu 1995 r. złożyłem pierwszą w tej sprawie wizytę w Paryżu, a już trzy miesiące później, w kwietniu, rozmawialiśmy o tym z Kanadyjczykiem Donaldem Johnstonem, który przejmuje przewodnictwo OECD 1 czerwca tego roku. Po drodze był żmudny proces dostosowań, któremu, jak wiadomo, nie wszyscy sprzyjali.

Kolejnym krokiem będzie integracja z Unią Europejską. I droga do Europy nie będzie łatwa. Możemy na niej napotkać opór, gdyż kraje europejskie deklarują wprowadzić poparcie, ale nie zamierzają ponosić z tego powodu większych kosztów.

I dlatego staram się pewne fakty wyprzedzać. Jeszcze w ubiegłym roku byłem w Irlandii i spotkałem się z premierem Johnem Brutonem. A pojechałem tam dlatego, że w drugiej połowie obecnego roku Irlandia obejmuje tzw. prezydencję. I właśnie wtedy będzie się decydowała droga Polski do Unii Europejskiej. Z tego samego powodu spotykałem się często z ministrem finansów Niemiec Theo Waiglem i ministrami finansów krajów skandynawskich, którzy są gorącymi orędownikami naszej integracji.

Wielokrotnie uczestniczyłem w spotkaniach ministrów finansów i gospodarek 15 państw członkowskich i 10 państw stowarzyszonych z Unią. Przy tej okazji przekonałem się, jak różnie w różnych krajach rozwiązane jest kierowanie finansami, budżetem i gospodarką. (...)

Jeździ pan po świecie i po każdym powrocie przywozi komplementy pod adresem polskiej gospodarki. Czy nie nazbyt zachłystujemy się sukcesami? Porównywać się z państwami rozwiniętymi jeszcze nie bardzo możemy.

Dlaczego nie? Jest takie miejsce, na które raz w roku zwrócone są kamery i mikrofony całego świata. To Davos. Tu zjeżdżają się możni tego świata, ludzie związani z gospodarką, finansami i polityką. Byłem tam dwukrotnie. W ubiegłym roku czułem się zakłopotany komplementami na temat polskiej gospodarki. W tym roku już nie, bo tym razem Polska - i słusznie - była tam gwiazdą.

Drugim takim miejscem był w ubiegłym roku Singapur, gdzie odbyło się forum Azja Południowo-Wschodnia-Europa. W tym roku wizytę w Tajlandii, Malezji i Indonezji złożył premier Włodzimierz Cimoszewicz. I gdy przeczytałem w największym tamtejszym dzienniku „New Traits Times” artykuł o Polsce z nadtytułem *The Soaring Eagle of Europe*, w którym pod zdjęciem

Drugi rok trudnych rozmów

premiera Cimoszewicza był podpis *Falling inflation* a pod moim *Growing export* miałem ogromną satysfakcję, że te wyjazdy przynoszą efekty.

Sądzę, że pomysł, by zdystansować się od sympatycznego skądinąd przydomka, jaki nam nadano na wzór azjatycki - tygrys wschodniej Europy - i wylansować własny - wznoszący się orzeł Europy - był trafny. To się przyjęło, od Dalekiego Wschodu po Amerykę, gdzie z tym właśnie hasłem pojechaliśmy na konferencję poświęconą wielkim wyłaniającym się rynkom świata. Udało się przekonać Amerykanów - myślę, że pomocna była w tym moja rozmowa z prezydentem Billem Clintonem - byśmy znaleźli się w tej grupie obok Chin, Turcji, Brazylii, Meksyku, Argentyny i Korei.

Polskę stawia się dzisiaj obok państw, z którymi przed kilku laty nie mogła się porównywać. Dzisiaj jesteśmy przez międzynarodowe organizacje finansowe traktowani tak samo, jak większość rozwiniętych państw.

Znany jest pan z tego, że gdziekolwiek jest pan, wszędzie zabiera pan materiały promujące Polskę, plakaty, wydawnictwa. Czy uważa się pan za dyplomata?

Na tyle, na ile wicepremier ds. gospodarczych i minister finansów powinien nim być. Pewnie powinien, choć finansiści z reguły prowadzą twardsze dyskusje niż dyplomaci. Często są to rozmowy dyskrecjonalne, które później owocują konkretami. Poznałem w ten sposób panią Ruth Harkin, która jest prezydentem amerykańskiej, rządowej agencji OPIĆ, wspierającej inwestycje amerykańskie. Ona zapalała ogromną sympatią do Polski. Są to bardzo ważne kontakty, bo przecież głównym terenem ekspansji amerykańskiego kapitału jest i będzie Europa. My zaś zajmujemy w niej ważne miejsce, choćby ze względu na bliskość Rosji i wszystkich krajów poradzieckich.

Odwiedziłem Ukrainę i Mołdowę. Moja wizyta w Rosji ma się odbyć w niedalekiej przyszłości, ale niedawno w Polsce spotkałem się z wicepremierem Olegiem Dawydowem.

Sądzę, że kolejnego partnera zyskaliśmy w Meksyku, gdzie byłem przed kilku dniami.

W najbliższym czasie planuję wyjazd do krajów azjatyckich, byłych republik radzieckich. Te państwa zabiegają o pomoc ekspercką, chcą skorzystać z naszych doświadczeń. A my musimy przecież patrzeć perspektywicznie. Dzisiaj państwa zachodnie inwestują swój kapitał u nas. Jutro my będziemy inwestować na Wschodzie. To jest swego rodzaju dyplomacja, bo najlepszym ambasadorem polskiej sprawy jest jej gospodarka.

Grzegorz W. Kołodko
w obiektywie



Autor z ulubionym piórem, które podarował nie odliczając darowizny od podatku.



Z Prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim - na dobre i na złe.



W nowym rządzie z nowym premierem, Włodzimierzem Cimoszewiczem.



Z byłym Prezydentem RP Lechem Wałęsą, w poszukiwaniu drugiej Japonii.



Z byłym premierem Józefem Oleksym: ostatni rajd.



Uścisk dłoni z Prezydentem USA, Billem Clintonem.



Z wyrazami szacunku dla Jej Królewskiej Mości Elżbiety II.



Nowe miejsca pracy dla Śląska. Podpisanie porozumienia kredytowego z UE w Brukseli; 80 mln marek niemieckich na modernizację Huty Katowice.



Z Prezydentem Stanów Zjednoczonych Meksyku, Ernesto Zedillo Ponce de Leon.



Z ministrem finansów Republiki Federalnej Niemiec, Theo Waiglem



Z wicepremierem Federacji Rosyjskiej, Olegiem Dawydowem, podczas podpisania umowy o redukcji wzajemnego zadłużenia.



Po głosowaniu w Sejmie nad budżetem na 1996 rok: dubeltowy Victor.



Z prezesem NBP Hanną Gronkiewicz-Waltz: umacniajmy złotego.



Złoty As. Zamek Królewski, grudzień 1995 rok.



Niebezpieczne związki. W OPZZ z przewodniczącą Ewą Spychalską: trudny dialog w ramach koalicji.



Niebezpieczne związki. Z przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Marianem Krzaklewskim: rozmowy nie kontrolowane.



Z Marylą Rodowicz: festiwal pieśni biesiadnej.



Z Izabelą Skorupko i Danielem Olbrychskim: parada gwiazd.



Z żoną Alicją i Miss Polonia 95, Ewą Tylecką.



Obywatel G.W.K. z Małgorzatą Potocką.



Z Marią Fołtyńską: Bankowa Fundacja Kultury zrodzona z miłości do sztuki i szacunku dla pieniędzy.



Z Małgorzatą Walewską: Kocham operę!



As podniebnych przestworzy.

*Z wężem
wyjętym
z kiesze-
ni...*



Co kangury noszą w torbach?



*Z wiernym
przyjacie-
lem o imie-
niu Salem.*



Z Wojtkiem Fortuną w Zakopanem: Olimpiada 2006?



Tym razem słupek!



Nalogi?. ...20 lat z Alicją.



...i dwa lala z POLITYKĄ

O autorze

Urodził się w roku 1949 (Wodnik) w Tczewie. Po ukończeniu liceum i rocznej pracy w charakterze **robotnika budowlanego w Gdańsku** podjął **studia w SGPiS w Warszawie**. W roku 1976 obronił pracę doktorską, a w 1984 habilitacyjną. Następnie **stypendysta Fulbrighta na University of Illinois w USA**. Od roku 1989 profesor nauk ekonomicznych, a w 1993 **profesor zwyczajny w Szkole Głównej Handlowej**. W latach 1982-1988 **doradca prezesa NBP**, a w okresie 1989-94 roku **dyrektor Instytutu Finansów w Warszawie**. W 1988 roku zorganizował **Zakład Naukowo-Badawczy Bankowości i Pieniądza** w NBP i był jego pierwszym dyrektorem. W roku 1988 i 1989 **konsultant ONZ-owskiego Światowego Instytutu Rozwoju Gospodarczego WIDER w Helsinkach**, później **konsultant Międzynarodowego Funduszu Walutowego w Waszyngtonie** (w 1991 roku w Departamencie Badań a w 1992 w departamencie Polityki Fiskalnej). W roku 1994 prowadził **badania i wykłady w Instytucie Polityki Fiskalnej i Monetarnej w Tokio** i na **Uniwersytecie La Sapienza w Rzymie**.

Uczestnik negocjacji „okrągłego stołu” w roku 1989. **Członek Rady Ekonomicznej Rady Ministrów** w latach 1989-91. **Przewodniczący Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów RP** oraz **wicepremier i Minister Finansów** w latach 1994-95 w rządzie Waldemara Pawlaka, w latach 1995-96 - Józefa Oleksego i od 1996 roku - Włodzimierza Cimoszewicza. Bezpartyjny.

Autor bądź współautor **dwudziestu książek** (ostatnio *Transformacja polskiej gospodarki*, BGW 1992, *Kwadratura pięciokąta. Od załamania gospodarczego do trwałego wzrostu*, Poltext 1993, *Strategia dla Polski*, Poltext 1994, *Rok w Polityce*, Real Press 1995 i *Dwa lata w Polityce*, Real Press 1996) oraz blisko **dwustu artykułów i referatów, drukowanych w kilkunastu językach**, w tym około pięćdziesięciu w języku angielskim. Regularnie pisuje cotygodniowe eseje i felietony do prestiżowej „Polityki”. **Wykładał na wielu zagranicznych uniwersytetach** - tak amerykańskich, jak i europejskich oraz japońskich. W czasie pracy akademickiej prowadził zajęcia głównie z ekonomii politycznej oraz polityki gospodarczej. Miał także serie wykładów

O autorze

i seminariów z zakresu ekonomii porównawczej, transformacji systemowej, polityki stabilizacyjnej i finansów publicznych. Aktualnie **wyklada politykę gospodarczą w Szkole Głównej Handlowej.**

Inicjator, współzałożyciel i Przewodniczący Rady Bankowej Fundacji Kultury. Jest członkiem międzynarodowych i krajowych organizacji i towarzystw naukowych oraz rad programowych renomowanych periodyków naukowych. Za pracę dydaktyczną i naukowo-badawczą w latach 1972-95 jedenastokrotnie otrzymał **nagrody ministra** lub równoznaczne (m.in. PAN i PTE). Uzyskał tytuł **Człowieka 1994 roku** tygodnika „Życie Gospodarcze”, nagrodę **Wejście roku 1994** dziennika „Sztandar” i **Złotego Asa** w 1995 roku.

Żona, Alicja, jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Przedsiębiorca Budowlany” wydawnictwa Murator. **Córki - Julia (14 lat) i Gabriela (11 lat)** mają psa rasy briard o imieniu Salem oraz klacz rasy małopolskiej o imieniu Madagaskar.

Zainteresowania - starożytne cywilizacje, literatura, opera, podróże i egzotyka (odwiedził blisko 70 krajów), etnografia, przyroda. Miłośnik zwierząt i muzyki klasycznej. Uprawia sport, często pływa i gra w tenisa.

Wykaz innych książek Grzegorza W. Kołodko

- Cele rozwoju a makroproporcje gospodarcze*, wyd. I, Szkoła Główna Planowania i Statystyki, Warszawa 1984; wyd. II, PWN, Warszawa 1986, s. 212
- Polska w świecie inflacji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1987, s. 312
- Reform, Stabilization Policies and Economic Adjustment in Poland*, WIDER, Helsinki 1989, s. 132+IV
- Kryzys, dostosowanie, rozwój*, PWE, Warszawa 1989, s. 148
- Inflacja, reforma, stabilizacja*, Alma-Press, Warszawa 1990, s. 136
- Hiperinflacja i stabilizacja w gospodarce postsocjalistycznej* (współautor), wyd. I, PWE, Warszawa 1991; wyd. II, Instytut Finansów, Warszawa 1991, s. 184
- Polityka finansowa - stabilizacja - transformacja* (współautor i redakcja naukowa), Instytut Finansów, Warszawa 1991, s. 448
- Hyperinflation and Stabilization in Postsocialist Economies* (współautor), Kluwer Academic Publishers, Boston-Dordrecht-London 1992, s. 186+XVIII
- Polityka finansowa - transformacja - wzrost* (współautor i redakcja naukowa), Instytut Finansów, Warszawa 1992, s. 368
- Transformacja polskiej gospodarki. Sukces czy porażka?*, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1992, s. 200
- Kwadratura pięciokąta. Od załamania gospodarczego do trwałego wzrostu*, Poltext, Warszawa 1993, s. 144
- Economic Transition in Eastern Europe* (współautor), Blackwell, Oxford UK and Cambridge USA 1993, s. 102+X
- The Political Economy of Transformation* (współautor), Physica Verlag/A. Springer-Verlag Company, Heidelberg-New York 1993, s. 242
- Eastern European Development and Public Policy* (współautor), St. Martin's Press, New York 1994, s. 244

Wykaz innych księzek...

Macroeconomic Problems of Transformation. Stabilization Policies and Economic Restructuring (współautor), Edward Elgar Publishing, Aldershot GB-Brookfield USA 1994, s. 309

Strategia dla Polski, Poltext, Warszawa 1994, s. 224

Rok w Polityce, Real Press, Warszawa 1995, s. 272

Income Distribution and Sustainable Growth (współautor), MIT Press, Cambridge Mass. 1996

Poland 2000. The New Economic Strategy, Poltext, Warszawa 1996, s. 200

Indeks osób

- Aleksandrowicz, Piotr 188, 242,
Anh → Le Duc
Artens, Maria 196
- Baczyński, Jerzy 13n
Baczyński, Krzysztof 198
Balcerowicz, Leszek 236, 238
Barre, Raymond 78
Bączkowski, Andrzej 72
Bielecki, Jan Krzysztof 163
Bień, Jolanta 232
Bober, Halina 198
Borowski, Marek 258
Bradecki, Tadeusz 229
Brittan, Leon 78, 136
Broek, Hans van den 18, 136
Brown, Ronald 46, 70
Brundtland, Gro Harlem 113
Bruton, John 265
Brzeziński, Zbigniew 15
Buchacz, Jacek 18
Budzyński, Adam 227
Bukowski, Jerzy 175
Bykowska, Halina 179
- Camdessus, Michel 48, 85, 167
Carnegie, rodzina 40
Castro, Fidel 113
Choroszy, Ryszard 219
Cimoszewicz, Włodzimierz 137,
139n, 256, 265n, 269
- Clinton, William Jefferson („Bill”)
47, 179, 266
- Ćwik, Stanisław 249
- Dai Xian-glong 80
Dallara, Charles 164
Dawydow, Oleg 266
Dejmek, Kazimierz 229
Depler, Michael 117
Dornbusch, Riidiger 135
Dryszel, Andrzej 236
- Eisenstein, Sergiusz 148
Evans, Gareth 79, 110
- Filipow, Lubomir 164
Fischer, Stanley 85, 136
Fołtyn, Maria 148
- Geremek, Bronisław 16n
Goh Chok Tong 79
Gołata, Krzysztof 209
Goździk, Lechosław 49
Gronkiewicz-Waltz, Hanna 179
- Harkin, Ruth R. 46, 266
Herzog, Roman 179
Hibner, D. 18
Holbrooke, Richard 137n
Hurkała, Teresa 224

Indeks osób

- Jagieliński, Roman 17, 225
Janion, Maria 41
Jędrzejewska, Katarzyna 188, 242
Johnsen, Sigbjorn 159
Johnston, Donald 136, 265
Juszczenko, W. 148
- Kaczmarek, Wiesław 18
Kaim, Monika 262
Kędzierska, Dobrochna 209
Kiet → Vo
Kohl, Helmut 113
Kołodko, Alicja 194, 225, 270
Krom, Jelena 255
Król, Krzysztof 236
Król, Marek 209
Krzaklewski, Marian 262
Krzysińska, Elżbieta 111
Kuroń, Jacek 251
Kwaśniewski, Aleksander 11, 120,
132, 136, 149n, 164, 236, 248,
250
- Labuda, Barbara 251
Larosière, Jacques de 136, 163n,
Le Duc Anh 113
Lee Hsien Loong 79
Leszkowska, Anna 230
Liberadzki, Bogusław 18
Linn, Johannes 152
Lipińska, Wiesława 245
Loong → Lee
Luong → Tran
Lucinschi, P. 147
- Maj, Gerard 214
Maystadt, Philippe 137n
Marinicz, Michaił 69
- Miller, Leszek 236
Misiak, Marek 184, 217
Modzelewski, Witold 124
Morgan, J.P. 46, 207
Możejko, Eugeniusz 201
- Nastuła, Paweł 125
Nimitso, Mats 158
- Olechowski, Andrzej 209
Oleksy, Józef 67, 193, 269
- Pałyska, Jarosław 194
Paramonowa, Tatiana 68
Passent, Daniel 7nn
Paszczyk, Stefan 126, 240
Patrick, Suzanne 151
Paye, Jean-Claude 136
Pawlak, Waldemar 269
Pawlik, Ireneusz 262
Phomviha, Xaysomphone 80
Pietrewicz, Mirosław 250
Pietruszkiewicz, Paweł 214, 249
Pohoriile, Maksymilian 36nn
Poł, Marek 124
Prus, Bolesław 153
Pynzenyk, Wiktor 68
- Ranariddh, Norodom 80
Rokita, Jan Maria 251
Rubin, Robert E. 46, 204
- Sanetra, Klaudia 211, 264
Sangheli, Anderi 147
Serafin, Marek 239
Smith, Adam 114
Snegur, Mircea 147
Sobol, Saturnin 224

Indeks osób

- Sowińska, Magda 186
Spychalska, Ewa 161
Stanford, rodzina 40
Stankiewicz, Radosław 253
Stich, Otto 85
Stuligrosz, Stefan 42
Suchocka, Hanna 83, 210
Sulewski, Zbigniew 192
Summers, Lawrence 138
Syryjczyk, Tadeusz 236
Szpek, R. 148
Szymczycha, Dariusz 214

Taib, Abdul 79
Timans, Rolf 28
Toeplitz, Krzysztof Teodor 227
Tong → Goh
Tran Duc Luong 80
Tumiłowicz, Bronisław 181
Tylec, Krzysztof 232
Tyszkiewicz, Beata 229

Umer, Magda 52

Viravan, Amnuay 80
Vo Van Kiet 143

Waigel, Theo 138, 158, 178, 265
Walenciak, Robert 236
Wałęsa, Lech 50, 59, 71, 81nn, 100,
102, 122, 230
Widenow, Żdan 164
Wiktorowska, Bożena 222
Willis, Ralph 108
Winiarski, Paweł 195
Witkowski, Antoni 219
Wolfensohn, James D. 48, 167
Wolf, Tomasz 184, 217

Zacharczuk, Tatiana 148
Ziółkowska, Wiesława 116

Żelichowski, Stanisław 235

Spis treści

Od autora	5
Biegnę w dwóch lewych butach... <i>Z autorem rozmawia Daniel Passent</i>	7

ODPOWIEDZI I PYTANIA

Eseje zamieszczone na łamach „Polityki”

Wprowadzenie Jerzego Baczyńskiego	13
1. Krok po kroku, rok po roku	15
2. Hydra	18
3. Jeszcze jedno okrzyknięcie	22
4. Sam rząd czy samorząd	25
5. Szantaż czy dylematy wyboru	29
6. Drugie rozdanie	33
7. Egzamin praktyczny	36
8. Kultura i pieniądze	39
9. Cena spokoju	43
10. Wznoszący się orzeł Europy	46
11. Tu zaczyna się Polska	49
12. Licho nie śpi	53
13. Czerwoni do koryta	56
14. Potomkowie muła, czyli manifest antypopulistyczny	59
15. Wsi spokojna, wsi wesola	63
16. Na Zachodzie, czyli w Polsce	67
17. Koniec strajków	70
18. Pómetek	73
19. Orzeł wśród tygrysów	76
20. Liberum veto	81
21. Polska na szczycie	84
22. Batalii o podatki ciąg dalszy	87
23. Kampania nieprezydencka	90
24. Przełom	94

25. Najlepsza polityka to skuteczna polityka	96
26. Już wybrali przyszłość	99
27. Uwłaszczenie w malinach	101
28. Jak wejść do klubu?	104
29. Co kangury noszą w torbach	107
30. Miss Sajgon	111
31. Bogactwo narodów	114
32. Trzy szczęśliwe siódemki	116
33. Błyszcząca moneta	119
34. Ministerialna rozszada	123
35. Sport (a nie polityka) to zdrowie	125
36. Pięciu bratanków	128
37. Pakiet 2000	130
38. Gwiazda niejednego sezonu	134
39. Oczyszczanie atmosfery	137
40. Krótki kurs ekonomii	139
41. Uczciwi śpią spokojnie	142
42. Zaczęły się schody	146
43. Czy wybierzemy przyszłość?	149
44. Jak nas widzą	151
45. Placówka	153
46. Europa 2000	156
47. Mały rząd – dobry rząd	160
48. Europejczyk nr 1	163
49. Świat się zmienia	166
50. Polskie drogi	169

DRUGI ROK TRUDNYCH ROZMÓW

(fragmety wywiadów prasowych)

Strategia na miarę sukcesu	175
Popierajcie swój budżet	179
Rozwój orientacji proeksportowej	181
Koszt sukcesu?	184
Nie jestem tyranem ani dyktatorem	186
Nie chcę, żeby budżet był lichej	188
Wynająłem się na warunkach	192
Co minister ma pod krótką koldrą	194
Finanse państwa to temat kontrowersyjny	195

Spis treści

Wśród wylaniających się rynków	196
Nie pójde na tani poklask	198
Pięć minut dla Polski	201
Polska, wznoszący się orzeł Europy	205
Rząd sukcesów	209
Stopień finansowej twardości	211
Nie zazdroścę opozycji	214
Droga przez mękę	217
Jestem z wojskiem, ale... ..	219
Codziennie rozwiązuję kwadraturę koła	222
Gwarantuję, że państwo nie pójdzie pod młotek	224
Gorzej już było	227
Inwestowanie w przyszłość	230
Od narzekania pieniędzy nie przybywa	232
Błyszcząca moneta	236
Bez skoku na kasę	239
W podatkach dochodowych stawki będą niższe	242
Falsz polityki, prawda gospodarki	245
Jak przejść między Uniami	249
Uczciwych będę bronił	253
Linia reform będzie kontynuowana	255
Teraz albo nie wiadomo kiedy	257
Amator sportu	262
Ambasador polskiej sprawy	264

GRZEGORZ W. KOŁODKO W OBIEKTYWIE

O autorze	269
Wykaz książek Grzegorza W. Kołodko	271
Indeks osób	273



Gabrysia i Julia:

Dwa lata bez POLITYKA: Co my mamy z tego taty?

- Kto wam daje kieszonkowe: mama czy tata?

Gabrysia (11 lat): - Tata!

Julia (14 lat) - Mama!

Kto daje większe?

Gabrysia: - Nie wiem!

Julia: - Chyba tata...

- Czy zdarzyło się tak, że naciągaliście tatę na jakiś zakup, a on w ogóle nie wiedział ile to kosztuje?

Julia: - Prawda. Czasami jest tak, że tata nie wie dokładnie ile coś w Polsce kosztuje, ale zaraz chce się dowiedzieć. Za to, jak jest w Stanach, orientuje się doskonale i zwykle porównuje tamtejsze ceny z naszymi.

- Z jakimi problemami poszłycie do taty ostatnio?

Gabrysia: - Chodziło o wakacje. Dokąd pojedziemy. Ale i tak rodzice o tym decydują, nie my.

Julia: - Ja wolę chodzić z problemami do mamy. Zwłaszcza, że tata wraca tylko na noc.

- Ma czas, żeby interesować się waszą nauką?

Gabrysia: - Gdy dzwoni, pyta o nią. Do zeszytów nie zagląda.

Julia: - Rzeczywiście pyta: jak było, jakie oceny dostałyśmy, czy stawiano nam jakieś pytania... Nie męczy, ale trochę nudne jest codzienne odpowiadanie, jak było w szkole...

- Co wy macie z tego taty, skoro ciągle go nie ma?

Gabrysia: - Mam rozmowy telefoniczne. I czasami w niedzielę się widzimy... Gdy jeździmy na działkę, czasami z nami pogra, pobawi się, chociaż zazwyczaj śpi.

- Życzycie tacie, żeby wreszcie przestał zajmować się polityką?

Gabrysia: - Pytałam kiedyś tatę, dlaczego nie chce rzucić tego stanowiska. Powiedział, że chętnie by to zrobił, ale uważa, że my jesteśmy z niego dumne i to go cieszy. Ja nie wiem - gdyby odszedł byłby pewnie smutny, że my nie jesteśmy z niego dumne... Ale przecież to nie jest tak, bo my go zwyczajnie kochamy...